

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 4 (114) • ROK XI • KWIECIEŃ 2005

CENA 4 ZŁ (w tym 0% VAT)

____ BARBARA GRUSZKA-ZYCH: Chore szpitale

____ JAROSŁAW TOMASIEWICZ: Ślązacy na rozdrożu

____ WITOLD TURANT: Co Rosję obchodzi terroryzm?

____ PAWEŁ DUBIEL: My z Królewskiej Huty

____ KARL DEDECIUS – arcypolski Niemiec

____ Kazimierz Wyka na Śląsku i Zagłębiu

____ Poezja i proza: MILENA WIECZOREK

____ MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY LUCJAN WOŹNIAK





Krystian Zimerman – zaliczany do najwybitniejszych pianistów świata, laureat pierwszej nagrody w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w 1975 roku, otrzymał godność doktora honoris causa Akademii Muzycznej w Katowicach, której jest absolwentem. Laudację wygłosił prof. Andrzej Jasiński, wieloletni nauczyciel i profesor Zimmermana. Uroczystość odbyła się w auli Akademii Muzycznej w Katowicach w dniu 14 marca 2005 roku. Doktorat honoris causa dla Krystiana Zimmermana jest drugim doktoratem przyznawanym przez tę uczelnię – pierwszy otrzymał w 2003 roku kompozytor Henryk Mikołaj Górecki. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy blok tekstów związanych z tą uroczystą wizytą Zimmermana w Katowicach, w tym jego wystąpienie pełne odkrywczych stwierdzeń dotyczących sfery relacji między fonografią a zapisem nutowym.

Na zdjęciu Krystian Zimerman odbiera tytuł doktora honoris causa z rąk rektora Akademii Muzycznej prof. Eugeniusza Knapika.



Gustaw Holoubek na scenie Teatru Śląskiego. Pozakonkursowy „Król Edyp” w jego reżyserii otworzył VII Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”. Wielkiego aktora i człowieka teatru, przez szereg lat związanego w przeszłości z teatrem katowickim, publiczność powitała nadzwyczaj gorąco.

O katowickim festiwalu pisze Krzysztof Karwat na stronach 68-70.



W piątą rocznicę śmierci Andrzeja Hiolskiego, 26 lutego 2005 roku, w Operze Śląskiej w Bytomiu odbył się koncert barytonów poświęcony pamięci tego wybitnego śpiewaka. Jego kariera artystyczna to blisko 60 lat na scenach operowych Polski. Z Operą Śląską związany był przez 18 sezonów. Po raz ostatni bytomska publiczność podziwiała go we wspaniałej wykonanej partii Janusza w premierowej „Halce” z okazji 50-lecia Opery. Wystąpił także rok później, z okazji 50-lecia pracy

artystycznej swego najbliższego przyjaciela Bogdana Paprockiego. Imieniem Andrzeja Hiolskiego została nazwana nowa, odtworzona po pożarze, sala śpiewu. Jej uroczystego otwarcia dokonano w dniu koncertu. Gośćmi tego wydarzenia byli Bogdan Paprocki (w głębi na tle fortepianu) i córka artysty Magda Hiolska (pierwsza z lewej obok Bogdana Paprockiego), która zaprezentowała również wystawę poświęconą ojcu – najśłynniejszemu polskiemu barytonowi.



ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

Nr 4 (114). Rok XI. KWIECIEŃ 2005 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21
e-mail: slask@neostrada.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
BARBARA GRUSZKA-ZYCH
dział krytyki

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
IRENA FALKIN-SIBIGA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 48 zł., półroczna – 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 4 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Rozmowa z Jarosławem Żelazowskim, prezesem zarządu PBOiUT „Śląsk”

NOWOCZESNE TECHNOLOGIE TO CHLEB POWSZEDNI	3
Tadeusz Kijonka GEST MINISTRA	5
Witold Turant LISTY PANA MARKIZA	6
Bogdan Widera AWANTURA O RYBNĄ	8
Barbara Gruszka-Zych CHORE SZPITALA	10
Agnieszka Zajęcka COŚ NAM ZROBIŁ, KEATON?	13
Milena Wieczorek WIERSZE	16
Jan F. Lewandowski SZANSE FILMOWEGO ŚLĄSKA	18
Jan F. Lewandowski NOMINOWANY CELIŃSKI	20
Jarosław Tomasiewicz ŚLĄZACY NA ROZDROŻU	22
Lech Nijakowski ŚLĄSK, ŚLĄZACY NA, ŚLĄSKOŚĆ	25
Tadeusz Kurlus DEDECIUS-ARCYPOLSKI NIEMIEC	27
Jerzy Lucjan Woźniak W TATRACH. WIOSNA. KOBIETY.	
JARZĘBINY. SEKS. BEETHOVEN	30
Marek Wawrzkiwicz WIERSZE	34
Adam W. Jarosz NA SZLAKU WĘDRÓWEK KAZIMIERZA WYKI	
NA ŚLĄSK I DO ZAGŁĘBIA	36
Klaudia Tasz Sobczyńska WIERSZE	39
Józef Musioł UCIECZKA Z SOWIECKIEGO OBOZU JENIECKIEGO	40
Ewelina Półchłopek, ks. Jerzy Szymik POEZJA PRZYJAŹNI	48
ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA	
Jan Nowak Jeziorański PERŁA W KORONIE	51
Paweł Dubiel MY Z KRÓLEWSKIEJ HUTY	54
Wiesława Konopelska USPOKOJENIE	64
Jarosław Starzyk MAŁOWANY KOŃ WŚRÓD PORCELANY	65
Jalanta Szczeciński DYBOSKI	66
Tadeusz Kijonka KOLEKCJA WROCŁAWSKA JERZEGO DUDY GRACZA	
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	81

Pismo wspierane
finansowo przez
**ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO**



oraz dotowane przez
**URZĄD MIASTA
KATOWICE**



i **MINISTERSTWO
KULTURY**

W kolorze:

- „Z drewna ciosane” – album autorstwa Antoniego Kreisa, wyd. Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie (str. A)
- Malarstwo polskie. Porcelana. Kolekcja poznańska w Muzeum Historii Katowic (str. B)
- Jerzy Duda Gracz – Pro Memoria. Wystawa w Muzeum Śląskim w Katowicach (str. C)
- Znaki i Twarze Miasta Katowice. Powrót Holtzego (str. D).

Na okładce
Pałac w Rybnym

Fotografia:
Roman Kucia

LISTY	4
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
POZA KADREM	
Feliks Netz ZA WSZELKĄ CENĘ	21
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA	
Marek S. Szczepański RZECZ O UMARŁEJ KLASIE	
ALBO POCHWAŁA MIESZCZAŃSTWA (II)	45
EKOLOGIA	
Jolanta Matiakowska GRA W ZIELONE	46
Jan Rzymelka MINIGEACACUSZKA	
W MUZEUM ŚLĄSKIM	47
PODKOPKI	62
TEATR	
Krzysztof Karwat ODWAGA NAGRODZONA	68
Magdalena Dziadek MIEDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI	
Jan Zdzisław Brudnicki SYMBOLIKA POLSKA	
W POEZJI NIEMIECKIEJ	72
Bogdan Widera PIĘKNE MOMENTY NIEUWAGI	
Daria Weps „ODCZAROWANY” RAK	74
Kamil Pietrala KOŚCIÓŁ BEZ ANESTEZJOLOGA	
Monika Kamieńczyk ERA HAMBURGERÓW	75
Viktoria Pawłowska NA SKRZYDŁACH PEGAZA	75
Marcin Halaś POLIFONICZNE GRANICE	76
Krzysztof Karwat W HOŁDZIE MARSZAŁKOWI	77
Grażyna B. Szewczyk WIELOKULTUROWOŚĆ	
GÓRNEGO ŚLĄSKA W HISTORII LOKALNEJ ...	77
NOTY	78
Jan Miodek ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA	
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	90
Jan Picheta BIELSKO	92
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	93
Marek Świercz OPOLE	94
Jacek Sikora ZAOLZIE	95

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.
www.ruch.com.pl

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

■ **LESZEK** Miller, Wiesław Kaczmarek i Zbigniew Siemiątkowski spotkali się 1 II na konferencji w katowickiej prokuraturze. Po raz kolejny opowiadali o kulisach zatrzymania szefa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego.

■ **WICEBURMISTRZ** Leśnicy, 29-letni mgr inż. Krystian Tomala został nowym dyrektorem generalnym Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Wybrano go spośród 13 kandydatów.

■ **NIEZNANI** sprawcy skradli w Świętochłowicach Zgodzie żelazną bramę – ostatnią pamiątkę po obozie, w którym najpierw hitlerowcy, a potem komuniści więzili i zgładzili tysiące ludzi. Brama miała być przekształcona w pomnik ofiar Zgody. Złomiarze byli szybsi...

■ **NA** Politechnice Śląskiej w Gliwicach powstało pierwsze w Polsce Laboratorium Robotów Mobilnych. Tu powstała maszyna krocząca Hexor, wspomagająca lekcje informatyki, elektroniki i telekomunikacji.

■ **DO** połowy tego roku tyska fabryka silników Isuzu planuje zmniejszyć zatrudnienie do 350 osób. Zwolnienia mają mieć charakter grupowy.

■ **BYTKOWSKI** zbiornik wodny, zaprojektowany 70 lat temu przez słynnego architekta Tadeusza Michejda, znika z powierzchni ziemi. – Nie dało się go uratować. Nie mieliśmy ani pomysłu, ani pieniędzy – tłumaczą w wodociągach. Kolejne podzwonne dla zabytku śląskiej techniki.

■ **SETKI** mieszkańców Knurowa wzięło udział 5 II w uroczystościach z okazji 60. rocznicy deportacji Ślązaków do Związku Sowieckiego. W lutym i marcu 1945 r. ledwo przetrzymał się front, NKWD – sowiecka policja polityczna – internowała i wywozila do pracy w kazachskich i syberyjskich kopalniach około 90 tys. Ślązaków. Śledztwo w sprawie deportacji prowadzi Instytut Pamięci Narodowej.

■ **GÓRNICZY** z Katowickiego Holdingu Węglowego zakończyli okupację biur zarządu, bo od marca dostaną wyższe pensje. Najwięcej na osiągnięty porozumieniu skorzysta elita z biura zarządu.

■ **BURMISTRZ** Łazisk Górnych odsłonił 8 II tablicę pamiątkową na ścianie budynku Urzędu Miasta poświęconą pamięci mieszkańców, którzy zostali wywiezieni do sowieckich łagrów w 1945 roku.

■ **CELNICZY** z Dąbrowy Górniczej odebrali 8 II Złoty Szlaban – honorową nagrodę za walkę z piractwem – w ub. r. skonfiskowali w sumie 73 tys. nielegalnych płyt CD i DVD.

■ **PODEJRZANY** o korupcję naczelnik oddziału celnego w Gliwicach został zatrzymany 8 II przez oficerów Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To najwyższy rangą celnik zatrzymany na Śląsku w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

■ **ŚLĄSKA** policja rozbiła gang, który co najmniej przez półtora roku produkował lewe paliwo. Jego członkowie zarabiali 50 tys. zł dziennie! Nielegalna wytwórnia paliwa znajdowała się na jednej ze stacji benzynowych w Wodzisławiu Śląskim.

■ **TRWA** hossa na węgiel. Jastrzębska Spółka Węglowa przyjmie w tym roku do pracy w pięciu kopalniach ponad 900 osób. Już złożono ponad 180 podań o pracę.

■ **BYŁY** dyrektor Śląskiej Kasy Chorych Andrzej Sośnierz, stał się specjalistą od zabytków. Po sukcesie kierowanej przez niego Fundacji Zamek Chudów, wkrótce być może zajmie się zamkiem w Toszku, który w średniowieczu był siedzibą książąt. Grupa miejscowych radnych poprosiła Sośnierza o sporządzenie planu zarządzania zamkiem.

■ **MIA** dokładnie sto lat od założenia najstarszego katowickiego klubu piłkarskiego. Sport Club Diana powstał 13 lutego 1905 roku. W chwili założenia miał 50 członków. Istniał tylko do 1939 r.

■ **SĄD** Rejonowy w Katowicach odrzucił nowy wniosek w sprawie zarejestrowania Związku Ludności Narodowości Śląskiej, gdyż narodowości śląska nie istnieje. Sprawą zajmowało się już kilka sądów oraz Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Wszędzie argumentacja odmowy była identyczna.

■ **SIEDMIEDZIESIĄT** śląskich miast, gmin i powiatów zgłosiło się do akcji „Przejrzysta Polska”. Obiecują, że nie nie zatłwią pod stołem, o sprawach finansowych rozmawiać będą na pierwszym szkoleniu.

■ **11 LUTEGO** zmarła w Katowicach Eugenia Krystyna Wnukowska-Liersz, autorka wierszy oraz tekstów do znanych przebojów do muzyki Jerzego Haralda-Jana Lięrsza, m.in. „Brzydula

i rudzielec”, „Wrocławska piosenka”, „Mały domek”. Zyla 73 lata.

■ **DOTYCHCZASOWY** dyrektor generalny Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego – Konrad Imielski został 15 II nominowany na wicewojewodę, zastępując Teresę Randak, która zrezygnowała z tego stanowiska dwa miesiące temu. K. Imielski ma 58 lat i jest bardzo związany z Zawierciem – jest przewodniczącym Rady Miejskiej (z tej funkcji musi teraz zrezygnować), w latach 80. był sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR, a od 1994 do 2004 r. prezydentem miasta.

■ **BYŁEMU** szefowi Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach Jerzemu Hopowi nie udało się załokować swojego procesu. 16 II stanął przed sądem i wysłuchał jak prokurator wymienia nazwy kilkudziesięciu firm, od których wyludził pieniądze – w sumie ponad 1,7 mln zł. Jerzy Hop jest najwyższym rangą przedstawicielem organów ścigania w Polsce, któremu przedstawiono zarzuty o charakterze kryminalnym.

■ **PROFESOR** Andrzej Hliniak, onkolog, radio-terapeuta, zmarł 15 lutego w Gliwicach. W czasie wojny był żołnierzem Armii Krajowej.

■ **MINIATURY** paschali, czyli świece symbolizujące zmartwychwstałego Chrystusa, można kupić w parafiach archidiecezji katowickiej. Paschaliki kosztują 6 zł. Dochód z nich przeznaczony będzie na wsparcie dzieł charytatywnych Caritasu.

■ **POLICJANCY** z wydziału do walki z korupcją zatrzymali 16 II Mariana H., lidera wodzisławskiego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, członka zarządu tamtejszego powiatu. Akcja policji jest utrzymana w ścisłej tajemnicy, ale z przecieków wynika, że może chodzić o korupcję przy handlu węglem. Marian H. jest jednocześnie szefem Związku Zawodowego „Kadra” w kopalni „Rydułtowy-Anna”.

■ **STO** bajek afrykańskiego ludu Mambwe pojawi się niedługo w księgarniach w Afryce. Autorem książki jest ks. Andrzej Halemba z archidiecezji katowickiej. Bajki spisane są zarówno po angielsku, jak i w języku mambwe. Ks. Halemba, który spędził 11 lat jako misjonarz w Zambii, opatrzył je również wprowadzeniem naukowym.

■ **MECENAS** Andrzej Rajpert, jeden z najlepszych śląskich adwokatów, został 18 II odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Orderu Polski. Mecenas jest wybitnym specjalistą od prawa gospodarczego.

■ **KAZIMIERZ** Szczerba, SLD-owski burmistrz Tarnowskich Gór, dopiął swego. Radni zgodzili się na sprzedaż palacu w Rybnej, jednego z najcenniejszych zabytków w mieście. Ale już tworzy się Społeczny Komitet Obrony Palacu w Rybnej, który będzie zbierał podpisy przeciw sprzedaży i sprawdzał wiarygodność firm, które staną do przetargu.

■ **POTRAFIĄ** reanimować, opatrzyć poparzenia, złamania, a nawet odebrać poród. Funkcjonariusze z tworzonej na Śląsku policji autostradowej zakończyli 18 II szkolenie.

■ **GÓRNIK**, który będzie musiał pracować do 65. roku życia, nie ma szans na dożycie do emerytury – twierdzą górnicy związki zawodowe i dlatego będą domagać się zachowania prawa do wcześniejszych emerytur.

■ **REDAKTOR** Maciej Wojciechowski, nowy dyrektor TVP Katowice, przygotował szereg propozycji do nowej ramówki, które mają podnieść oglądalność kierowanej przez niego stacji, a także sprawić, by skończyły się narzekania, że jest ona zbyt mało regionalna i za mało śląska. W nowej ramówce będzie więcej informacji sportowych.

■ **PROKURATURA** zajęła się nieprawidłowościami w straży miejskiej w Siemianowicach Śląskich. Okazało się, że niektórzy z funkcjonariuszy nie potrafili nawet prowadzić służbowych notatników. Sprawdzono wiedzę strażników za pomocą testu. Na 22 strażników zdalo czterech. Ocenę niedostateczną dostali m.in. były komendant i jego zastępca, a jeden ze strażników znalazł tylko jedną dobrą odpowiedź na 10 pytań.

■ **GIMNAZJUM** w Mierzęcicach otrzymało 21 II sztandar i imię Czesława Miłosza.

■ **OSIEMNASTCIE** specjalistycznych samochodów ratowniczych i gaśniczych mają od 21 II śląscy strażacy. Trafiają one do komend, m.in. w Pszczynie, Sosnowcu, Gliwicach, Katowicach, Raciborzu, Rybniku, Częstochowie i Kłobucku.

■ **WE** wszystkich większych miastach regionu policja otworzyła 21 II całonocne punkty darmowej pomocy prawnej. Oprócz funkcjonariuszy dyżurów tam będą studenci prawa i pracownicy socjalni.

■ **PONAD** dwa miliony osób na Śląsku nie wybrało sobie jeszcze ani pielęgniarki, ani położnej środowiskowej. Siostry mają z tego powodu coraz większe kłopoty. W wielu poradniach grozi im zwolnienie albo obcięcie pensji, bo za ich pracę NFZ nie zapłaci.

■ **AŻ** 912 uczniów Zespołu Szkół Mechanicznych i Elektrycznych w Żywcu zgłosiło się 21 II do akcji dawców szpiku kostnego. To jeden z najlepszych wyników w Polsce!

■ **NESTOR** miłośników książki – 99-letni pan Roman Ostoja-Chrzastowski otrzymał 22 II godność członka honorowego Śląskiego Towarzystwa Miłośników Książki i Grafiki. Ma bardzo polski życiorys: harcerz, żołnierz Szarych Sieróg i Armii Krajowej, działacz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, społecznik niestrudzony, mimo wzorowo wykonywanej pracy zawodowej, nade wszystko bibliofil uhonorowany statuetką Amicus Librorum Biblioteki Śląskiej. Urodzony w Drohobyczu, od 1946 r. jest stałym i wiernym mieszkańcem Katowic.

■ **15-LECIE** obchodzi katowickie wydanie „Gazety Wyborczej”. Jego pierwszy numer ukazał się 23 lutego 1990 r. Jest znakomitym informatorem i kronikarzem naszego regionu.

■ **ZWIĄZANY** z SLD sekretarz Urzędu Miasta w Bytomiu Jacek P., został oskarżony o oszustwo i wyludzenie 12 tys. zł. Jego nazwisko wypłynęło w śledztwie dotyczącym korupcji w katowickiej AWF. Jacek P. jest też szefem miejscowych struktur Stowarzyszenia Oryndaka.

■ **MITTAL** Steel Poland SA to nowa nazwa koncernu, w skład którego wchodziły huty: Katowice, Cedler, Florian i Sendzimir. To kolejna zmiana sztytu koncernu, który przed prywatyzacją występował jako Polskie Huty Stali, a następnie Ispat Polska Stal.

■ **PATRONEM** zabrzańskiego stadionu przy ulicy Roosevelta został Ernest Pohl, długoletni zawodnik Górnika Zabrze, najlepszy strzelec polskiej ligi (189 goli). Legendarny piłkarz zmarł przed 10 laty.

■ **ŚLĄSCY** policjanci napisali pierwszy w Polsce poradnik dla nauczycieli, jak postępować z niegrzecznymi uczniami. Śląski kurator oświaty polecił usunąć z książki wulgarne słowa.

■ **GLIWICKI** odcinek drogi krajowej DK 88, czyli popularna „betonówka”, będzie nosiła imię Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

■ **WOJEWÓDZKI** Park Kultury i Wypoczynku „wrócił” na Śląsk. 25 lutego minister skarbu przekazał marszałkowi 100 procent udziałów spółki, która będzie przekształcona w zakład budżetowy.

■ **SZEŚCIORO** pracowników i absolwentów bielskiej Akademii Techniczno-Humanistycznej za swoje prace habilitacyjne, doktorskie i magisterskie otrzymało nagrody od koncernu Fiat. Oprócz tego, że były bardzo dobre, zostały przyjęte przez Fiata jako projekty badawcze, które zostaną wykorzystane w produkcji fabrycznej.

KRONIKARZ

– Panie prezesie, „Śląsk” jest firmą z długoletnim doświadczeniem, realizującą wiele ważnych dla regionu inwestycji. Szyld „Śląska” firmuje również powstające na terenach byłej kopalni „Kleofas” w Katowicach Silesia City Center.

– Przedsiębiorstwo nasze jest firmą prywatną, powstałą w 1986 roku, założoną przez zespół doświadczonych, polskich inżynierów budownictwa. Zajmujemy się realizacją robót budowlano-montażowych z wykorzystaniem najnowszych rozwiązań technologicznych. Wykonujemy obiekty inżynieryjne, przemysłowe, handlowe. Jedną z naszych specjalności są prace konserwatorskie obiektów zabytkowych. Etapy rozwoju naszego przedsiębiorstwa są sygnowane kolejnymi, kompleksowymi realizacjami obiektów, wymagającymi nie tylko prekursorskich rozwiązań materiałowych i wykorzystania szeregu nowoczesnych technologii, ale także szczególnej staranności i wyjątkowego profesjonalizmu załogi.

– Warto przytoczyć kilka przykładów imponujących budowli, których realizatorem czy współrealizatorem był „Śląsk”.

– Możemy pochwalić się wieloma realizacjami. Jest wśród nich obiekt Biblioteki Śląskiej, Zespół Szkół Artystycznych w Katowicach, centrala Banku Śląskiego w Katowicach, Akademickie Centrum Medyczne w Zabrze, a także odrestaurowany budynek dawnej Łaźni Miejskiej, w którym obecnie mieści się PZU Życie S.A. Jednym z ostatnich naszych przedsięwzięć była modernizacja po pożarze gmachu Opery Śląskiej w Bytomiu.

– Tak rozległy obszar działania firmy świadczy o prestiżu, jaki „Śląsk” osiągnął na rynku krajowym.

– Na polskim rynku działamy już prawie dwie dekady. W tym czasie

Rozmowa
z JAROSŁAWEM ŻELAZOWSKIM
prezesem zarządu
Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego
i Usług Technicznych „Śląsk” Sp. z o.o.



Foto: Józef Wróbel

Nowoczesne technologie to chleb powszedni

udało się nam wypracować nie tylko dobrą pozycję na rynku przedsiębiorstw budowlanych, ale także wykreować wizerunek, który zapewnia nam status solidnego partnera, zachowującego wszelkie wymagane standardy wykonawcze i handlowe.

– Lecz nie tylko rynek krajowy jest ważny dla „Śląska”. Działacie również za granicą.

– Naszym atutem jest 200 wysoko wykwalifikowanych pracowników, stanowiących kadrę techniczno-inżynierską posiadającą wszelkie uprawnienia techniczno-budowlane. Nie bez znaczenia dla rozwoju firmy było wejście do spółki PBOiUT „Śląsk” strategicznego udziałowca. Zwiążaliśmy się kapitałowo

z niemiecką firmą Ed. ZUBLIN A.G., mającą swą siedzibę w Stuttgarcie. Firma ta zajmuje piątą pozycję na niemieckim rynku budowlanym. Pozyskanie takiego udziałowca to przede wszystkim wzmocnienie kapitałowe spółki, z kolei uzyskana większa zdolność finansowa poszerza możliwość ubiegania się o poważne kontrakty budowlane.

– Od roku Polska jest członkiem Unii Europejskiej, a to oznacza większą konkurencję także na rynku budowlanym.

– Współczesny rynek, szczególnie po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, nie jest rynkiem łatwym. Co prawda, daje większe możliwości, ale zwiększa też znacząco konkurencję. Wymaga nie tylko oferowania usług najwyższej jakości, ale także konkurencyjnych cen, rzetelności i terminowości realizacji. Wymaga też nieustannego rozwoju i doskonalenia.

– Długa list nagród, jaką otrzymał „Śląsk” potwierdza, że tych cech akurat Wam nie brakuje.

– Rzeczywiście, mamy na swoim koncie znaczące i prestiżowe nagrody, m.in. w konkursach Bu-

dowa Roku 1998, 1999 i 2001 Wielką Nagrodę prezydenta Izby Budownictwa, nagrodę AS Przedsiębiorstwa Regionalnej Izby Gospodarczej, Nagrodę Business Centre Club a także wyróżnienie w konkursie Pracodawca - Organizator Pracy Bezpiecznej. Dla firmy ważne jest posiadanie Certyfikatu Jakości ISO 9001:2001 oraz certyfikatu AQAP 120 i kodu podmiotów gospodarczych dla NATO - Code NCAGE 0452 H.

Nagrody i wyróżnienia to tylko potwierdzenie jakości naszej pracy, a ta jest dla nas najważniejsza.

– Dziękuję za rozmowę.

Tekst przygotowała:
WIESŁAWA KONOPELSKA

Niby nic a takie „Pipidówczynie”

Ostatnio różne pisma poświęcają Zespołowi „Śląsk” coraz więcej uwagi. To dobrze! Twierdzą, iż wiąże się to z niezwykłym ożywieniem działalności artystycznej „Śląska”, który w plebiscycie ogłoszonym przez „Gazetę Wyborczą” na najważniejsze wydarzenie na Śląsku w minionym wieku został sklasyfikowany bodaj w pierwszej czwórce. Zespół jest zjawiskiem, i co do tego nie może być wątpliwości, co nie znaczy, iż nie może być poddawany krytyce jego program i wartość artystyczna. Gorzej jeżeli ni stąd, ni zowąd ktoś poddaje w wątpliwość sens jego istnienia. Tak zaś można potraktować wypowiedź Magdaleny Dziadek, opublikowaną (luty 2005 r.) pod znanym tytułem „Folklor z Pipidówki” w bliskim mi, miesięczniku „Śląsk”.

Na marginesie tej publikacji (o której niżej) kilka refleksji.

W ubiegłym roku, po premierowym spektaklu Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. St. Hadyny (tak się teraz ten Zespół nazywa) w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, poświęconym 85. rocznicy urodzin i piątej rocznicy śmierci St. Hadyny, ukazała się w „Przeglądzie” minirecenzja. Koncert skończył się w sobotę późnym wieczorem, przy wypełnionej po brzegi sali i przy ogromnym aplauzie widzów zmuszających artystów do wielokrotnego bisowania. Przedmiotowa zaś recenzja ukazała się już w poniedziałek, co dowodzi, iż recenzja nie mogła być rezultatem uczestnictwa krytyka na koncercie, bo „Przegląd” jest tygodnikiem. Cała recenzja – wcześniej napisana, chyba na czyjeś zamówienie – sprowadzała się do krytyki, iż opracowanie choreograficzne i aranżacja pochodzą z epoki socrealizmu, a więc inaczej mówiąc do krytyki hadynowskich korzeni „Śląska”.

Redakcja „Przeglądu” po zdemaskowaniu tej manipulacji zachowała się tak jak przystało na rzetelne pismo. Wyciągnęła wnioski wobec autora recenzji a dnia 23 maja 2004 r. opublikowała wypowiedzi red. Zygmunta Broniarki „Obcość czy kwintesencja folkloru”. Red. Zygmunt Broniarek, który w przeciwieństwie do innych krytyków koncert obserwował, ocenił tanie występy „jako autentyczny triumf Śląska” (...) dlatego, że „artyści stanowili prawdziwego folkloru SAMĄ KWINTESENCJĘ”.

W przeciwieństwie do warszawskiego autora zarzucającego „Śląskowi” tkwienie w epoce socjalizmu, prof. Daniel Kadłubiec na łamach grudniowego miesięcznika „Śląsk” (nr 12/2004 r.) w obszernym artykule „Od Karolinki poprzez Straussa do Hello Dolly, czyli o współczesnym „Śląsku” im. St. Hadyny” głównie zaś zarzuca Zespołowi „Śląsk” odchodzenie od linii programowo-artystycznej jego twórcy, to jest Stanisława Hadyny. Nie podejmuję polemiki z ocenami Daniela Kadłubca – niech to czynią wybitni znawcy tematu. Trudno mi jednak się z wszystkimi Jego tezami zgodzić, chociażby dlatego, iż skonstruował on swój tekst tak, iż czytelnik mógł odnieść wrażenie, iż w jednym programie „Śląsk”, w czasie oficjalnych koncertów, prezentuje różne, sprzeczne w treści gatunki, np. również te, które indywidualne grupki artystów „Śląska” poza pracą serwują w czasie „chaitur” pozwalającym na przeżycie (przećiętne wynagrodzenie nie przekracza 800 zł). W tym samym grudniowym numerze Redakcja opublikowała artykuł rzeczniczeki prasowej Zespołu „Śląsk” p. Agnieszki Kukula pt. „Uratowani

z listów do redakcji

OD REDAKCJI

Krytyczne opinie Magdaleny Dziadek odnoszące się do formuły artystycznej obu naszych reprezentacyjnych zespołów pieśni i tańca oraz ich programów, choć głównie jednak Mazowsza, są oczywiście jej własnymi sądami, które wyraziła w swym stałym felietonie „Pomiędzy nutami”. Nie można zapewne utożsamiać jej krytycznego osądu ze stanowiskiem Redakcji, która uznaje prawa kompetentnych osób do wypowiedziania artystycznych ocen unikając ingerencji. Także forma felietonu, która dopuszcza do posługiwania się opiniami przerysowanymi a nawet bulwersującymi ma swoje prawa. Magdalena Dziadek wypowiedziała na temat „Śląska” zaledwie kilka krytycznych zdań, choć pod istotnie dosadnym śródtytułem: Folklor z Pipidówki?... List Józefa Musiała, naszego znanego współpracownika i Przyjaciela „Śląska”, zamieszczamy w całości, łącząc wyrazy szacunku.

od skansenu...”, stanowiący nie tyle polemikę z Danielem Kadłubcem, co swoisty dwugłos, w którym zarysowała założenia programowe i współczesne wyzwania przed jakimi Zespół stanął.

I oto na łamach tegorocznego lutowego (nr 2/2005) „Śląska” w swym stałym felietonie „Między nutami” Magdalena Dziadek w jego części zatytułowanej „Folklor z Pipidówki” przewrotnie zgadza się z prof. Danielem Kadłubcem, wręcz go głaszcze, i – powołując się na swego ulubionego przedwojennego krytyka poznańskiego – Lucjana Kamińskiego, popiera protest przeciwko działaniom, które czynią ze sztuki ludowej czy każdej innej coś, co Kamiński nazywał krótko, a treściwie „Pipidówka”. Dalej jednak Magdalena Dziadek pisze „...czy odnosząc się do tradycji Zespołu »Śląsk« i jemu podobnych (mam na myśli przede wszystkim »Mazowsze« Sygietyńskich) warto upierać się przy nadanej im w okresie PRL-u paradnej wizytówce »zespołów folklorystycznych«? Nie znam zbyt dobrze dawnego repertuaru »Śląska« – nie było w moim zwyczaju słuchanie muzyki ludowej (pseudoludowej też nie)”.

„Chodziliśmy do pobliskiej opery – pisze – a głód muzyki zaspokajaliśmy głównie za pomocą radia nastawionego na stację Wien I”.

Pani Magdalena Dziadek, która nie ukrywa, iż mierzi ją sztuka ludowa, nie omieszkała czytelnika powiadomić, że obowiązki leksykografa zmusiły ją do przyjrzenia się działalności Sygietyńskich w „Mazowszu”. „Na tym przykładzie – pisze Autorka – nie waham się powiedzieć, że widowisko tworzone przez Mirę Zimińską-Sygietyńską i Tadeusza Sygietyńskiego, jak myślę – oparte na

tej samej idei co niegdyś jeszcze widowisko »Śląska« – były takąż »Pipidówką«”. Wszystko było w nich nieprawdziwe: muzyka, sztucznie kompilowana z co ładniejszych melodii nadesłanych „z terenu”, teksty dobierane na tej samej zasadzie, z pominięciem tego, co podpadło pod nożyce cenzora (zero tekstów religijnych i odnoszących się do rzeczywistości społecznej), choreografia i reżyseria utrzymane w stylu operowym, jak najdalej od plastyki i atmosfery ludowego tańca, ucho i głos śpiewaka nagięte do normy „profesjonalnej”, całość wyprana z kontekstu obyczajowego (już nie mówiąc o obrzędowym).” (Dla porządku: „Śląsk” jest o 5 lat młodszy od „Mazowsza”).

I w tym momencie chciałoby się zawołać: Profesorze Danielu Kadłubiec – mój Ty Przyjacielu – Ty to słyszysz i nie grzmisz? Wszak Autorka zarzuciła po prostu nieprawdę, że nie powiem fałsz, w twórczości twórcy Zespołu „Śląsk” (Sygietyńskich niech bronią Mazowszanie).

Magdalena Dziadek nie podjęła ani problemu granic stylizacji folkloru, ani nie dostrzegła w reperturze „Śląska” programów z muzyką sakralną, bożonarodzeniową, z pieśniami maryjnymi, pasyjnymi i wielkanocnymi. Niektóre – na specjalne zaproszenie – prezentowane były w najpoważniejszych miejscach kultu religijnego od Santa Maggiory w Rzymie, Archikatedrze św. Jana w Warszawie, Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach po świątynie rozsiane po całej Polsce. Nie zauważyła rewelacyjnego programu „Kilar” – opartego na muzyce głównie W. Kilara, choreografii C. Drzewieckiego i Kubonka.

Ale wracam do kolejnych Jej wynurzeń pełnych finezji, delikatności i smaku nie tylko w ocenie „Mazowsza” czy „Śląska”, ale i poziomu naszych rodaków w Ameryce. Recenzując repertuar i poziom naszych dwóch wielkich zespołów narodowych Autorka zawyrokowała: „Wszystko to służące najzwyczajniejszej komercji. Wszak programy »Mazowsza« były tworzone z myślą o sukcesie w kręgach amerykańskiej Polonii, nie słynącej bynajmniej z dużych wymagań, jeśli chodzi o ludowy autentyzm, posiadającej za to nabyte po tamtej stronie Atlantyku zamiłowanie do rewii, któremu skądinąd Sygietyńscy, przed wojną związani z warszawskimi kabaretami, byli w stanie w pełni sprostać”.

Chciałoby się rzec: wśród wielomilionowej amerykańskiej Polonii przybyłej do USA w okresie międzywojennym (a nawet i wcześniej) i tuż po wojnie, znajomość i przywiązanie do ludowego autentyzmu jest większa niż się komuś wydaje. Wszak rekrutowała się w zdecydowanej większości ze środowisk wiejskich. Faktem jest, że nie chodziła do opery ani nie słuchała, jak Autorka Radia Wien I.

Nie wiem czy i kiedy, np. w ostatnich pięciu latach, M. Dziadek oglądała „Śląsk”, czy tylko o poziomie tego Zespołu wnioskując słuchając muzyki operowej. Jej sąd wyrażony w końcowym fragmencie swej *sui generis* recenzji, iż „Nie ma dziś zapotrzebowania na PRL-owski typ zespołu »folklorystycznego« flirtującego z repertuarem (bo – J.M.) (...). Został z powodzeniem wyparty przez muzykę rozrywkową mianującą się »folkową«” – jest podwójnie nieprawdziwy.

I ostatni cytat: „Nic zatem dziwnego, że dinozaury w rodzaju »Śląska« ratują się czym się da i zaczynają »pipidowaczyć« (...) klasykę. Tylko kto ma za to płacić?” Ileż w tych kilku zdaniach nonszalancji, ignorancji i swoistej pychy. Wielce Szanowna Au-

torka niechęć ujawniła tu głębokie tkwienie w PRL-owskiej mentalności, bo właśnie w PRL-u, a nie obecnie, w budżecie Państwa przewidziane były odpowiednie środki finansowe na dalekie wyjazdy za ocean. Dzisiaj koszty, i to poważne, ponosi ten, kto zaprasza. Zaprasza zaś tylko wtedy, kiedy Zespół prezentuje najwyższy poziom, gwarantujący niezbędną frekwencję i opłacalność. I nie róbnym z amerykańskiej Polonii ludzi nie czujących autentycznej sztuki ludowej, bo większość w niej wyrastała.

Tylko w ubiegłym roku w Ameryce „Śląsk” oglądało blisko 30 tysięcy widzów, w tym w Nowym Jorku na Broadwayu, blisko połowa to nie Polacy. A jak oceniać kolejne zaproszenie „Śląska” do Francji, Szwajcarii, Hiszpanii, Kanady, USA i Japonii, której wysokich wymagań nikt nie może kwestionować, która prowadzi regularną naukę polskiego folkloru. Jest też wysublimowanym znawcą nie tylko muzyki chopinowskiej. A więc pani Magdaleno, proszę wybaczyć to spoufalenie, ale człowiek szary, a i do opery też chodzę, więcej umiaru w ocenach i szacunku do setek tysięcy widzów... tak setek tysięcy ludzi, których tylko w ciągu ostatnich dwóch lat przyszło na występy „Śląska”. Na **prze-strzeni 2003 i 2004 roku Zespół „Śląsk” dał 251 koncertów i był podziwiany przez przeszło ćwierć miliona (258.060) widzów.** Taki wynik nie jest dziełem przypadku. Jest rezultatem wysokiego poziomu i bogactwa programów (kilkanaście), które „Śląsk” ma w repertuarze.

Czy się to komuś podoba lub nie, Zespół „Śląsk” jest zjawiskiem, które fascynuje tańcami, śpiewami, kolorami strojów ludowych, fascynuje, tu u nas w kraju i za granicą. Często jest jedynym Zespołem, który dla Polonii jest łącznikiem ze swą Starą Ojczyzną, bo faktycznie wiele Polonusów nie chodzi do Opery ani nie słucha Radia Wien I. I co, mamy ich tego pozbawić, bo pani Magdalena Dziadek ma bardziej wysublimowane potrzeby i nie lubi sztuki ludowej? Niektóre z tych programów mogą budzić u tradycjonalistów zastrzeżenia, szczególnie gdy Zespół sięga po klasykę, którą prezentuje, w specjalnym programie, na indywidualne zamówienie kontrahenta. I chwala mu za to, bo często jego widz po raz pierwszy w życiu zafascynowany został np. „Alleluja” Haendla i następnie udaje się do filharmonii lub opery.

I jeszcze jedno: mam tę przewagę nad niektórymi krytykami, iż chodzę na koncerty i „Mazowsza”, i „Śląska”. Oglądałam wszystkie programy. Jedne podobają mi się bardzo, niektóre mniej. Wszystkie jednak są owocem niezbędnych poszukiwań, jeśli Zespół nie ma tkwić tylko w jednym, ograny programie. Dnia 29 stycznia br. oglądałam „Śląsk” w Pałacu Kultury w Warszawie. Choć na mieście nie widziałem wiele plakatów, Sala Kongresowa gościła blisko 3.000 widzów. Po tygodniu zaś w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej oglądałam koncert „Mazowsza”, też przy pełnej sali. Porównuję poziomy, obserwuję poszukiwania dalszego rozwoju tych Zespołów. Nie powiem, który jest lepszy, choć nie ukrywam, iż „Śląsk” nieustannie szokuje swoim rozmachem, świeżością, dynamiką, fascynuje zarówno na otwartych estradach jak i w najwytworniejszych salach koncertowych świata. Oba te Zespoły są wielkimi ambasadorami Polski. „Śląsk” jest naszym dobrym narodowym, również tych którzy słuchają muzyki operowej i słuchali Radia Wien I, choć sobie tego nie chcą uzmysłowić i wyniosło tak sobie „pipidowczą”.

JÓZEF MUSIOŁ

Największe wrażenie wywołał jednak ten moment, gdy minister kultury Waldemar Dąbrowski, na potwierdzenie słownej deklaracji przekazania na rozruch programu „Znaki czasu” na Śląsku wydatnej sumy, stanowiącej kapitał początkowy, wyjął w efektywnym geście sporego formatu czek z wypisaną kwotą 400 tys. złotych i złożył na nim zamaszty podpis.

Szmer, który przemknął przez patio Hotelu Monopol był spotęgowany o kolejny „efekt zaskoczenia”, skoro przekazana na ten cel przez ministra Dąbrowskiego suma była wyższa o 100 tys. od zapowiadanej wcześniej. W ten sposób Narodowy Program Kultury „Znaki czasu” na Śląsku uzyskał wymierną „energię początkową”, którą należy teraz podwoić, jako że w tym przypadku obowiązuje zasada, iż spienienie czeku wymaga pomnożenia wypisanej kwoty o jej równowartość. I do tego zobowiązał się skwapliwie

po kolejnych miastach wojewódzkich. Jest to w założeniu program, który zmierza do utworzenia w całym kraju, w każdym województwie, reprezentacyjnej kolekcji sztuki współczesnej w oparciu o zgromadzone pod tym kątem zbiory. Tym zajmie się Komisja Zakupów na której czele stanął znany historyk sztuki Jarosław Swierszcz, utworzona obok Rady Patronów i Rady Ekspertów w ramach powołanego do tych zadań Śląskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, zorganizowanego i uruchomionego z tym dniem przez senator Krystynę Doktorowicz. Do tego ważnego aktu mogło dojść tak okazale i sprawnie dzięki działającej pod jej przewodnictwem a powołanej z jej inicjatywy Fundacji dla Śląska, powstałej w roku 2001, która ma już w dorobku sporo cennych przedsięwzięć a jeszcze więcej planów na przyszłość.

Idea stworzenia i gromadzenia reprezentacyjnej kolekcji sztuki współczesnej w oparciu o sieć 16 kolekcji regio-

GEST MINISTRA

marszałek województwa Michał Czar-ski, deklarując nie tylko moralne, ale i pełne finansowe wsparcie.

Dzięki tym aktom inauguracja narodowego Programu Kultury „Znaki czasu” na Śląsku, stanowiąca jednocześnie oficjalne rozpoczęcie działalności Śląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, miała efektywny początek. Nie dość na tym - minister Waldemar Dąbrowski polecił następnie ujawnić co kryją dwie okazałe tuby: okazało się, że dwie prace - wielki plakat Elżbiety Jabłońskiej „Gry domowe”, z postacią młodej matki z synkiem na tle kuchni oraz zainspirowany nim obrazowy komentarz Marka Sobczyka związanego ongiś z głośną Grupą. Ten dar ministra stanowić ma początek kolekcji spod „Znaków czasu” o wyrażnie współczesnym charakterze zbiorów, co sugeruje już nazwa programu. Tak więc dzień 14 marca 2005 roku należy wpisać do ważnych dat, choć od tej chwili rozpocznie się mozolny trud by piękna idea wpisana w ten projekt okazała się twórcza i mobilizująca. Teraz już wszystko zależy jednak od nas - na Śląsku i w Katowicach.

Na sali stawili się licznie samorządowcy z wielu miast województwa, przedstawiciele możliwych firm - w ich imieniu prezes Michał Goli, reprezentujący zarząd MG Centrum, zadeklarował finansowe wsparcie tego ważnego programu - byli obecni - reprezentanci świata kultury i nauki, w sumie lista znaczna, co dobrze na starcie wróży.

W ambitny program „Znaki czasu” minister Dąbrowski, jego twórca i animator, zaangażował się z wielką energią i odbywa związane z nim podróże

nalnych jest nie tylko cenna i chwalebna, ale wynika również z dramatycznej sytuacji w jakiej polska sztuka współczesna funkcjonuje od lat. Zawstydzające braki i zaległości w jej gromadzeniu są wręcz alarmujące a jeszcze narosły odkąd skurczył się niemal do minimum, wręcz wysechł, mecenat państwa. Zakupy pod tym kątem nawet w przypadku dzieł o bezspornej wartości, bez których nie można sobie wyobrazić ciągłości narodowego dziedzictwa nie są kontynuowane i ograniczają się do okazji wyjątkowych. Kto i kiedy będzie miał w przyszłości realne szanse zgromadzenia reprezentatywnych dzieł polskiej sztuki ostatnich dziesięcioleci, a chodzi tu o całą plejadę wybitnych artystów, których dokonania i programy twórcze mają wartość ponadczasową i były formowane w przełomowych czasach dla rozwoju sztuki współczesnej.

Działalność programowa Śląskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych nie ma jednak ograniczać się do skupienia kolekcji dzieł sztuki współczesnej twórców naszych środowisk. Z tą cenną ideą ma być związanych wiele działań współtworzących klimat inspiracji i promocji w zakresie strategii rozwoju sztuki na Śląsku. Chodzi także o nowe formy mecenatu artystycznego, o pomoc dla uzdolnionej artystycznie młodzieży, o prace dokumentacyjne i formowanie interdyscyplinarnych centrów kultury; także o działalność wydawniczą, edukacyjną i popularyzatorską, by sztuka współczesna nie funkcjonowała w głębokiej izolacji i w warunkach tak mizernego rynku sztuki jak obecnie.

TADEUSZ KIJONKA

Jeśli Putin mówi „demokracja”, to idę o każdy zakład, że ani mu w głowie myśl o ateńskiej, a już na pewno nie zachodnioeuropejskiej.

Listy pana markiza

WITOLD
TURANT

Co wspólnego z markizem Astolphe de Custine, XIX-wiecznym francuskim literatem i podróżnikiem może mieć człowiek urodzony na Śląsku w połowie ubiegłego stulecia, jak niżej podpisany? De Custine zajmował się głównie współczesną mu Rosją, a o Śląsku wiedział zapewne tyle, ile ja o Dordogne, to znaczy, że nic. A już zupełnie nie wiadomo, co mogą mieć wspólnego z markizem znajdującym się w swoim czasie w orbicie zainteresowań Georges Sand Ślązacy? Otóż mają, tak jak i ja mam, a tym czymś jest wiedza. Wiedza, którą Francuz usiłował przekazać, raczej bezskutecznie, swoim krajanom, a która przysłała na Śląsk pewnego stycziowego dnia 1945 roku – proszona-nieproszona, chciana-niechciana, zasłużona-niezasłużona. Imperium, które przez tyle lat było tuż za drzwiami, a które niepodległa Polska odsunęła na dwadzieścia jeden lat na bezpieczną odległość, zważyło się na Śląsk całym swoim ciężarem karząc za nazistowskie psie lata tych, co podpisali volkslistę równie dotkliwie, jak tych, co jej nie podpisali.

Ślązaczka z warkoczem upiętym dookoła głowy usłyszała walenie do drzwi, najpewniej kolbą słynnej pepeszy i gdy zapytała „kto tam”, usłyszała w odpowiedzi – „Rosja. Święta Ruś przysłała upomnieć się o swoje. Zadzieraj kciekę”. – Gwałty, egzekucje, wywózki – całe to azjatyckie wojenne prawo zaaplikowano ze stuprocentową surowością, wszędzie tam, gdzie uznano, że była to Rzesza. Za to, co było prawem wojaka z czerwoną gwiazdą w okolicach Gliwic, karano w Mysłowicach, jeśli rzecz jasna ktoś się poskarżył. Ale trupy zazwyczaj milczą.

Ja miałem szczęście. Poglądy markiza de Custine poznałem z lektury. I dokonywałem w ciepłarnianych warunkach weryfikacji. W ciepłarnianych, bo w niepodległej już Polsce i nie groziło mi zesłanie na Syberię. Jednym słowem, z markizem de Custine łączy mnie i innych Ślązaków wiedza straszna i być może w ogóle już raczej nieprzydatna. Ale tego się do końca nigdy nie wie.

Można jedynie wzdychać nad idiotyzmem tych polityków, którzy widzą w Putinie oświeconego reformatora i partnera wspólnych planów wybawienia ludzkości od różnych plag naszego krwawo rozpoczętego stulecia, jak choćby międzynarodowy terroryzm.

Co Rosję obchodzi terroryzm poza jej granicami?

Tu jak się wydaje wielkim łudzącym się jest George Bush, mroczny

krzyżowiec zachodniego świata. Drugą wielką złudą jest przekonanie, że pod rządami byłego pułkownika KGB w Rosji wszystko musi zmierzać ku dobru, czyli ku demokracji w zachodnioeuropejskim stylu. Akurat! A niby komu w Rosji miałoby to być potrzebne? I gdzie należałoby szukać korzeni takiego zwrotu w tamtejszej polityce wewnętrznej? Politycy, jak kanclerz Schroeder czy prezydent Chirac zapewne to wiedzą, ale ich pragnienie sukcesu w polityce wobec Rosji jest przemożne i są ludźmi tak ambitnymi, że wiedzę swą stosują selektywnie, dając często prymat staremu dobru „wishful thinking”.

Myśl, jak człowiek, musi mieć swego przodka. Jeśli Putin mówi „demokracja”, to idę o każdy zakład, że ani mu w głowie myśl o ateńskiej, a już na pewno nie zachodnioeuropejskiej. Co najwyżej, i widać to wyraźnie w doniesieniach z putinowskiej Rosji, jakiś paternalizm, możliwość wysłuchania raz w roku wybranych poddanych, może także zapewnienie im w miarę równego dostępu do niektórych świadczeń ze strony państwa. A w ogóle nie tędy droga. Owi przodkowie putinowskiego myślenia o Rosji to Bizancjum wobec zagranicy i bycie batiuszką dla obywateli, pardon, poddanych.

Wystarczy przyjrzyć się niektórym tylko gestom i uczynom rosyjskiego autokraty i poszukać dla nich odniesień w dziele de Custine’a. Ot, taka niewinna zabawa towarzyska w niedzielne popołudnie, gdy w telewizji nie możemy liczyć na narciarskie skoki, a rodzina domaga się jakiegoś godziwego zajęcia. Zapewne będzie to obraz płytki i naznaczony stygmatem doraźności. Niemniej warto nań spojrzeć.

Jednym z pierwszych rzucających się w oczy rekwizytów są mundury kompanii reprezentacyjnej, nawiązujące w swym kroju do czasów Mikołaja I. Kojarzą się nam z rycinami ilu-

strującymi powstanie listopadowe, i słusznie, albowiem była to epoka monarchii nieco oświeconej, która nawet próbowała zasłużyć na miano konstytucyjnej (aby prostym jegrom nie bełtać w głowach, tłumaczono im, że konstytucja to żona księcia Konstantego), a jednocześnie po dawnemu bezwzględnej i bezosobowo okrutnej. De Custine ukazuje cara jako człowieka, i do pewnego stopnia tłumaczy jego postęпки. Poprzednicy stworzyli machinę – Iwan Groźny postrzegał państwo jako narzędzie zbrodni, która musiała zostać popełniona, by władza, w mniemaniu cara, mogła prawidłowo funkcjonować i rozkwitać.

Piotr Pierwszy posunął się do zbrodni wiedziony niecierpliwością: nie jest łatwo zreformować tak ogromne państwo, a co dopiero ucywilizować. Piotr zabrał się za jedno i drugie, a w rezultacie zamienił kraj w pruskie koszary, jako że akurat one wydawały mu się szczytem efektywności. Tak więc tego i owego rozstrzelano, a że naród liczny, to ofiar cywilizacyjnego zapалу monarchy także było sporo. A w ogóle to obaj potworni władcy wiedzieli (raczej instynktem, niż rozumem), iż system może trwać jedynie dzięki poczuciu współodpowiedzialności społeczeństwa. To poczucie najszerzej rozbudował chyba Stalin, także batiuszka, bo za jego czasów donosili wszyscy na wszystkich, w związku z czym kiedy donoszono na donoszących i musieli rozstać się z wolnością, która i tak była pojęciem względnym, a bywało, że i z życiem, mogli mieć pretensję jedynie do siebie, np. o to, że nie chciało im się zwlec z wyrka o te głupie 15 minut wcześniej.

No dobrze, ale czako jegra to zaledwie symbol. – Powie ktoś. – A gdzie konkrety? – Oto one: polityka Moskwy wobec Czechenii oraz częściej nosi znamiona zamierzonej eksterminacji narodu, a nie działań mających na celu eliminację jedynie terrorystów. Chyba że zmierza się do tego, aby doprowadzić cały czeczeński naród do stanu takiej desperacji, że pierwszą rzeczą, po którą sięgnie rączka dziecka z kołyski będzie zawlecza granatu.

W tej walce o pokój także dla swoich nie ma litości

Pokazała to akcja na Dubrowce i w Biełstanie. Zlikwidowano niewielką grupę terrorystów przy gigantycznych stratach własnych. Jak gigantycznych? A to już tajemnica policji i służb specjalnych. Co na to markiz? Otóż w dniu 28 lipca 1839 car

Mikołaj zarządził w pomieszczeniach Peterhofu festyn dla przedstawicieli narodu. Część zaproszonych i niekoniecznie zaproszonych gości wybrała się na festyn drogą morską. Sztorm o niezwykłej sile nadciągnął w godzinach popołudniowych nad zatokę i wprost zdziesiątkował flotyllę zarówno oficjalnych jak i nieoficjalnych gości. Do dziś nie wiadomo, ile osób poniosło śmierć. Podobny incydent zdarzył się również za panowania Mikołaja II (zawałła się trybuna podczas dworskiego pikniku) i spotkał się z równą obojętnością dworu. – Czy car nie jest człowiekiem? – zapytuje de Custine i zaraz sam sobie (i nam) odpowiada: – Ależ tak. Tyle że szczególnym. Przygotowanym do sprawowania władzy w gigantycznym kraju, a to m.in. oznacza brak współczucia.

Zdarzyło się, że po raz drugi w ciągu piętnastu lat zwróciła się do niego rodzina księcia Trubeckiego, skazanego najpierw na ciężkie roboty, a następnie na zsyłkę dekabrysty, z prośbą o ulżenie losowi, jeśli już nie „zbrodniarza”, to przynajmniej jego dzieci, które przysły na świat w syberyjskiej głuszy.

– Dziwi się, że ktoś jeszcze ośmiela się mówić mi o rodzinie, której głowa spiskowała przeciwko mnie – odparł car. Bez komentarza.

A gdzie majątek owego ex-wielmoży? Wiadomo, powędrował do carskiego skarbcza. Ale i w Rosji nie brakowało przedsiębiorczych ludzi, bogacących się w kraju i poza jego granicami – w Azji, w Ameryce i gdzie tam jeszcze. Wracając do kraju, a wrócić przecie musieli, całkiem poważnie liczyli się z tym, iż przywiezione trofea odbierze im carski ukaz. Czyż obecny batiuszka, przy aplauzie pewnej części społeczeństwa, nie powrócił do tego uroczego zwyczaju? I jeszcze jak. Ci co wyjechali i pewnie nie powrócą, nie uchodzą za stuprocentowych Rosjan. Rosjanie poszliby jak Chodorkowski do putinowskiego pudła bez szemrania. Historia nauczyła ich uległości i posłuszeństwa. – Ale większość tych fortun pochodziła zapewne z kradzieży – zaoponuje jakiś przytomny czytelnik. – I jeszcze jak! – odpowiem. – Ale czy „grabić zagrabione” to rzeczywiście hasło godne cywilizowanego kraju? – dodam odpowiadając pytaniem na pytanie. (Taki już mam zwyczaj). Ale wszystko ma swój kres i bystry Francuz przewidywał, że jak nie za 50 to za 100 lat woda w Wol-



Rys. Wojtek Łuka

dze zaczerwieni się od krwi. No i sprawdziło się. Tyle, że nowa władza okazała się jeszcze wredniejsza i skuteczniejsza, choć też do czasu.

Niewątpliwie jedną ze sprawdzonych metod walki z chorobą, jest jak już to ktoś powiedział, tłuczenie termometru. O pewnych rzeczach za czasów de Custine'a nie mówiono i biada temu, kto naruszył owo polityczne tabu. Zaprzysiężony z de Custinem wielki rosyjski myśliciel Czaadajew wyraził nieopatrznie kontrowersyjny pogląd, iż, być może, Rosja wyszłaby lepiej przyjmując chrześcijaństwo z Rzymu, nie z Bizancjum. Skutek? Natychmiastowy. Car stwierdził wielkodusznie, iż nie ma podstaw do procesu sądowego i wymierzania jakiegokolwiek kary, bo czyż można karać szaleńca? I Czaadajew znalazł się w rękach psychiatrów, którzy za zwyczaj w Rosji stanowią tak sugestywne towarzystwo, że z czasem sam uznał, że chyba oszalał. Za komuny ten tok myślenia twórczo rozbudowano, a dziś np. wścibskich dziennikarzy oskarża się o szpiegostwo i latami trzyma w więzieniu. Szczegóły w prasie codziennej.

O Rosji pisać trudno,

sugeruje de Custine, a nie pisać – to godzić się z czymś, z czym przez stu-

lecia pogodzić się nie chcieliśmy. Markiz po powrocie do Francji spotkał dwóch byłych napoleońskich żołnierzy, którzy cudem przeżyli niewolę i za pomocą kolejnego cudu powrócili do domu. Obaj nosili się przez jakiś czas z zamiarem opisanie swej męczarni przypominającej opowiadania Szalamowa. I po spisaniu wszystkiego, podarli swe rękopisy na strzępy. Jeśli komuś wydaje się to groteskowe, niech przypomni sobie dzieje gen. Jaruzelskiego, wydawałoby się stuprocentowy materiał na wspaniałego Polaka, i tysiocy jemu podobnych – ludzi, którym móż tak głęboko przeniknął kości, a strach serca, że ani jednego, ani drugiego nie pozbędą się już pod żadną szerokością geograficzną i w żadnych okolicznościach. Dlatego wyobrażam sobie, jak muszą być przerażeni słysząc złowrogie pomruki batiuszki P. o naszym bruźdzeniu na Ukrainie, czy też żądające od nas szacunku dla Jalty. Ja bym się jednak nie bał, przynajmniej na razie, a raczej zabrałbym się za uważne śledzenie poczynąń Kremla i nadśłuchiwanie, czy frazeologię koszar

i rewolucji zastępuje już, maleńkimi krokami (wierzcie mi, że tak jest lepiej) frazeologia ewolucji i kogzystencji. Dekretowana demokracja oznacza nieodmiennie państwo-koszary. Od takiego sąsiada lepiej z daleka.

Pointę do tych kilku uwag dopisało samo życie. W dniu, gdy prezydent USA George W. Bush spotykał się w Bratysławie z prezydentem Rosji Władimirem Putinem, reporter TVP zadał pytanie parze młodych Rosjan spotkanych na bratysławskiej ulicy o szansę na realizację zapewnień Putina o tym, że Rosja nie zejdzie z drogi do demokracji. – Demokracji? – zapytała z niedowierzaniem młoda kobieta. – A po co nam demokracja? Rosja potrzebuje silnej władzy.

– Mais voilà! – skomentował zza grobu Astolphe markiz de Custine, mając na myśli także pozornie niewytłumaczalną rusofilię mniej i bardziej prominentnych giertychowców, albowiem mądry ten człowiek znał i, o dziwo, lubił Polaków, a na sprawy Rosji, zwłaszcza gdy szło o moralną ocenę jej polityki w Europie, patrzył poprzez pryzmat Polski. Dziś byłaby to zapewne Czeczenia, ale wnioski... czy byłyby tak bardzo różne? Wątpię.

Prawie od początku bieżącego roku media pełne były Rybnej. Burmistrz z SLD (podkreślanie tej przynależności partyjnej po sejmowych komisjach śledczych i rozlicznych aferach sprawiło, że zwyczajna informacja zaczęła odgrywać w świadomości społecznej rolę pejoratywnego przymiotnika) chce wyprzedawać zabytki, dziedzictwo przodków. Zabytkowość Rybnej jest jednak tak dyskusyjna jak gwara w menu pałacowej restauracji (kapusta przecież jest „modro” a nie „modra”).

Lud w pałacu

Pod sam koniec XVIII wieku rodzina Warkoczów postanowiła wybudować sobie pałac. W stylu eklektycznym, czyli praktycznie bez stylu. Z baroku wzięto wysoki mansardowy dach, frontowi zaś nadano charakter klasycystyczny – ryzality, trójkątny naczółek. W 1829 roku odziedziczyła pałac po śmierci Anny Warkoczowej rodzina Chrzęszczewskich. W 27 lat później właścicielami obiektu zostali von Kosiccy, którzy postanowili budowlę „upiększyć”. Stolarkę wymienili na neorenesansową, dobudowali też modny w tamtym czasie ganek z balkonem. W 1922 roku Kosiccy wyjechali do Niemiec. Przedtem sprzedali cały majątek, dzięki czemu pałac stał się siedzibą tarnogórskiego Związku Strzeleckiego. W czasie wojny było w nim archiwum rodziny Donnersmarcków. W roku 1945 Rosjanie urządzili w pałacu szpital przyfrontowy. A później nastąpiła jego dalsza dewastacja, ponieważ pałacowe wnętrza przeznaczono na mieszkania komunalne.

Bolesław Lubosz opisywał „ziemię gwarków i lasów” w książce pod takim właśnie tytułem z wielką miłością oraz pietyzmem dla historii. O pałacu w Rybnej nie ma u niego ani słowa. Może dlatego, że w roku 1969, kiedy ta publikacja była wydana, Rybna nie była żadnym „dziedzictwem przodków”, tylko zwykłą, zaniedbaną

Być może, już niedługo trzeba się będzie pożegnać z przystawką pod swoją nazwą „szałot jarzynowy”. Powtórzyć za Michnikowskim smutno „adijo” nie pomidorom jednak, ale naszemu, śląskiemu żurowi. Rozstać się z żalem z daniem głównym, które tak oto opisano w karcie restauracji pałacowej: „rolada wołowa – faszerowana, kluski białe z dziurką i modra kapusta”. Nowy właściciel pałacyku w Rybnej nie musi być bowiem miłośnikiem „specjałów kuchni śląskiej”, może też nie mieć ochoty na prowadzenie w tym obiekcie działalności gastronomicznej. Jedno jest pewne: nie będzie w tym obiekcie domu publicznego. Bo gdyby tak się stało, burmistrz Tarnowskich Gór, Kazimierz Szczerba ręczy, że „tarnogórzanie na pewno by protestowali” a on – „razem z nimi”.



Awantura o Rybną

BOGDAN WIDERA

rudera dla lokatorów „z kwaterek”.

W 1974 roku Zakłady Mechaniczne „Zamet” ze Strzybnicy rozpoczęły... nawet nie remont, ale właściwie odbudowę pałacu w Rybnej. Miał być zrekonstruowany zgodnie z pierwowzorem, dlatego brała udział w tym przedsięwzięciu Pracownia Konserwacji Zabytków z Krakowa. Stosując ostre kryteria obowiązujące w historii sztuki można więc powiedzieć, że Rybna jest takim samym zabytkiem jak warszawska starówka albo wybudowany w stolicy Zamek Królewski.

Ukończono prace rekonstrukcyjne w roku 1980. „O, roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...” Być może, dlatego właśnie nie przeznaczono tego obiektu na jakieś zaciszne centrum luksusowego szkolenia kadr partyjnych albo na inny, równie wzniosły cel, wymy-

ślony przez ówczesnych „właścicieli PRL”. W 1983 roku postanowiono, że urządzi się tam Dom Pracy Twórczej Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków (zdaniem złośliwych dlatego, że muzyka najmniej kłopotów sprawiała cenzurze). Wtedy też, dokładnie w czerwcu, w sali ze 150 miejscami odbył się w Rybnej pierwszy koncert muzyki kameralnej.

Muzycy mieli ten swój Dom Pracy Twórczej do końca lat osiemdziesiątych. Potem, w 1991 roku gmina Tarnowskie Góry powołała do życia spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która zaczęła prowadzić w pałacu działalność gospodarczą. Świadczyła usługi hotelowe i gastronomiczne. Do dyspozycji gości są dwa dwuosobowe apartamenty (sypialnia, salon, łazienka) urządzone w stylu biedermeier. Niedrogo – 250 zł za dobę. Jeden także dwuosobowy półapartament (z salonikiem zamiast salonu) i dwa dwuosobowe pokoje ze wspólną łazienką. We wszystkich pokojach są telewizory (TV sat). Jest sala bankietowa na 15 osób i druga na 30, sala konferencyjna, w której może

obradować maksymalnie 60 uczestników oraz wspomniana już sala koncertowa. Korzystać można ponadto z atrakcji pałacowego parku (gril, ognisko, w lecie – ogródek). A na parterze jest restauracja, która oferuje dania kuchni polskiej i śląskiej. Można w niej wyprawić wesele na 100 gości, można wydać bankiet dla 150. W prawdziwych zabytkach, które chce się chronić przed wszelkimi uszkodzeniami, raczej się podobnej działalności nie prowadzi.

Kochane pieniądze

Pomysł sprzedawania obracających się w ruinę pałacyków i dworów zrodził się jeszcze w PRL. Państwo nie miało pieniędzy na ich remonty, nie dbali o te obiekty także ich użytkownicy – PGR-y, państwowe zakłady pracy,

szkoły itd. Więc całkiem wbrew systemowym pryncypiom uznano, że prywatni właściciele okażą się lepszymi gospodarzami tych obiektów. Były nawet nagrody dla najlepiej dbających o swoje rezydencje. Pamiętam, że w swoim czasie uhonorowano takim wyróżnieniem państwa Pendereckich. Paradoksalnie dziś, kiedy własność prywatna jest „święta”, media uznały, że właścicielem pałacu w Rybnej powinna być „na zawsze” gmina.

Tarnowskie Góry są zadłużone po uszy. Tylko w tym roku powinny spłacić 7 milionów złotych. Niemalą część długu wygenerował miejski aquapark, który miał być wizytówką nowoczesności miasta. Okazało się szybko, że nie jest to kura znosząca złote jaja. Ostatnio zresztą trzeba było ten aquapark na jakiś czas zamknąć, bo w wodzie pojawił się gronkowiec złocisty. Jak pech – to pech.

W roku 2004 Rybna zarobiła 1500 zł brutto. Tymczasem na koncerty tam organizowane gmina Tarnowskie Góry wydała 20 000 zł. Bilans „nie wychodzi na zero”. Media podnoszą alarm, że „burmistrz z SLD” chce się pozbyć zabytkowej, choć nierentownej placówki. Opozycyjni radni protestują. Szybko okazuje się jednak, że nie jest to bynajmniej zachcianka jakiegoś gminnego dyktatora. Do tej sprzedaży zobowiązuje bowiem burmistrza uchwała budżetowa, w której zapisano nawet, iż pałac ma zostać sprzedany za najmniej 1 700 000 zł. 18 lutego br. sprawa zostaje definitywnie rozstrzygnięta. Rada miasta (przesądził jeden głos) podejmuje uchwałę o sprzedaży. Wbrew burmistrzowi nie będzie nieograniczonego przetargu ustnego, ale pisemny. Specjalnie powołany zespół radnych określi warunki sprzedaży a także zakres prowadzonej przez nabywcę działalności kulturalnej. To ostatnie wydaje się trochę dziwne, bo na zdrowy rozum przetarg powinien wygrać ktoś, kto najwięcej daje, nie zaś ten, który miłuje „działalność kulturalną”. Jak sobie radni wyobrażają egzekwowanie tego punktu uchwały? Przecież „wolność Tomku w swoim pałacu”.

Skóra na niedźwiedziu

Prostemu człowiekowi o nieskomplikowanym umyśle trudno zrozumieć wszystkie zawiłości rządzenia gminą. Już to, że

w uchwale budżetowej zapisuje się, iż pałac w Rybnej sprzedany zostanie za najmniej 1 700 000 zł wydaje się dziwne, skoro nie wiadomo, ile jest on tak naprawdę wart. Dopiero teraz bowiem dwa zespoły rzeczoznawców dokonają dwóch niezależnych ekspertyz i określą wartość pałacu oraz czterohektarowego parku.

To jednak nie przeszkadza władzom gminy w rozdysonowaniu pieniędzy, których jeszcze nie ma. Burmistrz Szczerba chce za nie zalać dziury w miejskich drogach i przeprowadzić za milion złotych remont Tarnogórskiego Centrum Kultury.

Tymczasem sam pałac w Rybnej nadaje się już do generalnego remontu. Zdaniem jednych konieczne prace kosztować będą 300 000 zł, inni mówią, że milion. Według burmistrza po sprzedaży i remoncie pałacu będzie on ładniejszy. Tarnogórzanie powinni więc być zadowoleni.

Muzyka i polityka

W 1983 roku odbył się w Rybnej pierwszy koncert muzyki kameralnej. Muzykowano w pałacu niemal do końca. W 1993 roku narodziły się tam dwa doroczne festiwale „Kwartet Śląski i jego Goście” oraz „Muzyczne lato w Rybnej”. Wśród cyklicznych imprez muzycznych trzeba wymienić „Koncerty Mistrzów”, „Południa z muzyką austriacką”, spotkania „Mistrz i uczeń”. Występowali tu najlepsi: Kaja Danczowska, Andrzej Hiolski, Krzysztof Jakowicz, Konstanty Andrzej Kulka, Bernard Ładysz, Janusz Olejniczak, Piotr Paleczny, Jadwiga Rappe, Bogna Sokorska, Wanda Wiłkomirska. Lista nazwisk światowej sławy wykonawców jest bardzo długa. Praktycznie każde z nich nadawałoby się do umieszczenia na tablicy pamiątkowej z adnotacją, że tego a tego dnia, w tym a tym roku, wystąpił/wystąpiła itd.

Czy w prywatnym już pałacu w Rybnej będzie jeszcze rozbrzmiewać muzyka? Nadzieje na to, że obiekt zakupi jakiś współczesny Mecenaz czy inny Medyceusz są jednak nikłe. Podejrzewam, że człowiek biznesu, który zdecyduje się na kupno, bardzo szybko i w majestacie prawa wyzwole się z „prowadzenia działalności kulturalnej” albo to dość nieostre pojęcie wypełni treścią

dostosowaną do własnych potrzeb i zamierzeń.

Znajomy radny (nie z Tarnowskich Gór) jest samorządowcem doświadczonym, przez co wydaje się nieco cyniczny.

– Pan prezydent Kwaśniewski kilka razy w roku może sobie pozwolić na mówienie artystom miłych słów, na przykład, że są najlepszymi ambasadorami Polski w Unii Europejskiej – tłumaczy mi z uśmiechem. – Albo że sztuka jest naszym najlepszym towarem eksportowym. Podobne rzeczy mówią swoim lokalnym twórcom prezydenci miast, burmistrzowie itd. Mówić można, bo to nic nie kosztuje. Ale kiedy w grę zaczynają wchodzić pieniądze, o, to już jest inne myślenie. Opozycja atakuje rządzących Tarnowskimi Górami za to, że sprzedają zabytki, że nie chcą dawać głupich 20 000 na ambitne koncerty. Ale gdyby właśnie wydawali pieniądze na kulturę, to by im wytknięto, że finansują elitarne imprezy dla pięknoduchów, a nie ma na pomoc biednym dzieciom, brakuje na mieszkania komunalne dla samotnych matek, stan dróg zagraża bezpieczeństwu i życiu mieszkańców... Można w nieskończoność. Jak się chce psa uderzyć, to kij zawsze się znajdzie. Samorządy terytorialne mają coraz więcej zadań, ale Warszawa rzadko kiedy przydziela wystarczające środki na ich wykonanie. W stolicy 100 000 osób (plus rodziny) żyje z rządzenia i dzielenia pieniędzy. Dobrze żyje. Więc nie ma się co łudzić – samorządom finansowanym z centrali środków nie przybędzie. A poza tym polityka... W sali koncertowej zbierze się trochę ponad 100 osób, połowa z nich to zamieszcowi, co to za korzyść dla władzy? Ile tam można zyskać głosów, nawet jeśli by się burmistrz fotografował z każdym artystą? A na byle osiedlowym festynie można się pokazać tłumnie zebranemu potencjalnemu elektoratowi, można się przed nim pochwalić sukcesami, można mu tyle obiecać...

Mówię znajomemu radnemu, że ten czarny obraz rzeczywistości może człowieka tylko zdołować.

– To nie jest czarnowidztwo, tylko realizm – prostuje. To już wolę tytuł nadany informacji o sprzedaży pałacu w Rybnej w „Dzienniku Zachodnim” z 22 lutego: „Pójdzie w lepsze ręce?” Jest w nim przynajmniej jakaś nadzieja.

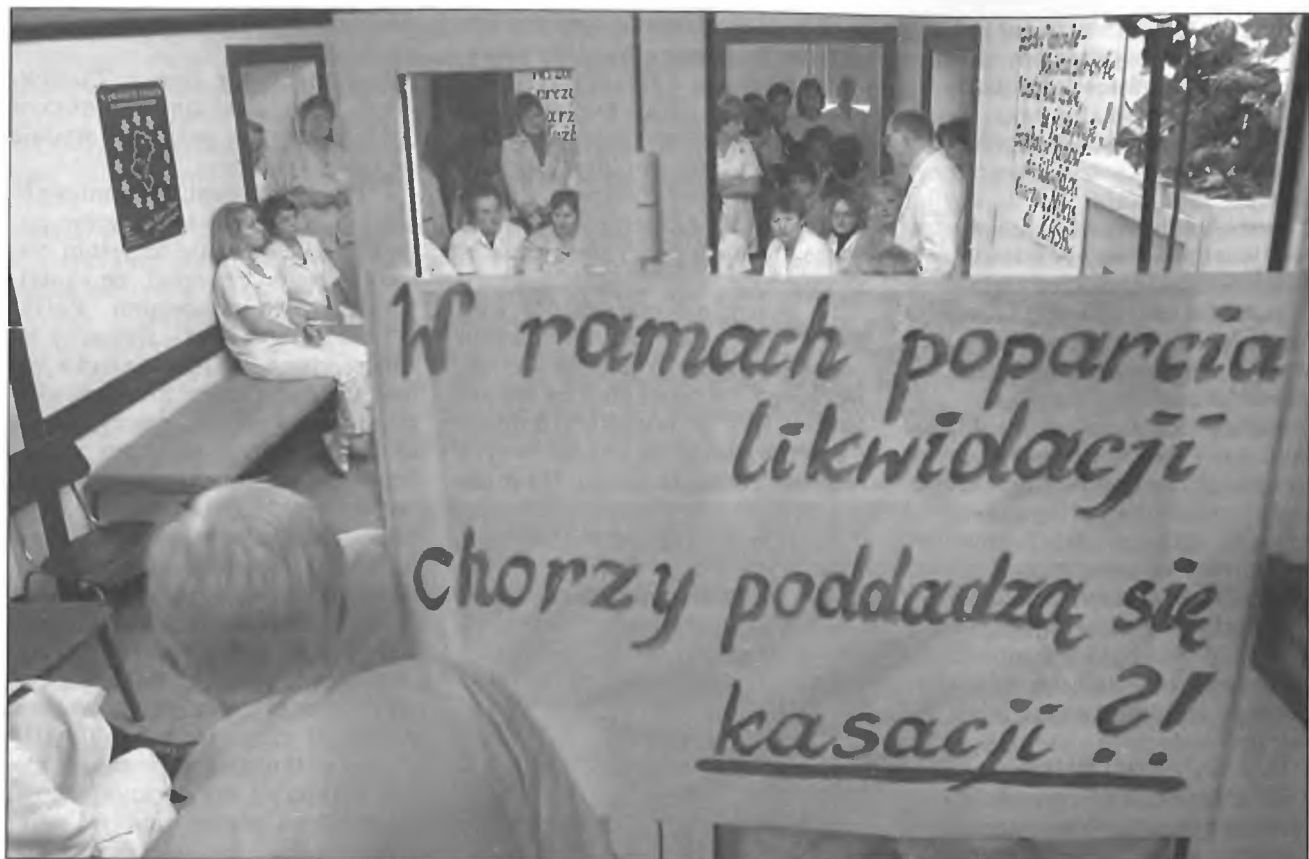


Foto: Marek Piekara / Gość Niedzielny

Na służbę zdrowia narzekają pacjenci. Niestety, ostatecznie są zmuszeni pokornie dostosować się do zaistniałych zmian. Sami świadczący usługi medyczne coraz częściej nie chcą zabierać głosu w sprawie instytucji, którą reprezentują. Boją się, że stwierdzenia krytyczne wobec reformy mogą narazić ich, delikatnie mówiąc, na nieprzyjemności. I ze strony Narodowego Funduszu Zdrowia, którego funkcjonowanie i wytyczne spotykają się z najliczniejszymi zarzutami, i ze strony kolegów – lekarzy, że zdradza się tajemnice środowiska. Dlatego moi rozmówcy nie chcieli podawać swoich imion i nazwisk, choć mówili o problemach, które znają wszyscy.

Czarna dziura pojawi się niebawem

Chore szpitale

BARBARA
GRUSZKA-ZYCH

Kilka dni temu Straż Miejska przywiozła do jednego ze szpitali województwa śląskiego mężczyznę mieszkającego na dworcu. Ktoś ich zawiadomił, że strasznie śmierdzi, nie można wytrzymać, bo tak ropieją mu rany na nogach i rękach.

Pacjent z dworca

Pielęgniarki umyły go, opatrzyły i odesłały do noclegowni, ale stamtąd znów wrócił do szpitala. Właściwie nikt za niego nie zapłaci, w tej sytuacji powinien wrócić na

dworzec. Ale ordynator podjął decyzję, że zatrzymają chorego. Teraz jego wyzdrowienie to wyłącznie wewnętrz szpitalny problem. Ale skąd biedująca placówka ma wziąć pieniądze na leczenie tego nieubezpieczonego chorego? Narodowy Fundusz Zdrowia go przecież nie

zrefunduje. A w okresie zimowym, kiedy w kanałach, na dworcach ko-
czy mnóstwo bezdomnych takie
przypadki zdarzają się bardzo czę-
sto. Zresztą nie dotyczy to tylko nie
posiadających dachu nad głową, ale
wielkiej grupy bezrobotnych.
W ten sposób spora część naszego
biednego społeczeństwa automa-
tycznie została pozbawiona jakiejkolwiek
możliwości uzyskiwania
świadczeń medycznych.

Kupowanie zdrowia

Doktor N. pracuje w zawodzie
35 lat i twierdzi, że takiego ba-
łaganu jak dziś jeszcze w służbie
zdrowia nie widziała. Cieszy się,
że sama nie musi występować
w roli pacjenta.

– To zamieszanie zaczęło się, kie-
dy powołano Kasy Chorych i Naro-
dowy Fundusz Zdrowia – mówi. –
Dotąd każdy lekarz miał określoną
pensję i w ramach tego wynagro-
dzenia przyjmował pacjenta. Teraz
duża część pracowników służby
zdrowia uważa, że jakkolwiek kon-
takt z chorym musi im przynieść
pieniądze. Właściwie każda porada
jest przeliczana na złotówki. I moż-
na by powiedzieć, że ci chorzy, któ-
rzy mają większe pieniądze, mogą
sobie kupić lepsze leczenie. A prze-
cież kupić to sobie można pomido-
ry, nie zdrowie.

Na złotówki przeliczana jest
każda wizyta u lekarza, począwszy
od rodzinnego, skończywszy na
specjalistach. Lekarz podstawowej
opieki zdrowotnej liczy punkty,
które otrzymuje za przyjęcie kon-
kretnego pacjenta. Za jeden punkt
dostaje 4,50 zł. Za wizytę przysłu-
gują mu 4 punkty czyli 18 zł. Czę-
sto pacjent prosi o EKG, morfologię,
badanie moczu. Koszty tych
zabiegów są niewspółmierne z za-
płatą za nie. A poza tym w kwotę,
która przysługuje za wizytę, wli-
czone są opłaty za wynagrodzenie
lekarzy, pielęgniarek a także me-
diów, sprzętu specjalistycznego
w danej przychodni.

„Obracanie” pacjentem

– **W** związku z tym lekarz
szuka sposobu, żeby za-
robić na pacjencie – „obraca nim”
przez kilka wizyt – opowiada dr N.
– Stąd też powstają większe kolej-
ki. Podam prosty przykład. Chory
przytrzasnął sobie palec drzwiami
w samochodzie. Powinien natych-
miast udać się do urazowca albo
chirurga, ale w myśl przepisów
musi pójść do lekarza rodzinnego

po skierowanie. W dniu, w którym
się to stało, palec go jeszcze tak nie
boli. Dopiero nazajutrz widzi, że
ogromnie obrzękł, więc biegnie do
przychodni i stoi w kolejce po skie-
rowanie. Kiedy już je ma, idzie do
ortopedy, który też dostaje 4,5 zł za
punkt. Więc mówi do pacjenta
„Wie pan co, palec jest w takim
obrzęku, że damy okłady i pocze-
kamy, aż on ustąpi”. Za dwa dni
obrzęk zaczyna ustępować, a wte-
dy lekarz mówi: „Dobrze, teraz da-
my szpatuleczkę do usztywnienia
palca, a w poniedziałek niech pan
przyjdzie na rentgen”. Po trzech
wizytach i po prześwietleniu oka-
zuje się, że palec jest pęknięty. Po-
winno nałożyć się gips, ale to też
koszt, więc lekarz sugeruje: „Tę
szpatulkę proszę sobie zachować,
bo nie ma złamania, przemieszcze-
nia, to wystarczy, żeby usztywnić
palec”. A wszystko dzieje się dlate-
go, że chorych trzeba załatwiać ta-
niej, oszczędniej, nie zwracając
uwagi na jakość usług.

Możę mnożyć takie przykłady –
przychodzi chory z zanokcicą –
ropniem dla paznokciem. To oczy-
wiste, że wtedy powinna być puszc-
zona ropa. Ale jak lekarz ma pu-
ścić tę ropę za 3 punkty, a więc za
około 13 zł., kiedy znieczulenie,
materiał opatrunkowy, chwycenie
noża do ręki, wypisanie antybioty-
ków kosztuje dużo więcej?

Publiczne i niepubliczne

Obok zakładów publicznych
możemy korzystać z usług
niepublicznych zakładów specja-
listycznych, które podpisały
umowę z Narodowym Fundu-
szem Zdrowia. Niestety, tam czę-
sto szybko kończą się limity
przyjęć. Tak do końca nie wiado-
mo, kto je kontroluje. I czy za pa-
cjenta lekarz nie otrzymuje wy-
nagrodzenia jednocześnie z jego
kieszeni i z NFZ.

Niestety, coraz częściej chorzy
przestają kierować się dobrem wła-
snym. Nie wybierają lekarza
sprawdzonego, doświadczonego,
ale idą do prowadzących swoje
praktyki lekarzy tylko dlatego, że
właśnie oni mają podpisaną umo-
wę z Narodowym Funduszem
Zdrowia i wizyta jest refundowana.
W ten sposób pozwalają funkcyj-
nować prywatnym gabinetom, pro-
wadzonym przez młodych lekarzy
po studiach, którzy jeszcze kilka lat
powinni terminować u mistrzów.

Wielu chorych podkreśla, że sko-
ro potrąca im się pieniądze z pen-
sji, to chcieliby, żeby szły na pra-

widlowo funkcjonujące ubezpie-
czenie publiczne, a nie na niepu-
bliczną służbę zdrowia. – Niestety,
wszyscy wszystkich cyganią. Pa-
cjent jest okłamywany przez służbę
zdrowia, służba zdrowia okłamuje
Narodowy Fundusz, a Narodowy
Fundusz – służbę zdrowia nie dając
jej pieniędzy – uważa dr N.

Sponsorzy i aparatura

Dyrektorzy szpitali czasem krę-
pują się szukać sponsorów
niezbędnych do finansowania re-
montów czy zakupu nowej poście-
li. Przecież obok żyją ludzie, z któ-
rych ponad 40% nie ma z czego
płacić za mieszkanie. Początkowo
miasto mogło wspomagać znajdu-
jącą się na jego terenie placówkę
szpitalną. Dokładało pieniądze do
kupna aparatury, czy przesiewo-
wych badań np. guzka sutka, raka
jelita, raka płuc. Z czasem decyzje
centralne spowodowały, że dziś
administracji nie wolno dofinanso-
wywać szpitali. Tylko NFZ jest ich
płatnikiem. I za te groszowe pie-
niądze, które im przysznaje, ma być
leczony pacjent, remontowane bu-
dynki, kupowana nowa aparatura,
sprzęt jednorazowy...

– Aparaturę medyczną powinno
się eksploatować pięć lat – mówi
dr N. – Okazuje się, że szpitale
w ogóle nie płacą za jej amortyza-
cję, bo często mają sprzęt liczący
po 15 lat. Już nie wspomnę o tych
z aparaturą powojenną. Nie tak da-
leko funkcjonują szpitale, których
nie stać na kupno windy. Jak zope-
rują pacjenta na dole, to muszą go
zanieść na noszach na piętro...

Obok tych z „przedpotopo-
wym” sprzętem funkcjonują szpi-
tale, które mają sprzęt superno-
woczesny. W ostatnim czasie
można było w telewizji obejrzeć
np. serial o najnowocześniejszym
tomografie do wczesnego wykry-
wania raka w bydgoskim szpitalu,
który stoi niewykorzystany, bo
NFZ nie zgadza się na zwrot
kosztów badań. Pacjentom pro-
ponowano, żeby takie badania ro-
bili sobie w Berlinie. Kiedy
wreszcie, być może, właśnie
przez pokazanie tego skandalu
w telewizji, osiągnięto w tej spra-
wie porozumienie, wyszło na jaw,
że niektóre oddziały onkologicz-
ne już wyczerpały limit na zwrot
kosztów za podawane pacjentom
leki. Jak się okazuje do zdrowego
trybu życia bardziej niż wszystkie
akcje uświadamiające, kolorowe
plakaty, ulotki, filmy i specjalne
działy w kolorowych tygodnikach

przekonuje nas oglądanie zwykłych dzienników telewizyjnych różnych stacji.

Paradoksy

Niedawno NIK ogłosił raport z kontroli „w ochronie zdrowia”, w którym stwierdził, że przyczyną zapaści w tej dziedzinie nie jest brak pieniędzy, tylko topienie ich w organizacyjnym chaosie i monstrualnie rozrosłej biurokracji. Dla przykładu, w czasach minionego ustroju w wojewódzkim Wydziale Zdrowia było zatrudnionych 27 pracowników. Niezależnie od tego funkcjonowały ZOZ-y.

– W tej chwili urzęduje Wydział Zdrowia Urzędu Miejskiego, Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Marszałkowskiego, oprócz tego 700-osobowa administracja Oddziału Regionalnego NFZ w Katowicach, do tego dochodzi administracja w każdym szpitalu i w każdej przychodni – informuje mnie dr B. pracująca od kilkunastu lat w jednej z katowickich przychodni publicznych.

Jak wiadomo z mediów, pensja pracowników administracji jest wyższa niż lekarzy w przychodniach czy szpitalach. W Narodowym Funduszu Zdrowia pensja lekarska wynosi około 5000 zł, a w „zwykłym” szpitalu lekarze dostają 800 zł. Bez komentarza trzeba pozostawić fakt, że w tym roku NFZ przeznaczył 2 mln na premie dla swoich pracowników.

Po serii protestów pracowników Sejm zabronił komornikom zajmowania pensji zatrudnionych w zadłużonych szpitalach. Nie wyjaśniono natomiast, jak mają uniknąć bankructwa firmy dostarczające do tych placówek sprzęt i leki.

Etat za etatem

Za to „zwykli” lekarze i pielęgniarki muszą gonić za zarobkami. Zwykle pracują na kilka etatów. W Gliwicach pielęgniarka z czteroletnim stażem pracy ma etat w jednym szpitalu i dyżury na zlecenie w drugim. Wczoraj od 7 rano do 19 była na dyżurze na internie. Według kodeksu pracy po takiej dniówce przysługują jej 24 godziny przerwy, ale idzie do pracy w innym szpitalu tak samo od 7 do 19. Na etacie zarabia 860 zł netto miesięcznie, a za dodatkowe dyżury – około 600 zł netto miesięcznie.

– Następnym knotem ustawowym są dyżury – twierdzi ordynator interny w jednym ze szpitali. – Zgodnie z ustawą lekarzowi wolno



Foto: Marek Piekara / Gość Niedzielny

dziennie pracować 7 godz. 35 minut plus 5 godzin 50 minut na dyżurze. Kim mamy obsadzić dyżury, które w szpitalu trwają do rana? Trzeba by przyjąć nowych pracowników, dla których nie ma wynagrodzeń.

Istnieje wyjątek – lekarz może pracować większą niż przepisowa ilość godzin, ale tylko wtedy, kiedy zatrudni się u siebie w gabinecie i będzie miał podpisaną umowę z NFZ. Trudności są też ze zdobyciem specjalizacji. W obrębie określonych ścisłych specjalności na całym Śląsku może się specjalizować tylko kilku, nawet nie kilkunastu lekarzy.

Za granicę

Dlatego coraz częściej lekarze i pielęgniarki jadą szukać pracy za granicą.

– Czarna dziura pojawi się niebawem – uważa dr N. – Ci, którzy tu pozakładali gniazda, mają dzieci – zostaną. Wyjadą młodzi, jeszcze z niczym nie związani. Niemcy, Holendrzy, Anglicy, Szwedzi proponują im pracę na godziwych warunkach. Tam lekarze podstawowej opieki dostają miesięczne wynagrodzenie rzędu 5000 euro. Pielęgniarka z dwudziestoletnim stażem, która w Polsce zarabia w szpitalu średnio około 950 zł., w Niemczech jako opiekunka starszej pary otrzyma ponad 1000 euro. Dobrze, jeśli pielęgniarki, które wyjeżdżają za granicę znają język obcy. Czasem wystarczy krótki kurs, innym razem doksztalcenie już w kraju, gdzie się pracuje. Od lekarzy wymagana jest znajomość angielskiego albo niemieckiego plus znajomość języka kraju docelowego. Wyjeżdżający do Szwecji zwykle zna już angielski, musi tylko nauczyć się szwedz-

kiego. Dlatego w Polsce przeczekaj jeszcze jakiś czas poświęcony na jego naukę, żeby potem wyjechać z całą rodziną.

Jedna ze stacji telewizyjnych pokazała niedawno panią stomatolog, która zdecydowała się na wyjazd do pracy w publicznej służbie zdrowia w Wielkiej Brytanii. Kiedy przybyła do podlondyńskiej miejscowości czekał tam na nią wyposażony gabinet w publicznym ośrodku zdrowia oraz mały, umeblowany domek oraz, co było główną motywacją do wyjazdu – kilka tysięcy euro za pracę normalną, bez dodatkowych dyżurów, „fuch” w jakichś prywatnych przychodniach itd. A u nas z powodu braku lekarzy i pielęgniarek wydłużył się termin przyjęcia pacjenta.

– A poza tym szkoda tych wyjeżdżających, lekarze to śmietanka naszej inteligencji, będzie źle jeśli większość z nich dobrowolnie stracimy – mówi dr N.

Dr N. uważa, że dobre stosunki z personelem szpitalnym może utrzymywać tylko dając osobisty przykład. Jest cenioną panią ordynator.

– Ale do tego nie trzeba żadnych przekrętów – opowiada. – To wynik ciężkiej harówki, a nie tego, że mogłabym załatwić „lewe” renty, zwolnienia z wojska, „L4”. Gdyby mój zespół widział, że kradnę, nie szanuję kolegów i pacjentów, inaczej by mnie traktowali. Porozumiewamy się na zasadzie wzajemnego szacunku, przestrzegania zasad prawości. Oni widzą, ile zarabiam, co robię w pracy, niczego przed nimi nie ukrywam.

Mija pierwsza rocznica śmierci Marka Bastera



Jola i Marek Basterowie oraz Grażyna i Leszek Frąckowiakowie (w środku) podczas pogawędki na balkonie.

Coś nam zrobił, Keaton?

AGNIESZKA
ZAJĘCKA

Bardzo wysoki, szczupły i przystojny, zawsze gotowy do ciętej odpowiedzi i prawie zawsze uśmiechnięty, czasem trochę szyderczo, choć może tylko mi się zdawało. Taki był Marek Baster, jeden z najlepszych śląskich dziennikarzy. Nic już nie napisze, bo leży na cmentarzu przy ul. Osińskiej w rodzinnych Żorach, w jednym grobie ze swoim ojcem. Na granitowej tablicy napisano jedynie, że urodził się 3 grudnia 1961 roku, a zmarł 7 kwietnia ubiegłego roku.

CÓŻ jednak może powiedzieć o człowieku nagrobna płyta? Jest chyba taka sama, jak ludzka pamięć, która bywa ulotna, a z czasem się zaciera. – *Teraz mam wrażenie, że rozmawiałem z Markiem przed chwilą. Niewykluczone jednak, że za kilka czy kilkanaście lat będę mógł jedynie powiedzieć, że miałem kiedyś takiego kolegę* – zastanawia się Leszek Frąckowiak, najlepszy przyjaciel Marka, który przez cztery lata nauki w liceum siedział z nim w jednej ławce. Prawie tak samo z Markiem związani byli Zygmunt Łukaszczyk i Lucjan Buchalik. Wszyscy chodzili do tej samej klasy c, a przyjaźń przetrwała, choć po maturze każdy podjął inne studia. Zygmunt zwany Zygą wybrał fizykę na Uniwersytecie Śląskim, Lucek etnografię na Uniwersytecie Wrocławskim, Marek romanistykę też na UŚl., a Leszek Studium Budowlane w Cieszynie. Żaden nie wyobrażał sobie tygodnia bez choćby jednego spotkania z kolegami, a zwłaszcza z Markiem, bo on był duszą każdego towarzystwa. Imponował kolegom od pierwszych dni poznania oczytaniem, błyskotliwością i wiedzą, a także tym, że dostawał kieszonkowe (wtedy była to rzadkość) i nie marnował tych pieniędzy.

– *Kupował za nie poważne gazety, jak „Polityka” czy „Forum”. Po przeczytaniu oprawiał je u introligatora i magazynował. Który 16-latek zadawałby sobie tyle trudu?* – pytają Leszek, Zyga i Lucek. Marek „ciągnął” w górę każdego, choć miał kłopoty np. z matematyką. Dobrze oceny zawdzięczał Zydze, który podsuwał mu ściągę nawet na maturze. Mama Marka, Anna, pracowała w ZUS-ie, ojciec Bolesław pełnił kierowniczą funkcję w Fadomie, tuż po wojnie współzałożył też miejską bibliotekę. Marek był z tego dumny. Często zwracał się do rodziców po imieniu (do taty mówił Bola), już zresztą w liceum uchodził za bezpośredniego chłopaka, który miał specyficzne poczucie humoru. Koledzy ochrzczili go Keatonem i tak zostało. Miało to jednak związek nie z jego upodobaniem do filmu (znał się na kinie jak mało kto), ale z nazwiskiem. Brzmi bowiem tak samo, jak filmowe imię Josepha Franka Keatona, amerykańskiego aktora komediowego i reżysera, którego znajomy ojca nazwał Busterem.



Lipiec 1979 roku. Marek (w polatanych dżinsach) i Lucek (czarny kędzierzawy, z lewej) z grupą pielgrzymów w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Ta ksywa, nawiązująca do człowieka o kamiennej twarzy (jak określano aktora) pasowała do Marka, bo nigdy nie było wiadomo, co myślał. Należał, jak mówią przyjaciele, do ludzi skrytych, nie lubił rozmawiać o pieniądzach ani o swoich kłopotach. Zdziwiał za to kolegów umiejętnością przewidywania i oceny sytuacji. Gdy Zygę wybrano przewodniczącym klasy, Marek oświadczył mu: „będziesz prezydentem”. Przepowiednia spełniła się w latach 90., gdy Zygmunt został gospodarzem miasta. Marek pogratulował mu dodając: „A nie mówiłem?” W ogóle rzadko się mylił. Potrafił godzinami debatować o polityce, obyczajach, religii, zwłaszcza że miał własne spojrzenie na sprawy wiary (do kościoła chodził, jak mówią koledzy, od wielkiego dzwonu, ale wierzył w Boga, w liceum był nawet z Luckiem na pielgrzymce w Kalwarii Zebrzydowskiej), a z czasem dyskusje stawały się coraz bardziej zażarte. Rozmowy miały szczególne znaczenie dla Leszka, on bowiem, jako jedyny z grupy przyjaciół, nie skończył studiów, bo szybko się ożenił, zatem musiał zacząć zarabiać na życie.

– *Podjąłem pracę w straży pożarnej kopalni Borynia, a z kim tam miałem pogadać? Czekalem więc na spotkania z Markiem, bo on zmuszał do myślenia, a dla mnie to było wyzwanie* – wspomina Leszek. Zygmunt wciąż pamięta, jak Marek erudyta, zakochany w kinie, książkach i muzyce, potajemnie opróżnił mu z kolegami butelkę ciociosanu. Zyga stał za

winem przez pięć godzin (był to początek lat 80., gdy sklepy świeciły pustkami) z zamiarem prezentowania ojcu na zbliżające się urodziny. Gdy wrócił do domu, przyszlizli kumple. Gospodarz pochwalili się im wermouthem, a po paru dniach wręczył butelkę ojcu. Okazało się, że w środku była woda. – *Najadłem się wstydu, a przyjaciele oznajmili, że gdybym podczas ich wizyty nie wyszedł do toalety, wino zostałoby nietknięte* – śmieje się Zygmunt. Podejrzewa, że inicjatorem dowcipu był Marek, bo on lubił dobre trunki. Potrafił godzinami saczyć lampkę koniaku otaczając się kłębami dymu. Palił dużo, trzymał papierosa takim królewskim gestem, który obrósł legendą, co jakiś czas próbował się odzwyczajać i co jakiś czas kapitulował.

Nigdy jednak nie przypaliłby papierosa za pomocą jednorazowej zapalniczki, nigdy też nie kupiłby nic na targu. Mało tego: za rower, który sprawił sobie, gdy zaczęły dokuczać mu bóle kręgosłupa i kolana, zapłacił grubo ponad 10 tys. zł. Czy były to kaprysy jedynaka? – *On brzydził się tandetą* – tłumaczy Leszek. Nie zapomni, z jakim wstrętem Marek kupował pierwsze auto, bo był to jaskrawy maluch, a on marzył o pięknym czarnym samochodzie. Musiał ustąpić skrzeczącej rzeczywistości, bo było to w roku 1984, gdy jeszcze studiował. We wrześniu następnego roku poprowadził do ołtarza Jolę Herman, swoją miłość z liceum, też romanistkę. Chodzili ze sobą od klasy maturalnej. Koledzy wciąż pamiętają, jak ich przyjaciel cieszył się

z tego, że został mężem, a po paru latach ojcem. Bardzo przejął się tymi swoimi nowymi rolami.

Jednocześnie Marek miał szalone pomysły. Gdy zbliżały się urodziny Joli, w sekrecie namówił Leszka do zwędzenia dyni z ogrodu swojego sąsiada. Chciał wykorzystać ją do urządzenia zabawy w Halloween, o którym wtedy u nas mało kto słyszał. Wieczorem obaj ruszyli po łup, ale był na tyle ciężki, że zdołali jedynie przenieść go na plac Basterów i zostawili pod prysznicem z ogrodowego węża. Rano pokroili owoc na kawałki, wrzucili pestki do kubła, a z resztą ruszyli do znajomych. Po ich odejście na podwórkę (Basterowie mieszkają w piętrowym domu przy ul. Brzozowej, gdzie po jednej stronie stoją budynki prywatne, a po drugiej bloki) wyszedł ojciec Marka i usłyszał zza płotu wołanie obrabowanego sąsiada. – *Wiesz Bolek, że mi te gorole z bloków bania ukradły? Pewno potrzebowali pestek na prostata!* – żalił się oburzony gospodarz. Baster senior akurat otwierał kubek, żeby wrzucić śmieci. Zobaczył pestki i natychmiast zamknął kłapę.

– *Od razu pojął, co się stało, ale musiał trzymać fason. To był gość z klasą, jak jego syn* – opowiada z uznaniem Leszek. Marek często mówił gwarą i był dumny z jej znajomości, choć rdzenną Ślązaczka jest tylko jego mama. Rodzina ojca pochodziła z okolic Krakowa. Po śmierci taty (zmarł w 2001 roku) Marek pojechał tam szukać swoich korzeni. Znalazł krewnych we wsi, która nazywa się Brzoskwinią, i bardzo się z tego cieszył. Koledzy są pełni podziwu, że znalazł czas na tę wyprawę, współczuli mu zresztą zagonienia, niekiedy dziwili się, że został dziennikarzem. Już bowiem w liceum był świetny z francuskiego, choć nauczycielka wyśmiała go, gdy oznajmił, że wybiera się na romanistykę. Gdy skończył studia, władał nie tylko francuskim i włoskim, ale też angielskim, którego nauczył się sam, słuchając radia Luksemburg i BBC. Przyjaciele sądzili więc, że będzie tłumaczem a może rysownikiem, bo miał doskonałą kreskę. W czasach studenckich publikował zresztą rysunki na łamach „Tak i Nie”.

O wszystkim przesądziła chyba Jola, której bodaj jako pierwsza

doceniła jego pióro. – *Pod koniec studiów szliśmy przez katowicki rynek. Popatrzyłam na okna redakcji „Tak i Nie” i wypchnęłam Marka, żeby wszedł zapytać, czy nie przyjmą go do pracy. Gdy wyszedł, powiedział, że dadzą mu etat – wspomina żona. Dziś trudno nawet wymienić tytuły gazet, z którymi związany był jej mąż. Marek nie na darmo powtarzał, że w Żorach tylko śpi. Z rana jeździł do Katowic tą pieprzoną, jak mawiał wiślanek, a wieczorami do „pituluwy”, jak nazywał dom. Lubił wracać do płyt, kaset i książek, ale przede wszystkim do żony i syna Pawła. Żartował trochę melancholijnie, że jest niedzielnym ojcem, bo w tygodniu nie miał czasu dla jedynaka. Usiłował nadrobić to w weekendy. Zabierał Pawła na rowerowe wycieczki, na basen, a gdy chłopak trochę podrośł, także do swoich kolegów. W 1996 roku kupił sobie auto takie, jakie chciał mieć. Był to czarny renault megan coupe, jeden z pierwszych na Śląsku. Jeździł nim bardzo ostro, w dodatku nieraz na „zderzak”, ale był świetnym kierowcą.*

Feralnego dnia (w Wielką Środę) oboje z Jolą wychodzili z domu ok. godz. 9. Tuż przed wyjściem naszło go na żarty: zaczął się przy drzwiach prowadzących do piwnicy, żeby nastraszyć żonę. Gdy się zbliżyła, wyskoczył z cienia krzycząc „Uuu!”. – *Przeraziłam się i zezłościłam, on wtedy przytulił mnie i długo trzymał w objęciach, choć nigdy się tak nie żegnaliśmy. Nie było czasu –*



Rok 1989. Marek, Leszek, Grażyna i jej bratowa Renata na wycieczce.

wspomina Jola. Wkrótce zjawiała się u niej policja z wieścią, że Marek nie żyje. Zginął w wypadku na wiślanec, do którego doszło na wysokości lasu Dębina, gdzie są koleiny głębokości do 30 cm. Jola zadzwoniła zaraz do Leszka i powiedziała, że Marek się zabił. – *W pierwszej chwili oniemiałem sądząc, że popełnił samobójstwo – wspomina Leszek. Pamięta, że w rozbitym renaulcie nie było ani kropli krwi, leżała tam za to napoczęta paczka białych marlboro. – Czy on nie zginął przez papierosy? Jechał do Katowic, a na tej trasie pierwszego marlboro zapalał w Żorach, drugiego na świątłach w Mikołowie. Nie wiem zresztą, jak to się stało, zwłaszcza że miał zapięte pasy, co w jego przypadku było niesłychane. Gdy zebraliśmy się w Wielki Piątek, żeby zorganizować się na po-*

grzeb, każdy z nas miał jedną myśl: coś ty nam zrobił, Keaton? – snuje rozważania Leszek.

To on pomagał załatwić Joli formalności pogrzebowe. Przekonał się wtedy, jak trudno kupić trumnę dla kogoś, kto miał 190 cm wzrostu. Pamięta jeszcze jedno. Tydzień przed tragedią spotkał się z Markiem na swojej działce. Nazajutrz po jego śmierci znalazł tam peta z marlboro, a potem jeszcze kilka, choć wcześniej ich nie widział. W sumie było ich pięć. Wziął je ze sobą, ale na trzeci dzień bał się już pójść na działkę sam, bo miał wrażenie, że pety to znak zza grobu. W końcu żona Grażyna zabrała mu je w obawie, że zwariuje, a matka kazała się pomodlić. Po Marku w domu zostały sterty płyt, książek, gazet, rysunków. Jola dotąd nich nie tknęła. – *Nigdy nie pogodzę się ze śmiercią męża. Najbardziej boli mnie to, że nie zdążyłam powiedzieć mu tylu rzeczy – mówi cicho.*

Paweł, który niedawno skończył 16 lat, wyjątkowo dzielnie zniósł śmierć ojca. Jola sądzi, że pójdzie w jego ślady, bo już widać, że ma dobre pióro. Na razie działa w harcerstwie, w przeciwieństwie do taty, który nigdy nie należał do żadnej organizacji. Mawiał, że chce być wolnym człowiekiem. I był. Żorzanom zostawił w spadku swoje nazwisko uwiecznione w książkach o historii dzielnicy Rowień, która już się ukazała, oraz o historii dzielnicy Osiny, która dopiero się ukaze. Wydawcą obu jest muzeum miejskie, któremu szefuje Lucek.



Początek lat 90. Marek i Leszek z synami na spacerze z psem.

MILENA WIECZOREK

Ostatnia uczta

O pieśni święte i święte obrazy
Olbrzym błękitu z palającym słońcem
przezroczyści, przez trawę z przewróconej wazy

płynie czerwień ku nam i przyciemnia wszystko
serce stuka prędko i po schodach zbiega
z amfiteatru nieba król antycznej dramy

Eros, bóg bogów w uśmiechniętej masce
Niesie krzyk we śnie i w chlebie truciznę
Eros, nóż ojców, podarunek starców
dla młodzieńców i dziewcz

Dlatego ojczyznę
wolę inną - wiry czarnej rzeki
unoszą mnie i zostawiam tylko
na brzegu znicz Niczego mi nie żal
(za boleśnie za wcześniej opłakałam wszystko)

We Florencji

*Gniew jej rośnie ze słowem kruszącym kamienie,
potem odchodzi - a za nią mój sen.*

Anioł przede mną - sam tajemny ład
świętego gniewu, gwałtowny zatrzymany ruch -
przez błękitny rękaw niebo się wylewa
w oku gwiazda z otchłani sprzed pięciuset lat

Tajemnicę przyciska do piersi, odchodząc
spogląda wstecz; ludu okrutny i piękny
malowany na murze rzeźbiony w marmurze
śnie wstający z kamienia, odchodzący w sen

Kora paryskiego metra

Zostałam królową podziemnego miasta
gorszego niż poprzednie - bezszelestne windy
schody ze stali, głuche labirynty
ulic mostów i placów - bez drzewa bez trawy
i bez jednego ptaka, nie ma nawet rzeki
choćby czarnego Styksu ociążałej Lety
...I widzę ludzi - chodzą jak drzewa...
niemi i ślepi Wciąż przecieram oczy
chcę się obudzić zobaczyć naprawdę
spróbować głosu - poruszam ustami
wolno i z trudem, noc i cisza duszą
Potężny paraliż - granitowy orzeł
siada mi na ramiona - boli, moja matko
ratuj mnie o Demetr obracam się w koszmar
półkamień półkobietę, pożera mnie kamień
obudź mnie, obudź, nim będzie za późno

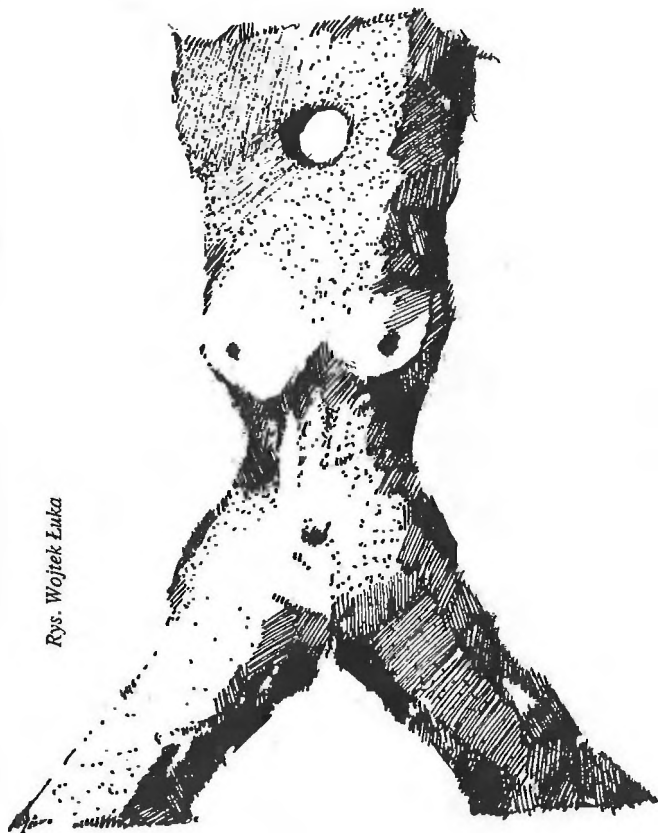
Modlitwa z tego i z tamtego świata

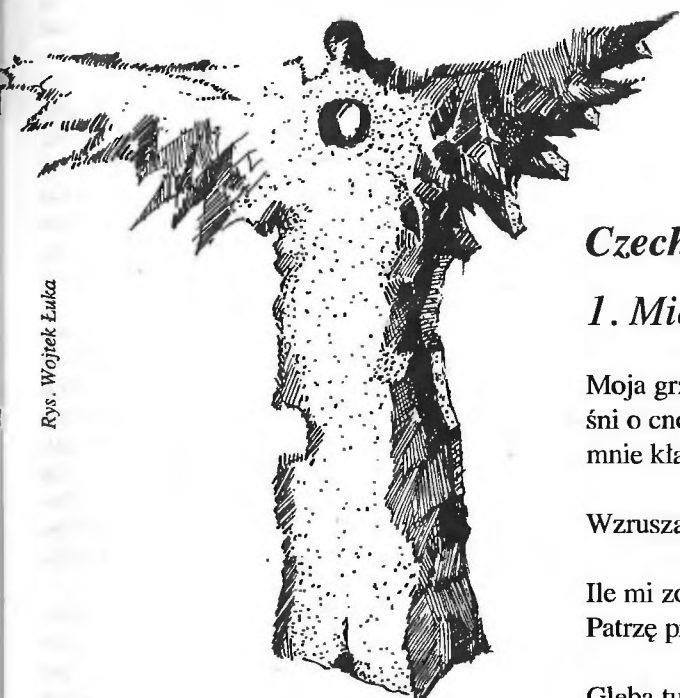
Ach jeśli dasz mi siłę
modlitwa moja uderzy jak piorun i zapali ołtarz
i pierzchną cienie
zaświecę Twym czystym płomieniem

przez chwilę

do której zatęsknię potem półżywa półślepa
błądząca w katakumbach bez lampy i chleba
płonąca rana przypomni mi drogę bezcenną
przez ciemność

Rys. Wojtek Łuka





Czechow

1. Mielichowo

Moja grzesznica w czystej białej listy pisze
śni o cnocie i wiecznej miłości skarży się śpiewnie nazywa
mnie kłamcą

Wzruszam ramionami

Ile mi zostało - siedem osiem lat
Patrzę przez okienko hen na mielichowskie pola

Gleba tu nasycona modlitwą jak deszczem

Muzyk na podwórku z zarośniętą gębą
spojrzenie ma Pańskie
śpiewa jak archanioł
Nawet gdy ubije sękatą pięścią
to Bóg wie czy się nie nawróci na katordze

Bo się zatrwoży za niego cała Ruś choć złorzeczy z chłopska
Bo ja się trwożę za niego każdą literą

Uciekać by z tej cerkwi czarnej

Przynieście szampan dużo lodu dużo kawioru
Trzeba krew zapić zapomnieć, pokochać naprawdę

W Clairvaux

I

„Jak żelazo rozżarzone w ogniu
jak powietrze płonące na słońcu
jak kropla wody
w ciemnym morzu wina
tak cieszę się
Tobą - ”

II

Przebacz
niech rośnie
smukłe okno - iza
abyśmy Cię widzieli
zachodzącego krwawo
na ogromnym stole
oceanu

Przebacz
Oczyść nasze tkanie nasze drzewo
abyśmy Cię
pili srebrnymi
listkami

2. Jalta

Jestem w domu
To mój dom
i ogród - poranny raj chwila odżywcza
W ciemnym salonie świece rosną białe
Nie mam złudzeń Olu ja też z krwi i kości
Wiem, że musisz t a m być żeby tęsknić
Baw się dobrze do torsji

Spokojnie tu
Tylko umierać
Sławny pisarz z tykiem szampana w wiekopomnych ustach

Z pewnością mamy do czynienia z momentem wyjątkowym, szczególnym, tym bardziej, że te najważniejsze laury filmowe i literackie przypadły artystom młodej generacji. Z pewnością stwarzają one sugestię wielkiej potencji filmowego Śląska. I o nią tutaj chodzi. Stawiam zatem pytanie: czy Śląsk jest filmowy? No i co to właściwie znaczy, że Górny Śląsk jest więcej czy też mniej filmowy?

Nie chodzi jednak wcale o to, czy Górny Śląsk jest w ogóle filmowy jako taki, w sensie przestrzennym i kulturowym. Bo na to pytanie znamy odpowiedź od dawna, przynajmniej od premier kolejnych filmów śląskich Kazimierza Kutza, które z tak wielką siłą wyrazu wprowadziły pejzaże i tradycje górnośląskie do kultury polskiej. Zarazem filmy Kutza stworzyły tradycję kina śląskiego, do której odnosiły się później filmy innych reżyserów na zasadzie bądź to kontynuacji, bądź też polemicznej. Jest faktem, że żaden inny region w Polsce nie był tak często penetrowany przez filmowców. A częste opisy regionu przez filmowców stworzyły siłą rzeczy tradycję kina śląskiego.

W tej tradycji mieszczą się zarówno dzieła Kazimierza Kutza, jak i filmy Janusza Kidawy, seriale Zbigniewa Chmielewskiego, a z nowszych dokonania: *Wojaczek* i *Angelus* Lecha Majewskiego, *Gorący czwartek* Michała Rosy i *Moje miasto* Marka Lechkiego, by poprzestać tylko na kilku tytułach fabularnych. Do tego dochodzą liczne dokumenty i seriale dokumentalne z lat dawniejszych i ostatnich, jak choćby *Serce z węgla* Ireny i Jerzego Morawskich.

Wydaje się zatem rzeczą oczywistą, że Górny Śląsk jest ciekawy filmowo właśnie z powodu swej kulturowej odmienności i z powodu zdeformowanego przez procesy cywilizacyjne krajobrazu. Także z powodu wielu procesów społecznych, które dokonują się obecnie. Nawet sama skala wielkości aglomeracji górnośląskiej i dzisiejsze zróżnicowanie Górnego Śląska to czynniki pociągające sztukę filmową jako sztukę przeciw wizualną. W takim rozumieniu filmowości jest oczywiste, że region jest filmowy, a nawet jawi się jako kraina wyjątkowo filmowa, co też poświadczają coraz liczniejsze filmy o nim kręcone.

Jednak chodzi tu więcej o realne kształty branży filmowej. W tej materii sprawy nie wyglądają już tak wspaniale, jakby sugerowały to ostatnie sukcesy Magdy Piekorz i Wojciecha Kuczoka.

Przed wszystkim trzeba sobie powiedzieć, że w branży filmowej pod-

Jesienią zeszłego roku *Pręgi* w reżyserii katowiczanki Magdy Piekorz, zrealizowane według scenariusza chorzowianina Wojciecha Kuczoka, zwyciężyły w konkursie Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Dwa tygodnie później scenarzystę filmu nagrodzono najważniejszą polską nagrodą literacką Nike za powieść *Gnój*, która była punktem wyjścia dla scenariusza filmu.

Szanse filmowego Śląska

JAN F.
LEWANDOWSKI

stawę stanowi triada: produkcja – dystrybucja – kina, która wszędzie na świecie jest osią biznesu filmowego, a w pośredni sposób całości ruchu filmowego. Trzeba bowiem najpierw filmy wyprodukować, żeby następnie je sprzedawać i rozpowszechniać poprzez wyświetlanie w kinach czy w inny sposób. Nawet studyjna projekcja jakiegos dzieła klasycznego w najbardziej elitarnym klubie filmowym ma swoje źródło w tym, że owo dzieło klasyczne zostało przecież wyprodukowane.

Jeśli przełożymy tę triadę przemysłu filmowego na mapę regionu górnośląskiego, to okazuje się, że w istocie posiadamy tylko jej trzeci element, to znaczy kina. Nie ma na Górnym Śląsku ani wytwórni filmowej, nie ma też producentów filmów fabularnych. Można co prawda powiedzieć, że produkcja filmowa najczęściej skupiona jest w największych centrach europejskich, ale przecież wcale nie do końca. Najważniejsze jednak, że w Katowicach istniały już niegdyś ośrodki produkcji filmowej, jak zespół filmowy „Silesia” czy wytwórnia telewizyjna „Poltelu”, a dzisiaj już nie istnieją. W decydującej dla całości rynku filmowego sferze produkcyjnej można zatem mówić wręcz o regresie w stosunku do lat 70.

Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźniej, że tamte lata zapowiadały wizję śląskiego Hollywoodu. Bo wła-

śnie w latach 70. pojawiały się tutaj co kilka lat kolejne ważne instytucje filmowe. Najpierw w 1972 roku zespół filmowy „Silesia” założony przez Kazimierza Kutza, potem w 1976 roku telewizyjna wytwórnia filmowa „Poltelu” z własnymi halami zdjęciowymi, wreszcie w 1978 roku Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, czyli Szkoła Filmowa, wszystkie z siedzibami w Katowicach.

Do tego w 1974 roku narodziło się filmoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim, a w przełomowym roku 1981 powstało Śląskie Towarzystwo Filmowe, które później, w latach 80. odegrało tak znaczącą dla środowiska filmowego rolę konsolidacyjną. Dopowiedzmy jeszcze, że lata 70. to lata rozkwitu amatorskich i dyskusyjnych klubów filmowych.

Z dzisiejszej perspektywy to dziesięciolecie rozpoczęte założeniem zespołu „Silesia” w 1972, a zamknięte inauguracją Śląskiego Towarzystwa Filmowego w 1981 roku wygląda zatem na zupełnie wyjątkowe w dziejach filmowego Śląska. Właśnie dlatego, że pojawiły się ośrodki produkcyjne na terenie niemal dziewiczym, w miejscu gdzie nie było środowiska filmowego.

Zupełnie niezwykła, wyjątkowa szansa śląskiego ośrodka filmowego została jednak w znacznej mierze zmarnowana. Z czasem zlikwidowane zostały: zespół filmowy „Silesia” (na początku lat 80.) i wytwórnia „Poltelu” (na początku lat 90.). Z owych trzech instytucji założonych w latach 70. pozostała dzisiaj tylko Szkoła Filmowa, która w przeszłości bywała też wiele razy zagrożona likwidacją.

Jest paradoksem, że w latach 70. powstały na Śląsku instytucje produkcyjne, a nie było w gruncie rzeczy filmowców, a dzisiaj mamy sytuację odwrotną. Nie ma już tamtych ośrodków produkcyjnych, a tymczasem – dzięki Wydziałowi Radia i Telewizji – mamy coraz liczniejsze środowisko filmowców, którzy na miejscu rzadko mogą znaleźć pracę.

Do dzisiejszych aktywów filmowego Śląska należy bezsprzecznie Wydział Radia i Telewizji, który kształcił reżyserów, operatorów i organizatorów produkcji. Szkoła daje też zatrudnienie co najmniej swoim absolwentom, zatrudniając ich w roli wykładowców. Już przez samo tylko swoje istnienie Szkoła odgrywa zatem rolę kluczową, skoro wypuszcza co roku kolejnych młodych filmowców, tworząc w największej mierze tutejsze środowisko filmowe, które powinno stać się teraz zarzewiem zmiany

w całym systemie rynku filmowego w regionie.

W każdym razie mamy dzisiaj na Górnym Śląsku liczniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości środowisko filmowe. Znajdujemy w nim, po raz pierwszy w historii filmowego Śląska, wszystkie pokolenia. Od senatora Kazimierza Kutza poprzez pokolenie starsze (m.in. w dokumencie Wojciech Sarnowicz, w fabule 50-letni Lech Majewski po sukcesach *Wojaczka* i *Angelusa*) aż po coraz liczniejsze pokolenia młodsze.

Spśród wielu filmowców urodzonych w latach 60. wystarczy tu wspomnieć Adama Sikorę (operator *Wojaczka* i *Angelusa* i także reżyser m.in. *Bluesmenów*), Michała Rosę (*Gorący czwartek*, *Farba* i *Cisza*), Macieja Pieprzycę (seria świetnych dokumentów i fabularne *Inferno*), Jolę Ptaszyńską (sławny przed kilku laty film eksperymentalny *De Aegypto*), Andrzeja Celińskiego (jego dokumentalna *Dworcowa ballada* o bezdomnych dzieciach Mysławy robi właśnie karierę światową), Beatę Dzianowicz (wiele dokumentów, a ostatnio reportaże z Afganistanu), Pawła Bogocza (liczne wideoklipy i niedawna nagroda Fryderyka za najlepszy teledysk roku), Gerwazego Regułę (fabuła *Los Chlopacos* i nagrody scenariuszowe), wreszcie dokumentalistkę Dagmarę Drzazgę (ze spektakularnym sukcesem *Bobrek Dance*). To tylko niektóre nazwiska tej najbardziej czynnej dzisiaj generacji.

Wspaniały debiut Magdy Piekorz otwiera generację najmłodszych autorów, tych z lat 70., którzy mają lat trzydzieści i mniej. Jedynie dla przykładu można tu wspomnieć Radosława Markiewicza (*Złom*), Marka Lechkiego (*Moje miasto*), Bartosza Konopkę (*Ballada o kozie*), Tomasza Szafranieckiego (*Koniec wojny*), Macieja Żaka (*Ławeczka*) czy operatora Marcina Koszałkę (zdjęcia w *Pręgach*), by poprzestać na tych, którzy mają już za sobą pierwsze filmy i pierwsze sukcesy. A przecież ta generacja najmłodszych, dopiero zaczyna się objawiać. Sukces debiutu Magdy Piekorz może mieć dla niej duże znaczenie w sensie psychologicznym.

Do reżyserów i operatorów dodajmy jeszcze i scenarzystów. Zatem wspomnianego już Kuczoka (będącego do niedawna także i krytykiem filmowym, najpierw w elitarnych katowickich „Opcjach”, a potem „Tygodnika Powszechnego”), ale także Macieja Meleckiego (współpracującego z Majewskim przy *Wojaczku*), Bartosza Kurowskiego (stałe współpracującego z Pieprzycą) i wreszcie

Mieczysława Herbę (mało kto wie, że jest współscenarzystą filmu Jerzego Stuhra *Pogoda na jutro*).

Tymczasem zaplecze instytucjonalne filmowe na Górnym Śląsku jest niewielkie. Bo prócz Wydziału Radia i Telewizji istnieje tylko samorządowa Instytucja Filmowa „Silesia Film” nastawiona głównie na promocję kina regionalnego i tworzenie regionalnej Filmoteki Śląskiej. Te dwie znaczące publiczne instytucje filmowe w regionie (to znaczy Wydział Radia i Telewizji oraz „Silesia Film”) zajmują się z natury rzeczy realizacją zadań statutowych, czyli kształceniem filmowców oraz promocją filmu i upowszechnianiem kultury filmowej, a nie produkcją filmową. Jeśli pojawiają się w nich inicjatywy produkcyjne, to jednak na marginesie działalności zasadniczej, co wydaje się oczywiste.

Przeobrażenia systemowe po roku 1989 nie spowodowały w branży filmowej zasadniczej zmiany w najbardziej niewralgicznej materii produkcji filmowej. Nie ma na Górnym Śląsku w dalszym ciągu producentów kina fabularnego, nawet w sferze znacznie tańszej i łatwiejszej produkcji dokumentalnej. W tej ostatniej notujemy zaledwie kilka firm produkcyjnych, jak Studio Filmowe „Wizual” Krzysztofa Millera w Tarnowskich Górach (założone jeszcze w 1989 roku jako pierwsza w regionie prywatna firma produkcyjna), założoną nieco później przez Michała Smolorza i Wojciecha Sarnowicza „Antenę Górnośląską” w Katowicach, Supra Film Zbigniewa Maleckiego. Do tego można dodać ewentualnie Angelusa Silesiusa, firmę Lecha Majewskiego. I to już niemal wszystko. Pojawiają się co prawda i inne prywatne firmy produkcyjne, lecz nie odgrywają one na razie na rynku filmowym poważniejszej roli.

Zdarza się zatem i tak, że sami reżyserzy rozpoczynają produkcję nawet filmów fabularnych za własne pieniądze, jak dowodzi tego przykład z offowym filmem *Los Chlopacos* Gerwazego Reguły. Można nawet założyć, że podobnych przedsięwzięć będzie coraz więcej, że sami twórcy filmowi będą musieli tworzyć własne firmy i na dodatek infrastrukturę jakiegoś nacisku i zdobywania funduszy, żeby po prostu zaistnieć na Górnym Śląsku i w Polsce. Do działań w tej kategorii należy Stowarzyszenie Filmowców „Fabryka Silesia”, założona w 2001 roku przez Adama Sikorę, Jolę Ptaszyńską, Pawła Bogocza i Gerwazego Regułę. Nawiasem mówiąc, są to niemal w komplecie liderzy dawniejszego

Studia Form Telewizyjnych, powstałego przy Telewizji Katowice w 1992 roku i działającego z sukcesami artystycznymi przez kilka sezonów.

Zasadniczą rolę w przemianach rynku filmowego w regionie mogłaby odegrać Telewizja Katowice, która przecież i teraz produkuje filmy dokumentalne i reportaże dla samej siebie. Mogłaby, gdyby zamawiała też filmy u producentów zewnętrznych, tak jak to robi Telewizja Polska w Warszawie. Bo zarówno w Warszawie, jak i wszędzie w Europie, produkcję dokumentalną (a często także i fabularną) stymulują i pobudzają przede wszystkim zlecenia stacji telewizyjnych. Także na Śląsku telewizja regionalna powinna być motorem przemysłu filmowego, lecz nie będzie nim tak długo póki w telewizji publicznej nie nastąpią strukturalne zmiany. To znaczy póki Telewizja Katowice nie stanie się prawdziwą telewizją regionalną z własnym programem i własnymi finansami z abonamentów. Na razie więc Telewizja Katowice nie spełnia roli motora lokalnego rynku filmowego, chociaż rolę taką mogłaby i powinna spełniać.

Dzisiaj więc znowu, jak niegdyś w latach 70. Górny Śląsk ma swoje filmowe szanse. Dzisiaj szansę tę stwarzają filmowcy ze Śląska, a zwłaszcza po sukcesie filmu *Pręgi*. W felietonie na łamach „Gazety Wyborczej” Kazimierz Kutz skomentował tę sytuację dobitnym tytułem: *Światło z Górnego Śląska*.

Nie trzeba być nawet filmowcem czy krytykiem filmowym, żeby spostrzec, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym, dlatego cytuję tu zdanie Krzysztofa Karwata sprzed kilku lat. „Nie ulega wątpliwości – pisał Karwat w „Dzienniku Zachodnim” w 2001 roku – że śląskie środowisko filmowe znajduje się na fali i od dawna nie należy go kojarzyć wyłącznie z nazwiskiem Kazimierza Kutza. Myślę, że nasi reżyserzy, operatorzy, scenarzyści czy aktorzy, w ogóle ludzie związani z przemysłem filmowym, jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa. Wszystko, co najlepsze, dopiero przed nimi”.

Te słowa okazały się prorocze. Lecz widać przecież także zagrożenia. Posługując się po raz ostatni sukcesem filmu *Pręgi*, można powiedzieć, że śląscy filmowcy potrafią kręcić dobre filmy, a nawet odnosić sukcesy. Byle tylko nie musieli emigrować ze Śląska w poszukiwaniu wspomnianego przemysłu filmowego, którego tutaj po prostu nie ma.

Gdy w końcu ze-
szłego roku
pisałem o szansach fil-
mowego Śląska, podpie-
rałem wywód najważ-
niejszymi laurami na ze-
szłorocznym festiwalu
w Gdyni. Nikomu wtedy
nie śniło się, że Andrzej
Celiński i Hanna Polak
osiągną nominację do
Oscara w kategorii doku-
mentu za *Dzieci z Lenin-
gradzkiego*. Tymczasem
ta nominacja jest wyjąt-
kowo spektakularnym
sukcesem. Jeszcze jed-
nym przykładem rangi
śląskiego środowiska fil-
mowego.

Dokument Andrzeja
Celińskiego i Hanny Po-
lak znany wcześniej i pre-
zentowany na kilku poka-
zach w Katowicach pod
tytułem *Dworcowa bal-
lada* należy do kategorii
dzieł wstrząsających. To
zapis życia bezdomnych
dzieci z moskiewskiego metra, za-
pis porażający sugestywnością sy-
tuacji. Wrażenie wywołują same
opowieści dzieciaków i zdjęcia
z ich życia codziennego. Pamię-
tam, że po projekcji filmu w Klu-
bie Filmowym „Silesia” w Katowi-
cach zapadła po prostu cisza, która
trwała i trwała. Nie sposób było
rozpocząć rozmowy z Celińskim,
póki nie wystygły nieco emocje.

Dzięki tym kilku projekcjom
Katowice poznały jakiś
czas temu Andrzeja Celińskiego –
reżysera filmowego, którego
wcześniej nie znały. Do Katowic
Celiński przybył przed laty z Kra-
kowa (gdzie urodził się w 1961
roku), a do branży filmowej trafił
z teatru, gdzie rozpoczął karierę
twórczą. Właściwie najpierw trafił
do Teatru Rozrywki w Chorzowie
w połowie lat osiemdziesiątych,
po studiach aktorskich w Pań-
stwowej Wyższej Szkole Teatral-
nej w Krakowie. Jednak aktorstwo
najwyraźniej mu nie wystarczało
i wkrótce skończył także studia
reżyserskie. Ponadto zajmuje się
w teatrze scenografią. Do tego
sam zaczął pisać sztuki teatralne.
Można powiedzieć, że należy do
artystów wszechstronnych.

W śląskim środowisku teatral-
nym o Celińskim zaczęło się mó-
wić w końcu lat dziewięćdziesią-
tych, gdy w Korezie w Katowicach
wyreżyserował własną sztukę
Hamlet, czyli *oniryczny, postmo-
dernistyczny skecz sceniczny* z sa-



Andrzej Celiński

zaczęła się zresztą wła-
śnie od Hanny Polak,
która znalazła się w Mo-
skwie, studiowała tam na
kierunku operatorskim
i założyła organizację po-
magającą bezdomnym
dzieciom.

W efekcie *Ballada
dworcowa* jest dokumen-
talnym zapisem życia
bezprizornych z mo-
skiewskiej stacji metra,
dziełem wspólnym Ce-
lińskiego i Polak, które
powstało w niesłychanie
trudnych warunkach pro-
dukcyjnych. Dość powie-
dzieć, że kilka razy reali-
zatorów zatrzymywała
rosyjska policja, a nakre-
cone materiały były
kasowane. Zdarzyło się
nawet, że filmowcy trafi-
li do więzienia na Łu-
biance. Dodajmy, że
w gruncie rzeczy film
powstał za prywatne pie-
niądze autorów, a jego

produkcję przerywano kilkakrot-
nie właśnie z braku funduszy.
W końcu jednak *Dworcowa balla-
da* rozpoczęła wielką festiwalową
karierę na europejskich festiwa-
lach kina dokumentalnego.

Jak dotąd nie doszło do emi-
sji filmu w polskiej tele-
wizji publicznej. Jakiś czas temu
filmem Celińskiego i Polak zain-
teresowała się natomiast potężna
amerykańska kablówka HBO, co
z pewnością przyczyniło się do
Oscarowej nominacji. I tak po-
wstał nieco inny film, znacznie
krótszy i z nowym tytułem: *Dzie-
ci z Leningradzkiego*. Jego pod-
stawą stały się materiały, które
posłużyły wcześniej do zmonto-
wania *Dworcowej ballady*.

W efekcie reżyser z Katowic An-
drzej Celiński, wraz ze współautor-
ką Hanną Polak (też z Katowic),
pojawił się 27 lutego 2005 roku
w wielkiej sali Kodak Theatre
w Los Angeles wśród wielu innych
artystów oczekujących na otwarcie
kopert z werdyktami Amerykań-
skiej Akademii Filmowej.

Jak wiemy, *Dzieci z Lenin-
gradzkiego* ostatecznie nie dosta-
ły Oscara, skończyło się na nomi-
nacji. Jednak sama tylko nomina-
cja do Oscara jest przecież sukces-
sem niezwykłym, pożądanym
przez filmowców z całego świata.
I także wielkim zdarzeniem w ży-
ciu filmowego Śląska.

JAN F. LEWANDOWSKI

„Najlepszym filmem” wedle tegorocznego werdyktu Akademii Filmowej w Los Angeles jest „Million Dollar Baby” (polski tytuł: „Za wszelką cenę”) z czym można się zgodzić, porównując go do „Aviatora” M. Scorsese, ale nie znaczy to, że mamy do czynienia z dziełem wybitnym. Do wybitności w tegorocznym zestawie mogłaby aspirować jedynie „Pasja” Mela Gibsona, co jest moim prywatnym punktem widzenia, ale nie miałem wątpliwości, iż dzieło o Męce Pańskiej zostanie przez Hollywood potraktowane bez entuzjazmu, tak samo jak dziwiłem się Niemcom, którzy wytypowali do Oscara (nieanglojęzycznego) „Upadek”, film o ostatnich dniach Adolfa Hitlera! Czyżby sądzili, że Hollywood jest spragnione eposu o sprawcy Holocaustu?!

Konkurs, bo to jest konkurs, wygrał film wyreżyserowany przez Clintę Eastwooda, i to wyreżyserowany doskonale! Oscar za reżyserię dla Eastwooda jest zasłużony!

Kto ma w pamięci dość przecież szablony, a nawet prostackie filmy akcji o brudnym Harrym, z trudem daje wiary, że ten sam Clint Eastwood jest zdolny do tak intensywnego, czulego i współczującego wejrzenia w drugą ludzką istotę. Nie mówię jedynie o roli starego trenera Frankiego Dunne’a (Eastwood jest w niej wiarygodny, choć może nie fascynujący), lecz o postaciach granych przez Hilary Swank (31-letnia kelnerka/bokserka Maggie Fitzgerald) i Morgana Freemana (Eddie Scrap). Przyjęcie przez Eastwooda perspektywy narracyjnej nie „wprost”, lecz „z boku” – opowieść z off-u snuje Eddie Scrap – było dobrym pomysłem reżysera. Słowa starego boksera, zarazem przyjaciela Frankiego Dunne’a, ale i – pośrednio – jego ofiary, wnoszą do filmu cierpką gorycz, ale i przyjazne ciepło, cierpienie i odrobinę nadziei. To coś więcej niż rola; coś więcej niż soczysta, wielowymiarowa kreacja; ta jest jak przeszło, które dźwiga cały ciężar filmu. Eddie Scrap jest bowiem czymś w rodzaju sumienia starego trenera. A mówiąc ściślej: wyrzutem sumienia. Przypomina przyjacielowi sprawy, o których tamten wolałby zapomnieć.

Zrazu nic nie zapowiada katastrofy, do której ostatecznie prowadzi ten film. Nie podejrzewamy, że stary trener stanie wobec tak ostatecznego wyboru natury etycznej, przed jakim staje, ponieważ mniej więcej do połowy, a nawet dłużej oglądamy doskonale opowiedziany film sportowy. Oto stary trener, doskonały fachowiec, który ma swój klub bokserski, jednego w tej bokserskiej stajni „rumaka”, zdolnego stanąć do walki o mistrzostwo świata. To nie mało.

Wiedzie mu się całkiem nieźle. Ale rychło dostrzegamy dwie rysy: stary człowiek podnosi z podłogi list z adresem zwrotnym i odkłada go na półkę, gdzie takich listów leży już kilkadziesiąt. Niebawem wyjdzie na jaw, że te listy odsyła mu córka. Więcej się nie do-



Za wszelką cenę

wiemy. Ale czyż trzeba więcej? Wyrażnie widać, że córka jakiejś przewiny nie wybaczyła mu i raczej nigdy nie wybaczy. Druga rysa: ów „rumak” chce stanąć do walki o tytuł mistrza świata, lecz stary trener uważa, że jeszcze nie jest gotów. Ale niebawem się dowiemy, że stary trener jest kunktatorem, człowiekiem nie zdolnym do stawienia czoła bezwzględnemu wyzwaniu.

To rzemieślnik w okółbokserskim fachu, ale nie wojownik, nie „fighter”. I coś jeszcze wiemy: wystawił kiedyś do walki o tytuł mistrza świata swego przyjaciela (stary bokser), lecz źle pokierował tą walką i bokser stracił oko, co przekreśliło raz na zawsze jego karierę w ringu. Może więc boi się ponownego ryzyka? Może już nigdy nie zaryzykuje?

Nie od razu też orientujemy się dla czego twórca filmu tak mocno osadza swego bohatera we wspólnocie religijnej, a ściślej: kościelnej. Kościół jest katolicki, okazuje się, że stary trener jest z pochodzenia Irlandczykiem, mocno związany i z parafią i z księdzem. Ale też zadającym księdzu kłopotliwe, denerwujące pytania. Jakby ów stary trener czerpał przyjemność w podszczyptywaniu dogmatów wiary. To jednak ważne ogniwo, i pod koniec filmu odegra istotną rolę w decyzji starego trenera.

Najlepszy bokser odchodzi z jego klubu, lecz na horyzoncie pojawia się dziewczyna (31-letnia kelnerka), która chce boksować. Ot, taki damski Rocky!

POZA KADREM

Ktoś z nizin, kto – drogą sukcesu sportowego, za cenę morderczego wyczynu – chce zmienić swój status, a może i coś więcej: swój los. Na scenę wkracza Hilary Swank, fenomenalna aktorka, która wprawia film w gorączkowe drżenie.

Ale w dalszym ciągu ta hollywoodzka produkcja jest „filmem sportowym”, z tym tylko, że boksera gra kobieta, i oglądamy pojedynki kobiet, które są równie,

a może jeszcze bardziej brutalne od walk mężczyzn. Stary trener pokonał początkowy opór, by z czasem całkowicie oddać się szkoleniu, aranżowaniu pojedynków i negocjowaniu stawek swojej wychowanicy. I znów, jak z owym czarnym „rumakiem”, pojawia się kwestia walki o mistrzostwo świata. Stary trener zwodzi dziewczynę, że jest niegotowa. Właściciel innej „stajni bokserskiej” próbuje ją odbić konkurentowi, lecz dziewczyna, inaczej niż poprzedni atut klubu, odrzuca ofertę. Pomiędzy nią a starym trenerem zawiązuje się pewna więź uczuciowa, coś między niespełnioną miłością do córki, która go odrzuciła, a późnym uczuciem mężczyzny (niemłodego, lecz wysportowanego, nie na darmo gra go Clint Eastwood, co zauroczeniu, czy urzeczzeniu dziewczyny nadaje wiarygodność) do młodej (nie zanadto!) kobiety. Ale to wszystko jest w sferze słów, spojrzeń, zachowań. Trochę więcej niż ojciec, ale na pewno nie kochanek.

I raptem: koniec wszystkiego! W czasie walki o tytuł mistrzyni świata Maggie Fitzgerald zostaje, już po gongu na przerwę, uderzona przez rywalkę w tył głowy; padając, zrywa rdzeń pacierzowy. I oto w jednej chwili: staje się kaleką na zawsze, sparalizowaną od stóp do głów. Niebawem przyplątuje się gangrena. Lekarze amputują jej nogę. Maggie ma jedną prośbę do swojego nie w pełni ojca i nie w pełni kochanka: aby ją zabił.

Albowiem wybawieniem (w pewnym sensie: szczęściem) jest dla niej śmierć. Stary trener musi się zmierzyć nie tylko z sobą, lecz i ze swoim kościołem, ze swoją religią, a więc ze swoim Bogiem. Raz tylko może uczynić w swoim życiu coś naprawdę dobrego, i tym dobrem – jakąż przewrotność losu! – jest właśnie odebranie życia jedynej istocie na świecie, która go kocha.

Zasługą sztuki Clintę Eastwooda jest, iż jego film nie ma żadnych powinowactw z melodramatem. Jesteśmy w kręgu wyboru moralnego właściwego sztuce antycznej. Po wyjściu z kina, nie opowieść nas mocno trzyma w garści, lecz dylemat starego trenera, który stał się także naszym dylematem.

FELIKS NETZ

Zredagowana przez Lecha M. Nijakowskiego książka „Nadciągają Ślązacy” to ważna pozycja, która podsumowuje dziesięciolecie już niemal debatę wokół „narodowości śląskiej” naświetlając ją z różnych punktów widzenia. Znajdujemy tu więc wypowiedzi publicystów, uczonych, artystów; reprezentują oni szerokie spektrum poglądów, od utożsamiania się z narodem śląskim po stanowisko narodowopolskie.

Ślązacy na rozdrożu

JAROSŁAW
TOMASIEWICZ

Muszę tu jednak przyznać się w tym miejscu do pewnego niedosytu. Autonomistów reprezentuje bowiem tylko Jerzy Gorzelik, lansujący koncepcję „regionalizmu otwartego”, dla dopełnienia panoramy ruchu ślązackiego1 warto było też oddać głos jakiemuś rzecznikowi bardziej tradycyjnego „śląskiego nacjonalizmu”. Brakuje mi tu także stanowiska mniejszości niemieckiej. W rezultacie dwa przeciwstawne narażniki tej areny zmagania wyznaczają antagoniści Jerzy Gorzelik i Tadeusz Kijonka; następujące po nich głosy naukowców raczej komentują, wyważają, oceniają. Każdy jednak na swój sposób stara się odpowiedzieć, bezpośrednio lub pośrednio, na postawione w podtytule pytanie: „Czy istnieje narodowość śląska?”. Niechże i mi wolno będzie zabrać głos w dyskusji.

... Mój dobry znajomy, gdański anarchista Jany Waluszko opowiadał mi, jak kiedyś we czterech próbowali założyć własny naród – Górali Żuławskich (czy też Raduńskich). Bez powodzenia. Ten humorystyczny przykład ukazuje, że narodu nie da się stworzyć prostą deklaracją woli, na surowym korzeniu. A jednak Ślązacy jako naród zaistnieli w ostatnim Spisie Powszechnym. Dlatego czuję się w obowiązku tu wyznać, że musiałem zmienić swój pogląd na ten problem. Przed dziesięć laty uważałem Ślązaków za grupę etniczną („plemię”) narodu polskiego; dopuszczałem też istnienie górnośląskiej ponadetnicznej wspólnoty regionalnej obejmującej miejscowych Polaków, Niemców, Czechów. Sam uważałem się za Ślązaka-Polaka. Dziś na pytanie, „czy istnieje narodowość śląska?” muszę odpowiedzieć twierdząco – ist-

nieje bowiem dość liczna grupa osób taką narodowość deklarujących. Jest to więc proste stwierdzenie faktu.

Miedzy Scyllą i Charybdą

Pamiętać wszakże trzeba, że wyniki Spisu nie dają liderom ruchu ślązackiego prawa przemawiania w imieniu wszystkich mieszkańców Śląska ani nawet autochtonów – obok ludzi deklarujących śląską narodowość żyją tu też Ślązacy-Polacy i Ślązacy-Niemcy (że już nie wspomnę Polaków napływowych, nie identyfikujących się ze śląskością).

Zaznaczyć tu muszę zarazem ów terminologiczny niuans: mówię o „śląskiej (ślązackiej) narodowości”, nie o „śląskim narodzie”. Zgadzam się bowiem z podnoszonymi m.in. przez M. Szczepańskiego i L. Nijakowskiego zastrzeżeniami, że Ślązacy nie są narodem w pełnym tego słowa znaczeniu. Zwrócę uwagę, że jeśli naród definiuje się przez jego polityczne dążenie do samostanowienia, to samoograniczanie się RAŚ do autonomii regionalnej stawia pod znakiem zapytania sens istnienie Ślązaków jako narodu. Nie zmienia to jednak faktu, że prawo nie powinno ignorować istnienia tej grupy i usankcjonować jej status jako mniejszości etnicznej. Oczywiście, można podzielać wyrażone w ironicznym tonie obawy T. Kijonki, że otworzyłoby to drogę do tworzenia niezliczonych sztucznych „narodów” typu narodowości kęckiej. Wydaje mi się jednak, że czas zweryfikowałby istnienie takich pseudonarodów, zaś skuteczną zaporą dla ich tworzenia byłoby odebranie im preferencji wyborczych (takie przywileje są rzadko-

ścią w Europie, np. w Niemczech przysługują tylko Duńczykom ze Szlezewiku).

Oczywiście, możemy poddać w wątpliwość także trwałość narodowości śląskiej, uznać, że to przejściowe zawirowanie, że większość zadeklarowanych Ślązaków odnajdzie się w polskości – lub niemieckości. Z pewnością – podkreśla to część autorów – ekspansja ślązackiej świadomości narodowej jest pochodną kryzysu, w jakim znalazła się Polska (nie wydaje się, by tak wielu Ślązaków deklarowało niepolską narodowość w latach 70.). Tym niemniej może się jednak też okazać, że narodowość śląska ukorzeni się, ustabilizuje i rozwinie. A to oznacza, że problem dopiero się zaczyna, otwarty pozostaje bowiem kształt jaki przybierze ślązacka grupa narodowościowa. Wyraźnie znalazła się ona na rozdrożu.

Ruch Autonomii Śląska znajduje się między Scyllą i Charybdą. Racją bytu idei autonomicznej jest teza o istnieniu odrębnej „narodowości śląskiej”; ta ślązacka grupa etniczna zapewnia RAŚ stabilne, ale ograniczone poparcie wyborcze. Chce tego czy nie – Ruch znajduje oparcie tylko na obszarach zamieszkałych przez autochtonów. Z drugiej wszakże strony umacnianie tożsamości ślązackiej w opozycji do polskości antagonizuje innych mieszkańców województwa śląskiego, stanowiących tu większość. Osobiście skłonny jestem uważać, że „ślązacka narodowość” ciąży śląskiemu regionalizmowi niczym kula u nogi. Zapewne RAŚ osiągnąłby większe sukcesy w walce o śląskie sprawy, gdyby nie pojawiła się idea odrębnego narodu.

Gorzelik dostrzega wyjście z matni w przyjęciu koncepcji narodu „obywatelskiego”, otwartego na nieautochtonicznych mieszkańców Śląska. Jego spoiwem miałyby być wspólnota interesów wynikająca z więzi terytorialnej, zakorzenienie w śląskiej tradycji historycznej byłoby wobec niej wtórne. Przyznaję, że takie oparcie śląskiej idei na kryterium terytorialnym a nie etnicznym jest łatwiejsze do zaakceptowania przez nie-Ślązaków. W takim ujęciu śląskości nie jest sprzeczna z lojalnością wobec społeczeństwa polskiego jako całości, można być równocześnie lojalnym Ślązakiem i Polakiem.

Od razu jednak pojawia się wątpliwość związana z postulowanym przez RAŚ kształtem terytorialnym Śląska – otóż utożsamiać się mamy nie z realnie istniejącym dziś regionem, ale ze Śląskiem w „granicach historycznych”. Przyznam, że nie rozumiem, dlaczego moją świadomość ma determinować fakt, że przed wie-

kiem granice przebiegały akurat w ten sposób. Granice zawsze się zmieniały – w swoim czasie podzielona została Irlandia, Dobruża, Tracja, Banat, Wołyń, Szlezwik, Tyrol... Samo pojęcie granic historycznych jest niejasne – bo o granice z jakiego okresu chodzi? Przecież zasadniczą część obecnego Górnego Śląska to historyczna Małopolska! Zwolennicy RAŚ precyzują, że mają na myśli granice Górnego Śląska ukształtowane na przełomie XIX i XX stulecia; w takim razie jednak powinni wykluczyć ze swej wymarzonej ojczyzny Śląsk Cieszyński, od XVIII w. rozwijający się własną drogą (tu zresztą autonomiści nie znajdują oparcia). Jeśli patrzymy przez pryzmat realnych problemów dnia codziennego, to socjoekonomiczna sytuacja bardziej zbliża Katowice z Sosnowcem niż z Opolem.

Bez względu na to, czy się to komuś podoba czy nie, dekady rozwoju w określonych granicach administracyjnych uformowały na nowo lokalne społeczności – manifestowane przywiązanie do „sztucznych tworów” Opolszczyzny czy Podbeskidzia jest tego dowodem. Czy Bielsko-Białą należy podzielić na dwa miasta? O ile skłonny jestem utożsamiać się ze współczesną społecznością regionu, w którym żyję, o tyle asymilacja do śląskiej tradycji historycznej byłaby czymś sztucznym.

Europa regionów a państwa narodowe?

Jest też drugi powód, dla którego taka koncepcja narodu wydaje mi się nierealna. **Rzecz w tym, że więź terytorialna w naszych czasach staje się bardziej anachroniczna niż więź kulturowa. Przyczyną jest gwałtowny wzrost mobilności społecznej, który stawia pod znakiem zapytania możliwość ukorzenienia.** Rozkład więzi lokalnej następuje wskutek rozwoju komunikacji. Coraz częściej wędrujemy – a czy mieszkanie Katowice po przeprowadzce do Zwardonia staje się „etnicznym” Małopolaninem? Uderza to najbardziej w mniejsze społeczności: łatwiej jest zmienić gminę czy województwo niż kraj. W dodatku kultury lokalne są na ogół (choć nie dotyczy to akurat kultury śląskiej) za mało wyraziste, by mogły stanowić punkt odniesienia czy tym bardziej przedmiot dumy. Przyczyna tkwi w unifikującym działaniu mediów – z reguły przecież ponadlokalnych.

Zarazem „patriotyzm obywatelski”, postulowany przez Gorzelika jako alternatywa dla „nacjonalizmu etnicznego”, przetrzymuje kryzys. Widzimy fiaszko melting pot w USA, rozpad Bel-



Nadciągają Ślązacy
Czy istnieje
narodowość śląska?

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Naukowego SCHOLAR, Warszawa 2004, str. 246. Zawiera teksty poświęcone problematyce „narodowości śląskiej”: Mariana Gerlicha, Jerzego Gorzelika, Tadeusza Kijonki, Krzysztofa Kwaśniewskiego, Lecha M. Nijakowskiego, Doroty Simonides, Marka S. Szczepańskiego, Henryka Wańka, Jacka Wodza, Kazimiery Wóź, Bogusława Wyderki. Wydawca adresuje książkę „do wszystkich tych, którzy Śląskiem się interesują. Warto polecić ją także zainteresowanym przemianom i współczesnej tożsamości Polaków”.

gii, renesans nacjonalizmu szkockiego i walijskiego; nawet w Niemczech od kilku lat obserwuje się dyskretny nawrót do idei narodowej. Wszak etniczny charakter ma większość ruchów regionalistycznych będących sojusznikami RAŚ w Wolnym Sojuszu Europejskim! W dobie globalizacji państwa podlegają uwiądowi i coraz trudniej wykrzesać wobec nich obywatelską lojalność. Paradoksalnie trwalsze okazują się więzi nieformalne, oparte na etniczności czy religii (choć oczywiście i one w warunkach dyfuzji kulturowej słabną).

Gorzelik wpisuje swój projekt w ideę Europy Regionów. Warto zdać tu sobie sprawę, że jest to idea rewolucyjna, kwestionująca sens bytu państw narodowych będących wszak podmiotami Unii (nienaruszalność ich granic potwierdza europejski Traktat Konstytucyjny). W dodatku dostrzec można, że podział kraju na samodzielne euroregiony zaspokaja aspiracje Ślązaków, ale większość Polaków zostałaby „uszcześliwiona” na siłę – poza Śląskiem tożsamości regionalne są bardzo słabe. Lepszym rozwiązaniem byłaby postulowana przez Jacka Wodza decentralizacja o zmiennej geometrii – warunkowa i dostosowująca zakres samodzielności do potrzeb.

Weźmy na koniec pod uwagę jeszcze jeden czynnik: przyjęcie otwartej

koncepcji narodu śląskiego doprowadzi do zmajoryzowania rodowych Ślązaków i rozmycia pierwiastka autochtonicznego w „nowej śląskości”. Nie jest to niebezpieczeństwo wydumane. Węgierska ustawa o autonomii narodowo-kulturalnej z 1993 r. przyznała prawo swobodnego określania narodowości każdemu obywatelowi i w rezultacie do wybieralnych organów reprezentujących mniejszości napłynęło wielu etnicznych Węgrów (np. przewodniczącym samorządu polskiego został rodowity Węgier Csaba Bubenko).

Także śląscy autochtoni mogą w ten sposób stracić swój ostatni azyl. **A przecież to chyba chęć jego utrzymania legła u podłoża idei śląskiej narodowości.** Nie wydaje mi się bowiem, żeby obecnie (w odróżnieniu od okresu tuż powojennego) Ślązacy byli dyskryminowani poprzez np. pomijanie w awansach itp. Także wyzysk Śląska jako regionu nie jest czymś wyjątkowym: to nie antagonizm Śląsk – Polska, ale prowincja – stolica. Natomiast mogą czuć się Ślązacy dyskryminowani z powodu niedowartościowania ich kultury: gwary, obyczajów, tradycji. I tu się z nimi solidaryzuję, tu skłonny jestem ich bronić. Tymczasem neoregionalści chcą ten śląski charakter, tradycje, obyczaje zmieniać, reformować, poprawiać... Już dziś przedstawiciele nowych śląskich elit krytykują nieraz charakter realnych Ślązaków w imię idealnego modelu narodu. Nie sposób powstrzymać się od konstatacji: dokładnie to samo robił np. Dmowski...

Dlatego nie należy się dziwić, że w ruchu ślązakowskim obserwujemy też odmienną tendencję, aluzyjnie tylko sygnalizowaną w tekście Gorzelika. Niektórzy działacze starają się wznieść jak najwyższe szanse swojej tożsamości, by odgradzić się od grożących im asymilacją obcych. Rozumieniem ich – asymilacja mniejszości nie cieszy mnie, dotyka przecież też np. Polaków w Czechach. Pozostaje wszakże sceptyczny co do możliwości stworzenia nowej tożsamości w warunkach unifikującej globalizacji. Wszak w dominującej pop-kulturze wszelkie tożsamości się rozmywają, zostają zredukowane do roli mód, kostiumów.

Nadużycia w interpretacji historii

Przed wszystkim jednak trudno mi zaakceptować kształt, jaki otrzymuje „ślązacka tożsamość narodowa”. Zaczniemy może od rozlicznych nadinterpretacji i przekłamań dziejów, jakich dopuszczają się niektórzy historycy tej orientacji w poszukiwaniu le-

gitymizacji historycznej (jak napisał Gorzelik, „prowadzi [to] niektórych entuzjastów idei narodowej odrębności Ślązaków przetartym przez tradycyjne nacjonalizmy szlakiem mitologizacji własnych dziejów”).

Nawet problem języka stał się – jak wykazuje w swym szkicu Bogusław Wyderka – przedmiotem ideologizacji. Pominę tu już humorystyczną teorię, jakoby „język śląski” wywodził się od języka gockiego (!) – konsekwentnie próbuje się zatrzeć ślady jakichkolwiek związków między mową Ślązaków a polszczyzną. Jeden z aktywistów proponował nawet śląską ortografię bez polskich czy bodaj czeskich znaków diakrytycznych. Tymczasem polskość gwary śląskiej trudno zaprzeczyć, nieraz występują tu zwroty staropolskie, wyparte z literackiej polszczyzny przez zapożyczenia (np. separatystyczny „Ślązak” pisał w 1919 r. „My jedli [...] polewkę a nie zupę, ogórczany sałot a nie mizerię”).

„Ślązacka szkoła historyczna” stara się za wszelką cenę uzasadnić „odwieczność” narodu śląskiego choć jest to koncept zrodzony faktycznie w 1996 r. Wcześniej występował incydentalnie, marginalnie – nawet luminarze ruchu separatystycznego tacy jak Koźdoń traktowali śląskość w kategoriach „plemiennych” (regionalnych) a nie narodowych. Teraz jednak taki np. Władysław Wygnaniec przedstawiany jest jako śląski bohater narodowy, broniący ojczyzny przed polską inwazją – a przecież to raczej jego zbuntowani młodszy bracia przejawiali tendencje odśrodkowe.

Polską opcję narodową na Górnym Śląsku (jeśli w ogóle jest dostrzegana!) traktuje się wyłącznie jako wynik „wielkopolskiej agitacji” – choć akurat narodowiec Korfanty był Górnoszlązakiem a regionalista Napieralski Polakiem z Poznańskiego. Jak też wyjaśnić fakt, że Ślązacy z osady Panna Maria w Teksasie, nie poddani wszak polonizacyjnej presji, nie określili się jako odrębny naród, lecz deklarują więź z polskością? Zapomina się wreszcie, że przecież to najpierw Niemcy rozpoczęli germanizację, ruch polski to tylko rykoszet tejże!

Represje i wyzysk, jakie stały się udziałem regionu w okresie Polski Ludowej, konsekwentnie interpretowane są w kategoriach narodowościowych – jako przejaw walki Polaków ze Ślązakami. Nie dostrzega się tu opresji komunistycznej dotykającej wszystkie grupy społeczne (a wszak śląscy komuniści z KPD dyskryminowani nie byli). Przedstawiciele „ślązackiej szkoły historycz-

nej” malując czarną barwą obraz PRL zapominają, że w latach 70. i nie tylko województwo katowickie było przedmiotem zazdrości mieszkańców reszty kraju. Dewastacja Górnego Śląska (ale też Zagłębia Dąbrowskiego!) spowodowana rabunkową eksploatacją jest faktem, ale przecież podobny los dotknął przemysłową północ Anglii – a tu chyba nie mieliśmy do czynienia z „londyńskim kolonializmem”.

... Szczególne emocje budzi problem powstań śląskich (z obowiązkowym cudzysłowem!). Pomimo głoszenia tezy, że powstania były wojną domową, brakuje jakiegokolwiek zrozumenia dla strony polskiej; w praktyce traktuje się powstania – za niemiecką nacjonalistyczną historiografią – jako polską inwazję. Ślązacy historycy przechodzą do porządku dziennego nad faktem, że zarówno doły jak i część kadr POW stanowili Górnoszlązacy a I powstanie wybuchło spontanicznie. Konsekwentnie ignorują te 40 procent rodowitych mieszkańców, które – wbrew autorytetowi Kościoła, wbrew agitacji lewicy – opowiedziało się za Polską.

A praca u podstaw?

I tu dochodzimy do kwestii istotniejszej niż „mitologizacja własnych dziejów”. Gorzelik sam dostrzega niebezpieczeństwo redukcjonizmu, separującego od śląkości miejscowe niemieckojęzyczne elity. Faktycznie jednak cechą konstytutywną ideologii RAŚ jest asymetryczna wybiórczość w konstruowaniu ślązackiej tożsamości: autonomiści akceptują oprócz dość ubogich tradycji stricte regionalnych także tradycje niemiecko-śląskie – ale w ich kanonie już nie mieszczą się Ślązacy-Polacy. Śląscy Niemcy – bez względu na to, jak bardzo nacjonalistyczni – są uważani za swoich, natomiast autochtonów o polskiej orientacji uważa się za zdrajców (jak Korfantego, który przecież w II Rzeczpospolitej bronił Śląska, Ślązaków i śląkości). Konsekwentnie tymczasem byłoby albo budowanie „czystej śląkości” na bazie autochtonizmu (a więc też w opozycji wobec tradycji niemieckiej) – albo tworzenie tożsamości ponadetnicznej również z pierwiastkiem polskim. W przeciwnym przypadku sprawia to wrażenie podążania drogą Haasego i Koźdonia, dla których śląskość miała być tylko wstępem do germanizacji. Przecież pod panowaniem niemieckim Ślązaków czekałby los wymarłych Mazurów, w najlepszym razie wymierających Łużyczan.

... Jak obserwuje Marian G. Gerlich ten konstrukt coraz bardziej umacnia się w świadomości Ślązaków. A przecież tak spreparowana nowa śląska tożsamość też niewiele będzie miała wspólnego z autentyczną tradycją śląską, którą cechowała wielokulturowość i wielowymiarowość. To raczej późny owoc postmodernizmu z jego syntetycznymi, dowolnie tworzonymi, „wymyślnymi” tożsamościami. Zgadza się więc zarówno z Henrykiem Wańkiem, który melancholijnie dostrzega, że tradycyjni Ślązacy już odeszli, jak i J. Wodzem, przewidującym nadejście „nowych Ślązaków” w postaci młodych elit wywodzących się z ludności autochtonicznej.

Mój ogląd sytuacji Ślązaków jest, jak widać, pesymistyczny. Odwołajmy się do teorii Gellnera, na którą lubi się powoływać J. Gorzelik. Otóż Gellner głosi, że narody powstają, gdyż wraz z rozwojem społeczeństw przemysłowych pojawiła się konieczność homogenizacji kulturowej w obrębie państw później nazwanych narodowymi. Tymczasem w przypadku Ślązaków te okoliczności ani teraz, ani w przeszłości nie zachodziły – tak więc w świetle teorii Gellnera brak jest podstaw do zaistnienia „narodu śląskiego”. Oczywiście tej koncepcji nie należy absolutyzować. Gellner nie jest w stanie wyjaśnić szeregu casusów – od nacjonalizmu polskiego po np. łemkowsko-rusiński; jego subiektywistyczna teoria narodu jest nazbyt jednostronna, wymaga wsparcia elementami obiektywnymi. Daje jednak wiele do myślenia.

Co wobec tego należy robić? Nie będę tu oryginalny. Za L. Nijakowskim i T. Kijonką postuluję skoncentrowanie się ruchu ślązackiego na pracy u podstaw – zwłaszcza takiej, która łączy a nie dzieli. Należy ubogacać dziedzictwo śląskiej kultury, zagęszczać sieć inicjatyw tworzących w regionie infrastrukturę społeczeństwa obywatelskiego. Rozwijanie lokalnej i regionalnej samorządności warto przy tym uwolnić od etnicznego, „narodowego” kontekstu (odwołując się do koncepcji austromarksistowskich – rozdzielić autonomię terytorialną i kulturalną). Pamiętać trzeba nade wszystko, że centrum i peryferie zawsze pozostają ze sobą w dialektycznym związku. Jak napisał Krzysztof Kwaśniewski „broniąc roli centrum wobec peryferii można zapomnieć, że centrum ważne jest tylko o tyle, o ile istnieje całość, która zawsze składa się z części, w przeciwnym razie bowiem nie istnieje”.

Śląsk, Ślązacy, śląskość

LECH M.
NIJAKOWSKI

Obyś żył w ciekawych czasach” to, wbrew temu, co wielu sądzi, stare chińskie przekleństwo, a nie życzenie. Ciekawe czasy rozpieszają nielicznych. Większość narażają na bolesne skutki nieustannych zmian i obawy o przyszłość. Nie pozwalają na bezpieczne oparcie się w tradycji i spokojne rodzinne życie. Na Śląsku nastały dziś kolejne „ciekawe czasy”.

Transformacja społeczno-gospodarcza zachwiała nie tylko podstawami bytowymi śląskich rodzin, ale i dotknęła w różnym stopniu wszystkich wymiarów życia, w tym poddała testowi górnośląskie tradycje i wartości. Tematem, który ogniskuje rozliczne problemy i wyzwania transformacji, stał się „problem narodowości śląskiej”. Połączył on jako dyskursywny zwornik rozliczne postulaty i dylematy: od tożsamości rodzimych mieszkańców Śląska, po sanację gospodarczą regionu, wyrażaną hasłem autonomii. W „ciekawych czasach” nie ma także neutralnych książek – wszystkie, nawet wbrew woli autorów, „zajmują jakieś stanowisko”. Możemy to obserwować dziś na Śląsku. Nawet z pozoru czysto akademickie monografie stają się argumentem w bieżących sporach.

Niedawno ukazała się książka znanej profesor historii Marii Wandy Wanatowicz *Od indyferentnej ludności do śląskiej narodowości? Postawy narodowe ludności autochtonicznej Górnego Śląska w latach 1945-2003 w świadomości społecznej* (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2004). To bardzo interesująca książka naukowa. Czas, w jakim się ukazała, prowokuje jednak do spojrzenia na nią z szerszej perspektywy współczesnej debaty o tym, czy narodowość śląska istnieje. Prowokuje do tego sama autorka, która wykracza poza czysto historyczną domenę i opisuje „publiczną debatę nad kwestią postaw narodowych ludności autochtonicznej Górnego Śląska w latach 1989-2003”. Jak podkreśla prof. Wanatowicz: „Określenie „wgląd” jest w odniesieniu do ostatniego dziesięciolecia dopiero co minionego

wieku właściwe z powodów metodologicznych (to bowiem okres zbyt „świeży” dla historyka, a rozpoczęte w nim procesy nie zostały zakończone) oraz ze względów warsztatowych” (s. 133).

Już na wstępie należy podkreślić, że autorka zajmuje się problemem statusu i identyfikacji ludności rodzimej „w świadomości społecznej”. Nie podejmuje zatem badań nad tożsamością współczesnych Ślązaków, co jest domeną socjologii, ale przygląda się, jak postrzegano autochtonów po wojnie. Maria Wanatowicz interesuje się przy tym nie tylko świadomością „wzrosłą na gruncie refleksji naukowej, najbardziej zobiektywizowaną”, ale także świadomością potoczną oraz świadomością polityków i urzędników (chodzi zarówno o ich własne przekonania, wyrażane w tajnych raportach, jak i o wizerunki tworzone na potrzeby propagandy). Siega przy tym zarówno do publikowanych opracowań i wspomnień, jak i – co najbardziej interesujące – do akt służb bezpieczeństwa i administracji, będących w dyspozycji m.in. Instytutu Pamięci Narodowej.

Postawy i polityka narodowościowa

Pierwszy rozdział traktuje o terminologii jako „elemente przejawu świadomości społecznej w kwestii postaw narodowych mieszkańców górnośląskiego pogranicza”. To pouczający rozdział, który pozwala na zorientowanie się, jaki zakres znaczeniowy przypisywano różnorodnym pojęciom związanym z ludnością Śląska, takim jak ludność rodzima, autochtoni, Polacy czy Niemcy. Celem propagandy PRL było wy-

tworzenie przekonania, że cała ludność rodzima ma identyfikację polską, a niemiecką mają jedynie imigranci. Szczególnie interesujący jest opis zmiany zakresu znaczeniowego pojęć „Polak” i „Niemiec” oraz przełamywanie starych stereotypów narodowościowych i kształtowanie nowych wśród urzędników, których uprzedzenia wpływały przecież na praktyki administracyjne, nieraz odległe od oczekiwań warszawskiej centrali. Obserwacja polityki narodowościowej w mikroskali jest niezwykle płodnym podejściem, pozwalającym zdefiniować rzeczywiste mechanizmy sterujące polityką rządu w terenie.

Rozdział drugi przynosi bardzo porządkujące omówienie założeń polskiej polityki narodowościowej wobec autochtonicznych mieszkańców Górnego Śląska i ich realizację w latach 1945-1951. Zaletą tego omówienia jest m.in. przywołanie wielu mniej znanych faktów oraz ukazanie konfliktów w gronie urzędników i śląskich decydentów co do kierunków i instrumentów polityki wobec rodzimych Ślązaków. Wydaje się jednak, że wskazanym byłoby bardziej krytyczne podejście do niektórych autorów piszących o drastycznym narzuconym „odniemczaniu” Śląska przez nową władzę. W tym zakresie np. interesujące prace Bernarda Linka mogą wywoływać (i wywołują) polemiki. Autorka zaprezentowała jednak godny podkreślenia obiektywny opis „śląskiej krzywdy” po II wojnie światowej. Nie ma tu patosu lub – odwrotnie – pomniejszania win władz komunistycznych. Z tego punktu widzenia te partie stanowią ważny element współczesnej dyskusji o „narodzie śląskim”, w której pojęcie krzywdy odgrywa ogromną rolę. W dyskursie publicznym jest to termin silnie zmitologizowany i budzący spore emocje. Dlatego dystans historyka pozwala na to, by dyskutanci stanęli na twardej ziemi historycznych faktów.

Rozdział trzeci prezentuje obraz postaw narodowych ludności rodzimej w przekazach źródłowych i ówczesnych opracowaniach w latach 1945-1956. W rozdziale tym M.W. Wanatowicz ukazała m.in. koniunkturalny wymiar deklaracji „narodowości śląskiej” w czasie akcji weryfikacyjnej i rehabilitacji. W ogóle na uznanie zasługuje akcentowanie przez autorkę ekonomicznych i pragmatycznych motywów działań Ślązaków (a nie jedynie tożsamościowych i symbolicznych), do których jednak nie redukuje motywów deklaracji różnych identyfikacji (jak to czynią niektórzy historycy i socjologowie). Ponadto godne odrębnej uwagi jest ukazanie w tym kontekście źródeł i wymiarów antygonizmu Zagłębiaków i Ślązaków.

Rozdział czwarty opisuje jak postrzegano kwestie narodowościowe na Górnym Śląsku w latach 1956-1989. To bardzo niejednorodny okres, ale autorka z sukcesem

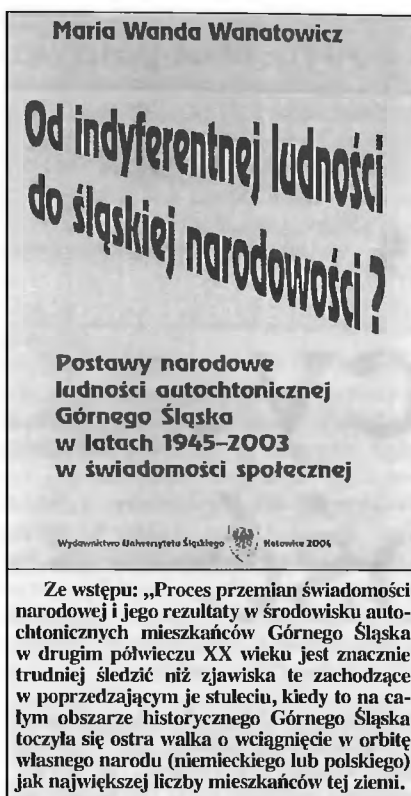
sem go syntetyzuje. Dzięki temu czytelnik uzyskuje gruntowną podstawę faktyczną do analizy stosunku państwa polskiego do Ślązaków. W mojej opinii, brakuje jednak przyjrzenia się temu, jak postrzegały Ślązaków elity „Solidarności” i jak Ślązacy przyjęli ten ruch (a wiemy, że był to nieraz specyficzny dystans). Działacze „Solidarności” bardzo różnili się przecież w poglądach na miejsce mniejszości narodowych i grup etnicznych w społeczeństwie polskim. Spektrum postaw było bardzo bogate – od Janka Kuronia, „ambasadora” praw mniejszości, po Antoniego Macierewicza, znanego ich przeciwnika. Stereotypy i uprzedzenia tych elit, powstałe przecież niejednokrotnie w ostatnich kilkunastu latach PRL, określiły podstawę polityki III Rzeczypospolitej wobec mniejszości i grup regionalnych. Wątek ten wymagałby głębszego zbadania i rzuciłby światło na wiele, z pozoru sprzecznych i zagadkowych, decyzji polityków i urzędników kreujących i realizujących politykę państwa w tym zakresie po dziś.

Rozdział piąty dotyczy publicznej debaty nad kwestią postaw narodowych ludności autochtonicznej Górnego Śląska w latach 1989–2003. Wanatowicz wykracza poza domenę historyka i dotyka żywych, rozgrywających się na naszych oczach procesów. Dlatego sięga nieraz do opracowań socjologów. Nie jest to jednak jedynie odtworzenie głównych tez publikacji (Wanatowicz nie posługuje się w tym zakresie metodami socjologicznymi, np. analizą dyskursu), ale niejednokrotnie polemiką z wybranymi tezami socjologów, zwłaszcza, gdy opierają się one na wątpliwych podstawach historycznych.

Wreszcie w rozdziale szóstym zostały scharakteryzowane postawy narodowe autochtonicznych mieszkańców Górnego Śląska z perspektywy RFN. Rozdział ten przynosi m.in. niezwykle interesujący przegląd literatury i publicystyki niemieckiej. Całość zamyka podsumowanie. Cennym uzupełnieniem książki są cztery kolorowe schematyczne mapy zmian podziału administracyjnego historycznego Górnego Śląska (1945–1950, 1950–1975, 1975–1998 oraz po 1999 roku). Na uwagę zasługuje zwłaszcza ostatnia mapa, która obrazuje, jak wiele obszarów Małopolski obejmuje województwo śląskie. Mapa ta może się zwłaszcza przydać Opolanom broniącym suwerenności swojego województwa, a złośliwie komentującym nazwę swego wschodniego sąsiada.

Zakładnicy sytuacji międzynarodowej

Na zakończenie chciałbym jeszcze poruszyć kilka ogólnych kwestii. Sięgnięcie przez Marię Wandę Wanatowicz do archiwów obejmujących dokumenty administracji wojewódzkiej i służb bezpieczeństwa pozwoliło na ukazanie mechanizmów kategoryzowania i weryfikowania ludności rodzimej przez urzędników oraz sposoby postrze-



gania Ślązaków. Udokumentowana analiza stanowi ważną podstawę rekonstrukcji swoistej epistemologii służb bezpieczeństwa, która prowadziła nieraz do powstania świata wirtualnego. Pracownicy służb bezpieczeństwa postrzegali stosunki na Śląsku w kategoriach konfliktu. Prowadziło to nieraz do traktowania przez nich różnów „przy kuflu piwa”, w czasie których narzekano na nowy ustrój, jako spotkanie wywrotowców i rewizjonistów. Ktoś mógłby to określić jako „paranoja”, ale kategorie psychiatryczne są tu nieadekwatne. Po prostu specyficzna optyka służb bezpieczeństwa, zarówno cywilnych, jak i wojskowych, prowadziła do wytworzenia takiego, a nie innego obrazu rzeczywistości. Jeżeli dodatkowo wspomnimy o tym, że każda biurokracja „szuka sobie” przedmiotu działalności, aby uzasadnić swe działanie oraz przypomnimy o znaczeniu służb bezpieczeństwa w PRL, to dostarczymy, że wiele błędów, konfliktów i działań wynikać musiało ze strukturalnych uwarunkowań ówczesnej władzy, a nie jedynie z woli oficerów lub urzędników oraz z zaplanowanej polityki centrali. Książka M. Wanatowicz jest pozycją, która pozwala odtworzyć ten mechanizm na Śląsku.

Uzyskujemy tu również cenne potwierdzenie, że „ludowość” nie była na Śląsku sztucznym konstruktem komunistycznej propagandy, jak to się obecnie nieraz twierdzi (niestety sądy te bezkrytycznie przejmują także niektóre publikacje naukowe). Choć władze postrzegały dzieje z perspektywy klasowej, co prowadziło nieraz do jednostronnego przerysowania, a nawet zafalszowywania obrazu polskiego ruchu na Śląsku, to jednak nie tylko szeregowi działacze, ale i liderzy ruchu polskiego w Niemczech

wywodzili się „z ludu”. Jak zauważyła autorka: „Zwrot ku „masom” na Śląsku [...] nie wyrządził nauce tak dużej szkody, jak na innych obszarach Polski” (s. 91). Nie oznacza to, że działacze patriotyczni z innych regionów Polski nie wpłynęli znacząco na ruch powstańczy i narodowy, ale przecież Związek Polaków w Niemczech „dorobił się” rodzimej inteligencji, nieraz nie rozumianej przez Warszawę (jak pokazują np. wspomnienia Edmunda Jana Osmańczyka). Należy jednak podkreślić, że dziś indyferentyzm, tak często wynikający w przeszłości z ludowego rodowodu, ma charakter refleksyjny – traktowany jest „jako swego rodzaju „barwa ochronna”, podobnie jak „ślaskość” (s. 207).

Książka prof. Wanatowicz pokazuje, jak bardzo procesy narodowościowe na Śląsku, w tym polityka wobec ludności rodzimej, związana była z sytuacją międzynarodową. Obawa przed tym, że ruchy separatystyczne na Ziemiach Odzyskanych będą służyły Niemcom na konferencji pokojowej, której po wojnie rychło oczekiwano, prowadziły do bezwzględności w rozprawie z najmniejszymi przejawami rewizjonizmu (który ubierano oczywiście w szaty szpiegostwa). Zresztą remilitaryzacja RFN w wyniku układów paryskich (1955) nasiliła tendencje rewizjonistyczne „co wpływało na postawę Niemców górnośląskich” (s. 99). Nacjonalizm (m.in. teza o państwie jednego narodu) służył przeto nie tylko legitymizacji władzy komunistycznej, ale także wprost legitymizował polską obecność na Ziemiach Odzyskanych (przez np. wskazanie na rodzimych Polaków). Nie ulega wątpliwości, że agresywna polityka RFN na tym polu (do 1970 roku) prowadziła do „przykreńczenia śruby” na Śląsku. Ślązacy tym samym nadal byli zakładnikami polsko-niemieckich stosunków, nawet po tym, gdy Górny Śląsk znalazł się w Polsce. Dopiero obecnie stosunki narodowościowe na Śląsku powoli uwalniają się z tego gorsetu.

Ten pobieżny z konieczności przegląd nie oddaje całego bogactwa treści książki prof. Marii Wanatowicz, zasługującej na uważną lekturę. Pozwala jednak zorientować się w obszarach i charakterze prezentowanej przez autorkę analizy, która nie stara się ukazać „czy istnieje narodowość śląska”, ale jak otoczenie społeczne postrzegało Ślązaków. Odpowiedź na to drugie pytanie jest jednak warunkiem koniecznym udzielenia wyczerpującej odpowiedzi na pytanie pierwsze, zwłaszcza dziś, gdy przez działaczy niedoszłego Związku Ludności Śląskiej prowadzone są – jak nigdy dotąd – „szeroko zakrojone działania propagandowe, mające na celu wykreowanie narodu śląskiego” (s. 208). Dlatego książka *Od indyferentnej ludności do śląskiej narodowości?* jest ważnym głosem w toczonej obecnie debacie o autonomii i statusie grupy śląskiej.

W plejadzie Niemców, którzy od lat z uporem zasypują głęboką przepaść, jaka dzieliła Niemcy i Polskę po drugiej wojnie światowej, i niezmordowanie budują nad nią mosty porozumienia, szczególnie miejsce zajmuje Karl Dedecius.



Karl Dedecius - jesteśmy jego dłużnikiem...

- Dedecius - arcypolski Niemiec

TADEUSZ
KURLUS

Przypomnijmy krótko, że urodził się w 1921 roku w rodzinie niemieckiej osiadłej w Łodzi, że jest tłumaczem i krytykiem literackim, a także założycielem (był potem jego wieloletnim dyrektorem) istniejącego od 1980 roku w Darmstadt Instytutu Niemiecko-Polskiego. Głównym zadaniem tej placówki są rozmaite działania mające przybliżyć Niemcom polską literaturę. Ich rezultaty nie kryją się jednak w uczonych rozprawach i periodykach adresowanych do wąskiego grona odbiorców, lecz m.in. wybierają kształt książek przetłumaczonych z języka polskiego na niemiecki, wprowadzanych na rynek czytelniczy w dość dużych nakładach.

Polnische Bibliothek

Książki polskich autorów publikuje w Niemczech wiele oficyn, ale jedna jest pod tym względem szczególnie zasłużona. Chodzi o renomowane frankfurckie wydawnictwo „Suhrkamp”. W nim to, właśnie z inicjatywy i pod auspicjami Karla Dedeciusa, ukazywała się, rok po roku przez dwadzieścia lat, seria zatytułowana „Polnische Bibliothek” („Biblioteka Polska”). Przedsięwzięcie wspierała finansowo, warto to nadmienić, Fundacja im. Roberta Boscha.

Ktoś mógłby powiedzieć, że wspomniana seria to prawdopodobnie zaledwie kilka książek, a „Biblioteka” nazwano ją na wyrost. Nic podobnego! Jest to na pewno – jeśli chodzi o popularyzację literatury polskiej za granicą – fenomen wydawniczy, ogółem liczy ona bowiem aż pięćdziesiąt pozycji!

Składające się na nią tytuły obejmują zarówno naszą klasykę, jak i – mniej więcej w połowie – literaturę współczesną. Nie od rzeczy będzie wymienić nazwiska polskich pisarzy reprezentowanych w „Polnische Bibliothek”. Są to, w kolejności alfabetycznej: Jerzy Andrzejewski, Waław Berent, Kazimierz Brandys, Maria Dąbrowska, Kornel Filipowicz, Zbigniew Herbert, Jarosław Iwaszkiewicz, Leszek Kołakowski, Janusz Korczak, Leon Kruczkowski, Andrzej Kuśniewicz, Stanisław Lem, Adam Mickiewicz, Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Zofia Nałkowska, Teodor Parnicki, Julian Przyboś, Władysław St. Reymont, Tadeusz Różewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Henryk Rzewuski, Bruno Schulz, Juliusz Słowacki, Jan Sobieski, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Władysław Ter-

lecki, Aleksander Wat, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin, Stanisław Wyspiański, Stefan Żeromski. Do tego dochodzą liczne antologie polskiej poezji, aforyzmów i prozy, a poza tym zbiór niemieckich wierszy o Polsce oraz 370-stronicowa relacja Joachima Christopha Friedricha Schulza z jego podróży do Warszawy w latach 1791-1793 (*Reise nach Warschau*).

Szczególne miejsce w „Polskiej Bibliotece” zajmuje tom Adam Mickiewicz: *Dichtung und Prosa* (Adam Mickiewicz: *Poezja i Proza*) w całości przygotowany przez Karla Dedeciusa. Z Mickiewiczem czytelnik niemiecki zetknął się stosunkowo wcześniej. Wpierw były to tylko sygnały, zamieszczane od 1828 r. w wychodzących w Lipsku „Kartkach Literackich” notki o pojawieniu się w Polsce niezwykłego talentu poetyckiego. Potem, w 1834 roku, ukazały się dwa wybory wierszy, w których „Polski Goethe” – jak zwie się w Niemczech naszego wieszca – był także reprezentowany. Pełna bibliografia jego utworów przetłumaczonych na niemiecki jest dość bogata. Ale – jak pisze Dedecius – dzieła Mickiewicza nie znalazły w Niemczech zbyt wielu czytelników. W wydanym w 1989 roku w Niemczech *Leksykonie światowej literatury* możemy przeczytać: „To, że Mickiewicz i jego dzieło są nam obce, jest godne ubolewania, albowiem nie znając Mickiewicza, tylko połowicznie zrozumiemy naszego słowiańskiego sąsiada i jego specyficzne problemy. Mickiewicz jest jak soczewka, w której skupia się wszystko, co polskie, i która gorze płomieniem”. Konieczne więc stało się – zdecydował Dedecius – ponowne przedstawienie poety, choćby w skromnym wyborze. Wydawca umieścił w nim wiersze i fragmenty utworów, które uznał za reprezentatywne i najbardziej nadające się do „pierwszego spotkania” z „polskim Goethem”. Wiele tu starych tłumaczeń, ale są także nowe, głównie spod pióra Dedeciusa. Między innymi w 360-stronicowym, pięknie edytorsko przygotowanym tomie znalazły się: *Oda do młodości*, *Żeglarz*, z *Ballad i romansów* *Pani Twardowska* i *Świtezianka*, są *Sonety krymskie*, fragmenty *Grażyny*, *Konrada Wallenroda*, *Dziadów*, *Pana Tadeusza* oraz sporo i publicystyki.

Herr Thaddäus

Pan Tadeusz – jemu w niemieckiej wersji pragniemy przyrzec się nieco bliżej – ukazał się po raz



Imponująco wygląda komplet książek z serii „Polsche Bibliothek”, która ukazywała się przez 20 lat we frankfurckim Wydawnictwie Suhrkamp.

pierwszy po niemiecku w Lipsku w 1836 roku, a potem, w kolejnych tłumaczeniach, jeszcze kilka razy, ostatnio w Wiedniu w 1977 roku. Karl Dedecius sądzi, że przydałoby się nowsze, bliższe oryginałowi, ale nagabywany w tej sprawie znakomity boński sławista Rolf-Dietrich Keil przygotował tylko fragment książki pierwszej i powiedział, że na uporanie się z całością potrzebowalby kilkunastu lat...

Chcąc dać czytelnikom możliwość porównania, jak tłumacze oddawali w niemczyźnie słowa polskiego barda, Dedecius zamieścił w książce aż siedem wersji pierwszych strof *Pana Tadeusza*, a także oryginalną polską. Skorzystajmy z tej propozycji, przypominając wprawdzie słowa inwokacji:

Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś
jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się
dowie,

Kto cię stracił.
Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

A oto, jak sobie z nią poradził w 1836 roku, przy współpracy z autorem, Richard Otto Spazier:

Ja! Der Gesundheit gleichst Du,
mein Litwa, das mich geboren!
Vaterland, deinen Werth nur
erkennet wer dich verloren!
Singen dich will ich; mir glänzt
heut all' deine Schöne!
Singen dich, weil ich so sehr mich
heut nach dir sehne!

Z 1882 roku pochodzi tłumaczenie Siegfrieda Lipinera:

Lithauen! Wie die Gesundheit bist du,
mein Vaterland!
Wer dich noch nie verloren, der hat
dich nicht erkannt.
In deiner ganzen Schönheit prangst
du heut' vor mir,
So will ich dir singen, - denn
mich yerviangt nach dir!

Sześć lat później nad *Panem Tadeuszem* zasiadł Heinrich Nitschman, i ułożył inwokację w takie słowa:

O Litau'n! Vaterland, das dann,
wenn wir es missen,
Wir der Gesundheit gleich erst ganz
zu schätzen wissen; –
Dein schönes Bild erscheint dem
innern Auge nur,
Darum zeichnen will ich es – ich
sehne mich nach dir!

I wreszcie trzy przekłady już z naszych czasów. Wpierw w ujęciu Waltera Panitza z 1955 roku:

Litauen, du mein liebes Vaterland!
Du bist wie die Gesundheit, die nur
der
So recht zu schätzen weiss, der dich
verloren.
Erst jetzt erkenn ich Deine ganze
Schönheit
In ihrem vollen Glanz und will sie
hier
Besingen, denn ich sehne mich
nach dir.

A tak poradził sobie z *Ostatnim zajazdem na Litwie* w 1963 roku Hermann Buddensieg:

Litauen, du meine Heimat, du bist
wie die Gesundheit.
Nur wer diese verloren, weiss das
Verlorene zu schätzen.
Heut aber schau ich in all ihrer
Pracht vor mir deine Schönheit,
Davon will ich jetzt singen,
denn sehndend verlangt es mich
heimwärts.

I ostatni przykład, w tłumaczeniu wspomnianego wyżej Rolfa-Dietricha Keila z 1986 roku:

Litauen! Vaterland!
Du gleichst dem
Wohlbefinden.
Wie gross Dein wahrer
Wert ist, kann nur der
ergründen,
Der Dich verlor.
Ich kann all Deine Pracht
und Schöne
Heut sehn und schildern,
wo ich mich nach Dir
sehne.

Czy to jest przyjaźń?

Ciekawa to lektura. Choć autorzy tłumaczeń inaczej ułożyli słowa w zdania, sens pierwotnego został zachowany. Posłużmy się jednak jeszcze jednym przykładem. Oto pierwsza zwrotka *Nie-pewności*, sonetu opatrzonego nutami przez Jana Kantego Pawłuśkiewicza i wspaniale śpiewanego przez Marka Grechutę. W oryginale brzmi ona tak:

Gdy cię nie widzę,
nie wdycham nie płacę
Nie tracę zmysłów
kiedy cię obaczę

Jednakże gdy cię długo
nie oglądam
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć
żądam
I tęskniąc sobie zadaję pytanie
Czy to jest przyjaźń czy to jest
kochanie.

A w przepięknym tłumaczeniu Karla Dedeciusa piosenka zespołu „Anawa” rozpoczyna się tak:

Ich weine niemals,
wenn ich dich nicht sehe,<
Bleibe vernünftig, wenn ich vor
dir stehe,
Doch muss ich einmal länger
um dich bangen,
Dann fehlt mir etwas, quält mich
ein Yerlangen,
Dann frag ich mich, wenn ich mein
Trübsal übe:
Ist das nun Freundschaft? Oder ist
das Liebe?

W propagowaniu polskiej literatury Wydawnictwo „Suhrkamp” wcale nie poprzestało na „Bibliotece Polskiej”, bo wydało także wiele polskich dzieł poza nią. Sztandarowym autorem jest w nim Stanisław Lem, reprezen-

towny ponad 40 tytułami! Podobnie – Zbigniew Herbert z dziewięcioma tytułami. Wiersze naszej noblistki, Wisławy Szymborskiej, w tłumaczeniu Karla Dedeciusa, ukazały się osobno w czterech tomach. Są jeszcze *Polskie wiersze miłosne*, a z literatury współczesnej niemieccy czytelnicy mogą się zapoznać z powieściami Anny Boleckiej i Andrzeja Stasiuka. Zainteresowani mogą również sięgnąć po *Małą historię Polski*. Kto Polskę chce poznać bliżej, „od podszewki”, doskonałym dlań przewodnikiem będzie tom esejów Karla Dedeciusa *Polska jest wszędzie*. Doprawdy, trudno przecenić zasługi Wydawnictwa Suhrkamp w przenoszeniu na grunt niemiecki polskiej literatury.

Jesteśmy dłużnikami...

To samo można powiedzieć o Karlu Dedeciusie, bo to przecież dzięki niemu, dzięki jego wytrwałości, zaistniała w jego ojczyźnie szansa na tak bogatą obecność przeniesionego w niemieckie słowa polskiego. Nic dziwnego, że nad Wisłą tego mistrza sztuki translatorskiej i wielkiego przyjaciela Polski szczególnie się ceni. Sympię się więc dlań rozmaite wyróżnienia i odznaczenia. W tym roku otrzymał z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Order Orła Białego. Trzy polskie uniwersytety przyznały mu dotąd tytuły doktora honoris causa. Niedawno zaś został laureatem Nagrody Kulturalnej Śląska i Dolnej Saksonii. Ale nawet gdyby było jeszcze więcej tych honorów nic nie zdoła dostatecznie uwiecznić mrówczej pracy Karla Dedeciusa na rzecz niemiecko-polskiego zbliżenia. Nasz były premier Tadeusz Mazowiecki, powiedział kiedyś: „Moja ojczyzna pozostanie Pańskim dłużnikiem”. Trudno o dobranie lepiej pasujących słów...

POLNISCHE BIBLIOTHEK
SUHRKAMP

MICKIEWICZ DICHTUNG UND PROSA

Ein Lesebuch
von Karl Dedecius



Obwoluta książki „Adam Mickiewicz. Dichtung und Prosa”.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

W Tatrach

Wyszedł przed schronisko. Góry spowite delikatną mgiełką, ułożone w ciemną koronkę, stały pochylone nad doliną. Październikowe słońce, wyraziste jak krążek ze skórki pomarańczy - wisiało na niebie. Na mocno pochylonym stoku przygrzewało silnie. Nieboskłon był tak głęboko niebieski, jak bywa czasem z wysokiej Świnicy. Wszyscy wylegli przed schronisko. Wygrzewali się leżąc między płacami kosodrzewiny lub na grubych ławach z półpieńków.

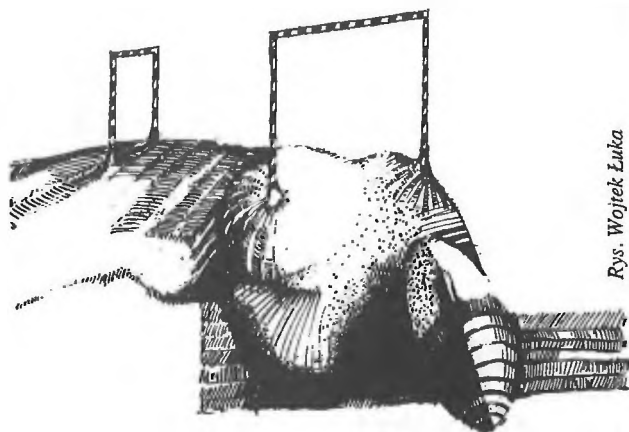
Położył się i Tomasz - kilka metrów obok ogorzałego chłopaka rozmawiającego z dziewczyną o łagodnej twarzy i pszenicznych długich włosach. Odprężył się. Kątem oka widział gałązki kosodrzewiny, rosnące za wielkim głazem, niedostępne dla słońca. Skapywała z nich woda, w cieniu uwalniana powoli, z powstałego nocą lodu błyszczącego na igłach. Zamyślił się. Słońce działało jak balsam. Czuł ważność i łagodność tej chwili. Zewsząd emanowała rześka surowość. I nagle usłyszał śpiew tej jasnej dziewczyny. Cichy i łagodny głos brzmiał jak dziękczynienie lub hymn pochwalny. Klepała się przy tym w rytm po obciągniętych dżinsach udach. Tomasz łagodnie wypełniał się górami, łączył z nimi do ostatniego nerwu. Tutaj była jego pełnia, czuł ją, wypełniała go całkowicie. Ale jakże często nawiedzała go pustka. Myślał czasem, że jest garścią piachu wsypanego między dopasowane i wyślizgane mechanizmy. W ciągłym przekształcaniu się życia - stanowią jakiś dysonans - myślał. Wyczuwał jednak, że to raczej często podświadome, ale stałe dążenie do pełni, do samorealizacji. Drażył więc w głąb rzeczy i spraw. Starał się wypracować jakiś układ, który by go satysfakcjonował. Jednak ciągła aktywność, poszukiwanie sedna, nieustanna koncentracja, i w dużym stopniu kreacja własnego życia, wyczerpywały go. W Tatrach odpoczywał, uspokajał się. Czuł muzykę ziemi pośród potraśkanych skał Orlej Perci, czy idąc dnem Bandziocha na Przełęcz pod Chłopciami. Podobne wrażenia (tylko w mniejszym stopniu) czuł wędrując wzdłuż klifu (najwyższego na polskim wybrzeżu Bałtyku) z Wisłoki do Międzyzdrojów lub w ostępach Puszczy Pińskiej. Zawsze po bliskim, dotykającym kontakcie z przyrodą wracał do równowagi. Kontakt ten, choć jednoczenia się, drżenie w człowieku od zarania dziejów, bo jest on częścią przyrody. Jednak po wytworzeniu wokół siebie grubej otoczki kulturowo-technicznej, ludzie stworzyli sztuczną barierę. Wracając więc do przyrody, która jest (i zawsze będzie) ich

środowiskiem. Chcąc czy nie - muszą z nią współżyć. Dodaje im sił, regeneruje. Wracają do codzienności łagodniejsi, bliżsi.

Tomasz dużo czytając - szukał poparcia autorytetów w tej materii. I znalazł w - w rozważaniach wybitnego polskiego filozofa - Romana Ingardena, który dowodzi: *Człowiek znajduje się na granicy dwu dziedzin bytu: przyrody i specyficznie ludzkiego świata, i nie może bez niego istnieć, lecz ten świat nie wystarcza do jego istnienia i nie jest zdolny mu go zapewnić. Człowiek jest przeto zmuszony do życia na podłożu Przyrody i w jej obrębie, lecz dzięki swej szczególnej istocie musi przekraczać jej granice, ale nigdy nie może w pełni zaspokoić swej wewnętrznej potrzeby bycia człowiekiem.*

Tak tragiczny jest los człowieka. Lecz w tym właśnie przejawia się jego prawdziwa istota: jego genialność i skończoność jego bytu". Tomasz czuł to rozdarcie. Na przestrzeni tysiącleci świat się zmienił, zrelatywizował. Ale człowiek mimo swej genialności nie stworzył jakiegoś „nowego bytu”. Zamienił jaskinie i szałas na luksusowe mieszkania. Chowając się za pancernymi szybami, obserwuje niebezpieczeństwo na radarowych ekranach czy noktowizorach. Trochę ogłuchł na prawa zwierząt, udaje, że nie widzi umierających lasów. Boi się czasem przyrody - podczas huraganów, wielkich powodzi czy pożarów lasów. Widać opamiętanie. Człowiek edukuje się w przyspieszonym tempie coraz powszechniej. Jego organizm, to ta sama biologia od zarania istnienia. Często widzimy na dachu nowoczesnego samochodu - przymocowane rowery. Dużo jest biegających dla zdrowia i wszelkie siłownie cieszą się wielkim powodzeniem. Wracamy do przyrody - do łożyska jak rzeka, która opuściła właściwe miejsce w narowistej chwili. To dobrze, zbliżamy się do siebie. Może potrzeba pokory stanie się powszechna. Ustali odpowiedni dystans, perspektywę. Rzeczy i sprawy zostaną tak oświetlone, że będzie lepiej widać kształty. Rzadziej będziemy myśleć: życie człowieka już od narodzin zdeteterminowane jest śmiercią. Ludziom razem jest dobrze: łączy ich miłość, wspólność przeżycia, racjonalność. I chociaż każdy jest inny, niepowtarzalny - lubi przychylnie światło w oczach współziomków i cieszy go, gdy dłonie połączą się łagodnym ciepłem.

Tomasz jakby ocknął się ze snu. Te rozważania bardzo go wciągnęły. Obrócił się na bok. Trawa ukuła go w szyję. Miał teraz w widoku: tuż kosodrzewinę, kawałek dachu schroniska i w tle słońce. Lekko przy-



Rys. Wojtek Łuka

mknął oczy. Między rzęsami zobaczył jak z kosodrzewiny spadły dwie krople wody, czerwone jak krew. Zmroził go ten widok, uderzył jak obuchem. Podniósł się szybko, idąc do schroniska, widział na niedalekiej ścieżce ludzi objuczonych plecakami. Szli do Zakopanego - chyba już wyjeżdżali. Cieszył się, że zostaje jeszcze kilka dni. Przy wejściu do ciemnej sieni, rzucił spojrzenie na zamknięcie doliny: góry bardziej się zwały i pochyliły jeszcze intymniej.

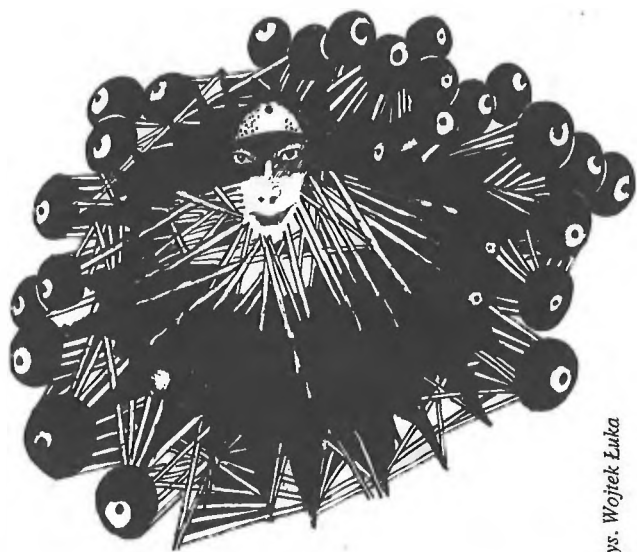
(2003)

Wiosna

Szarość jeszcze. Doskwierają przymrozki. Marzec ma kościstą dłoń. Powoli łagodzi jej zacisk na gardle przyrody. Ziemia się budzi, przeciąga, ssie soki. Wracające gawrony - czarnymi płachtami naznaczają niebo. Jeszcze tego nie widać - czuje się, sinym świtem uderza w nozdrza zapach wiosny. Uśmiechamy się - już wiemy - Wielki Dyrygent podniósł batutę. Na razie słyszeć tylko delikatne tony skrzypiec. Wyczekujemy na zieloną symfonię maja. Pierwsze są ptaki: trzepot w poszyciu leśnym, świergot, przeglądanie się w lustreczkach lodu na bagnach, krzątanie wokół urządzania domu. Musi być wygodny, ale przede wszystkim bezpieczny - służył będzie następnemu pokoleniu. Wszyscy i wszystko się budzi, rozjaśnia i prostuje. Wśród ludzi pierwsze są dziewczęta. Zrzucają ciężkie płaszcze i kurtki, ładnieją z każdym dniem, uśmiechają się szeroko. Związane bezpośrednio z macierzyństwem rozumieją instynktownie zbliżającą się płodność ziemi, narastający radykalnie cud przedłużania gatunku. Ich oczy nabierają nowego wyrazu, stają się bardziej błyszczące, głębsze, pełne wewnętrznego blasku, buzie, sięją łagodność, obiecują przychylność. Dobrze się czujemy w ich bliskości, ogarnięci kobiecym zapachem. Wreszcie przychodzi maj! Orgia zieleni powala na kolana, nurzamy się w niej jak w ciepłej kąpieli. Idziemy w bzy - zapach niepokoju, rozsada nozdrza. I to powietrze, rześkie, pieszczące płuca jak balsam. W lasy wtedy, w lasy bracie. Na polanie, obok młodnika się położyć. Chłonać dziejący się cud. Można przymknąć oczy, uczestniczyć w baśniowym śnie.

(2003)

Kobiety



Rys. Wojtek Łuka

Przez całe, długie już przecież życie, myślał często o kobietach. Zawsze go fascynowały. Nie była to jednak fascynacja polegająca na uległości, myślał o nich jak o partnerkach potrzebnych do pełni życia. W młodości buntował się przeciw kobietom, budował w swojej psychice opozycję, zupełnie zbędną.

Najbardziej dziwiła go ich zagadkowość, polegająca na braku logiki. W dziwny jednak sposób, ten brak logiki wychodził kobietom na dobre. W końcowej wymowie okazywało się, że bronią prawdy obiektywnej. Myślał wtedy: ich czar polega na tym, od tysiącleci polegał będzie nadal. Bronią życia (matki są zawsze przecież związane fizycznie ze swoim płodem). Każda - ładna czy brzydka - chce, aby jej potomstwo osiągnęło wyżyny intelektualne. Umiera wtedy w glorii, co nie świadczy, że jest lepsza od innych. Nawet tego nie analizuje. Jest spełniona przekonaniem, że jej wnętrze dało światu kogoś ponad miarę, człowieka, którego sama zrodziła nie wiedząc jeszcze, że później będzie wielki, pchnie skostniały świat kroczek do przodu. Każdemu to wystarczy, by umierać dumnie i spokojnie.

Płynęły dziesięciolecia. Wraz z doświadczeniem głębiej rozumiał logikę i mechanizmy życia, tę energię motoryczną rządzącą wszystkim wokół nas. Ciśnienie życia - jakby w sposób zrozumiały broniąc przedłużenia gatunku - wykształciło naturalną sprzeczność między kobietą i mężczyzną. Dopiero, gdy obie strony zdobędą się na przewyciężenie tego podziału, na porozumienie i kompromis, działając w harmonii - mogą stworzyć zdrowe potomstwo. Od tego przełomowego momentu, zaczął bardziej rozumieć kobiety. Wypełnił - głęboko w to wierząc - wielką lukę w rozumieniu świata. I żył lepiej, bliżej świata, bardziej mu przychylny. Oczywiście naukowo może to wyjaśnić genetyka czy psychologia, ale on, przecież tylko obserwator życia, nie jest od tych spraw. Wystarczy mu wewnętrzne głębokie przekonanie, że panie, które tak często i promiennie się do nas uśmiechają - to druga połowa kuli, która dołożona do naszej - tworzy całą kulę, kształt, jak wiadomo, doskonały.

(2003)

Jarzębiny

Stały tam od lat. Gdy ukośnie spoglądał z okna w perspektywę ulicy. Posadzono je malutkie, po latach rozrosły się pokaźnie. Pysniły się teraz dorodnymi, krwistoczerwonymi koralami, tak jędrnymi, że gałęzie obwisły i wygięły się w łuk. Zgromadzone w mały zagajnik - stały się z czasem, ozdobą i urozmaicheniem szarości ulicy. Wyróżniały się urodą - wszyscy zwracali na nie uwagę, innych drzew nie zauważając - symbol rytmu przyrody. Gdy czerwieniały - jesień zbliżała się na dotyk chłodnego powietrza i melancholii rozwieszanej między wieżowcami osiedla. Po stracie liści, koralale jeszcze długo ozdabiały nagie gałęzie, sentymentalnie wiążąc pamięć z przyjemnościami lata.

Właśnie teraz, w październiku, spoglądał na nie inaczej, głębiej, bardziej analitycznie, można powiedzieć - nabierały znaczenia ontologiczno-metafizycznego. Wszystko wkoło kurczyło się, malało, zbliżało do schyłku. Zostawały na gałęziach jak wyrzut, tak mocno wyróżniały się niepokojącą czerwienią. Słońce - płaskimi promieniami, wydobywało całą ich wyjątkowość, akcentowało krzykliwość obecności w szarości. Lubił patrzeć na ich walkę. Umierały ostatnie - nagromadzone w owocach soki, pozwalały im trwać, opierać się aż do ostatecznego wyczerpania. Trwały nieme, a jakże wiele mówiące. Myślał często, dla mnie sensualisty, stanowią zobrażowanie przyrodniczego trwania świata. Przypominały - gdy długo nie udawało mu się wyjechać do podmiejskiego lasu - jesteś integralną częścią tego świata, dzięki niemu wewnętrznie bogatszy, pełniej trwasz, głębiej oddychasz. Były przyjaciółmi, gdy przyjaciół nie było; wystarczyło spojrzeć przez okno. W miarę upływu czasu, zżywał się z nimi coraz bardziej. Stanowiły zegar, który sekund i minut nie odmierza, ale czas mierzy, ten bardziej wyobrażalny, metafizyczny, gdy człowiek bardziej postrzeża, że ubył z niego rok trwania wśród przyjaciół, bliznich, rodziny. Rok pojedynczego, niepowtarzalnego, wśród zgiełku codzienności, bytu. Nie był już młody, i tę właśnie mądrość, co rok rozumiał głębiej i szerzej.

Za to ciągle przypominanie, wdzięczny był drzewom. Schodził głębiej w siebie, bardziej rozumiał przemijalność życia i nieodwracalność śmierci. Stawał się łagodniejszy, przychylniejszy światu. Rosło w nim - powolutku jak stalagmit - pogodzenie i zrozumienie obrotów rzeczy, wokół których kręciła się cała doczesność. Silniejszy - przyrzekał sobie - gdy nadejdzie czas, w oczach zacznie gasać wewnętrzny blask, przyjmie to godnie. Nawet postanowił: nikomu nie wspominać, że słabnie, odchodzi - przecież to człowieczy los. Pragnął umrzeć tak cicho i spokojnie jak one. A jak przyjdzie cierpienie, ból nie do zniesienia? Myślał wtedy o Rillem, o jego śmierci, gdy w mękach - nie przyjąw-

szy żadnych leków przeciwbólowych - umierał na białaczkę. Prawda i tragedia śmierci polega na tym, aby zrozumieć jej związek z życiem, jakże bolesny i krzywdzący dla człowieka związek. Logiczne to - jednak nigdy się z tym nie pogodzimy. Patrzył na drzewa - zbliżał się koniec października, opadały ostatnie liście.

(2003)

Seks

Nigdy nie wiedział jak o seksie mówić, chcąc powiedzieć prawdy najwłaściwsze. Zagadnienie było tak rozległe i skomplikowane, że go przerastało. Dopiero niedawno do tego dojrzał. Temat siedział w nim od dawna, nie był przecież zwolennikiem androgynizmu. Już w wieku młodzieńczym czuł, że w starciu płci, iskrzeniu wzajemnym, dokonuje się scalenie.

Jednocześnie jest wybuchem, po którym opadające odłamki i pył - tak się mieszają - iż nie można poznać, z której z dwu części pochodzą. Powstaje nowa jakość i jej struktura jest gwarancją przetrwania, siłą potomstwa. Seks, jakże ma rozległą, wielokierunkową i wieloraką motywację, jakże jest



Rys. Wojtek Łuka

skomplikowany. Symbolizuje moc sprawczą, witalną - często ślełą - niezaprzeczalnie jednak jest podwaliną rozrodczości.

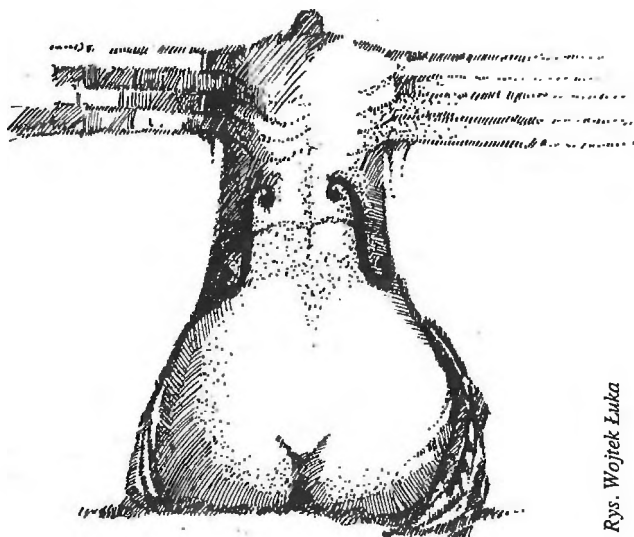
W swojej świadomości łączył go z miłością. Często jednak spotykał się z niezaprzeczalnymi faktami, iż nie ma wiele wspólnego z tym najważniejszym ludzkim uczuciem. Potrafi człowieka omamić i zaćmić, zranić - jednak miłość - w ostatecznym rozrachunku zwyciężała. Była bardziej pojemna, szeroka, przez swój humanitaryzm człowiekowi bliższa. Widać to było wyraźnie na przykładzie zakochanych. Największe pretensje do siebie mieli wtedy, gdy uczucie było zwyciężane przez poryw chwili, przez atawistyczne u człowieka dążenie do mocnej, często krótkotrwałej przyjemności. Taka zdrada była najboleśniejsza. Czysty seks, wysublimowany z uczuć, jest najczęściej żywiołem ślepy. Nigdy z reguły nie opiera się na rozumowych przesłankach. Jest instynktem, u którego początków leży chęć przeżycia czegoś nieznanego a pięknego, w myśl zasady, że nie ma dwóch chwil rozkosz jednakowych. Kobiety, przywiązujące większe znaczenie do spraw ciała i urody, bardziej wrażliwe - cierpiały mocniej. Później, dojrzewając i w miarę upływu czasu - człowiek kontakt płci ocenia obiektywniej, bardziej tolerancyjnie. Przychodzi uspokojenie, które można powiedzieć, jest rzeką już łagodną, u końca biegu, przed ujściem. Rzeka, pewna wtedy swego znaczenia - natarczywą namiętność z początku biegu, przekształconą w stateczność i powagę - wtłacza w rozwarte i pojemne ciało morza. Człowiek również wtedy łagodnieje, doświadczony.

Wszystko powyżej - miał takie wrażenie - mimo skondensowania, nie wyraża nawet cząstki prawdy. Życie, powikłane i skomplikowane - potoczy się dalej. Stworzy nowe seksualne motywacje, zależności, konfiguracje. Nadal nie wiedział. Był tego pewien, że również nie powiedział rzeczy najważniejszych i obiektywnych.

(2003)

Beethoven

Do jego muzyki dojrzewał długo - przez lata. Drzemała w podświadomości. Gnieździła się już w nim wtedy, gdy jako dorastający chłopak słuchał modnych, pop-rockowych melodii, tango było znakomitą okazją do przytulenia podobającej się dziewczyny. Chociaż wówczas ta świadomość była jeszcze martwa. Dopiero teraz do tego doszedł. Bardziej siebie poznał, zrozumiał, rozgryzł - poczuł i wiedział, że muzyka klasyczna zawiera w sobie rytm życia i czasu, kwintesencję ludzkich doznań i odczuć. Był pewien - stawała mu się potrzebniejsza, bardziej ją asymilował, mocniej chłonał, w mia-



Rys. Wojtek Łuka

re nabierania doświadczeń, gdy życie dokładało kolejny krzyżyk. Niósł ją w sercu o tym teraz już wiedząc. Szedł z nią przez góry i lasy, wśród deszczu i słońca, brzegiem spienionych mórz, gdzie głębia i żywioł przerażały go. Docierała wraz z metafizyką i poprzez nią, stając się coraz bardziej potrzebna. Atomizowała się w nim, wnikając w psychikę, zagarniając go w siebie jak naga kobieta dawno oczekiwane go kochanka, siejącego ziarno nowego plonu. Które potem się rozrośnie w piękne drzewo o jędrnych owocach.

A dlaczego właśnie Beethoven, a nie np. Mozart. Chyba jest bardziej żywiołowy, mniej muzyczny, z dna istnienia, z cierpienia boleśniej doświadczonego. Gdy słuchał jego utworów, to życie bezpośrednio brało go w ramiona, wystarczyło trochę wyobraźni. Teraz, gdy już posunął się w latach sądził nawet, słuchając Beethovena: stoję przed eschatologią, w całym jej tragizmie i bezmiarze. Rozumiał bardziej Mistrza, bo bardziej rozumiał życie. I żał mu było tego wielkiego człowieka, tracącego słuch. Wtedy gdy kładł dłonie na fortepian lub brał w zęby ołówek i dotykał nim fortepianu, aby przez neuryty czuć dźwięki. Odbierał te gesty - z jego biografii - jako bunt bezradności, krzyk kompozytora przeciw biologii, że oto pozbawia go najbardziej potrzebnego zmysłu, a on ma jeszcze tyle do powiedzenia, do zostawienia po sobie. Obraz ten, bardzo dopiekający i niezwykle symboliczny, trwał w nim teraz jak nie gojąca się rana. Nie mogła się zagoić - ta muzyka, buntownicza i niepokojna wciąż tworzyła wtórne ogniska zapalne. Wystarczyło posłuchać Piątej Symfonii. Tak więc, Beethoven w nim był i pozostanie. A przecież zgniło jego ciało, spopieleją kości. Jest symbolem ponadczasowego trwania sztuki, twórczości. Ktoś - kiedyś potrafił uchwycić sedno w człowieku, zakodować je muzyce. W tym sednie pozostał. Bo pozostaje w człowieku rdzeń, będący osnową całego człowieczego trwania. TO PIĘKNO. Tutaj to piękno wyrażone zostało w niezgodzie na przemijanie, na destrukcyjny czas, który jest wspólną tragedią całego ludzkiego gatunku. I dobrze, że to muzyka. Jest wszędzie rozumiana natychmiast. Nie potrzeba językowego kodu.

(2004)

I ty, Cervantesie

Skrzypnęła zamykana furtka.
Zapachniał znajomy mrok.
Dotarłem do własnej zagrody.

Wreszcie można kopnąć w kąt
Wyszczerbiony hełm, ściągnąć
Zardzewiałą zbroję i
Zdjąć maskę.

Och, z ulgą podrapać
Odcisnięte od rzemieni ramiona,
Wypuścić stęsknione gazy,
Przeciągnąć się aż do chrzęstu kości,
Usiąść na pniu
I pomyśleć o pustce.

Jeszcze chwila. Zaraz znajdę
Kromkę czerstwego chleba,
Popiję łykiem wina, jeśli nie skwaśniało.
Zresztą niech będzie jakie jest.
Wszystko jedno co się wlewa w pleśń.

Cykady, liście, nietoperze. Zanim
Oswoją ciemność są tylko zjawami.
Zjawą to ważna część istnienia.

Poczekam. Niech uspokoi się pył we włosach,
Między palcami stóp, na języku. To dobry kurz,
Kiedyś spoczywał na dojrzałych owocach.

Zamknąć oczy. Jak parciana taśma
Przepływają pod powiekami pyłne drogi Kastylli
Posiane błękitem. Błogosławiona ciemność
I szmer odległego strumienia.

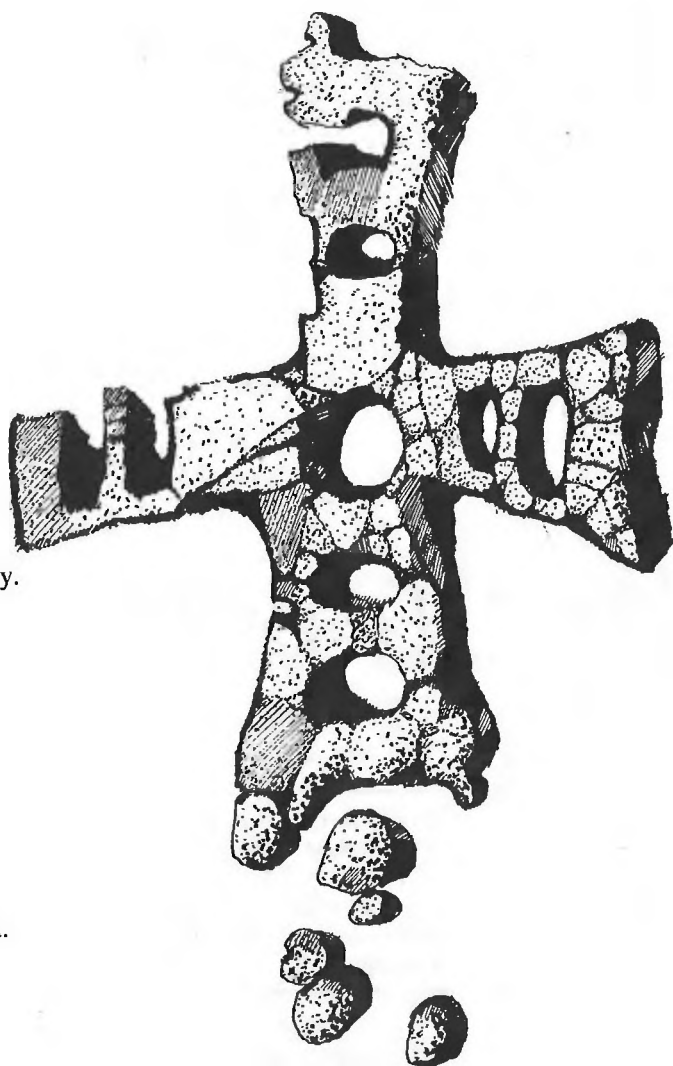
Zapewne gdzieś w pobliżu drzemią utrudzeni
Moi przyjaciele - wiatraki. Nie robiłem wam krzywdy.
Tylko tyle, ile trzeba, żeby zasłużyć
Na szaleństwo. Kochałem was
Nieco sadystyczną miłością,
Bardziej niż tłustą dziewczkę Dulcyneę.
Ale przyznaję: lubiłem patrzeć w te krowie,
Niczego nie pojmujące oczy,
Kiedy kolebały się jej dorodne piersi
Pełne daremnego czekania na moje dłonie.
Nie tknąłem ich.
Nie byłem aż tak obłąkany, choć niekiedy
Posądzał mnie o to ten stary cwaniak Sancho Pancha.

Tak, tylko on niemal wiedział. Prawie zawsze
Zbroja i szaleństwo ocalały moją samotność.
Jedyne, co człowiek może mieć tylko dla siebie.

Wszyscy się na mnie nabrali -
Rówieśni, potomni.
I ty, Cervantesie.

Bezgłośnie, przez ciemność
Śmieję się wam w twarz.

Październik, 2004



Rys. Wojtek Łuka

Nie będę

Motto: Śmierć, siostra snu

Dlaczego wracam tam, gdzie się nie urodziłem,
W szum kasztanów i klonów prześwieconych słońcem
Spóźnionej wiosny? Mógłbym we śnie pójść ulicą Topiel,
Albo Krakowskim Przedmieściem, wspominać
Gruzy kwiatów i domów, myśleć, że pod tymi obłokami
Jestem wolny - od złudzeń, przeczuc, popiołu przeszłości.

A jednak. Cień dłoni na firance, północny wiatr
Łomocący w okno - jakby wiał znad błotnistego stawu -
Niepewne słupy świateł, noc z października na listopad.

Właśnie dlatego. Z chropawego ziarna jesieni
Wyrasta sen gęsty jak zarośla chwastów i jak one
Urodzajny. Nic go nie zapowiadało. Chyba, że tam,
W mrocznych otchłaniach nieba oni zapisują,
Oni zwiastują niepojęty los. Jaki tam tłum,
W domu, który spłonął z pamięcią. Jak oni
Ocalili w żarze opadłych liści? Bo przecież wciąż są,
Jeśli jawa jest snem, z którego
Obudzić się nieposób.

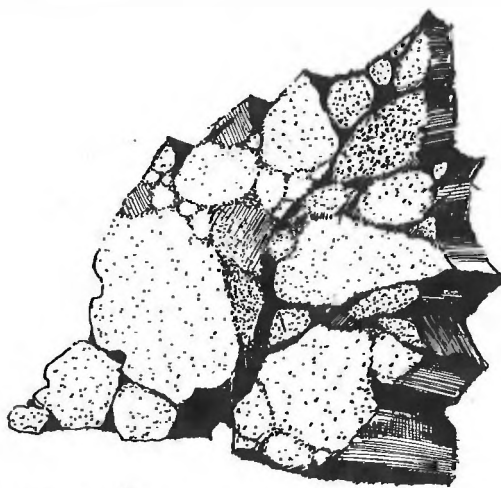
O, gdybym wtedy tam został!
Gdybym nie posłuchał
Przerywanego szlochem krzyku matki!
Ale zostałem. W sobie. W tej pustce
Nadaremnie wypełnianej rzeczami, sprawami
Próchniejącymi, ginącymi w czarnym ogniu.

Co mi zrobiłaś, matko? Co sam uczyniłem
W tych zaprzeczonych, nierealnych latach,
W porach zmierzwionych, na jałowej ziemi?

- W krzyku się narodziłeś, ale w ciszy umrzesz
- Azaliż? - jak zapytano w Piśmie.

Na horyzoncie, który jest wzgórzem,
Trwa korowód z „Siódmej pieczęci” Bergmana.
Taniec ludzi prowadzonych przez śmierć.
I ja tam. Przedostatni z szeregu.
Za mną człowiek w purpurowej masce.
Korowód jak zmierzchające, mroźne tchnienie
Obrazu.

Napisałem kiedyś o sobie: exhumatus eris.
Nie będzie. Nie będę.



Rys. Wojtek Łuka

Inna wersja

O życiu erotycznym Ofelii wiemy stosunkowo mało.
Upowszechnia się tezę, że zmarła jako dziewica,
Choć świadectwo mogli dać tylko
Bezpośrednio zainteresowani.

Trudno też nam sądzić o obyczajach w państwie duńskim,
Dokument jednak donosi, że coś w nim gniło.
Jest w tym jakaś prawda. Królowa nie świeciła przykładem:
To jej wiarołomstwo wobec nieboszczyka!

Mogło to rzutować na atmosferę. Ofelia
Była wprawdzie blondynką, ale to nie wyklucza
Ostrego temperamentu. A Poloniusz
Zajęty dworskimi intrygami nie upilnował córki.
Zresztą Hamlet jako partia był nie do pogardzenia.

Wolno więc przypuszczać do czego doszło
Z namiętności i wyrachowania. A jak już doszło
To i zaszło. Ale Hamlet nie miał głowy do następstw.

Owszem, panny z dziećmi spotykało się w tej epoce,
Jednak nie w tych sferach. Klasztor z jego mrokami
Był wyjściem rutynowym i Hamlet
Działał w zgodzie z tradycją.

Niestety, w tamtych czasach kobiety zakochiwały
się do szaleństwa,
Co przy prymitywizmie antykoncepcji dawało mieszanke
Piorunującą.

W rezultacie Ofelia tonąc wśród nenufarów
Mogła tylko krótkim zdaniem skwitować
Filozofowanie o bycie lub niebycie:
- Nie ściemniaj, Hamlecie.

Reszta jest bulgotaniem.

Grudzień, 2004 r.

MAREK WAWRZKIEWICZ

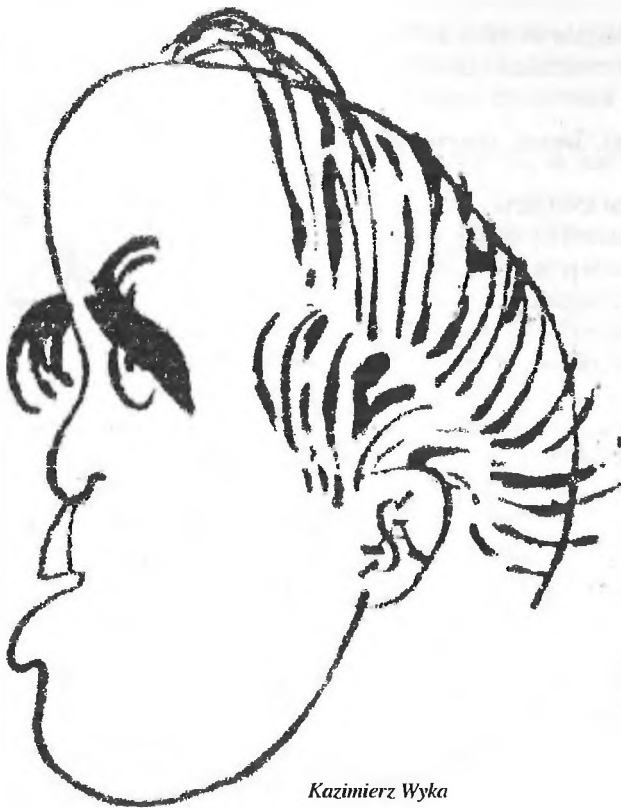
W latach swej największej aktywności zawodowej Kazimierz Wyka głosił tezę, że filologie uniwersyteckie, w tym przede wszystkim filologia polska, są powołane do tego, by kształcić na najwyższym poziomie nauczycieli szkół średnich. Nie godził się z przekonaniem, że mogą to czynić zawodowe szkoły pedagogiczne. Widział główne powołanie tak uniwersyteckich kierunków filologicznych, jak i przyrodniczych w wychowaniu i kształceniu na najwyższym poziomie nauczycieli szkół średnich – nauczycieli języków obcych, łaciny, ale też i matematyki, fizyki i chemii.

Wyka był w tym wypadku realistą i głosił publicznie swe poglądy o zadaniach i powołaniu uniwersytetów w zakresie kształcenia kadr nauczycieli – humanistów. Uważał też, że badacz instytutowy, który nie ma praktyki i doświadczeń dydaktycznych jest zawodowo uboższy, żeby nie powiedzieć skrzywiony. Mówił Wyka: „Uczymy swoich wychowanków i uczymy się od swoich wychowanków”.

Kazimierz Wyka był ponadto człowiekiem społecznym. Interesował się tym, co dzieje się w pobliżu jego rodzinnych Krzeszowic ziemii śląskiej i zagłębiowskiej. Otaczał opieką bezinteresowną kandydatów na studia polonistyczne w czasach rygoru egzaminów wstępnych i tylko ubolewał, że tak mało Ślązaków idzie na polonistykę, a kierują się raczej na filologię obce.

Od lat najwcześniejszych swej błyskotliwej po wojnie kariery uniwersyteckiej (1945 – starszy asystent, 1946 – został docentem, 1946-1948 – był kontrakowym zastępcą profesora, 1948-1952 – profesorem nadzwyczajnym, 1954 – prof. zwyczajnym) pojawiał się dr Kazimierz Wyka jako prelegent, wykładowca na naszych ziemiach, zwłaszcza jego obecność była szczególnie częsta w latach tuż powojennych. Już w pierwszym numerze katowickiej „Odry” redagowanej przez Wilhelma Szewczyka opublikował artykuł pt. „Niemiecki charakter narodowy”. Wziął też udział Kazimierz Wyka, członek Związku Literatów Polskich, w walnym zjeździe ZLP w Katowicach wraz z pisarzami krakowskimi i odbył z nimi oraz innymi uczestnikami zjazdu wędrowkę po Opolszczyźnie.

W dniu 19 stycznia 2005 roku minęła trzydziesta rocznica śmierci Kazimierza Wyki, wybitnego krytyka literackiego, wielkiego uczonego, historyka literatury polskiej XIX i XX wieku, a nade wszystko akademickiego nauczyciela.



Kazimierz Wyka

Na szlaku wędrowek Kazimierza Wyki na Śląsk i do Zagłębia Dąbrowskiego

Wydarzenie to miało znaczącą rolę polityczną. Wyka przyjeżdżał z wykładami i odczytami o literaturze romantycznej i współczesnej. Nie wszystkie ślady tej jego aktywności dają się dziś odtworzyć.

Już w roku 1945 powstawały na Śląsku pierwsze Kluby Literackie – w sierpniu w Katowicach, w styczniu w 1947 r. w Sosnowcu, w grudniu 1948 w Zabrze, 1949 r. w Bytomiu; w tym też czasie co bytomski powstał klub gliwicki. Do ich

powołania w znacznym stopniu przyczynił się prężny zarząd ZLP w Katowicach m.in. z Wilhelmem Szewczykiem, Zdzisławem Hierowskim, Janem Brzozą i in.

2.

Kluby Literackie odegrały wielką rolę kulturalną w powojennym społeczeństwie polskim. Najpiękniej scharakteryzował je profesor Stanisław Pigoń – wielki uczony i patriota ziemi polskiej i śląskiej. W dniu 18 V 1945 w Klubie Literackim w Bytomiu sformułował piękną opinię o tym klubie, która równocześnie charakteryzowała cały ten ruch klubowy na terenie Śląska i Zagłębia:

„Właściwie dopiero przyjechawszy tutaj uprzytomniłem sobie, do jakiego dzieła pozwolono mi na chwilę dołożyć ręki. Klub Literacki [...] jest placówką wielkiej – społecznej i kulturalnej wagi. Około zagadnień twórczości literackiej skupia i harmonizuje ludzi ukształconych w różnych stronach Polski, koncentruje dążności i usposobienie choćby i po trosze ekscentryczne, zróżniczkowane w różnych dawniejszych ośrodkach kulturalnych, na zgłiszczach i pobożowiskach montuje nową jedność duchową narodu.

Inicjatorom i pracownikom tego zespołu można – jak rolnikowi przy pracy – złożyć jedno tylko życzenie – daj, Boże, szczęście!”

(W. Studencki, *Wieczory bytomskie*, s. 17)

Wróćmy do porządku historycznego przedstawienia działań Kazimierza Wyki. Źródła prasowe mówią, że w grudniu 1946 r. Wyka uczestniczył wraz z Wilhelmem Szewczykiem w powołaniu Klubu Literackiego w Sosnowcu, jednego z pierwszych i znaczniejszych w województwie śląsko-dąbrowskim. Zapewne też wtedy Wyka wygłosił jakąś prelekcję. Pierwszą oficjalną i udokumentowaną prelekcję klubową wygłosił w dniu 13 I 1947 r. Gustaw Morcinek, a jego dorobek literacki przedstawił zebranej licznie publiczności Zdzisław Hierowski.

Prezesem-założycielem Klubu Literackiego w Sosnowcu był rejent Antoni Bogucki, po nim Mikołaj Bugajski (od 1954 r.), a w r. 1957 prezesem Klubu został profesor gimnazjalny mgr Włodzisław Doroszewski (1894–1979), stry-

jechny brat znanego językoznawcy Witolda Doroszewskiego. I to on dopiero nadawał przez trzy dziesięciolecia właściwą dynamikę życiu klubowemu w Sosnowcu. Prezes Doroszewski prowadził bardzo skrupulatną dokumentację wydarzeń klubowych oraz zamieszczał w miejscowej prasie notatki informacyjne o spotkaniach, często zapowiadając przybycie wybitnych postaci, a później relacjonując spotkanie, a także i sesje klubowe skupione wokół określonych tematów literackich, na których wystąpiło kilku prelegentów. Historię działalności Klubu można odtworzyć dzięki dokumentacji prasowej oraz prowadzonej kronice. Niestety, wiedza o wielkim ruchu klubów literackich uległa zapomnieniu i w dalszym ciągu dokonuje się jej zatarcie. Tylko te kluby, które posiadają publikacje, jak np. *Historia Klubu Literackiego w Dąbrowie Górniczej w latach 1949–1992* (Dąbrowa Górnicza: MBP 1995), opracowana przez Włodzimierza Starościaka, lub przedstawienie historii Klubu Literackiego w Sosnowcu wykonane w postaci magisterskiej pracy promocyjnej (mgr Barbara Tomalik).

Najwięcej wiemy o Klubie Literackim w Bytomiu. Jego twórca Władysław Studencki wydał książkę pt. *Wieczory bytomskie (silva rerum)* (Wrocław: Ossolineum 1967, ss. 296), która daje opis spotkań, relacjonuje treść niektórych wystąpień w postaci autoreferatów oraz dołącza listę odczytów, od wieczoru inauguracyjnego w dniu 20 X 1948, który został otwarty prelekcją pisarza Jana Brzozy o „Roli klubów literackich w dobie kultury demokratycznej” – do 604. wieczoru klubowego, który odbył się 31 V 1966 z referatem prof. Wincentego Danko z Krakowa pt. „Z problematyki tysiąclecia: powieść J.I. Kraszewskiego *Lubonie*. Klub działał dalej pod prezydencją prof. Studenckiego, który zmarł 22 XII 1985 r. Ważniejsze wydarzenia klubowe dołączył wydawca do tomu *Ze wspomnień* Władysława Studenckiego (Opole 1994, ss. 188) Zdzisław Piasecki, który opracował „Posłowie o Profesorze Studenckim, człowieku, działaczu społecznym, nauczycielu akademickim oraz współtwórcy i popularyzatorze nauki o literaturze” (s. 99–174). W tym „Posłowie” zawarte są liczne informacje o gospodarzu „wieczorów bytomskich”, o najznakomitszych uczestnikach wieczorów klubowych w Bytomiu, w tym także i o Kazimierzu Wyce. Kluby literackie bez takiej dokumentacji niebawem znikną z pamięci ludzkiej, a także i uwagi badaczy życia literackiego na Śląsku.

3.

Nie wykluczając po roku 1946 innych jeszcze pobytów na naszym terenie Kazimierza Wyki (wymaga to skrupulatnych badań dokumentacyjnych), posiadamy jednak niezbity dowód, że na pewno pojawił się on w Sosnowcu w dniu 21 II 1950 roku z okazji setnego wieczoru literackiego i wpisał do „Księ-

gi pamiątkowej 100-go wieczoru Klubu Literackiego w Sosnowcu” następujące zdania:

W kalendarzu Klubu Literackiego wieczór setny, w kalendarzu powszechnego obyczaju Polaków wtorek nazywany tłustym, kiedy otwarta została ta księga podpisem niżej położonym. Niechaj Klub obrasta w dalsze setki wieczorów, niech plenią się podpisy, niechaj kluby podległe mnożą się jak pieczarki, co życzy

Kazimierz Wyka

21 II 1950

Tę samą datę ma wpis pisarza Jana Brzozy oraz Wilhelma Szewczyka, który przypomniał, że w roku 1946 był jednym z organizatorów Klubu, nie dodał jednak, że razem z Kazimierzem Wyką:

Sosnowieckiemu Klubowi mile życzenia od człowieka, który stał u jego kolebki i oby nie dożył jego śmierci; a życzyć pragnie co najmniej lat sto.

Wilhelm Szewczyk

21 II 1950

W jubileuszowym spotkaniu brała udział grupa pisarzy, co świadczy o wysokiej randze owego kulturalnego wydarzenia. Obok Szewczyka, Wyki i Brzozy wpisał się też do „Księgi” Zdzisław Hierowski:

Z serdecznymi życzeniami dalszych wielu, wielu setek pięknych i pożytecznych wieczorów.

oraz Janina Zabierzewska, która zapytała wprost: *Któż może życzyć lepiej Klubowi?*

Następnego dnia, tj. 22 II 1950 wpisał się Kazimierz Wyka, nie bez podobnych motywów popielcowych jak wyżej, do „Księgi Gości” domu Szewczyków, otwierając ją jako drugi. Widać pobyt w Katowicach się przedłużył.

Ślady pobytów Wyki w Zagłębiu i na Śląsku tropimy teraz z perspektywy lat z ogromnym utrudnieniem. Postulujemy podjęcie stosownych badań życia klubowo-literackiego na Śląsku. Pomocne w tym będą wzmianki na łamach prasy, programy, ewentualnie bezcenna pamięć ludzka etc.

W październiku 1949 r. w Dąbrowie Górniczej powstał Klub Literacki. Pierwszym prezesem został jego założyciel mgr Józef Lis. Inauguracyjny wieczór odbył się z udziałem śląskich literatów Aleksandra Baumgardena i Jana Brzozy. W zajęciach klubowych uczestniczyło wielu wybitnych literatów (m.in. Maria Dąbrowska) i profesorów uniwersyteckich (m.in. Karol Estreicher i Kazimierz Wyka). Jesienią 1950 r. (może był to październik lub listopad) mówił w Klubie prof. Wyka na temat wybranych problemów twórczości Juliusza Słowackiego. W II połowie 1959 r. tenże miał wykład o twórczości Aleksandra Fredry. Historię tego klubu,

o czym wspominałem już wcześniej, przedstawił Włodzimierz Starościak w swej pracy cytowanej tu, będący prezesem od 8 kwietnia 1981 r. Wynika z opracowania, że był to aktywnie działający Klub.

I tak np. piszący te słowa w latach sześćdziesiątych dwukrotnie uczestniczył w wykładach publicznych prof. Kazimierza Wyki zorganizowanych przez Dąbrowski Klub Literacki, które miały miejsce w Domu Kultury w Dąbrowie Górniczej. Na prelekcjach tych pojawiał się zawsze, obok licznych słuchaczy, wielu byłych uczniów profesora, studentów, polonistyki, a wówczas już nauczycieli szkół zagłębiowskich i śląskich. Po części oficjalnej miały miejsce rozmowy oraz wspomnienia. Zapamiętałem rady, jakie dawał doświadczony nauczyciel swym młodszym kolegom, by pilnie nauczać składni polskiej, fonetyki, ortografii, poetyki i wersyfikacji, analizy wiersza i demonstrować te umiejętności zwłaszcza w sytuacjach tzw. wizytacji dokonywanych przez zazwyczaj słabo wykształconych merytorycznie, a biegłych tylko w dydaktyce wizytatorów. Wyka zawsze cieszył się na spotkania ze swymi dawnymi studentami. Darzył szacunkiem ich pracę i był rad z sukcesów nauczycielskich, a gdy do tego dochodziły osiągnięcia literackie, nawet skromne, tak np. jak w wypadku nauczyciela i satyryka Romana Bilika, pochodzącego z Kęt, to profesor miał pełną satysfakcję.

4.

W roku 1958 Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Katowicach przy znacznej pomocy profesora Kazimierza Wyki zorganizowała Śląską Sesję Mickiewiczowską, w której on wziął udział, mówiąc o osiągnięciach naukowych Roku Mickiewiczowskiego. Innymi prelegentami byli Zbigniew Jerzy Nowak, Stanisław Zabierowski, Bogdan Zakrzewski, Józef Mayer, Wacław Kubacki, Jan Zaręba, Zbigniew Tabisz, Marian Kwaśny, Franciszek German, Eugeniusz Sawrymowicz oraz Mieczysława Mitera-Dobrowolska. Przynajmniej niektórych z wybitnych mickiewiczologów spoza Katowic Kazimierz Wyka zachęcił, może nawet zobowiązał, do wzięcia udziału w tej znaczącej dla historii nauki na Śląsku sesji. Już w dwa lata po niej ukazał się tom pt. *Adam Mickiewicz. Materiały Śląskiej Sesji Mickiewiczowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Katowice, 10 i 11 kwietnia 1956* (Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1958, ss. 565 + 3 nlb., ark. wydawniczych 41, nakład 1500 egz., ilustr., broszura z obwolutą). Na obwołucie był pomnik Adama Mickiewicza w Gliwicach, dłuta artysty rzeźbiarza prof. Franciszka Strykiewicza, odsłonięty w roku 1957. Do dziś dnia, a niedługo będzie pięćdziesiąta rocznica tego wydarzenia, nie było w Katowicach sesji, a także i publikacji o analogicznej randze naukowej.

W porze zimowej roku 1960 w rybnickim Klubie Literackim „Świt” kiero-

wanym przez poetę Zbigniewa Jankowskiego wygłosił prof. Wyka piękny odczyt o Julianie Tuwimie. Były na nim tłumy słuchaczy. Klub ten znany jest z powołania Rybnickich Dni Literatury, nad którymi patronat miał Rybnicki Okręg Węglowy z wielkim mecenasem tych uroczystości dyr. Jerzym Kucharskim. Wykład prof. Wyki łączył się też z uroczystością przyznania jego studentowi, młodemu wówczas poecie Tadeuszowi Kijonce, Nagrody Kulturalnej Rybnickiego Okręgu Węglowego za tomik wierszy *Witraże*. To ważne wydarzenie w życiu poety było też wzruszającym przykładem przyjaźni i opieki nad swymi studentami, początkującymi literatami, poetami, krytykami, jaki sprawował Kazimierz Wyka. Po tych obu kulturalnych wydarzeniach odbyła się pamiętna dla uczestników biesiada literacka, której gospodarzem był dyr. Jerzy Kucharski.

W latach sześćdziesiątych wygłosił profesor Wyka w Klubie Literackim w Domu Kultury w Dąbrowie Górniczej wykład o twórczości Aleksandra Fredry. 27 stycznia 1970 r. w tymże Klubie mówił o twórczości Stanisława Wyspiańskiego. Jesienią roku następnego w Uniwersytecie Śląskim dla polonistów w budynku przy ulicy Wita Stwosza w Katowicach wygłosił piękny wykład o Cyprianie Norwidzie i dokonał analizy jego wiersza „W Weronie”, którą niektórzy uczestnicy prelekcji jeszcze wspominają. Rwie się nasza wiedza o pobytach profesora Kazimierza Wyki u nas. Wzbogacenie jej wymaga uciążliwych kwerend archiwalnych i prasowych. Z czasem te kontakty zapewne osłabły, Wyce bliżej było do Warszawy niż na Śląsk. Ale jako prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego witał z sympatią i wspierał powstanie filii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Katowicach, a w parę lat później był wielce rad z powstania Uniwersytetu Śląskiego.

Przypomnijmy więc, że profesor K. Wyka był promotorem rozprawy doktorskiej pt. „Jan Wantuła. Monografia życia i twórczości”, którą pod jego kierunkiem wykonała Anna Radziszewska. Obrona odbyła się 22 II 1973 w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Recenzentami byli profesorowie Tomasz Weiss i Antoni Gładysz. Dr A. Radziszewska zapamiętała datę i tytuł wykładu profesora Wyki („Tadeusz Rózewicz, czyli problem zamienników gatunkowych”), który odbył się w Uniwersytecie Śląskim 25 VI 1973 r. Przyjeżdżał też Kazimierz Wyka – w młodości piłkarz, wiceprezes klubu, a później wierny kibic „KS Cracovia” – na ważniejsze i międzynarodowe mecze odbywane na Stadionie Śląskim. Często towarzyszył mu rodak krzeszowicki, rektor WSP w Krakowie Wincenty Danek (1907–1976). Szczególnie długo wspomniany był przyjazd do Katowic na historyczny mecz Polska – ZSRR, 21 października 1957 roku, wygrany przez naszą drużynę 2:1; dwie wspaniałe bramki zdobył wówczas Gerard Cieślik.

Entuzjazm na trybunach osiągnął szczyt po drugiej bramce Cieślika, toteż wszyscy bratali się z sobą. Profesor Wyka pociągnął wówczas z „gwinta” spory łyk czystej, z butelki podanej przez jakiegoś kibica. A po meczu w pochodzie zwycięstwa wracał pieszo do Katowic wraz z grupą pracowników naukowych Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Tak, piłka nożna, to był jego żywioł.

5.

Jednym z najaktywniejszych klubów literackich i mającym swą literaturę przedmiotową był Klub Literacki w Bytomiu, którym od początku, tj. od 20 X 1948 kierował prezes, najpierw mgr Władysław Studencki, a zamknął jego działalność prezesowską jako profesor Uniwersytetu w Opolu, zmarły w 22 XII 1985. Według skrupulatnego zestawienia historiografa Klubu do roku 1965 prof. K. Wyka gościł w Klubie osiem razy. Pierwszy raz przedstawił sylwetki współczesnych poetów (J. Czechowicza, A. Ważyka, Cz. Miłosza, J. Przybosa). Wówczas do „Pamiętnika Klubu” wpisał następującą uwagę:

„Ponieważ bawiło się w Bytomiu mówić o poezji, co oczywiście na każdym południku i równoleżniku Polski oznacza – Przybós, wyręcz mię, Julianie, w pierwszej części albumowego wpisu:

*Pochłonie to wszystko jak dym
pamięć smutkożerna:
Nędzarze wgrzebani w halde,
spaloną ojczyznę,
Mur więzienia, który odłamkami
szkła ociemniał,
Huk hut, czarny hymn
niemoty –*

Otóż nieprawda! Tak to wygląda na oko czy wówczas, kiedy pisałeś: rok 1931, rok kryzysu” [...] (Wyka).

Dalej pisze Wyka, że obecnie jest inaczej. Zobaczysz w Bytomiu „żywą głębię kultury” i „usłyszysz zmieszanie akcentów”.

Przybós odpowiedział w dn. 20 I 1951 r.:

„Parę kartek wstecz przeczytałem apostrofę Wyki do mnie z wyjątkiem wiersza – najsmutniejszego, jaki w życiu napisałem. Mówił o nędzarzach bezrobotnych, ale mówił ten wiersz także o najcięższym okresie mojego uczuciowego życia. Niech będzie to wszystko zapomniane!

Przepiszę więc wspomnienie radosne – z podróży po Italii, które przeczytałem na wieczorze”.

*Powiew
Dmuchawiec w powietrzu tańczy,
Iskierkę ze ziarenkiem przysypiając
światłu.
Jaśmin tak zapachniał, jakby kwitnął
na gałązce pomarańczy
i ziścił
sen jakiegoś Miczurina kwiatów.*

*To nic, to tylko sprawił
wiatr, wieczna chwiejność oddali.*

*I całą w twoich oczach błękitnych
błękitną
widokówkę marzenia na jawie –
Italję
doreczył mi ten listonosz liści.
(Odczytałem go na wsi bratu,
gdy kosił równo ze świtem,
trawę z mniszkiem pospolitym).*
Julian Przybós

20/II 1951

(Cytuję za oboma książkami
Władysława Studenckiego
o Bytomskim Klubie Literackim)

Na kartach „Pamiętnika Klubowego” wywijała się przyjacielska polemika między krytykiem i poetą, która przyniosła bardzo znamienne wypowiedzi Przybosa sprowokowaną przyjazną cytacją jego wiersza przez Kazimierza Wykę.

Później mówił Wyka w Klubie Bytomskim o „Żeromskim żywym” (14 XII 1949), o pozytywizmie w literaturze polskiej (12 IV 1950), o „Rozwoju ideologicznym twórczości Fredry” (18 IV 1951). I dopiero po paru latach pojawił się ponownie w Klubie bytomskim z wykładem o C.K. Norwidzie (26 XI 1958) i Clochard: opowieść o C.N. Norwidzie (10 VI 1959). W następnym roku mówił Wyka o „Dwóch cyganeriach” (17 II 1960), a 18 IV 1961 miał prelekcję pt. „Jan Kaspro-wicz na tle pokolenia Młodej Polski”. Na tej dacie kończy się skrupulatne zestawienie prelekcji wykonane przez W. Studenckiego. Widać jednak z późniejszych opracowań, że kontakty prof. Kazimierza Wyki z Klubem trwały dalej. Wydawca *Ze wspomnień* publikuje zdjęcie profesorów Jana Trzynadłowskiego, Władysława Studenckiego i Kazimierza Wyki z dn. 14 V 1973 r. Przy okazji ich wspólnych wystąpień w Klubie Literackim Trzynadłowski ułożył – jak mówił – pełen niepokoju wierszyk:

*Występować przed Wyką
to ryzyko,
a po Wyce –
nóż na grdyce!*
(Bytom, 15–16 V 1973)

Ładnie się panowie prelegenci bawili!

6.

24 stycznia 1974 r. wygłosił na Uniwersytecie Śląskim dla polonistów wykład: „Trzy nadchodzące rocznice: Żeromski, Reymont, Fredro”. Pobyt prof. Wyki w dniu 17 I 1975 był niewątpliwie związany z jego udziałem w posiedzeniu rady naukowej Instytutu Filologii Polskiej UŚ, której był przewodniczącym. W dniu 17 I 1975 Profesor miał w Instytucie dwa wykłady: „Dwa stulecia o Fredrze” dla szerszej studenckiej, i nie tylko, publiczności oraz w kręgu węższym, specjalistyczny wykład, mo-

że coś w rodzaju seminarium, pt. „Planowanie nauki o literaturze”.

Po przybyciu Profesora do budynku instytutowego – jak relacjonuje to wydalenie ówczesny kierownik biblioteki i bibliotekarka – zainteresował się zasobnością księgozbioru polonistycznego. Zeszedł razem z bibliotekarzami do magazynów. Tutaj bardzo zaintrygowały go nowoczesne wówczas przesuwne regały, których sprawność nawet osobiście sprawdzał. Bardzo go to bawiło. Wszyscy obecni przy tym uznali jego zainteresowanie o księgozbiór i jego pomieszczenia jako godne prawdziwego uczonego. Wydarzenie to na trwałe pozostało w pamięci bibliotekarzy uczelnianych, którym podobne wizyty i zainteresowanie ich pracą ze strony tej miary wielkiego uczonego i legendarnej już postaci naszej dyscypliny – później nigdy więcej się nie wydarzyło. Dopiero po tej wizycie w magazynie bibliotecznym udał się Profesor „na pokoje” dyrekcji Instytutu.

Uczestnicy wspomnianych wyżej prelekcji, a zwłaszcza wykładu o Fredrze zapamiętali do dziś tylko to, że były wygłoszone z niezwykłą swadą, a treści wypowiedzi prelegenta były głębokie. Nikt z moich rozmówców nie zapamiętał tytułów prelekcji, na szczęście zapisanych jednak w kronikach.

Wyka posiadał sztukę pięknego i głębszego myślenia. Pod jej urokiem pozostawali przez lata, zarówno słuchacze pierwszych lat jego wykładów uniwersyteckich, a także i późniejszych, jak też i uczestnicy jego ostatnich dwu wykładów w życiu wygłoszonych na Uniwersytecie Śląskim – u końca swej pięknej i bogatej kariery naukowej, tak tragicznie i przedwcześnie przerwanej. Profesor Kazimierz Wyka był w tym pamiętnym dniu niezwykle ożywiony i wzruszony. Odprowadzany na dworzec kolejowy w Katowicach podkreślał niezwykłość tej chwili. Jeszcze poprzez otwarte okno w wagonie kolejowym ścisnął dłoń żegnającego i czynił to znamienne długo, mimo coraz szybciej ruszającego pociągu. Dwa dni później już nie żył!

Profesor Kazimierz Wyka dnia 19 stycznia 1975 r. zmarł. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadził go polonista i aktor konspiracyjnego teatru rapsodycznego, arcybiskup krakowski Karol Wojtyła. Ze wzgórza św. Barbary na tzw. Salwatorze, u podnóża kopca Kościuszki – skromny grób Kazimierza Wyki patronuje uczelniom polskim na wschodzie i na zachodzie, na południu i na północy od Krakowa. W nowo powstałych ośrodkach uniwersyteckich wspaniale rozwijają się umiłowane przez niego dyscypliny humanistyczne: historia, historia języka i literatury polskiej, socjologia, historia sztuki oraz krytyka literacka, której początki położył na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach pięćdziesiątych i później poprzez wykłady i praktykę akademicką.

ADAM W. JAROSZ

KLAUDIA TASZ SOBCZYŃSKA

EROTYKI

Czerwony

*Słoneczne rumianki
załotnie patrzą w moją stronę,
Dojrzałe żdźbła traw
bezczelnie zaglądają mi pod sukienkę;
Osuwam się upojona szelestem wiatru
w zielonej trawie moich myśli.
Nie wiem,
czy to żar powietrza nad kwiecistą dziczą łąki,
czy moje usta pragnące Ciebie*

Różowy

*Suszone kwiaty na ścianie zastygły w niemych kolorach,
Płatki śniegu prześlizgują się za zdziwionym okiem szyb,
Spékane mrozem uczucia
na nowo rozpala bliskość Twych dłoni.
Dziękuję
za jedwab palców
sunących po chciwych pieszczot ramionach;
Dziękuję
za drżące czekanie wybuch miliona barw,
i lato, które westchnieniem uleci w przestrzeń.*

Sierpniowe urodziny (Żółty)

*Wtulona w zapachy traw i rozgrzanych skał
patrzę,
jak balansujesz na grani
pomiędzy prostotą, a tajemniczością,
finezją, a rubasznnością.
Jak możesz być
tak dostojny i pocieszny zarazem?*

*Pod przymkniętymi powiekami obłoków
znów namaluję...*

*Ciebie
– siebie.*

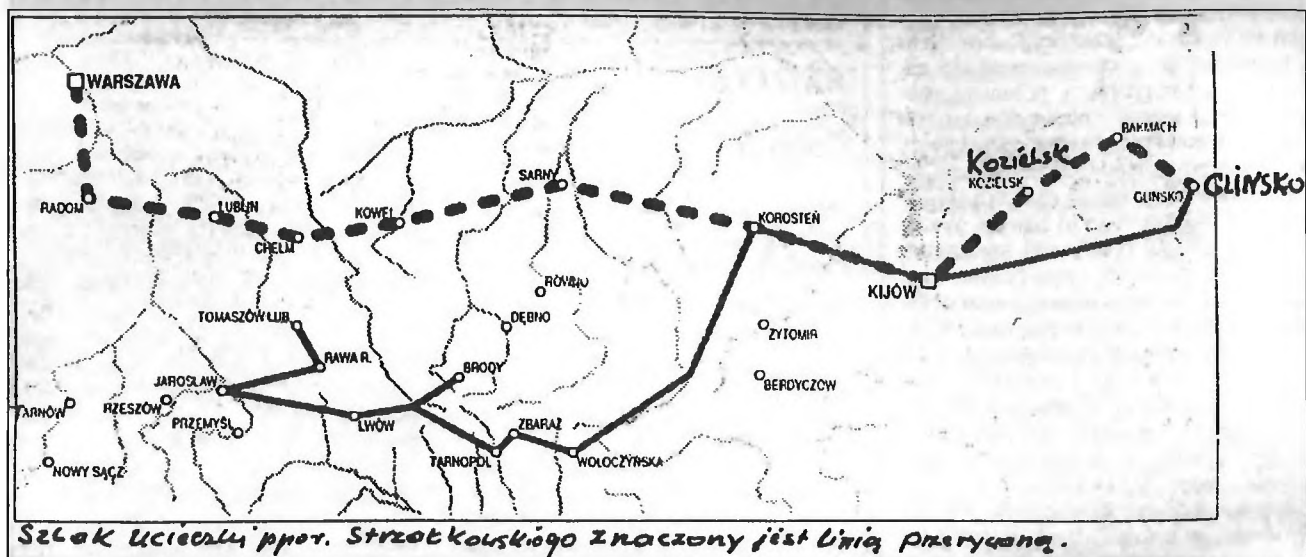
*I pieszczę się czułym spojrzeniem,
falującym ciepłem oddechu,
ocieram o barwy słów.*

*Cóż,
na koniec
skąpana jedynie w kolorach marzeń,
odziana w uśmiechy sempervivum
odwracam wzrok
ku niewinności horyzontu.*



Rys. Wojtek Łuka

Ich sensacyjna ucieczka to gotowy scenariusz filmowy. Bohaterowie, którzy uniknęli w ten sposób zagłady z przyczyn osobistych nie ujawniali okoliczności tej ucieczki przez wiele jeszcze powojennych lat.



W tym roku przypada 65. rocznica największego mordu na polskich oficerach-jeńcach wojennych powszechnie nazywanego mordem katyńskim.

Spośród kilkudziesięciu tysięcy polskich jeńców wojennych umieszczonych w różnych obozach sowieckich uratował się zaledwie nikły procent. Tylko 432 więźniów Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska uniknęło śmierci w Katyniu i dwóch pozostałych miejscach zagłady.

Wiosną 1940, jeszcze przed aktami ludobójstwa, tych kilkuset jeńców przewiezionych zostało do obozu w miejscowości Pawliwszczew Bor, a stąd do Griażowca. Uniknęli śmierci, bo przeznaczono ich do specjalnego postępowania, którego nie zakończono przed napaścią hitlerowską na ZSRR w 1941 roku. W ten sposób ocalili: znany kapelan Rodzin Katyńskich ks. Zdzisław Peszkowski, wówczas młody (ur. 1918 r.) kapral podchorąży oraz rodowity Ślązak kpt. Szymon Białecki (ur. 1893 r. w Połomi), szef sztabu Grupy Wschód w III powstaniu śląskim, oficer KOPu, a więc oficer formacji szczególnie znienawidzonej przez NKWD i przeznaczonej z góry do likwidacji. Gros uratowanych w ten sposób oficerów trafiło w 1941 r. do tworzonej na terytorium ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem – też byłego więźnia sowieckiego kazamatu – gen. dyw. Władysława Andersa.

Perfidnie i doskonale zorganizowane ludobójstwo zarówno z punktu widzenia psychologicznego i fi-

Ucieczka z sowieckiego obozu jenieckiego

JÓZEF
MUSIOŁ

zycznego stanowiło o tym, iż prawie nie zanotowano ucieczek z sowieckich obozów jenieckich. Prawie, bo tylko dwóm oficerom polskim udało się ucieczka z sowieckiego obozu jenieckiego w Kozielsku. W dokumentach uznani zostali za zaginionych. Byli nimi 24-letni ppor. Włodzimierz Strzałkowski – młody zawodowy oficer i starszy

od niego o 10 lat porucznik rezerwy, w cywilu inżynier rodem z Warszawy, Władysław Stępień. Ich sensacyjna ucieczka to gotowy scenariusz filmowy. Bohaterowie, którzy uniknęli w ten sposób zagłady z przyczyn oczywistych nie ujawniali okoliczności tej ucieczki przez wiele jeszcze powojennych lat. Szczególnie dlatego, że z tego

co ustaliłem, Włodzimierz Strzałkowski odwiedzał swoją ojczyznę i zachowanie tajemnicy leżało w jego żywotnym interesie.

Pierwszy raz od zakończenia wojny przyleciał z Republiki Południowej Afryki do Polski w latach sześćdziesiątych. Myślę, że miał wielkie szczęście, iż nie został wówczas, przez wiadome służby, zidentyfikowany jako ten który uciekł, a w dokumentach widniał jako zaginiony więzień Kozielska.* Wszak znany jest tragiczny los ks. Stodolaka, proboszcza kościoła św. Boromeusza na Powązkach w Warszawie, który na ścianie świątyni umieszczał epitafia pomordowanych w 1940 roku oficerów-jeńców sowieckich obozów. Wszystko wskazuje na to, że ta zbrodnia na księdzu była dziełem określonych służb radzieckich.

Wrześniowe szlaki walk

Włodzimierza Strzałkowskiego poznałem dzięki braciom Karolowi i Franciszkowi Ranoszkom – Ślązakom stale zamieszkającym od zakończenia II wojny światowej w Republice Południowej Afryki, którym poświęciłem już wtedy kilka publikacji. Oni to, w latach osiemdziesiątych, polecieli Strzałkowskiemu moją osobę w Polsce. Nadzorowałem wtedy – jako Podsekretarz Stanu – Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich – Instytut Pamięci Narodowej. Usprawiedliwiało to wówczas spotkanie z kombatanami walczącymi w czasie II wojny z III Rzeszą Niemiecką. Doszło do tego, że byli oficerowie polscy przyjeżdżający z Zachodu często wprost kierowali się do mnie z polecenia swych kolegów, z którymi wcześniej byłem zaprzyjaźniony. Bywało nawet tak, iż udostępniałem im swój służbowy samochód wraz z kierowcą – funkcjonariuszem służby więziennej. Tak było m.in. z rotmistrzem Zygmuntem Fudakowskim, jednym z trzech adiutantów gen. Sikorskiego. Na tej samej zasadzie znalazł się w moim gabinecie Włodzimierz Strzałkowski – bodaj wtedy major



Włodzimierz Strzałkowski w czasie wojny na Zachodzie

w stanie spoczynku. W czasie jednej z kolacji oświadczył mi, iż jest nosicielem bardzo ważnej tajemnicy, ale nie może mi jej jeszcze wyjawiać. Domyślałem się, iż chodzi o tajemnicę związaną z Katyniem, ale nie nalegałem, choć wtedy nie wiedziałem, iż mam do czynienia z jeńcem zbiegłym z radzieckiego obozu zagłady. Zbrodnia katyńska nie była dla mnie tajemnicą i dlatego w czasie organizowanych w latach 80. konferencji poświęconych zbrodniom hitlerowskim, przedstawiciele Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich nie lansowali tezy, iż zbrodni tej dopuścili się Niemcy.

Blżej z Włodzimierzem Strzałkowskim zaprzyjaźniłem się, gdy zaproszony przez śląskich kombatanów znalazłem się w Południowej Afryce. Niezwykle interesujące dla mnie były spotkania oraz moje wystąpienia, które w 1991 roku miałem w RPA – z okazji dwusetnej rocznicy Konstytucji 3 Maja. Ilekroć odwiedzałem ten piękny kraj zawsze spotykałem się ze Strzałkowskim. Z wolna odsłaniał mi tajemnicę ucieczki, dzięki której uniknął

strzału w potylicę. Strzępy tych wspomnień zapisywałem po każdej rozmowie. Potem wpadł mi w ręce „Notatnik” – Biuletyn Informacyjny Stowarzyszenia Techników Polskich w RPA z lipca 1993 roku, w którym Włodzimierz Strzałkowski naszkicował swą „Ucieczkę z obozu zagłady pod Kozielskiem”.

Spróbujmy prześledzić najpierw drogę, która młodego Strzałkowskiego doprowadziła do obozu pod Kozielskiem.

Urodził się dnia 29 czerwca 1915 roku w Warszawie w rodzinie ziemiańskiej. Tu również ukończył szkołę średnią, po czym rozpoczął służbę wojskową w Włodzimierzu. Następnie zaś w latach 1937–1939 studiował w znanej Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu i w październiku 1939 roku miał otrzymać upragnione oficerskie szlify. W sierpniu tegoż roku pojechał na ostatnią praktykę do pułku, w którym po promocji miał służyć. Żegnający swych podchorążych komendant Szkoły, płk Sawczyński zapowiedział im jedno, że do Szkoły już na pewno nie wrócą, a promocje dostaną w polu. Było to słuszne przewidywanie o nadciągającej wojennej burzy.

Strzałkowski swój przydział otrzymał do 24 Pułku Artylerii Lekkiej w Jarosławiu. Po drodze wstąpił jednak na Kujawy, do rodzinnego majątku, aby pożegnać się z ojcem, a potem na kilka godzin wpadł do Warszawy. Już w Jarosławiu otrzymał przydział do 2 Baterii, której dowódcą był – przyjmujący go z otwartymi rękami – por. Pniewski. Czuło się zbliżającą już wojnę. Przystawienie się na stan wojenny wymagało ogromnej pracy organizacyjnej. Tłumy rezerwistów szkolono czym prędzej. W końcu 24 pułk ruszył do rejonu koncentracji w okolicy Dębicy, a następnie Tuchowa i Brzostka.

Wybuch wojny zastał Strzałkowskiego na stanowisku ogniomym pod Wojniczem, a styczność z nieprzyjacielem została nawiązana w dniach 2–3 września na kierunku z Nowego Sącza. Odno-

towywano pierwsze straty w wyniku niemieckich nalotów. W nocy z 4 na 5 września nastąpił rozkaz zmiany stanowisk. Jak to później napisał Strzałkowski Dywizjon w marszu ubezpieczonym wpadł na szosie w niewielką zasadzkę ogniową. Wpadliśmy w bardzo silny ogień z moździerzy i broni maszynowej. Straty były ogromne, zwłaszcza wśród zaprzęgów, na szosie powstały zwaly sprzętu, postrzelonych koni, rannych i zabitych ludzi obsługi. Pode mną postrzelony koń, którego trzeba było dobić...

Szlak walk prowadził w kierunku do Tarnowa, a następnie z powrotem do Jarosławia. W czasie walk Strzałkowski stracił wszystko, nawet płaszcz przytroczony do siodła. Pozostał mu tylko pistolet i lornetka. Kiedy dotarli do Gumnisk pod Tarnowem, istniało niebezpieczeństwo dostania się do niewoli i wtedy to pod murem ogradzającym siedzibę książąt Sanguszków zakopał swego Visa. Kolejny zaś przydział otrzymał do zwiadu dywizjonu. W nocy z 8 na 9 września ppor. Strzałkowski wyrusza na wschód w kierunku Brody – Rawa Ruska z rozkazem dotarcia do rejonu koncentracji w Tarnopolu. Koło Janowa nastąpiło spotkanie z oddziałami 11 Dywizji Piechoty – części Armii gen. Sosnkowskiego idącej na odsiecz Lwowa.

W niewoli radzieckiej

17 września rozchodzi się wiadomość o przekroczeniu granicy przez Armię Czerwoną. Krążą różne wersje tego wkroczenia m.in. że Rosjanie przychodzą Polakom z pomocą przeciwko Niemcom. Strzałkowski należał do zwiadu składającego się z trzech oficerów i około 20 szeregowych – część konno, reszta na wozach. Dlatego, że jego dywizjon został w tyle – zwiad pozostał bez jakiegokolwiek łączności. A oto jak zapamiętał Strzałkowski pierwszy kontakt z czerwonoarmijcami: *Okolo godziny 16-tej minął nas na drodze patrol kawalerii rosyjskiej idącej w kierunku*

na Brody. Przejechali stępą obok nas w odwrotnym kierunku. Podoficer prowadzący zasalutował, a żołnierze przyjaźnie machali rękami. (...) Zbliżaliśmy się do Tarnopola. Na skraju wsi, której nazwy nie pomnę, prawie najeżdżaliśmy na szereg jeźdźców stojących w poprzek drogi. Stanęliśmy i natychmiast zostaliśmy otoczeni przez oddział kawalerii rosyjskiej. Po chwili poczułem na piersi lufę rewolweru i usłyszałem słowa «dawaj rugi». Pistolet mój został zakopany w ziemi pod Tarnowem, miałem karabin wieszony na siodle. Przeciwko lufie cisnącej w brzuch nie ma argumentów, oddałem karabin i zaraz nowy rozkaz »na ziemię«. Zsiadłem z konia, zdołałem z juczki wyciągnąć chlebak z przyborami do golenia i setką papierosów (płaskich), kiedy mój Ateusz (koń) został zabrany bezpowrotnie. To był drugi stracony przeze mnie koń. Zabrano nas z drogi na pole, odprowadzono kilkadziesiąt metrów i kazano siedzieć i milczeć. Siedzieliśmy tak do rana. O świcie dopiero zobaczyliśmy, że byliśmy w licznym towarzystwie. Duże pole, ściernisko, zatłoczone sprzętem, końmi, ludźmi, a wszystko otoczone

przez wojsko rosyjskie. Zaraz na wstępie oddzielono oficerów od szeregowych i przeprowadzono dość powierzchowną rewizję, nie pozwalając na ruszanie się z miejsca (...). Już o zmroku ruszono nas z miejsca i sformowano kolumnę marszową («podawaj po czterech»), którą otoczyła eskorta kawalerijską... Marszerowaliśmy całą noc do Zbaraża, gdzie pod miastem staliśmy w polu przez dzień, i tu po raz pierwszy dano nam trochę chleba, kawałek rąbanego cukru i umożliwiono nam nabrać wody. Marsz nocny stwarzał możliwość ucieczki, ale człowiek był tak przybity i otumaniony biegiem wypadków, że o niczym nie myślał, tylko stawiał nogę za nogą, ponaglany krzykiem eskorty »dawaj, dawaj w pieriot«.

Następnej nocy ruszyliśmy dalej, aby nad ranem przekroczyć granicę Polski i znaleźć się na terenie Rosji w Podwołoczyskach. Umieszczono nas w pustych oborach hodowli bydła, musiało być tam dobre kilka tysięcy ludzi, wojska, cywilów, kobiet i mężczyzn.»

W oborach przetrzymywano ich kilka dni. Następnie załadowano do pociągu towarowego udającego się w głąb ZSRR. Podróż trwała parę dni, by ostatecznie dotrzeć do Kijowa. W Kijowie jeńców wyładowano i po przemarszu przez miasto na nowo załadowano do wagonów do dalszego transportu aż do miasteczka Tiotkino koło Putiwa. Nie był to jednak koniec. Tam wsadzono ich do odkrytych wagonów kolejki wąskotorowej, by po około 15 kilometrach wysadzić kompletnie wycieńczonych w obozie. Były to sklecone baraki dla sezonowych robotników kopiących torf. Wybudowane na torfowiskach, otoczone wysokim płotem z drutami kolczastymi, z wieżyczkami. Puste baraki bez prycz, nawet słomy, tak zatłoczone, że nie było miejsca na spanie. Warunki były tragiczne. W obozie zgromadzono oficerów, szeregowych, policjantów, kolejarzy, cywili, a nawet kilkanaście rodzin z kobietami



Dekoracja Krzyżem Virtuti Militari Włodzimierza Strzałkowskiego przez gen. Andersa. Włochy, 1945.

i dziećmi. W tym obozie trzymano ich do przełomu września – października 1939 roku. Już w tym czasie ze strony władz obozu było coś charakterystycznego, co dla bardziej sceptycznych jeńców mogło być zapowiedzią czegoś gorszego: do sprzątnięcia obozu, kuchni, latryny, zbierania pod eskortą torfu, palenia i gotowania, wyznaczano tylko oficerów. Uruchomiono działalność propagandową w postaci projekcji opowiednich filmów, mityngów, odczytów o Rosji i komunizmie. Jak mówił Strzałkowski wprawdzie było znośnie, ale głodno, chłodno i beznadziejnie. Pod koniec września wywieziono rodzinę z tego obozu, rzekomo do Polski, co okazało się prawdą, bo dwie znajome Strzałkowski po ucieczce spotkał w Warszawie.

Na początku października 1939 roku wydzielono oficerów i podchorążych, załadowano na kolejkę i z powrotem wywieziono do Tiotkina, a następnie marszem pieszym w kierunku do Kozielska do miejsca postoju w Glinśkim Monastyrze umiejscowionym w byłym klasztorze, kilka kilometrów od Glinśka. Zabudowania klasztorne otoczone murem. Duża cerkiew zamieniona na magazyn zboża, budynki przyklasztorne oraz szereg nowo wybudowanych baraków – oto co zapamiętał Strzałkowski z tamtego czasu. Obóz był już pełen oficerów. Brakowało miejsca i dlatego na jedną prycę przydzielano dwie osoby. Strzałkowskiemu przyszło dzielić prycę ze starszym od niego o 10 lat por. Władysławem Stępnem – przyszłym towarzyszem brawurowej ucieczki (w tym czasie w początkach 1940 roku w Kozielsku przebywało około 5000 jeńców, w tym 4500 oficerów. Jeńców tego obozu wywożono do Łasku Katyńskiego i tam rozstrzeliwano).

Rozpoczęły się przesłuchania w komendzie obozu. Pewnego razu rosyjski oficer ze straży obozowej zauważył u Strzałkowskiego zestaw składający się ze złotego pelikana i rezerwuaru na atrament. Bardzo mu się to spodobało i bardzo chciał to kupić, ale spotkała go odmowa, bo po co pieniądze w obozie. W baraku Strzałkow-



Państwo Strzałkowscy Danuta i Włodzimierz w 1994 r. powrócili do swej dawnej Ojczyzny.

skiego zaczęły się dyskusje co do ich dalszego losu i ewentualnej możliwości ucieczki. Większość ucieczkę uznało za niemożliwą z powodu braku ubrań cywilnych, pieniędzy, znajomości języka. W połowie października jeńcom, którzy byli w mundurach drelichowych wydano tzw. fufajki – wataniane spodnie i bluzki. Wtedy temat ucieczki wrócił w rozmowach Strzałkowskiego ze Stępnem.

Ucieczka z Glinśkiego Monastyru

Postanowili zaryzykować. Strzałkowski sprzedał Rosjaninowi swój zestaw Pelikana za 250 rubli, a Stępień za 200 rubli swój zegarek. W obozie otwarto już wtedy mały sklepik, więc te transakcje nie wzbudziły podejrzeń. Zgromadzili odpowiedni zapas chleba i cukru oraz po jednym śledziu ze specjalnej racji wydawanej dla uczczenia rewolucji październikowej. Wyjść z obozu można było tylko przez włączenie się do grupy roboczej wychodzącej codziennie rano zbierać torf. O zamiarze ucieczki powiadomili komendanta baraku. Nadszedł dzień podjęcia ryzykanckiego kroku. Było to na początku listopada około 3 rano. Strzałkowski wraz ze swym towarzyszem niedoli wyszli z obozu zbierać torf w grupie eskortowanej przez 5 „bojców”. Podczas zbierania torfu powoli zaczęli odsuwać się od grupy współjeńców, po czym zaszli się w szuwarach. Na okrzyk do powrotu „dawaj nazad” nie zareagowali.

Grupa jeńców zebrała się i niosąc parami skrzynie torfu udała się do obozu. Tamtą dramatyczną chwilę Strzałkowski tak opisuje: *Siedzieliśmy w trzcinach długo, licząc się z możliwością odkrycia naszej nieobecności. Mieliśmy zamiar tłumaczyć się, że zasnęliśmy w szuwarach, groziło to najwyższej kryminalem. Ale minęło parę godzin, wieczór się zbliżał, a cisza była zupełna. Wyruszyliśmy w kierunku Glinśka. (...) Wieczorem znaleźliśmy stację kolejową i Władek mówiący biegle po rosyjsku (...) poszedł kupić bilety do Kijowa. Dostał je bez trudu. Pociąg przyjechał około 10 zatłoczony, słabo*

oświetlony i w przedziale tzw. twardym przytulił nas obydwoch. Władek jako normalny pasażer, a ja z twarzą obwiązaną brudnym kawałkiem ręcznika jako «bolnyj od zuba». Ciągle oczekując na wpadkę dojechalismy do Kijowa (...) po raz drugi w ciągu miesiąca. Ruszyliśmy w głąb miasta spędzając większość czasu w parku nad Dnieprem. (...) Wróciliśmy z powrotem na dworzec, bo (...) doszliśmy do wniosku, że trzeba dalej podróżować pociągiem. Stacja była zatłoczona, przed kasami biletowymi oznaczonymi nazwami stacji docelowych ustawiły się długie kolejki. Zobaczyliśmy, że każdy pasażer z kolejki udający się na Korosten pokazuje jakieś papiery. (...) Władek nie próbował kupić biletów. Kręciliśmy się po stacji jednak zbyt długo, co jak nam się wydawało, zwróciło uwagę milicjanta. (...) Wyszliśmy ze stacji i ulicą wzdłuż torów, po ciemku prawie (...) na wysokości stacji towarowej, przeskoczyliśmy płot i znaleźliśmy się między wagonami szukając ewentualnego schronienia na noc. W pewnym momencie Władek złapał mnie za ramię mówiąc: Patrz. (...) Popatrz, tam napisane »Sarny«. To nie mogą być nasze Sarny.

A może – on na to.

Przecież u nas inna szerokość torów – wytaczam najcięższy argument, nie wiedząc, że Rosjanie zdążyli już poszerzyć tory do samej linii demarkacyjnej. Schowaliśmy się pod lorą i sprzecaliśmy się. Władek chciał wleźć na lorę, ja nie.

Wreszcie głosy ludzkie i fakt dołączenia parowozu do „naszego” pociągu zmusiły do podjęcia decyzji. Weszliśmy na łorę, szczęśliwie dość chaotycznie załadowaną. Schowaliśmy się wśród desek, drutu kolczastego i jakichś pak. (...) Pociąg ruszył. Całą noc jechaliśmy dzwoniąc zębami. Rano był dłuższy postój; Władek powiedział „jesteśmy w Korosteniu” (dawna stacja pograniczna). Pod wieczór dotarliśmy do stacji docelowej Sarny. Jak tylko się ściemniło, prysnęliśmy z pociągu do miasta. A potem dzięki pomocy i opiece Polaków, po dwóch dniach włączeni do pociągu »bieżenców«, czyli uciekinierów z centralnej Polski, teraz wracających do strefy niemieckiej.”

Nasi bohaterowie przez Kowel dojechali do rzeki Bug pod Chełmem, gdzie wtedy przebiegała granica demarkacyjna. Tu zaś przez niemiecki most pontonowy przeszli wraz z innymi, młodszymi mężczyznami, na drugą stronę. Tam jednak zostali zatrzymani przez Niemców i załadowani do wagonów towarowych otoczonych eskortą. Z jednej niewoli weszli w drugą – tym razem niemiecką.

Rozpoczął się kolejny eskortowany przez żołnierzy niemieckich etap transportu z krótką przerwą w Lublinie. O zmroku dojechali do Radomia. Rozdawano gorący posiłek. Od Polki obsługującej kuchnię na peronie dowiedzieli się, że transport podąża do Niemiec i najlepiej skakać między Suchedniowem a Zagańskiem, bo tam pod górę pociąg zwalnia, a po obu stronach torów jest las. Zgodnie z planem obaj byli „radziecy” uciekinierzy tym razem przez okno wyskoczyli z wagonu pociągu konwojowanego przez żołnierzy III Rzeszy – sprzymierzeńca ZSRR. I znów skorzystali z gościnności w samotnej chałupie. 11 listopada, w rocznicę święta narodowego, wyruszyli w kierunku Warszawy, do której dotarli 13 listopada 1939 r. W osiem dni dwaj polscy oficerowie, których czekała niechybna śmierć w ramach zbiorowej zbrodni katyńskiej, przedostali się spod Putiwla do Warszawy; bez papierów, we wrogim kraju i bez specjalnego przygotowania.

Pan Włodzimierz Strzałkowski skomentował to później w ten sposób: Jeżeli to nie skończyło się tragicznie, to tylko dzięki opiece boskiej, a może twierdzeniu, że często w życiu łut szczęścia jest lepszy i ważniejszy od funta rozumu.

Najwyższe odznaczenia bojowe

Dla Włodzimierza Strzałkowskiego kampania wrześniowa zakończyła się więc w okupowanej Warszawie. Schronienie i opiekę zaoferowała rodzina Jakubowskich na ulicy Nowogrodzkiej. Tam też dowiedział się o śmierci swego ojca aresztowanego przez Niemców i wywiezionego do Obornik, gdzie został rozstrzelany. Był bowiem bardzo zaangażowany w pracach Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich.

Spotkanie przyjaciela z czasów podchorążackich ppor. II pułku podwojewódzkiego – Janusza Wiązowskiego – któremu udało się uciec z niewoli niemieckiej, stanowiło moment podjęcia kolejnej niebezpiecznej decyzji.

Nie po to wydostali się jednak z niewoli, aby teraz siedzieć lub ukrywać się bezczynnie. Wydość się z okupowanej przez III Rzeszę Polski i podjąć walkę na Zachodzie. Z Warszawy pociągiem II klasy (przeznaczonej tylko dla Niemców) do Krakowa – oto kolejna, pełna niebezpieczeństw przygoda. Krótco tylko podam, iż dalszy jego szlak walki wiódł przez Francję, gdzie w 1940 r. jego pluton rozbił dwa, a on osobiście trzeci niemiecki czołg i to z odległości 20 metrów. Za ten wyczyn otrzymał pierwsze odznaczenie Croix de Guerre na polu walki, z udziałem kompanii honorowej. Dekoracji dokonał dowódca dywizji. Potem Anglia, gdzie w 1941 roku odkomenderowany został do armii brytyjskiej. Po czym znów wraca do armii polskiej gen. Andersa i bierze udział w najbardziej znanych operacjach II Korpusu znaczących dla Strzałkowskiego wyczynami i najwyższymi odznaczeniami bojowymi w tym: Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Na wojennym szlaku, wtedy już kapitan Włodzimierz Strzałkowski zdobył największe trofeum swego życia – piękną Danutę Dobkowską, która razem z Armią Andersa wydostała się z ZSRR i przez Irak, Syrię, Palestynę trafiła na front włoski i jako wojskowy kierowca 3-tonówki wprawiała w podziw niejednego zawodowego kierowcę. 7 kwietnia 1945 roku jeszcze trwała wojna, kiedy państwo

Strzałkowsky w słonecznej Italii połączyli się węzłem małżeńskim. Po zakończeniu wojny los zawiódł ich do Południowej Afryki.

W latach 80. zasugerowałem przyjaciółom pana Strzałkowskiego – braciom ppłk. Karolowi Ranoszkowi i por. Franciszkowi Ranoszkowi, aby swe oryginalne mundury z czasu wojny przekazali do Muzeum WP w Warszawie. Stało się. W maju 1987 roku mundury tych dwóch oficerów Ślązaków znajdują się w tym szczególnym miejscu. Niedługo po tym ppłk Włodzimierz Strzałkowski swój wojenny battle dress przekazywał na ręce kierownictwa tego samego Muzeum, w obecności wielu gości. Zapytałem go wówczas, jakie mu się z tym mundurem kojarzą szczególne przeżycia wojenne. Pan Strzałkowski przez chwilę się zastanawiał, po czym powiedział. W tym mundurze na czele oddziału zdobywałem Loretto. Wpadłem do budynku i zobaczyłem jak zakurzony, cały w pył żołnierz mierzy do mnie z pistoletu maszynowego. Nie namyślając się oddałem serię w stojącego naprzeciw mnie wroga. W tym momencie runęła ściana lustra, w którym swoje własne odbicie przyjąłem jako sylwetkę wroga.

W 1994 r. państwo Danuta i Włodzimierz Strzałkowsky postanowili wrócić do swej starej ojczyzny. Osiedlili się w Olsztynie, w którym niedaleko niewielkiego jeziora kupili domek.

Miałem ten honor, iż dwukrotnie wraz z ich i moim przyjacielem Franciszkiem Ranoszkem z RPA, składałem Im wizytę w tym nowym domu, pełnym pamiątek – tych z czasów wojny i tych z czasów zamieszkania w Afryce.

Major, a z nadania Rządu Londyńskiego po wojnie – podpułkownik Włodzimierz Strzałkowski – wielki patriota i pełen fantazji, ale i precyzyjny oficer polski zmarł dnia 13 stycznia 1996 r. Spoczął, jak tego pragnął, na ojczyściej ziemi w rodzinnym grobowcu na historycznych Powązkach w Warszawie.

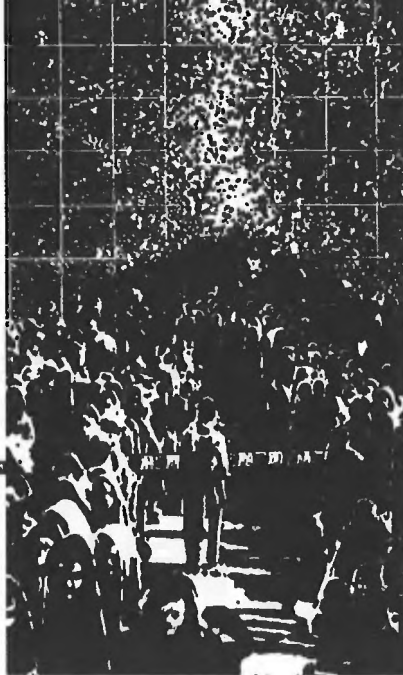
* W książce: *Lista ofiar i zaginionych Katyń, Warszawa 1989 r. na stronie 248 jako zaginiony z obozu kozielskiego widnieje: „Strzałkowski Józef, ppor. art.” Należy przypuszczać, iż imię zapisano omyłkowo Józef zamiast Włodzimierz.*

Charakterystyczną cechą przedstawicieli nowej klasy średniej, której poświęciłem również poprzedni felieton, staje się emocjonalny, a nie tylko rzeczowy, związek z wykonywaną pracą i pracodawcą oraz profesjonalny etos. Trudno tutaj jest mówić o pracoholizmie i zjawisku *karosi*, czyli śmiertelnym przepracowaniu, ale zawodowe lenistwo z całą pewnością bywa niemile widziane. Temu stosunkowi do wykonywanej pracy towarzyszy także element kreatywnego, prometyjskiego nonkonformizmu, czyli chęć stałego usprawniania organizacji wewnątrz firmy, otwartość na nowe doświadczenia, akceptacja nowinek technicznych, związanych zwłaszcza z rewolucją informatyczną. Obca zatem staje się profesjonalna nuda, o której Baudelaire mówił, że jest *smętnym owocem braku ciekawości*. Wszystkie te cechy tworzą podstawy nowego indywidualizmu.

Celowo używam tutaj przymiotnika nowy, aby podkreślić jego odmiennność od indywidualizmu liberalnego, osiemnastowiecznego pochodzenia. Wówczas człowiek postrzegany był jednowymiarowo jako *homo economicus* pomnażający swoją pracę zyski i kapitały. Nowy indywidualista jest postacią wielowymiarową, łączącą w sobie pracę, zabawę, wypoczynek, potrzeby estetyczne, kulturalne, artystyczne, religijne czy prospołeczne. W ten typ postaci wpisana jest wysoka potrzeba osiągania, czyli pragnienie sukcesu zawodowego i rodzinnego, podwyższone stany empatyczne, umożliwiający wczuwanie się w role nowoczesne i kreatywne.

Sposób zarabkowania i uzyskiwane dochody sprawiają także, iż przedstawiciele klas średnich w sposób charakterystyczny spędzają czas wolny. W strukturze wydatków znaczące bowiem miejsce zajmują kwoty przeznaczone na wypoczynek, sporty, czasem nieco snobistyczne, ale zawsze poprawiające fizyczną kondycję. Zamknięte kluby, szlachetne stowarzyszenia i organizacje, wczasy zagraniczne, w mniej lub bardziej odległych, raczej ciepłych niż zimnych krajach cieszą się dużym zainteresowaniem reprezentantów rodzimej klasy średniej. Wcale nie zaskakuje mnie również powodzenie *fitness klubów*, farm piękności, gabinetów odnowy, w których przedstawicielki piękniejszej i wrażliwszej części klasy poprawiają drobne defekty urody i fizycznej powierzchowności. W parze z troską o wypoczynek i sporty idzie zazwyczaj większa samoświadomość co do zdrowego i higienicznego trybu życia. Są to naturalne elementy dobrego zarządzania własną osobą i indywidualnym wizerunkiem.

W tym portretowaniu klasy średniej trudno pominąć taką szczególną charakterystykę, jak stała gotowość do inwestycji we własne dzieci. I nie chodzi tutaj wyłącznie o wąskie cele utilitarne, takie jak znajomość języków obcych czy obsługi komputera, ale także



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Rzecz o umarłej klasie albo pochwała mieszczanstwa (II)

o umiejętności stanowiące wartość autoteliczną, samą w sobie. Myślę na przykład o umiejętności gry na instrumentach muzycznych, na okulele czy fletni Pana, o rozwijaniu twórczości malarskiej, poetyckiej czy prozatorskiej. Zapewne rodzicielska dbałość o ten szczególnie wiatyk ofiarowany dzieciom sprawia między innymi, iż w uniwersytetach, w zdecydowanej większości, studiuje młodzież inteligentnego czy średnioklasowego pochodzenia, a reprezentacja dzieci chłopskich i robotniczych jest nieprzystojnie skromna. Gotowość do ponoszenia tego typu kosztów w obu klasach, nadmiernie dowartościowanych w realnym socjalizmie, jest nieporównanie mniejsza. Podobnie jak różne są kapitały kulturowe rodziców i ich podświadome zasady wiedzy. Na naganne w wymiarze ogólnospołecznym zjawisko odtwarzania struktur społecznych poprzez wykształcenie należy zatem spojrzeć także z punktu widzenia długookresowych inwestycji we własne dzieci. Punkty za pochodzenie, kredyty bankowe ułatwiają zapewne uniwer-

syteckie studiowanie młodzieży chłopskiej i robotniczej, ale nie zniosą różnic intelektualnych i kulturowych. Te bowiem związane są z klimatem średnioklasowego domu, poziomem wiedzy rodziców, ich potrzebami, gotowością do finansowania zróżnicowanych form edukacji własnych dzieci.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych w światowej publicystyce ugruntowało się pojęcie *yuppies*. Ten dźwięczny i łatwy do zapamiętania termin stanowi skrót od *young urban professionals* czyli *młodzi miejscy profesjonalści*. Pokolenie japiszonów, które pojawiło się w Polsce wraz z początkiem wielkiej transformacji to szczególnie mutacja, i częścią zarazem, rodzimej klasy średniej. Trzydziestolatkowie z polskich, powiedzmy to z pewną przesadą, metropolii, opanowali świat reklamy, biznesu, dziennikarstwa, informacji i managementu. Są skuteczni zarówno w pracy, jak i w czerpaniu niepowtarzalnej satysfakcji, jaką daje niezależność finansowa i materialna. Piszę to z pełnym przekonaniem wyniesionym nie tyle z lektur czy z analizy badań socjologicznych, ale z bezpośredniego z nimi obcowania. Przez wiele miesięcy byłem socjologicznym doradcą kilku większych agencji *consultingowych*, o wysokich obrotach rocznych, obsługujących kilkanaście firm rodzimych i międzynarodowych o niekwestionowanym prestiżu. Jej twórcy to młodzi, niezwykle dynamiczni japiszoni pochodzący z różnych stron kraju. Byli uważni i pracowici, gotowi do akceptacji niestandardowych rozwiązań, przygotowani do zachowań konkurencyjnych, nawykli do niespodziewanych podróży biznesowych.

Moja metryka skazuje mnie w tym środowisku na status weterana. Nasza współpraca opiera się na japiszońskim przekonaniu, iż to oni uczyli się ode mnie, ale w rzeczywistości przekaz był dwukierunkowy. Ja także pobierałem od nich lekcje dynamiki, nonkonformizmu, pasji poznawczej i otwartości. Bez zawiści, ale z życzliwą zazdrością, patrzyłem na ich krawaty od Hermesa, zegarki od Cartiera, słuchałem relacji z dalekich miejsc urlopowych. Wiem jednak, że na to wszystko ciężko zapracowali, często w mało komfortowych czy wręcz wyczerpujących okolicznościach. Kiedy jednak patrzę na tę ich biznesową tułaczkę przywołuję w pamięci francuski termin *flaneur* (miejski włóczęga). Pojęcie to wiąże się znowu z Baudelairem i jego pracą *Malarz życia nowoczesnego*. *Posiąść tłum*, pisze mistrz francuskiej poezji i fundator nurtu turpistycznego, oto jego (miejskiego włóczęgi – przyp. M.S.S.) *namietność i powołanie*. *Wielka rozkosz dla prawdziwego flaneura i rozmiłowanego obserwatora, zamieszkać w mnogości, falowaniu, ruchu w tym co umyka, co jest nieskończone. Być poza domem, a przecież czuć się wszędzie u siebie, widzieć świat, być w środku świata i w ukryciu zarazem...*

Od ćwierć wieku jest batalią o czy-
sty krajobraz i zdrowsze życie.
Koniecznym, trudnym i wielkim wy-
zwaniem, odkąd do gry wkroczyła
młodzież. I choć obecnie toczy się w tle
codzienności, przy słabszym zaintere-
sowaniu mediów niż kiedyś – nic nie
straciła ze swojej siły i skuteczności.
Śląsk jest tego dobrym przykładem!

W kwietniu, w którym przypadają
m.in.: Dni Lasu i Zadrzewień, Tydzień
Czystości Wód oraz Międzynarodowy
Dzień Ziemi przekonamy się o tym po
raz kolejny. To czas, gdy za sprawą
głównie młodzieży, inspirowanej przez
nauczycieli, wychowawców i pasjona-
tów ekologii daje o sobie znać siłą mło-
doci wielki ruch ochrony środowiska.
Już nie tylko dlatego, że jego uczestnicy
chcą protestować, domagać się czystego
powietrza i czystej wody, sadzić drzewa
czy sprzątać parki. Chcą przede wszyst-
kim manifestować swoje życiowe posta-
wy, prezentować wiedzę, poglądy oraz
niemały profesjonalny dorobek. A także
swoją życiową filozofię, bliską słowom
księdza Mieczysława Malińskiego, któ-
ry w książce „Cena twojej wolności” pi-
sie między innymi:

„Ażeby działać twórczo, trzeba żyć
blisko przyrody. Wymyśliliśmy miasto,
przemysł, huty. Żyjemy nienormalnie.
Odżywiamy się nienormalnie. Nienor-
malnie śpimy. Tkwimy w ciągłym huku
miasta, gwaru, radia, telewizji. Nie ma-
my czasu na nic – na nic, co jest ciszą
i uspokojeniem. Uciekamy do świata
przyrody, aby się ratować. Czujemy
w niej naszą ostoję, bazę, podstawę
swojego istnienia. Szukamy kawałka
ziemi, która by była podobna do siebie...
A przecież to nie świat do nas należy.
To my należymy do świata”...

Trochę historii

Młodzi instynktownie i po latach
edukacji wiedzą to na pewno!

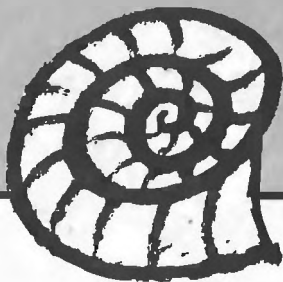
Pierwsza, ważna lekcja ekologii roz-
poczęła się na Śląsku na dużą skalę,
mniej więcej 25 lat temu. Datą graniczą-
cą może być rok 1980, kiedy w czasie
pierwszego zrywu „Solidarności” po-
wstał w Krakowie Polski Klub Ekolo-
giczny. Wkrótce po nim PKE – Okręg
Górnośląski. Jego członkowie byli nie
tylko rzecznikami, ale i ekspertami
mieszkańców ówczesnego wojewódz-
twa katowickiego, domagających się
w głośniejszych protestach pod kominami
największych trucicieli środowiska, po-
prawy sytuacji ekologicznej w najbar-
dziej skażonym miejscu Europy.

Protesty te były silnym wstrząsem.
Dały też impuls do ekologicznej misji
i edukacji na dużą skalę. W sposób na-
turalny Śląsk stał się tym miejscem
w kraju, gdzie po raz pierwszy obcho-
dziliśmy w Polsce w 1990 roku Dzień
Ziemi. W sposób bardzo przejmujący,
gdy uczestnicy tego manifestacyjnego
spotkania chwytając się za ręce na kato-
wickim Rynku utworzyli nie tylko sym-
boliczny „śląski łańcuch życia”.

Był to ważny sygnał, że chcemy dołą-
czyć do cywilizowanego, szanującego
prawa środowiska, świata. I ważne wy-

EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Gra w zielone

darzenie, skutecznie drażące społeczną
świadomość. Przecież pierwszy na
świecie Dzień Ziemi obchodziło 20 mi-
lionów Amerykanów już w 1970 roku!
My musieliśmy nadrobić stracony
czas.

Społeczne protesty ekologiczne
w Krakowie, na Śląsku i w wielu innych
regionach kraju były doskonałym pod-
łożem dla rozwoju formalnej i niefor-
malnej edukacji ekologicznej. Włączyły
się do niej wyższe uczelnie, instytuty
naukowe, pozarządowe organizacje
społeczne, a co najważniejsze, także
szkoły. Gra w zielone stała się nie tylko
potrzebna, ale modna i zaraźliwa. I ni-
komu nie przeszkadzało, że wkrótce
także obowiązkowa.

Wsparcie resortu środowiska oraz
Narodowego i Wojewódzkich Fundu-
szy Ochrony Środowiska i Gospodarki
Wodnej czyni tę edukację coraz sku-
teczniejszą. Dzięki niej wyrosło nam
ekopokolenie, wpisujące się swoją śro-
dowiskową misją w losy Europy
i świata.

Pomocna tu okazała się również re-
forma oświaty. Jej twórcy uznali, że
uczeń kończący szkołę powinien po-
siąść pewne umiejętności, niezbędne do
prowadzenia badań i eksperymentów.
Powinien też potrafić wyrażać sądy
i opinie o stanie środowiska przyrodni-
czego, oceniać w nim działalność czło-
wieka, opisywać wyniki obserwacji, po-
rządkować i wzbogacać zdobytą wie-
dzę. By to osiągnąć w systemie oświao-
wym, nauczyciel musi się poświęcić,
wykorzystując możliwości, jakie daje
pozalekcyjny system wychowania i na-
uczania. A takich nauczycieli na Śląsku
nigdy nie brakowało.

Udowodnił to po raz kolejny kilkule-
tni program edukacyjny Polskiego Klubu
Ekologicznego Okręgu Górnośląskiego
pod nazwą – „Rozpal niepokój o Zie-
mię”. Co roku uczestniczyło w nim po
kilkadziesiąt szkół, setki uczniów, dzie-
siątki nauczycieli z województwa ślą-
skiego. Ostatni taki konkurs edukacyj-
ny, rozstrzygnięty w czasie obchodów
ubiegłorocznego Dnia Ziemi, był sukces-
sem uczniów nie z dużych miast, lecz
z Liceum Ogólnokształcącego

w Gilowicach

Gra w zielone w tej szkole, odda-
lonej kilkanaście kilometrów
od Pszczyny odbywa się zawsze na naj-
wyższym poziomie, dzięki **Izoldzie
Krauze, nauczycielce chemii**. Dla niej
praca z młodzieżą jest i zawodem, i pas-
ją. Dlatego wśród swoich podopiecz-
nych potrafiła rozpałić nie tylko niepo-
kój o Ziemię, ale i ich umysły. Mówi
o swoich uczniach, pochodzących
w bardzo małych miejscowości, że są
mądrzy, cudowni, pracowici i zaangażo-
wani, że chce się z nimi pracować także
po lekcjach, bo nie obawiają się żadne-
go wyzwania.

Do konkursowego programu eduka-
cyjnego Polskiego Klubu Ekologiczne-
go „Rozpal niepokój o Ziemię” Izolda
Krauze zgłosiła wraz z uczniami temat
co najmniej uniwersytecki: „Wpływ ni-
skiej emisji na chemizm wód opado-
wych”. Nie była to praca teoretyczna,
przygotowywana w postaci projektu
badawczego wyłącznie na konkurs.
Wręcz przeciwnie, z założenia miała
być prawdziwa, interesująca dla lokal-
nej społeczności i budzić jej ekologicz-
ną świadomość. I spełniła swoją rolę.

Wyniki badań uczniów, przeprowa-
dzanych po lekcjach w jesienne i zimo-
we miesiące potwierdziły, że głównym
powodem zanieczyszczenia wód desz-
czowych, a więc i gleb jest niska emisja.
By prawdę tę spopularyzować autorzy
projektu wymyślili hasło „Cytryna
a dym z kominą”. Ten bardzo trafny ty-
tuł, tłumaczył w najprostszy sposób
mieszkańcom przyczynę kwaśnych
deszczy w ich miejscu zamieszkania.

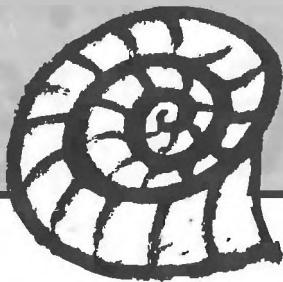
Otrzymali nagrody i wyróżnienia, po-
chwały specjalistów z śląskich i war-
szawskich instytutów naukowych. Nie
zadowolili się wyrazami uznania. Wyni-
ki swoich prac profesjonalnie prezento-
wali lokalnym samorządom. Potrafili
też – jak zawodowcy – przygotować se-
sję, poświęconą świadomości ekolo-
gicznej lokalnych społeczności, wyko-
rzystując własne badania ankietowe.

Fantastyczna i mądra młodzież, jak
mówi o swoich podopiecznych Izolda
Krauze, to najwspanialszy przedstawicie-
le obecnej ekogeneracji. Można się spo-
dziewać, że po tegorocznym, kolejnym
Dniu Ziemi – powiększy się ona o no-
wą, równie wyjątkową grupę młodzie-
ży. I dla niej również ekologia będzie
nie tylko nauką. Będzie też prawem, ety-
ką, modelem życia i bezcenną warto-
ścią. I dzięki nim gra w zielone potoczy
się dalej...

JOLANTA MATIAKOWSKA

EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Minigeocacuszka w Muzeum Śląskim

podobniej ma korzenie słowiańskie od słowa kwadry (twardy). Warto wspomnieć, że w języku polskim prawie do XIX wieku używano nie nazwy „agat”, lecz „agatek”. Ludzie tak kochali agaty, boskie wytwory, że małym pięknym dziewczynkom zaczęto nadawać imię Agata. Dzisiaj imię Agata jest dość powszechne. Już w starożytnym Egipcie przypisywano agatom moc nadprzyrodzoną. Niektórzy twierdzą, że agaty mają własności magiczne. Od tysięcy lat służyły nie tylko jako surowiec do produkcji gemm, intaglii, moździerzy, ale także jako amulety. Traktowano je jako boskie wytwory, zapieczątowane gromy czyli pioruny. Legendy uральskie i indiańskie traktowały je jako „gromowyje jajca” czy też „thunder eggs” i służyły zmarłym w życiu pozagrobowym dla zaspokojenia błogostanu. Agatom przypisywano nadprzyrodzone własności magiczne, ochraniające od uroków a nawet ukąszeń zmii. Traktowano jako amulet ściągający troski właściciela. Wierzono, że agaty przynoszą bogactwo i sławę. Jeden z egipskich papirusów zawierał nawet spis kamieni ozdobnych i ich właściwości magiczne, szczególnie przydatne w życiu pozagrobowym. Głębie przestrzeni, harmonia, symetria, chaos artystyczny, wprowadzają nas w świat mistyki. Misterna, a nawet subtelna mozaika tęczy odcieni, migotliwość barw, kontrasty i muzyka barw, kreują poetycki zachwyt agatem. Niektórzy twierdzą, że mają nie tylko działanie zdrowotne, ale także, że są wyśmienitymi przyjaciółmi człowieka.

Przyroda geologiczna to nie tylko wspaniałe góry, kaniony, wulkany, gejzery, skałki, jaskinie, ale także mikroobiekty, w tym szczególnie kamienie ozdobne i szlachetne.

Są one dziedzictwem przyrody i powinny podlegać specyficznej ochronie, tak jak rzadkie zwierzęta i rośliny. Dlatego też mówić należy o ochronie georóżnorodności, tym bardziej, że jest ona unikatowa. Racjonalną formą ochrony naszych polskich kamieni jest tworzenie kolekcji i wystaw mineralów i skamieniałości. Najcenniejsze, najrzadsze okazy, podobnie jak z rośliny czy zwierzęta powinny podlegać ochronie konserwatorskiej, a obszary występowania powinny zostać zaklasyfikowane do użytków ekologicznych, parków krajobrazowych, a nawet rezerwatów przyrody. Wstępem do tych działań ochroniarskich jest upowszechnianie wiedzy o minerałach, eksponowanie piękna wnętrza śląskiej ziemi i zachęcanie do kolekcjonerstwa przyrodniczego. Agat, fenomen przyrody, ma wiele tajemnic. Jako związek chemiczny jest agat chalcedonem czyli włóknistym dwutlenkiem krzemu, poprętykanym domieszkami pigmentów. Agaty są wypełniaczami pustek skalnych, w których nastąpiły procesy porządkowania i rekryształizacji żeli krzemionkowych transportowanych przez roztwory. W przyrodzie dominują dwa typy agatów, litofizowy występujący w Nowym Kościele na Dolnym Śląsku i migdałowcowy typowy dla Płuczek Górnych. Upraszczając można powiedzieć, że podstawowym elementem budowy wewnętrznej agatu jest sferolit (mały kulisty agregat). Wygląd warstewek agatów, usytuowanie barwników uzależnione jest od wzajemnego przenikania się sferolitów. W wielu klasyfikacjach kwarc i agaty są swoimi sąsiadami. Upraszczając można uznać, że odmiany kwarcu są kuzynami mineralogicznymi agatów. Do grupy tej należą wszystkie krystaliczne i bezpostaciowe minerały o wzorze chemicznym SiO_2 – zwane krzemionką. Krystaliczne substancje o wzorze chemicznym SiO_2 są odmianami kwarcu i krzemionki. Kwarc jest jednym z najpospolitszych minerałów skorupy ziemskiej. Często wewnątrz agatów wypełnione jest odmianami kwarcu niekiedy tworzącego geodę. Najważniejsze odmiany kwarcu makrokrystalicznego to: – kryształ górski bezbarwny, przezroczysty, – cytryn żółty do żółtego, – ametyst fioletowy, kwarc dymny – zwany zadymionym – ciemnobrunatny do prawie czarnego, morion – czarny, kwarc różowy barwy różowej.

Ludzie potrzebują przyjaciół. Niektórzy kochają rośliny, inni zwierzęta. Minerale są prawdziwymi przyjaciółmi. Agaty nie wymagają prezentów, pożywienia, adorowania. Nawet najwierniejszy pies może pogryść, agat nigdy nie zdradzi i nie przysporzy trosk. Agaty mogą być przyjaciółmi na zawsze. No, od czasu do czasu trzeba je odkurzyć w gablocie lub w pudełku a nawet umyć. Można rozmawiać z nimi a nawet prowadzić dialogi. Kamienie mają swoją moc i magię. Są wieczne w porównaniu z życiem człowieka. Agaty powstały miliony lat temu i gdy nas nie będzie one jeszcze będą istniały. Nie grozi im konkurencja syntetycznych agatów.

O tym, że to prawdziwi przyjaciele każdy może łatwo się przekonać... bo, któż nie chciałby obcować z wiecznym pięknem.

JAN RZYMELKA

PS. Poprzednie felietony ekologiczne można przeczytać na stronie internetowej <http://rzymelka.sejm.pl>

Uwielbiam filmy przyrodnicze; cudowne rąfy koralowe, wnętrza wulkanów, życie nieznanymi mi zwierzęt. Tego nigdy bym sam nie zaobserwował. Wzbogacam tymi filmami swoją wiedzę przyrodniczą. Postęp technologii cyfrowych pozwala przybliżyć nie tylko obraz niedostępnej przyrody ożywionej, ale również przyrody nieożywionej. Małe geobiekty wielkości orzecha można przeciąć i zeskanować i wydrukować jako wielkoformatową fotografię godną podziwu i zachwytu. Na tych obrazach namalowanych ręką przyrody miliony lat temu można dostrzec nie tylko dzieje geologiczne, ale często piękno i harmonię. Śląsk od wieków słynął z bogactw mineralnych, ze swojej georóżnorodności. Ta ziemia urodziła nie tylko złoża węgla, miedzi, cynku i ołowiu, granitów, ale także kamienie szlachetne i ozdobne. Wśród tych ostatnich przodują: chryzopraz zielony – książę śląskich kamieni i wszędołbskie agaty śląskie, które zagościły ostatnio na większości światowych stron internetowych.

Piaskownicą mojego dzieciństwa była – przepalona halda. Moimi zabawkami były skarby znajdowane na górnośląskich haldach: skamieniałości karbońskie wypiętowane w łupkach powęglowych oraz pasiaście niebieskozielone kamyczki, kawałki szlaki hutniczej. Fascynacja światem kamieni i minerałów powodowała dalsze poszukiwania kolorowych kamyczków, np. agatów w wykopach pod bloki osiedla 1000-lecia w Katowicach, czy w czasie szkolnych wycieczek w górach.

Wystawa w Muzeum Śląskim zdjęć śląskich agatów, związana z Dniem Ziemi 2005, jest plonem wieloletniego poszukiwania i kolekcjonowania agatów śląskich. Czym zatem są agaty? Agaty są naturalnymi produktami przyrody, są tworami mineralnymi, zbudowanymi z włóknistego chalcedonu (SiO_2) z domieszkami barwników. Kamień ten towarzyszył ludzkości od tysięcy lat, jako ozdoba, amulet czy materiał na narzędzia. Agaty to boskie minerały, pożądane przez kobiety, poszukiwane przez kolekcjonerów i jubilerów. Agaty to fenomen przyrodniczy. Agatogeneza nie została jeszcze skopiowana przez człowieka, pomimo iż syntezuje się już najcenniejsze kamienie szlachetne, diamenty, rubiny. Kształt ma kulisty lub owalny, odpowiada ściśle kształtowi pustki, w której powstał, np. po pęcherzyku gazowym, powstałej w zastygającej lawie. Bywa i tak, że polny kamień – agat – ceniony jest bardziej niż diament, szmaragd czy rubin. Agaty to wielkie indywidualności, nie ma dwóch identycznych, każdy jest inny.

Kamień ten znany jest od praczasów. Już 3500 lat p.n.e. Egipcjanie pozyskiwali agaty. W Mezopotamii wykonywano z agatów amulety, talizmany i drobną biżuterię, naczynia, pieczęcie. Już w czasach rozkwitu kultury greckiej – Arabowie przywozili z Indii agaty w celach handlowych. Rzymianie udoskonalili techniki rzeźbiarskie i potrafili wykorzystywać onyksy rzeźbiąc w jednej barwnej warstewce, a kolejne barwy służyły im za tło. Powstały cudowne gemmy (piaskorzeby wypukłe, głównie wisior, jako fotografie popiersi w kamieniu) i intaglii, rzeźby wklęsłe. Nazwa agat najprawdopodobniej pochodzi od starożytnej nazwy sycylijskiej rzeki Achat. Nazwa kwarc – czyli dwutlenek krzemu – głównego minerału tej grupy, do której zaliczamy agaty, jaspisy najprawdo-

W znakomitym, wydanym przez „Rzecz Słaską”, kalendarzu na rok 2005, poświęconym cnotom, jakie kwitną (owocują?) na śląskiej ziemi, brak przyjaźni. Być może dlatego, że cnota jest na Śląsku więcej niż miesięcy. Oby tak było... W każdym razie chcemy tym tekstem nadrobić ów brak. Bo przyjaźń była i jest w śląskiej rzeczywistości czymś ważnym jak powietrze, filarem życiowej solidarności.

Napisałmy poniższy esej wspólnie. Nauczycielka polskiego i studentka teologii (I) oraz ksiądz i wykładowca teologii (II). Chcieliśmy opowiedzieć o przyjaźni na dwa głosy: kobiecy i męski, świecki i duchowny, młody i średni... Czytając, dopisujcie własne.

EWELINA
PÓŁCHŁOPEK
KS. JERZY
SZYMIK

Poezja przyjaźni

I.

„Nie, jeszcze nie odchodź”.
S. Heaney, *Regal*

Rzadko wprost jest nazwana. Zawsze pomiędzy i na jakiejś (czegoś) granicy. Na pewno jest. Obecność. Boga, świata, ludzi, siebie. Przyjaźń z Bogiem, światem, ludźmi, sobą. Ale – być może nawet częściej, wyraźniej i głębiej – obecna jest w literaturze *nieobecność* (*obecna nieobecność*). Bóg, świat, ludzie, ja – są. Nieobecność dotyczy tu braku powodów (motywów) bycia z i dla kogoś (czegoś).

Pomiędzy obecnością a nieobecnością istnieje pusta przestrzeń. Wchodzi w nią tęsknota. Głęboka potrzeba (często zupełnie nieuświadomiona), żeby w końcu być: dla Boga (Bóg dla mnie), świata (świat dla mnie), ludzi (ludzie dla mnie), siebie (ja dla siebie). Stąd słowa: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe” (T. Różewicz, *bez*).

1. narodziny i śmierć Boga... o przyjaźni z Bogiem

Módl się, Panie.
Jesteś blisko.
P. Celan, *Tenebrae*

W swoim programowym wierszu *bez* Tadeusz Różewicz pisze:
*największym wydarzeniem
w życiu człowieka
są narodziny i śmierć
Boga*

Tu nic nie jest proste, jednoznaczne, na pewno. Historia przyjaźni człowieka z Bogiem to ciągle przekonywanie. To historia perswazji. Kto właściwie marzyć: ja czy On? Ja – człowiek, czy On – Bóg? Bo przecież: „Niemożliwe, żeby ludzie tak cierpieli, kiedy Bóg jest na niebie i koło mnie” (Cz. Miłosz, *Wysokie tarasy*). A przecież: „Panie, Twoja obecność, tak bardzo prawdziwa, więcej waży niż jakikolwiek argument” (Tenże, *Obecność*). Tyle że Bóg milczy, tylko człowiek mówi. Bo Milczący Obecny wie już o tych słowach: „Wybaw mnie od obrazów bólu, które zebrałem wędrując po świecie, zaprowadź tam, gdzie mieszka Twoje tylko światło” (Tamże). Zgoda, zaufanie – początek przyjaźni. Radość.

Historia przyjaźni człowieka z Bogiem to historia ucieczki, opuszczania siebie (Boga przez człowieka, człowieka przez Boga):

*bez znaku bez śladu
bez słowa*

*czemuś mnie opuścił
czemu ja opuściłem Ciebie*

*I dalej Różewicz:
opuściłeś mnie bez szumu
skrzydeł bez błyskawic
jak polna myszka
jak woda co wsiąka w piach*

*zajęty roztargniony
nie zauważyłem twojej ucieczki
twojej nieobecności w moim życiu*

To prawdopodobnie najtragiczniejsze z możliwych opuszczeń: bez znaku, bez śladu, bez słowa. Po cichu. To –

w puszczonej nerwach i wybuchu klótni, w jednym słowie za dużo i trzasknięciu drzwiami – da się wytłumaczyć (jakoś). Kiedyś nawet zrozumieć. Ale opuszczenie, bez błyskawic i jak polna myszka, jest nie do zniesienia. Pod warunkiem, oczywiście, że zajęty, roztargniony *zauważy* swoją (Twoją) nieobecność w moim życiu, swoją (Twoją) ucieczkę. Twoją obecność kiedyś, swój (Twój) brak teraz.

Historia przyjaźni człowieka z Bogiem to historia spokoju, rozumienia i wiary. To cierpliwe czekanie: na Boga i sens. Bez pretensji i krzyku, udawania i pychy. To tylko kwestia czasu – zrozumienie życia. Oto historia takiej obecności (Boga dla człowieka, człowieka dla Boga) – fragment *Kartek z dziennika Chwina*:

Ale babcia Celińska do Boga nie miała nigdy żadnych pretensji, chociaż wiedziała o obozie koncentracyjnym Auschwitz tyle samo, co ja (i Różewicz), a może i więcej, bo na likwidację warszawskiego getta patrzyła ze ściśniętym gardłem z okna swojej kamienicy. Okropność świata, którą widziała jej oczy, nie przenikała do jej serca. Kręciłem tylko głową: – Cóż za ślepotą! Cóż za naiwnością! Nigdy by w jej głowie nawet nie powstało, by wiązać Zło z Najwyższą Dobrocią. Bóg był dobry, szatan był zły i tyle. Jeśli na świecie królowało zło, to była sprawa tego ostatniego. **Wierzyła w Chrystusa łagodnego i słabego, który na pewno zwycięży, kiedy przyjdzie czas, na razie trzeba jednak przeczekać niedobrą porę, choć pora ta – coź robić! – trochę się przedłuża.**

To nie jest naiwność, przychodząca z wiekiem. To jej (babci) pewność Boga (jak pewność matki dziecka). Ona wie, po prostu. Dlatego okropność tego świata nie przenika do jej serca. Dlatego nikogo i niczego nigdy nie podejrzewa. Bo to niemożliwe, gdy widzi się więcej. Bo to niemożliwe, gdy się więcej rozumie.

2. żeby pilnować świata... o przyjaźni ze światem

Chodzi o to, żeby pilnować świata.
A. Zagajewski, *W cudzym pięknie*

Wobec świata można przyjąć dwie postawy. Jest się albo za (ze), albo przeciwko światu. Pośredniość tu nie istnieje. Każda obojętność jest zawsze negacją. Píše o tym choćby Zagajewski:

Wobec świata przyjąć można dwie postawy: **można albo opowiedzieć się po stronie wąskostych sceptyków i cyników, którzy z radością zajmują się pomniejszaniem fenomenów życia i lubią redukować je do drobnych, oczywistych czy nawet banalnych składników. Albo – druga opcja – można przyjąć możliwość, iż rzeczy wielkie i niewidzialne naprawdę istnieją i, nie popa-**

dając w próżną egzaltację ani w nieznośną retorykę wędrownych kaznodziejów, próbować wyrazić je lub przynajmniej złożyć im hołd – co zresztą nie znaczy wcale, że będzie się wtedy zamykało oczy na wszystko, co jest niskie i podle. (W cudzym pięknie)

Postawa „wąskoustych sceptyków i cyników” jest prostą konsekwencją ich bezradności i strachu. „Bo na pewno, jeśli nie wiadomo, co robić, najlepiej być ironicznym. Potem się zobaczy” – pisze autor *Obrony żarliwości*. Ironia jest ich sposobem na życie, bo nie wiedzą, jak i po co żyć. Stąd pomniejszanie fenomenów życia – radykalne odejście i brak obecności (mojej dla świata, świata dla mnie). To głębokie poczucie odrzucenia przez świat, w którym się jest, żyje, rodzi zdziwienie, niechęć, obojętność i rozpacz. Jeśli nie potrzebuje mnie świat, ja jego – tym bardziej.

Jest i druga opcja: „przyjąć możliwość, iż rzeczy wielkie i niewidzialne naprawdę istnieją”. Pomimo wszystko. Przyjąć możliwość, że „to, co najwspanialsze”, nie jest nigdy tym, co oczekiwane” (A. J. Heschel). Że żyję tu, nie tam. Z tymi, nie tamtymi. Że moja obecność dla świata to mówienie: „nie wiem”. To zgoda na jutro, na za miesiąc, za rok. Bo: „Chodzi o to, żeby pilnować świata – trochę czytać, trochę słuchać muzyki”. Pilnować troskliwie, cierpliwie i czujnie. Dbać o wrażliwość swoich zmysłów, by widzieć i słyszeć więcej. Próbować szukać piękna (Piękna) w ranach tego świata. Bo to, że są – jest pewne, ale to nie znaczy, że nie warto znajdować, ratować i chronić.

*I mimo wszystko przyjmować też dar
gorzkiej prawdy.
Nie sławić śmierci. Sponad torów
i betonu
wypatrywać aniołów. Kochać.
Włączyć lampę
w bibliotece. Nazywać po imieniu
dobro
i zło, czując, jak trudno jest
dostrzec różnicę.
Starczy nam chyba tego
na wędrownkę w mrok.
T. Venclova, [Wiem tylko...]*

3. jeśli trzeba pozwolić... o przyjaźni z ludźmi

A jeśli trzeba czasem pozwolić,
by ktoś się do nas zbliżył?
S. Chwin, *Hanemann*

Z przyjaźnią między ludźmi jest chyba najtrudniej. Bóg i świat – są, będą. Dlatego bardzo często zależą od mojego *chcę – nie chcę*. A tu jest inaczej, bo lepiej widać wolność. Jeśli nawet ja jestem, może nie być kogoś. Jeśli już jest ktoś, może nie być mnie. Przyjaźń stwarza *my* (nas). Tylko wtedy jest.

I może się okazać, o czym pisze Szymborska, że:

*Pukam do drzwi kamienia.
– To ja, wpuść mnie.
Nie szukam w tobie przytulku na
wieczność.
Nie jestem nieszczęśliwa.
Nie jestem bezdomna.
Mój świat jest wart powrotu.
Wejdę i wyjdę z pustymi rękami.
(...)
– Nie mam drzwi – mówi kamień.
Rozmowa z kamieniem*

Najbardziej boli brak wzajemności. Szczęście i dom, i świat wart powrotu – tak mało, za mało.

Ale może się okazać, że z wielkim trudem budowane *my* powoli umiera. Z braku troskliwej obecności i niewypowiedzianych słów. Ale może się okazać, że śmierć buduje obecność, rodzi nowe życie. Oto fragment nowych przypadków księdza Grosera Jana Grzegorzczaka:

[Francja, klasztor trapistów, bracia Daniel i Jean-Francois.]

Guz był złośliwy. Jean-Francois, który miał go [Daniela] za lenia i nie pozwalał mu grać na gitarze, przytulił go przed śmiercią. „Tak cię kocham...” – mówi, a Daniel na to: „To dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz”.

Dlaczego dopiero teraz? Przecież było tyle czasu, okazji, czekania. Przyczyn pewnie jest wiele. Dużo ciężkiej pracy, skrywane uczucia. Z czasem tylko lek. Ostatecznie nie jest ważne *dopiero*, bo liczy się tylko *teraz*. Ono jest tu wieczne.

„A jeśli trzeba czasem pozwolić, by ktoś się do nas zbliżył?” W mojej pogoni za sensem, w mojej ucieczce przed sensem. Żeby czuć

*Ich dotyk [który] jeszcze trwa
w martwej powierzchni
Mebli. Ich echo [które] brzmi
jeszcze wysoko
W gałęziach.*

T. Venclova, *Wiersz o przyjaciółach*

Żeby nie tłumaczyć, precyzować, kończyć. Milczeć. Jak w Houston, o szóstej po południu, u Zagajewskiego: Czytam i rozmyślam; w pewnym wierszu znalazłem słowa *Zdarzają się ciosy tak straszne...*

– Nie pytaj! Nie pytam.
Houston, szósta po południu

4. Ja jestem Nikt... o przyjaźni z sobą

Czy potrafisz wybaczyć czasowi
tę podłość, zdradę?

A. Zagajewski, *Wątpa gloria maków*

Budować obecność (dla Boga, świata, ludzi). Jak? Kiedy tak trudno „wybaczyć czasowi tę podłość, zdradę”.

Brak. Budować obecność. Jak? Zgodzić się i przeżyć. Dom, rodzinę, ludzi, ten ciągły brak czasu.

Żeby w ogóle zacząć myśleć i mówić o relacji przyjaźni (z Bogiem, ze światem, z ludźmi), trzeba najpierw **zadbać wyłącznie o siebie**. O swoją głowę (myśli) i o swoje serce (uczucia). Poukładać myśli, uspokoić serce. Żeby nie tworzyć „sobie w domu osobnego domu” (S. Heaney, *Imiona rzeczywiste*). Żeby nie czuć już lęku, nie czuć samotności.

W *Hanemannie* Chwina czytamy właśnie o tym:

„Nieobecność ludzi? To raczej właśnie ich oddalona nienaturalna obecność – głosy dobiegające zza okna, zmieszane ze światłem proszącym przez liście brzozy – nadawała samotności dobrą barwę. (...) Czuł w sobie pustkę, ale nie była to pustka budząca lęk, lecz właśnie dobra pustka, kiedy nic nas nie odgradza od rzeczy.”

Czy „chronić swą esencję”? Odpowiedź na to pytanie-klucz umożliwia pełne rozumienie sensu budowania relacji, bycia dla kogoś (Kogoś), czegoś. Powraca w wielu różnych wersjach. Uciekać – nie uciekać? Odgradzać się – nie odgradzać? Potrzebować – nie potrzebować? W ogóle być – nie być?

To być może odpowiedź:

*A jeśli ktoś cię zapyta „kim
jesteś”? to odpowiedź
„Ja jestem Nikt” – jak rzekł
niegdyś Polifemowi Odys.
J. Brodski, *Nowe życie**

*

„Nie, jeszcze nie odchodź”. Twoje *jestem (Jestem)* ratuje mnie od śmierci.

II.

W pasjonującej opowieści o przyjaźni (Zięba – Ziolo, *Lekarstwo życia*, Poznań 2002) pada pytanie skierowane do ojca Macieja: „Jak Ojciec myśli, ilu przyjaciół można mieć w życiu? Czy może istnieć grupa ludzi, powiedzmy czterech, w której każdy jest każdego przyjacielem?” Odpowiedź dominikana: „sądzę, że wzajemna przyjaźń w grupie paru osób może istnieć. Trudno mi sobie wyobrazić, by w taki sposób mogło funkcjonować sto lub więcej osób, ale na przykład cztery osoby to tak (...) tego typu wspólnota nie może być zbudowana na zasadzie, że każdemu z nich od każdego należy się jedna czwarta czasu, energii, troski itp., ale – pozostając na gruncie matematyki – że istnieje w niej tyle relacji, ile jest dwójkowych kombinacji w zbiorze czteroelementowym, a więc sześć”.

Moja, poetycka nieco, opowieść będzie właśnie o tym: o przyjaźni w zbiorze czteroelementowym z sześcioma dwójkowymi kombinacjami. Ale, jak

powszechnie wiadomo, w życiu pozo-
stać na gruncie matematyki da się tylko
do pewnego stopnia...

Było tak: dwóch z nas to rodzeni
bracia (Arek i Tomek), dwóch z nas
związanych było także relacją „służ-
bową” (promotor – doktorant: Jurek
i drugi Tomek). W pewnym momen-
cie naszego życia i przyjaźni pojawia
się ona, największa nieprzyjaciółka
ludzi, śmierć. Zabiera pierwszego
Tomka. Ma on wtedy trzydzieści je-
den lat. Od tamtej pory modłę się za
niego codziennie, bez jakiegokolwiek
wyjątku; z wnętrza naszych relacji je-
steśmy przekonani, że on dojrzał
pierwszy, że był święty. W jego miej-
sce – jako nowy czwarty – wchodzi
Marek.

Opowiem o naszej czwórkowej
przyjaźni w czterech wierszach. Po-
chodzą z lat 1997–2003. Notatki do
każdego z nich były robione podczas
wakacji. To jedyny czas, kiedy może-
my być wszyscy razem. Na co dzień
nie mamy dla siebie zbyt wielu sił ani
możliwości kontaktu. Pracujemy
w różnych miejscach, robimy różne
rzeczy. Wszyscy jesteśmy księżmi.
W ciągu ostatnich dziesięciu lat działo
się w naszym życiu wiele. Ktoś z nas
kieruje czasopiśmie, ktoś katedrą na
uczelni. Dwóch z nas zrobiło w tym
czasie doktoraty. Trafiali się nam ope-
racje, chorowaliśmy też na nerki i za-
palenia płuc. Przechodziliśmy kryzy-
sy, pracowaliśmy ponad siły. Arytme-
tyczna średnia naszego wieku wynosi
czterdzieści dwa lata.

Lubimy się bardzo. Ale zapewne ra-
cję ma Zagajewski, kiedy pisze o Ko-
cie-Jeleńskim i sobie: „Nic o sobie na-
wzajem nie wiedzieliśmy, / gdyż byli-
śmy przyjaciółmi”.

1.

Rok 1997, lipiec. Włochy. Dokład-
niej: Sycylia; jeszcze dokładniej Syra-
kuzy. Najdokładniej: ocieniony paraso-
lem kawiarniany stolik z obrusem
w biało-niebieską szachownicę.

To jest ten moment spotkania, kiedy
po miesiącach rozłąki, a teraz po kilku
dniach intensywnych rozmów, poja-
wiają się pierwsze szczeliny milczenia.
Jeszcze nie wiemy, czy jest ono bez-
pieczne, czy nasza przyjaźń jest już na
tyle mocna, że da się wspólnie mil-
czeć. Ona jest płynna, jak światło
i czas:

Civitas Dei (2). Syrakuzy
Arkadiuszowi, Tomaszom

na placu
przed katedrą
smukłe kelnerki
roztawiają wiklinowe krzesła

jest siódma po południu,
kończy się dzień, niebawem świat

wokół miasto
śniade, złociste.
Ochra, kobalt, indygo. Szkło.

*Jest nas czterech. Milczymy.
Na skraju dnia,
na krawędzi Europy.
Płynie przez nas
światło i czas.
W stronę morza i śmierci.*

Piękniejemy

2.

Rok 2000, sierpień. Grecja. Dokład-
niej: Peloponez; jeszcze dokładniej:
Rafini. Najdokładniej: skrawek plaży
nad Morzem Egejskim.

Pisząc wiersz „Fotografia”, nie wie-
działem, że za dwa miesiące umrze
Tomek. Ale teraz nie umiemy już go
czytać bez tej wiedzy. O nią też bole-
śniej oglądamy fotografię – bohater-
kę wiersza. I tacy się staliśmy, jak wte-
dy – porażeni Blaskiem, wyzbyci bez-
troski:

Fotografia

Arkadiuszowi, Tomaszom

*Ta chwila słona nad Egejskim
Morzem,
gdy dzień turkusem wdział się
i mienil:
skrzep światła, słodycz cienia, trzask
migawki.*

*Mrużymy oczy, porażeni Blaskiem.
I tacy już zostaniemy: we własnych
pragnieniach,
w pamięci tych, którzy nas kochali.*

*Widać w tkaninie wszechświata
brakowało ściegu
naszej beztroski: w porządku rzeczy
dotkliwa tkwiła luka,
którą ta chwila słona wypełniła.*

3.

Rok 2002, sierpień. Austria. Dokład-
niej: Styria; jeszcze dokładniej: Graz.
Najdokładniej: ciemne wzgórce nad
miastem, na początku nocy.

Wiemy już, że przyjaźń zdarza się
rzadko, i że jest darem, i że trzeba
około niej chodzić pracowicie, stale,
cicho, na palcach. I że jest godna za-
chodu:

Przyjaźń

Arkadiuszowi, Markowi, Tomaszowi

*Może to jej szukamy tak zawzięcie?
Może to o nią chodzi, z jej braków
nasz gniew?
Może to dla niej wyprawy za morza?*

*Nazwał nas przyjaciółmi,
tamtej nocy, przed męką,
i odtąd bez niej nie umiemy żyć.*

*Jest jak stygmat, znak Mistrza,
a jej czerwień otwarta
każdy bandaż przebarwia.*

*Myszę o niej tej nocy,
bo choć nie czeka nas męka,
ich oczy wilgotnieją w mroku.*

*Pod nami przepaść,
kaskady powietrza,
dal.*

*Pod nami Graz rozlany
jak jezioro krwi lub wesołe
miasteczko.
Zależy od szkiełka w oku.*

*Patrzę w oczy przyjaciół
tej nocy znów pewny:
jest podobna do perły.*

*Którą, drogocenną, znalazłszy,
poszedł, sprzedał wszystko,
co miał, i kupił ją.*

*Pod nami Graz. I wzbiera jasność
w mroku.
A w nas to śmiech, to płacz.
Zależy od szkiełka w oku*

4.

Rok 2003, sierpień. Niemcy. Do-
kładnie: Bawaria; jeszcze dokładniej:
okolice Chiemsee. Najdokładniej:
wnętrze opłastry.

Robiłem wtedy notatki, przysłuchu-
jąc się rozmowie pozostałej trójki. Pi-
sałem z wnętrza wielkiego bólu i bez-
miernego szczęścia. Dziękuję im, że
byli wtedy ze mną:

Autostrada

Bliskim

*„Autostrada zamieniła się
w Morze Czerwone.
Jechaliśmy w burzy jak w stromej
dolinie.
Ty prowadziłaś; patrzyłem
na ciebie z miłością.”
A. Zagajewski, Burza*

*Z nami było wówczas, w połowie
sierpnia, podobnie:
autostrada, burza, strome doliny,
morze,
nawet miłość w oczach.*

*Ale też inaczej:
było nas czterech, prowadził Arek.
Rozumieliśmy, że nasza przyjaźń jest
nieuchronna jak jesień, która
zbliżała się
szkarlatnymi nitkami błyskawic.
Ze samotnym dana jest miłość
prostsza.*

*Pośród grznotów przyglądał nam się
bacznie Bóg.
Czy rozpoznał swoich?*

JAN
NOWAK-JEZIORAŃSKI

Perła w koronie

Zmarły niedawno 20 stycznia tego roku jeden z najwybitniejszych współczesnych Polaków, Jan Nowak-Jeziorański, do końca nadzwyczaj aktywnego życia pojmował miłość ojczyzny jako stałą gotowość do ofiarnych czynów i obywatelskiej odpowiedzialności za państwo stanowiące najwyższą wartość narodową. Urodzony w roku wybuchu I wojny światowej (3 października 1914 r.) należał do pierwszego pokolenia wychowanego w niepodległej Polsce, któremu nie miało być sądzone to, co stało się potem z wyroku okrutnej historii, gdy przyszło ponieść największe ofiary. Słynny Kurier z Warszawy do Polski powrócił na stałe jako człowiek 87 letni, lecz pomimo sędziwego wieku do końca był zatroskany o to, jak wiele niegodziwości przenika polskie życie. Z bólem powtarzał, że największym niebezpieczeństwem dla Polski są sami Polacy. Apelował, ostrzegał i mobilizował do wykorzystania historycznej szansy po wejściu Polski do NATO i Unii Europejskiej, w czym sam miał wydatny udział.

O tym, do jakiego stopnia aktywnie obserwował bieg polskich spraw świadczy jego książka: „Polska wczoraj, dziś i jutro”, wydana w 1999 roku nakładem „Czytelnika”, której jeden z rozdziałów - „Perła w koronie” - dotyczy kluczowych kwestii Śląska. A trzeba pamiętać, że książka ta powstała w latach, gdy liczący ponad 80 lat autor mieszkał w Waszyngtonie. Jednak regularnie przybywał do kraju, aby zawsze być na miejscu w ważnych momentach i zabierać w decydujących kwestiach głos.



Foto: Zbigniew Sawicz

Głos w obronie Śląska

O tym do jakiego stopnia z uwagą i zainteresowaniem śledził i oceniał bieg spraw na Śląsku świadczy właśnie szkic „Perła w koronie”. Jan Nowak-Jeziorański postrzega te problemy w szerokim kontekście historii w nawiązaniu do lat gdy odzyskany w części Śląsk znalazł się w granicach odrodzonej Polski. Tę ziemię znał i rozumiał - bywał tu także w najtrudniejszych latach, gdy w okresie okupacji montował sieć kolportażu konspiracyjnych druków. Do tego okresu nawiązywał także gdy w roku 2001 odbierał w Katowicach Diamentowy Laur Umiejętności i Kompetencji z rąk premiera Jerzego Buzka. W swo-

im przemówieniu zamieszczonym na łamach „Śląska” stwierdził: „*Chociaż Ślązacy na tej ziemi urodzeni mieli prawo czuć się pokrzywdzeni przez rządy Drugiej Rzeczypospolitej, gdy ich śląska ziemia znalazła się znów pod Niemcami, wielu z nich ponownie okazało Polsce wierność. Tu w Katowicach znalazłem wśród górników, rdzennych Ślązaków, chętnych do pracy kolporterów akcji „N”, którzy z żarliwością i odwagą, ryzykując życie przewozili dywersyjną bibułę akcji „N” w głąb Niemiec. Z wyjątkiem jednego, wszyscy mieli volkslistę, bez której nie mogli się poruszać i zarabkować. A jednak nie widziałem ludzi odznaczających się większym oddaniem i przywiązaniem do sprawy*”. Ich nazwiska zostały wymienione przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego wcześniej w tekście, który teraz przypominamy, gdy znów pojawiają się nikczemne oskarżenia Ślązaków o zbiorową zdradę narodową i wystawia się obelżywe moralne rachunki.

Mocno też brzmią słowa Jana Nowaka-Jeziorańskiego w obronie krzywdzonego Śląska, który znalazł się teraz „na peryferiach naszych trosk i uwagi”. Powtórzmy za nim końcowe zdanie ze śląskiego rozdziału jego książki, które ma teraz jeszcze głębszą wymowę - a jest jak nakaz wiążącego patriotycznego testamentu tego wielkiego Polaka i Obywatela: „*Śląskowi należy się w Polsce to miejsce, które przyznawał mu dawny kronikarz: miejsce klejnotu w polskiej koronie*”.

TK

Zapoznałem się z projektem ustawy o mniejszościach narodowych, opracowanym przez sejmową komisję do spraw mniejszości. Wciela ona w polskie prawo zaciągnięte przez nas międzynarodowe zobowiązania. Ustawy takie ma już większość państw naszego regionu: Niemcy, Ukraina, wszystkie trzy państwa bałtyckie, Austria, Węgry i Chorwacja. Podobnie jak w przypadku konstytucji, Polska pozostaje w tyle za innymi, ale nie mamy czego się wstydzić, bo w naszym wypadku praktyka wyprzedziła prawo, stając się wzorem i dobrym przykładem dla innych.

III Rzeczpospolita sprawy nie odkładała. Przywrócenie pełnych praw mniejszościom narodowym, nie uznawanych w latach PRL, było jednym z pierwszych i najbardziej dalekowzrocznych posunięć rządu Tadeusza Mazowieckiego. Gdyby Niemcy w Polsce nie odzyskali obywatelskiego równouprawnienia i swobody przyznawania się do swojej narodowo-

ści, nie byłoby uznania granicy zachodniej i historycznego zakończenia tysiącletniego konfliktu z zachodnim sąsiadem. To samo odnosi się do pojednania z Litwą, Ukrainą i Białorusią. Uznanie praw mniejszości narodowych, usuwając potencjalne źródła konfliktów, otworzyło Polsce drogę do NATO i Unii Europejskiej (...).

Narodowość - swobodny wybór

Projekt ustawy już na wstępie zapewnia każdemu swobodę decydowania o swej etnicznej przynależności. Żaden sąd, żadna władza, żadna ustawa czy organizacja nie mogą określać narodowości obywatela. Nie mogą być stosowane żadne kryteria obiektywne związane z pochodzeniem, rasą, językiem czy miejscem zamieszkania. Decyduje tylko i wyłącznie subiektywne poczucie i swobodny wybór dokonany przez obywatela (...).

Lekcje historii

(...) Doświadczenie historyczne, przede wszystkim nasze własne, uczy, że właśnie liberalny stosunek państwa do mniejszości najbardziej sprzyja jego spójności i interesom, a wszelkie próby asymilacji, czyli wynaradawiania przez przemoc, dyskryminację i represje nie tylko kończą się niepowodzeniem, ale wzmacniają tendencje odśrodkowe i separatystyczne. Wystarczył przyrzyć się naszym dziejom porzeczowym. Próby wynaradawiania pod zaborem rosyjskim podejmowane po 1863 r., przede wszystkim Apuchtinowska rusyfikacja szkolnictwa, nie tylko poniosły klęskę, ale przyczyniły się do odrodzenia polskich dążeń do niepodległości na przełomie stuleci. Litwini mówili mi, że Murawiewowi-Wieszatielowi należałoby wnieść pomnik w Wilnie, bo zapoczątkowany przez niego terror po stłumieniu na Litwie Powstania Styczniowego,

a zwłaszcza zakaz drukowania czegokolwiek po litewsku, zapoczątkował przerażanie się litewskiego ludu w litewski naród. *Kulturkampf* Bismarcka w podobny sposób obudził polskość na Śląsku. W Ponańskim polityka brutalnej germanizacji i walka z językiem polskim oraz przesładowania gospodarcze sprawiły, że właśnie Wielkopolska stała się bastionem polskiego nacjonalizmu.

Inaczej było pod zaborem austriackim. Polska kultura, nauka, polski język i szkolnictwo mogło się tam rozwijać, a nawet kwitnąć. W Galicji Polacy mieli dwa znakomite uniwersytety: w Krakowie i we Lwowie, Polską Akademię Umiejętności, własne biblioteki i muzea, własny sejm krajowy, samorząd gminny i miejski, mieli także równe szanse. Polak nie wyrzekając się polskości mógł nie tylko być namiestnikiem, ale stanąć na czele rządu monarchii austriackiej. Polacy zasiadali w wiedeńskim parlamencie, a jednym z nich był chłop z Wierchostaw Wincenty Witos. Polacy dochodzili do najwyższych stanowisk w austriackiej administracji i w wojsku i dlatego tu właśnie, w zaborze austriackim, najmocniej wystąpiły skłonności do pogodzenia się z przynależnością do obcego państwa. Znalazły one swój wyraz w koncepcji trójlojalizmu i słynnej deklaracji: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. W Warszawie czy Poznaniu taką deklarację uznano by za akt zdrady, w Krakowie czy we Lwowie mogła co najwyżej spotkać się w niektórych kołach z ostrą krytyką.

Asymilacja obywatelska

Historia uczy więc, że próby asymilacji, dyskryminacji etnicznej, wszelkie próby ograniczania czy też stosowania przymusu wobec mniejszości narodowej kończą się klęską i zagrożeniem państwa. Możliwa jest natomiast asymilacja obywatelska, która pozwala mniejszości pogodzić wierność wobec własnej wspólnoty narodowej z lojalnością wobec państwa swego zamieszkania. Jest to możliwe tylko tam, gdzie mniejszość etniczna czuje się w tym państwie u siebie, może je uznać za własne, bo ma równe szanse, i może w nim w pełni realizować swoje życiowe aspiracje.

Przykładem asymilacji obywatelskiej stały się kraje wchłaniające obcy element napływowy: Stany Zjednoczone, Kanada i Australia. Emigranci korzystają tam z możliwości swobodnego zrzeszania się, kultuwowania własnego dziedzictwa i wywierania wpływu politycznego. Szanse są równe dla tych, którzy się tu urodzili, i tych, którzy się tu osiedlili i nie zdołali nawet pozbyć się obcego akcentu. Właśnie ten liberalizm sprawia, że w amerykańskim tygłu każdy może być równocześnie patriotą kraju macierzystego i państwa swego osiedlenia. Wielonarodowa etniczna mozaika amerykańska jest zwarta w swej lojalności wobec Stanów Zjednoczonych.

Słyszałem, że podobno działacz mniejszości niemieckiej na Śląsku pojechał do Bonn, by gardłować tam za ratyfikacją przez Bundestag przyjęcia Polski

do NATO. Jeśli to prawda, to trudno znaleźć mocniejsze potwierdzenie słuszności polityki III Rzeczypospolitej, która ma być utrwalona w ustawie o mniejszościach. W dzisiejszej Polsce mniejszości stanowią tak niewielki procent, że żadna z nich nie jest zagrożeniem dla terytorialnej integralności państwa. Poważne problemy etniczne istnieją na Śląsku, gdzie obok ludności napływowej żyją rdzenni Ślązacy, podzieleni na tych, którzy uważają się za Polaków, za Niemców i tych, którzy czują Śląską odrębność zarówno wobec Polski, jak i Niemiec.

Narodowość śląska?

Konflikt z mniejszością niemiecką, grożący po jej ujawnieniu się w 1990 r. i rejestracji stowarzyszeń niemieckich został zażegnany. Spokojne, a nawet przyjazne współzycie społeczności polskiej z niemiecką mniejszością jest w dużej mierze historyczną zasługą opolskiego Ślązaka, ks. biskupa Alfonsa Nossola, który odegrał na Śląsku Opolskim rolę mądrego i odważnego rozjemcy. Istnieje natomiast problem tych Ślązaków, którzy nie chcą się utożsamiać ani z Polską, ani z Niemcami. Z tego środowiska wyszła inicjatywa utworzenia Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Ówczesny wojewoda katowicki Włodzimierz Kubik wniósł apelację od orzeczenia Sądu Wojewódzkiego zezwalającego na rejestrację Związku. Sąd Apelacyjny, a następnie Sąd Najwyższy podzielił stanowisko wojewody, że narodowość śląska nie istnieje i odmówił zarejestrowania Związku.

Wokół tej sprawy wywiązała się debata na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Dlaczego powracam do niej po kilku miesiącach? Bo czekałem na to, że głos zabierze inicjator uznania Ślązaków za odrębny naród, Jerzy Gorzelik. Ponieważ tego głosu zabrakło, dyskusja nie przyniosła odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jaki cel przyświecał Gorzelikowi i setce ludzi, których zebrał wokół siebie? Czy motywem były polityczne ambicje niewielkiej grupki liczącej na to, że na tej sprawie wypłyną i zrobią karierę? Czy też intencją było zwrócenie uwagi na odrębność Śląska, która wyrosła z jego przeszłości? Odrębność, która prawie nie istnieje w świadomości ogółu Polaków.

Podjęrzewam, że przeciwnicy uznania Związku Narodowości Śląskiej obawiali się, że może on stać się załącznikiem dążeń do oderwania Śląska od Polski, stworzenia ze śląskiej ziemi jakiegoś polskiego Quebecu czy kraju Basków. Obowiązkiem państwa jest oczywiście zapobieganie zawczasu dążeniom separatystycznym. Powstaje pytanie: jak? Właśnie z tego punktu widzenia sądowa odmowa rejestracji Związku może okazać się w swoich dalszych skutkach błędem. Gdyby tej odmowy nie było, sprawa nie nabrałaby rozgłosu, a Związek okazałby się najprawdopodobniej efemerydą, która zgłaszałaby śmiercią naturalną, jak się to stało z dwoma poprzednikami. Byłaby to najbardziej miarodajna odpowiedź na pytanie, czy naród śląski istnieje, udzie-

lona przez stronę zainteresowaną, tj. przez samych Ślązaków.

Stu czy nawet kilkuset ludzi na pewno nie stanowi narodu. Niestety, stosowanie w polityce narodowościowej sądowych albo administracyjnych nakazów i zakazów ma to do siebie, że budzą one żarliwy sprzeciw. Jak twierdzi na łamach miesięcznika „Śląsk” przeciwnik Związku Narodowości Śląskiej, Krzysztof Karwat, odmowa rejestracji przysporzyła zwolenników pomysłowi kreowania narodu śląskiego. Wydaje się, że istotnie wojewoda Kubik i obie wyższe instancje sądowe oddały nieocenioną usługę Jerzemu Gorzelikowi. Odmowa rejestracji nadała sprawie „narodu śląskiego” rozgłos w skali krajowej, nieproporcjonalnie wielki do kanapowych rozmiarów przedsięwzięcia. Może ona nabrać rozgłosu międzynarodowego, jeśli Gorzelik odwoła się do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Zławsza, jeśli Trybunał uzna, że odmowa rejestracji narusza międzynarodowe zobowiązanie zaciągnięte przez Rzeczpospolitą.

Jak już była o tym mowa, żadna władza i żaden biegły sądowy nie może wyrećzyć obywatela w określaniu własnej narodowości na podstawie tzw. kryteriów obiektywnych, podobnie jak nikt nie może zdecydować o jego wyznaniu albo politycznej przynależności. Tymczasem według sprawozdań prasowych Sąd Apelacyjny uznał, a Najwyższy potwierdził, że fakt powszechnie znany, że ludność Śląska nie stanowi odrębnego narodu i nigdy nią w powszechnej świadomości nie była”. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Trybunał w Strasburgu dopatry się w tym uzasadnieniu naruszenia nie tylko wolności zrzeszania się, ale i prawa człowieka do określania samego siebie. Sądy mają decydować, czy status stowarzyszenia jest zgodny z obowiązującym prawem, a nie wyrokwować o słuszności celów przyświecających założycielom. O tym, że Ślązacy nie są narodem, nie może stanowić „powszechna świadomość”, lecz tylko i wyłącznie sami Ślązacy. Mogą to uczynić odmawiając po prostu przyłączenia się do Związku Jerzego Gorzelika. Z jego „diabelskim pomysłem” (określenie Krzysztofa Karwata) walczyć należy, czyniąc wszystko, by nie trafił on na podatny grunt. Tym podatnym gruntem jest na Śląsku głębokie poczucie doznanych krzywd i nie spłaconego długu wdzięczności.

Naprawić śląskie krzywdy

Używam słów „dług wdzięczności” świadomie. Śląsk oderwany został od macierzy w XIV w. za czasów ostatniego króla z dynastii Piastów. Polska jagiellońska miała wzrok skierowany na wschód. Odwróciła się tyłem do utraczonej piastowskiej dzielnicy. Lud śląski, poddany przez sześć wieków germanizacyjnej presji, wpięrow Austrii, a później Prus - zachował polskość. Powrót Górnego Śląska do Polski, wywalczony przez samych Ślązaków i okupiony ich krwią przelaną w trzech powstańach śląskich, jest jedną z najbardziej wzruszających kart historii Polski.

Górny Śląsk powrócił do Polski pod przewodem Wojciecha Korfante go. Ten syn górnika poświęcił walce o polskość Śląska całe swoje życie. Zaczynał ją w szkole i został z niej za to wyrzucony. Był przez władze pruskie wielokrotnie więziony, dowodził trzecim powstańcem śląskim. Bez Korfante go Górny Śląsk nie wróciłby do Polski, a bez Górnego Śląska, jego czarnego złota i przemysłu ciężkiego, II Rzeczpospolita nie byłaby zdolna do samodzielnego bytu gospodarczego, byłaby całkowicie uzależniona od Niemiec i zdana na łaskę i niełaskę zachodniego sąsiada dążącego do rewizji granic.

Losy Korfante go w odrodzonej Rzeczypospolitej stały się symbolem śląskiej krzywdy. W latach rządów sanacyjnych rozpętano przeciw niemu kampanię pomówień, wtrącono go do więzienia. Zmarł w kilka dni po wyjściu na wolność, w okolicznościach budzących podejrzenia, że został otruty. Jego historyczne zasługi zostały uznane dopiero w 67 lat po jego zgonie, gdy prezydent RP nadał mu pośmiertnie Order Orła Białego.

II Rzeczpospolita ofiarowała Śląskowi autonomię, ale była to autonomia elity zdominowanej przez element napływowy, bo rodzima inteligencja śląska uległa zniemczeniu. Ślązakom było gorzej za czasów polskich niż za czasów pruskich. Pomimo poczucia upośledzenia pod polskimi rządami podziemny opór Górnego Śląska przeciw niemieckiemu okupantowi raz jeszcze ujawnił przywiązanie Ślązaków do Polski. Zetknąłem się z nim sam, bo Śląsk stał się bramą wypadową Akcji N, dywersyjnej propagandy prowadzonej przez AK wśród Niemców. Jeździłem na Górny Śląsk, by montować tam sieć kolporterów. Nigdzie nie napotkałem tak żarliwego oddania sprawie. Wspominam ze wzruszeniem Klarę Wolek, Erikę z górniczego osiedla pod Katowicami, sztygara Maksa, Wiktora Kościelnego, Rudolfa Bednarza, Alfonsa Zajacza. Z wyjątkiem tego ostatniego nie znam ich powojennych losów. Mieli niemieckie papiery, więc ze ściśniętym sercem myślę, że poddani zostali przez władze PRL upokarzającej weryfikacji. Musieli składać podanie o uznanie ich za Polaków. Pamiętam dwóch żołnierzy Wehrmachtu z Opola, którzy z urlopów w rodzinnych domach wracali na front z plecakami wyładowanymi naszą niemiecką bibułą, którą podrzucali w kantynach i wychodkach. Wiadomo, co za to groziło.

W armii Andersa pełno było śląskich żołnierzy Wehrmachtu, którzy przechodzili na naszą stronę przez front albo dostali się do niewoli. Większość zgłosiła się do II Korpusu, choć mogli bezpiecznie czekać na koniec wojny w alianckich obozach niemieckich. Wielu zginęło. Na wojskowym cmentarzu w Bolonii można oglądać nagrobki z typowymi śląskimi nazwiskami i imionami Rudolf albo Gerhard. Zaraz po wojnie zgłosił się do mnie w mundu-

rze osiemnastoletni żołnierz II Korpusu, Ślązak z Bytomia. Prosił mnie o skierowanie go do podziemia na Śląsku. Wbrew moim radom wrócił.

Wiele spośród dzieci powstańców śląskich w latach PRL emigrowało do Niemiec albo zapisywało się po 1989 r. do niemieckich stowarzyszeń. Znaczną część ludności Śląska odrzuciły od polskości rządy PRL. To, czego nie osiągnęło w ciągu sześciu wieków panowanie Austrii i Prus, dokonała przymusowa polonizacja przez władze ludowe. „Socjalizm” budował na Śląsku nieopłacalne molochy przemysłowe skazane dziś na upadek, ponieważ zaś celem było wykonywanie gigantycznych planów produkcyjnych, a nie człowiek i jego zdrowie, więc rządy PRL doprowadziły do skażenia środowiska na Śląsku w stopniu zagrażającym życiu ludzkiemu.

Poczucie doznanych krzywd i upośledzenie, widmo biedy i bezrobocia stwarzają podatny grunt dla pomysłów organizowania narodu śląskiego. Nie należy pocieszać się myślą, że autochtoni stanowią mniejszość. Nie powinni czuć się mniejszością na własnej ziemi swoich przodków. Przeciwdziałanie tym dążeniom nie prowadzi przez zakazy zrzeszania się, ale przez mądrą politykę.

Śląsk - centrum polskiej uwagi

Przede wszystkim Śląsk powinien znaleźć się w centrum, a nie - jak dotychczas - na peryferiach naszych trosk i uwagi. Skłania do tego wniosku zwykły rachunek. Jak wykazał na łamach miesięcznika „Śląsk” Jan Dział, bez Śląska zgasłyby w Polsce wszystkie światła, mieszkania byłyby nie opalane, przestałyby jeździć pociągi, stanąłby przemysł poruszany energią elektryczną, bo zabrakłoby węgla karmiącego elektrownie. Z braku stali stanęłoby budownictwo itd.

Zagłębie Śląskie wciąż jest głównym źródłem energii dla całego kraju, ale skończyła się światowa koniunktura wysokich cen węgla. Prędzej czy później państwo będzie musiało uwolnić się od olbrzymiego ciężaru dopłacania do każdej tony eksportowanego węgla. Trzeba będzie także coś zrobić z deficytowymi molochami pochłaniającymi dochód narodowy. W krótkiej perspektywie czasu może to oznaczać dla Śląska przejściowy spadek zatrudnienia i pogorszenie warunków bytowych, a więc także niezadowolenie, które nałoży się na poczucie odrębności etnicznej Śląska i prowadzić może do alienacji wobec państwa. Tu właśnie kryje się niebezpieczeństwo jakichś potencjalnych dążeń odśrodkowych. Ważne jest, by świadomość tych zagrożeń wyszła poza sam Śląsk i przeniknęła do świadomości ogółu.

Rozwiązanie problemów gospodarczych wykracza poza ramy tych rozważań. Ograniczyć się do spraw etnicznych. Wszelkie próby zmieniania na siłę relacji między Ślązakami polskimi, niemieckimi i tymi, którzy chcą być tylko Ślązakami, skończyłyby się niepowodzeniem.

Polityka wobec społeczeństwa śląskiego powinna wzmacniać dobrowolne utożsamianie się ogółu mieszkańców z państwem. Na szczęście łączy ich wszystkich przywiązanie do Śląska, ich małej ojczyzny. Wydaje się, że antagonizm między ludnością napływową a autochtonami - jeśli w ogóle istnieje - jest o wiele słabszy aniżeli niechęć wobec centralistycznego rządzenia Śląskiem z Warszawy. Na murach śląskich miast pojawiają się napisy „precz z kolonializmem warszawskim”. Dzieci tych, którzy osiedlili się tu pół wieku temu, nie są traktowane jako „kolonialści”, bo czują się Ślązakami, a nie lwowiakami, wilniukami albo warszawiakami. Młody poeta urodzony w Opolu z lwowskich rodziców zadeklarował się w mojej obecności jako Ślązak.

Być Ślązakiem oznacza znajomość i przywiązanie do kultury i historii Śląska, a także do śląskiej gwary. Miłość ojczyzny wyrasta zazwyczaj z przywiązania do stron rodzinnych - do swej własnej, małej ojczyzny. Ci, którzy zaznali uczucia nostalgii za ojczystym krajem, pamiętają, że jest nim tęsknota za swoją uliczką, zapamiętanym przydrożnym krzyżem, krajobrazem rodzinnej wioski albo miasta. Zadaniem państwa powinna być pomoc w umacnianiu śląskiego regionalizmu, wspólnego wszystkim mieszkańcom Śląska. Jednym ze sposobów naprawienia śląskiej krzywdy i spłacenia Ślązakom długu wdzięczności za wierność, okazaną po sześciu wiekach obcego panowania, byłoby powołanie Fundacji Śląskiej, poświęconej kultywowaniu odrębności i tradycji regionu (...).

Górnoślązacy, którzy pamiętają lata II Rzeczypospolitej, nie zapomnieli, że pomimo autonomii czuli w tych czasach dzielnicowe upośledzenie. Zapewne wynikało ono stąd, że rdzenni Ślązacy mieli w chwili powrotu do Polski bardzo niewielką własną inteligencję. Nie tylko urzędnicy, ale także nauczyciele, adwokaci, inżynierowie napływali masowo z innych dzielnic. Dzięki wyższemu wykształceniu element napływowy miał przewagę nad Ślązakami. Po 1989 r. Ślązacy przystępowali do stowarzyszeń niemieckich szukając w nich jakiegoś dowartościowania. Czy dziś autochtoni mają zapewniony równy start z elementem napływowym? Jeśli nie, zadaniem Fundacji Śląskiej byłoby ułatwienie przez odpowiednią politykę stypendialną awansu edukacyjnego - a więc także społecznego - najbardziej uzdolnionym jednostkom spośród śląskich autochtonów. Nie chodzi tu o stwarzanie przywilejów, a o wyrównanie startu (...).

Jeśli chcemy usunąć zaważały potencjalne źródła konfliktów na Śląsku, należy już dziś podjąć mądre sposoby przeciwdziałania. Śląskowi należy się w Polsce to miejsce, które przysługiwało mu dawny kronikarz: miejsce klejnotu w polskiej koronie.

Rozdział z książki pt. „Polska wczoraj, dziś i jutro”. Wydawnictwo „Czytelnik”, Warszawa 2000. Skrót i wytłuszczenia - od Redakcji



Dubielowie w Królewskiej Hucie, ok. 1933 r. Stoją Paweł II, Władysława, Józef (z krzyżem harcerskim); siedzą Paweł I, Paweł III, Maria (brak jeszcze Krzesławy).

(fragmenty sagi rodzinnej)

My z Królewskiej Huty

PAWEŁ DUBIEL

W takiej prostej rodzinie, jak moja, korzenie nie sięgają głęboko – tyle tylko, ile zostaje w pamięci wnuków. Wcześniejszych zapisów brak.

Skąd się wywodzimy

Pradziadek Kasper Dubiel przybył do Król. Huty „za chlebem” z Kochanowic w powiecie lublinieckim. Znalazł robotę jako górnik, ożenił z Franciszką Tyluszkówną. Umarł przed moim urodzeniem, ale w pamięci czterolatka utkwiała twarz prababci, pomarszczona jak jabłuszko na zimę. Pradziadkowie w ogóle nie znali niemieckiego. Mieli 13 dzieci. Najstarszy Paweł, to mój Dziadek. Ukończył szkołę ludową niemiecką (bo tylko

taka była), a w rodzinnym domu nauczył się polskiego właściwie bezbłędnie – na polskich gazetach, kalendarzach i modlitewnikach.

Wzorem swego ojca, od 15 roku życia fedrował na „Koenigsgrubie”. Po górniczym zawale zostały mu czarne odpryski węgla na twarzy. Był urodzonym przywódcą. Już jako 18-latek współzakładał Towarzystwo Młodych im. Stanisława Kostki i sekretarował mu. Wkrótce współtworzył Kasyno Polsko-Katolickie (na wzór powołanego przez Karola Miarkę w 1869 r.), którego dwukrotnie był prezesem. Najczynniej działał w Związku Górników Zjednoczenia Zawodowego Polskiego (ZZP), za co go wyrzucano z kolejnych kopalń z „wilczym biletem”. W 1910 r. został etatowym sekretarzem Okręgu

Zabrze-Gliwice. Przeprowadził się wtedy do Zabrza na Alsenstrasse 1 (dziś Pawła Dubiela). Kierował wielkim strajkiem górników Gliwic, Zabrza, Rybnika. Nęcano go przesłuchaniami, rewizjami, mandatami, procesami sądowymi.

Miał wszechstronne zainteresowania. Zgromadził bogaty księgozbiór. W Zabrze założył Towarzystwo Śpiewu „Chopin”, któremu prezesował. Był bardzo czynny w krzewiącym się bujnie ruchu teatrów amatorskich, a w Zaborzu i Kostuchnie wystawiono jego dialogi sceniczne „Antek Kamaszek przed sądem” i „Prosta droga”. Przedstawienia zorganizowały miejscowe filie ZZP.

Gdy wybuchła wojna światowa, mimo kategorii D (niezdolny do służby) i reklamowania Dziadka przez postów

polskich do parlamentu Rzeszy, wcielono go do armii niemieckiej. Wojciech Korfanty dowcipkował, że Niemcom „zabrski sekretarz ZZP jest niezbędny do wygrania wojny”. Dziadek trafił szczęśliwie do jednostki tyłowej w Białej Podlaskiej, skąd przy krachu Rzeszy dał drapakę i w grudniu 1918 zjawiał się w Zabrzu w niemieckim mundurze, ale z polskim orzelkiem na czapce.

W walce o Śląsk

Dziadek został dokooptowany do Arbeiter- und Soldatenrat (rady robotniczo-żołnierskiej) i obrany wiceprzewodniczącym Polskiej Rady Ludowej w Zabrzu. W jego mieszkaniu naradzali się wybitni działacze narodowi: Korfanty, Józef Rymer, Wojciech Sosiński, Adolf Ligoń i inni. Z nimi Dziadek uczestniczył w Sejmie Dzielnicowym Polaków b. Zaboru Pruskiego w Poznaniu, wszedł do Naczelnej Rady Ludowej. W ZZP został przewodniczącym Oddziału Górników na cały Górny Śląsk i redaktorem jego organu „Głos Górnik” o 70 tys. egz. nakładu. Politycznie udzielał się w Narodowym Stronnictwie Robotników jako wiceprzewodniczący, potem przewodniczący na Śląsku. Po fuzji NSR z działającym w Kongresówce Narodowym Związkiem Robotniczym w Narodową Partię Robotniczą (NPR), był w jej Radzie Naczelnej. Z tą partią było ściśle związane ZZP.

W kierowanym przez Korfante go Polskim Komisariacie Plebiscytowym objął Dziadek Sekcję Związków Zawodowych i Wydział Socjalno-Polityczny. Oprócz tego był w Zabrzu – obok Niemca dra Glasera – członkiem Komisji Parytetycznej, nadzorującej prawidłowy przebieg głosowania plebiscytowego.

W różnych poczynaniach towarzyszył Dziadkowi już wtedy mój późniejszy Ojciec, też Paweł. Przed szkołą powszechną wcale nie znał niemieckiego, który jednak szybko dobrze opanował. Jako uczeń gimnazjum, w styczniu 1919 r. debiutował artykułem wstępnym o historii zatargów polsko-niemieckich w tygodniku „Der Weisse Adler” („Orzeł Biały”). Było to pismo w języku niemieckim, lecz bojowo polskie. Aby w plebiscycie przeciągnąć niezdecydowanych, takie gazety w języku przeciwnika wydawali i Polacy, i Niemcy.

Ojciec w maju 1920 założył w Zabrzu pierwsze Polskie Towarzystwo Sportowe o niecodziennej nazwie „Wesołość” (potem „Jedność”), którego był prezesem i grającym w ataku kapitanem drużyny. Większość członków klubu należała do POW G. Śląska i wkrótce walczyła w powstaniach. Po szkole średniej zaczął

Ojciec pracę dziennikarską w konkretnie prasowym Adama Napieralskiego, jako najmłodszy z czworga redaktorów, wśród których była późniejsza posłanka na Sejm Śląski, Jolina Omańkowska. Wnet przerwał pracę, pomaszerował na III powstanie w kompanii Jana Drewnioka, potem Wilhelma Kaliny, w kierunku Odry. Po potyczce pod Bierawą został przydzielony jako sierżant do sztabu w grupie (pułku) Pawła Cymasa. Sporządzał raporty, tłumaczył dokumenty na angielski i francuski, przesłuchiwał jeńców niemieckich. Gdy powstanie wygasło i pułk zdemobilizowano, zgłosił się w zabrzańskim baonie Dyonizego Trocera i tam uczestniczył w krwawych walkach z Selbstschutzem (samoobroną niemiecką) pod Gliwicami. Potem baon rozwiązano.

Z początkiem 1922 r. tworzył Ojciec – obok Alojzego Budnioka – Polski Związek Piłki Nożnej na Opolszczyźnie, skupiający 35 klubów. W Komitecie Organizacyjnym był wiceprezesem, potem wszedł do Zarządu Głównego PZPN Opolszczyzny.

Mimo przyznania Zabrza Niemcom, Dziadek zamierzał tam zostać. Ale terror niemiecki narastał. Zaatakowano też mieszkanie Dziadka, gdzie akurat był kuzyn Ojca, Roman Lubojański (bratanek babci Marii, którą Dziadek poznał jeszcze w król.-huckim „Sokole”) – wachmistrz plebiscytowej Straży Gminnej, w mundurze i z pistoletem. We trzech przepędzili niemiecką bojówkę. Następny napad mógł jednak być tragiczny, więc już nazajutrz Dubielowie wrócili do rodzinnego miasta.

Z powrotem w Król. Hucie

Ojciec pracował w redakcji NPR-owskiego „Polaka”, redagował dwutygodniowe dodatki „Życie Społeczne” i „Młoda Polska”. Ten drugi był organem Związku Młodzieży Pracującej „Jedność”, działającego przy NPR. Ojciec współtworzył „Jedność”, był prezesem na Śląsku, potem też Zarządu Głównego. Ze Śląska i Zagłębia rozprzestrzeniła się na Wielkopolskę, Pomorze i in., dochodząc do 15 tys. członków. W 1923 r. Ojciec podjął pracę zarobkową w ZUS z siedzibą w Król. Hucie. Był aktywny w ruchu zawodowym pracowników umysłowych. Przewodniczył związkowcom (prawie wszystkim pracownikom) swego ZUS, był też członkiem ZG ZZ Pracowników Instytucji Ubezpieczeń Społecznych.

Właśnie w ZUS poznał Mamę. Władysława Kogutówna przybyła na Śląsk z Poznania, gdzie działała w harcerstwie. Ojciec namówił nową koleżankę, by wstąpiła do „Jedności” i... tak się to zaczęło. Pobrali się

w lipcu 1929, a po roku pojawiłem się ja. Mocą autorytetu seniora rodu Dziadek zadekretował, że zostałem trzecim z kolei Pawłem.

Jak Dziadek został burmistrzem?

Rodzaj rządu dzielnicowego stanowiła w ramach autonomii pięciorosobowa Śląska Rada Wojewódzka pod przewodnictwem wojewody. Wybierano ją na kadencję jednoroczną. Dziadek został do niej desygnowany przez NPR w 1922 i był jej członkiem do 1929 r. Zasiadał też w Komitecie Budowy gmachu Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego – największego budynku na polskim Śląsku.

W 1927 r. rada Król. Huty (z nikłą większością niemiecką) miała wybrać nowego burmistrza i płatnego radcę miejskiego. Strona polska wystawiła kandydatury: Dziadka z NPR i Józefa Adamka z PPS. Niemcy nie chcieli dopuścić do ich wyboru, licząc na przeforsowanie kandydatów swojej orientacji. Popelnili błąd: potwierdzili odbiór zawiadomień o zebraniu rady, ale przed posiedzeniem złożyli mandaty, by zdekompletowanej radzie uniemożliwić działanie. Przeoczyli, że obowiązująca (z czasów pruskich!) ordynacja przyznawała takiej mniejszościowej radzie pełnomocnictwo. Radni polscy jednomyślnie poparli kandydatów. NPR-owskiego, a więc opozycyjnego burmistrza musiał jednak zatwierdzić sanacyjny minister spraw wewnętrznych – gen. Felicjan Sławoj Składkowski. Zagorzały pilsudczyk, wojewoda Grażyński bez wahania postawił interes narodowy przed partyjnym. Poleciał samolotem do Warszawy i nazajutrz wręczył obranym dokumenty akceptujące. Niemcy (zgodnie z autonomią), oprotestowali to w Lidze Narodów, lecz nieskutecznie.

„Solą w oku” sanacji było jednak to, że w Chorzowie – tak nazwanym w 1934 r., gdy poszerzono obszar miasta – zarówno prezydent Wincenty Spaltenstein, jak wiceprezydent Dubiel byli z opozycyjnej NPR. Rządowa prasa kłamliwie imputowała Spaltensteinowi zły stan zdrowia, jakoby uniemożliwiający mu pracę. Zmuszono go do ustąpienia. Jego miejsce zajął Karol Grzesik, bliski wojewodzie od powstań, będący też marszałkiem Sejmu Śląskiego. Dziadka nie ruszono; zbyt mocno wpisał się w krzewienie polskości rodzinnego miasta. Pełnił funkcję przez 12 lat, do emerytury wiosną 1939.

Dziadek był szeroko znany i popularny. Wszechstronnie działał na rzecz miasta i województwa. Przewodniczył Radzie Komunalnej Kasy Oszczędności (KKO), gdzie wszyscy



Towarzystwo Kasyno w Chorzowie w 1901 r. ze swym historycznym sztandarem z 1870 r. Za stołem prezes Paweł Dubiel (x), po jego prawej sekretarz Robert Baluch. (Zdjęcie w ogrodzie restauracji przy ul. Wolności naprzeciw kościoła św. Jadwigi, w tle oficyny familoków z ul. Mieleckiego.)

członkowie rodziny mieli książeczki oszczędnościowe aż do wojny – także ja i młodsza siostrzyczka Krzesiśława (o jej imieniu także zdecydował Dziadek). Reprezentował miasto w Związku Gmin Województwa. Zasiadał w Zarządzie Śląskich Linii Autobusowych. Wiele serca poświęcił prezesurze w Stowarzyszeniu Niewidomych Województwa Śląskiego, gdzie z jego inicjatywy utworzono szereg warsztatów produkcyjnych, wzniesiono własny budynek, prowadzono wśród członków szeroką działalność oświatową, kulturalno-artystyczną i in. Dziadka uhonorowano wielu odznaczeniami z Krzyżem Oficerskim „Polonia Restituta” (w II RP nadano tylko ok. 2,5 tys. orderów tego stopnia) za „zasługi nad rozbudzeniem ducha narodowego wśród mas robotniczych i organizację Związku Zawodowego Polskiego na Śląsku”. Motywacja jest wydrukowana na wielkim dyplomie, podobna na dyplomie do Medalu Niepodległości. Tylko dyplom dostawał odznaczony od władz, order lub medal kupował za własne pieniądze.

Jak u nas było

Oficyny domu przy Rynku, gdzie się urodziłem, nie pamiętam, ani też następnego mieszkania w „małym” bloku dla pracowników ZUS przy ul. Powstańców. „Wielki” blok jest u zbiegu ul. Dąbrowskiego i Drzymały. Mieszkało tam wielu przyjaciół i znajomych: Pp. Kruzlowie (mój Ojciec był „potkiem” Stefy Kruzela – a Teofil Kruzela moim drugim „potkiem”, obok Dziadka), Koźlikowie, Maruszczykowie, Jarczykowie, Pietotowie... My zaś mieszkaliśmy potem przy Mieleckiego 9a, w dwupiętrowym domu pani Błaszczkowej. Ona i spokrewnieni Kli-

mowie i Klytowie byli zamożnymi kupcami, właścicielami kin „Delta” i (chyba) „Colosseum”. Ich nazwiska widnieją w kościele św. Antoniego jako fundatorów kolorowych witraży. Na parterze „naszego” domu mieszkał wąsaty emerytowany major Tura z córką Jadzią, po nim wprowadzili się Pp. Szurowie, mający troje dzieci – zaprzyjaźniliśmy się serdecznie na zawsze. Nasze pięciopokojowe mieszkanie plus służbówka za kuchnią zajmowało dwa górne piętra.

Dom przy Mieleckiego 9a miał kolosalną zaletę: „wielkie” podwórko otoczone szopami i ogródkami, a naprzeciwko ślepa ścianą kamienicy nr 9. Na tym ślepych murze od niepamiętnych czasów widniała wyrisowana bramka, bo podwórko było naszym boiskiem piłkarskim. Z drugą bramką, tylko zaznaczoną kamieniami albo teczkami szkolnymi było gorzej, bo górne piłki często wpadały do ogródków. Grywaliśmy więc na jedną bramkę w murze, a cierpiała tylko garbata Kutzka, gdy piłki nie łapał bramkarz, lecz trafiała w ścianę, lub (jeszcze gorzej) w drewniane drzwi do jej kłitki.

Dziadek jako burmistrz mieszkał w reprezentacyjnej willi przy ul. Dąbrowskiego, na wyższym piętrze – prezydent miasta Spaltenstein. Kilka lat po wojnie ten dom, nieco tylko rozbudowany, pomieścił szkołę muzyczną. Z tamtego mieszkania Dziadków dobrze pamiętam zbiorową zabawę ze śpiewaniem. Na ścianie rozwieszano wielki ekran z umieszczonymi w licznych kwadratach rysunkami. Prowadzący zabawę wskazywał kijem kolejne rysunki, a wszyscy śpiewali m.in.: „grzyby z lasa – kielbasa – szafa, Schrank – ławka, Bank” i refren: „i ta pie-ek-na, i ta pie-ek-na, i ta pie-ek-naaa Do-rota”. Dziadek był nieustrudzony w tych przyśpiewkach. Ojciec i Stryj

Józef mniej, Babcia i Mama chciały – nie chciały, ale musiały, a ja się wydzierałem, ile wlezie. Gdy nastąpiła okupacja, tylko trzy słowa niemieckie znałem bezbłędnie: Bank, Schrank i Ball (piłka), ale to ostatnie już od chłopców z podwórka.

Moja szkoła i willa Dziadka

Gdy ukończyłem 7 lat, przyszło mi pójść do szkoły powszechnej nr 25 przy ul. Dąbrowskiego, za willą prezydentów miasta. Kierowniczką była Pani Włodarska, wychowawczynią klasy Pani Żmudziska. Gdy u niej w domu przy ul. Wolności (koło KKO – „drapacza chmur”) mieliśmy próby do występu szkolnego, musieliśmy mówić cichutko lub nawet milczeć, jeśli obok ćwiczył na fortepianie syn naszej Pani, Tadeusz – późniejszy laureat Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w 1949 r.

Wcześniej nauczyłem się czytać i od razu mą wielką pasją stała się lektura. Gromadziłem własną biblioteczkę, pochłaniałem czasopisma: „Małego Gościa Niedzielnego”, „Świat Przygód”, „Wędrowca”. Moim pierwszym przyjacielem z ławki szkolnej był Zygmunt – syn adwokata dra Władysława Tempki. Mecenasa był posłem na Sejm, „prawą ręką” Korfanteo w Chadencji, potem prezesem Stronnictwa Pracy na Śląsku. Za okupacji przewodniczył konspiracyjnie Zarządowi Głównemu SP w Krakowie. Tam aresztowany, został zamordowany w Auschwitz. Bezsprzecznie należy się mu w Chorzowie tablica pamiątkowa przy ul. Wolności 40 i ulica jego imienia.

Z Zygmuntem Tempką spotykaliśmy się poza szkołą, raz u nas – raz u niego. Na podwieczorek do kakao były markizy śmietankowe i czekoladowe, do których smaku dzisiejsze ani się umywają. Po wojnie byliśmy w tej samej II Męskiej Drużynie Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, ale w różnych klasach Gimnazjum im. Odrowążów. Potem spotkania nasze były niestety coraz rzadsze. Zygmunt obrał adwokaturę po swym ojcu, mieszka w Bytomiu.

W owym czasie chorzowski AKS wszedł do piłkarskiej ligi i robił tam furorę, zdobył wicemistrzostwo. Ojciec zabierał mnie na mecze. Na równi z piłką ciekawiło otoczenie. Zaczynaliśmy od restauracji mieszczącej się w krytej trybunie, od strony wejścia. Ojciec jadł swego ulubionego rolmopsa, wypijał kufel piwa (tak, tak – przy stadionach był wyszynk), a ja pyszną lemoniadę „Waldmeister” (nie słyszałem o polskiej nazwie). Pamiętam ostry mecz z Pogonią Lwów i „Myszką” Matyasem, innym razem policję konną rozprządzającą tłum wybijający szyby w autobusie Cracovii

po meczu decydującym o jej mistrzostwie. Z AKS-u utrwalił mi się – oglądani jeszcze po wojnie – brawurowy bramkarz Mrugała i znakomity napastnik Piątek, najlepszy wtedy w Polsce po Wilimowskim z Ruchu. Na stadion w Wielkich Hajdukach jeździliśmy specjalnie dla niepowtarzalnej gry Wilimowskiego.

12-letnia kadencja Dziadka jako burmistrza-wiceprezydenta dobiegała końca. Podjął on budowę okazałej willi przy ul. Katowickiej, naprzeciw dolnego boiska AKS. Obok zbudował podobną dyrektor KKO, dr Jan Dymnicki. Była niewiele większa w kubaturze, ale mieściła kilka mieszkań, podczas gdy Dziadka była jednorodzinna, tylko z stróżówką w suterynie. Obok były wielkie piwnice i warsztat stolarski Dziadka. Lubił on bardzo majsterkowanie. Od najmłodszych lat otrzymywałem na Gwiazdkę to drewniany sklepik z dziesiątkiem szuflad, to model statku wielkiego jak krzesło, jeszcze większe „diabelskie koło”, fortecę z blankami i basztami. Siostrzyczka Sławka – pokój dla lalek i in.

Dziadek kochał zwierzęta, szczególnie ptaki. W trzypiętrowym olbrzymim hallu willi i w pokoju balkonowym były liczne klatki z kanarkami. Willę ze wszystkich stron otaczał rozległy ogród.

Za jakie pieniądze nabył Dziadek spory grunt i wybudował taki dom? Jako wiceprezydent pobierał w 1938 r. ponad 1800 zł, miał też dochody z niektórych innych funkcji. Przez 12 lat wiele zaoszczędził, a emerytury od maja 1939 r. otrzymywał 1323 zł 66 gr. To były pieniądze, za które dostanio się żyło z rodziną, gdzie żona nie pracowała zarobkowo, wychowując dzieci, doglądając kuchni i porządków w domu. Oczywiście była służąca, w pokoiku na poddaszu. Babcia, jak inne panie domu, to i owo haftowała, szydełkowała, czasami szyła coś dla dzieci na maszynie Singera. Dorośli ubierali się w szykownych domach mody Priebego czy Wieczorka, lub szyli na miarę u dobrych krawców i krawcowych.

Gdy późnym popołudniem wracaliśmy od Dziadków do nas na Mielęckiego, po drodze wstępowaliśmy do masarni Ploppy u zbiegu Sobieskiego i Powstańców. Kupowaliśmy na kolację przepyszne okrawki – resztki wszelkiego rodzaju wędlin, od szynki po mortadellę. Nawet siostrzyczka, która była „niejadkiem”, coś tam sobie znajdowała. Jak każde dziecko uwielbiała słodczyce, których nam nie skąpiono. W Chorzowie ciastka były bezapelacyjne najlepsze w kawiarni Klupscha, konkurować z nimi mogły tylko te od Otta w Katowicach.

Ojciec sporo publikował w prasie. Niestety, w czasie wojny uległa zniszczeniu znaczna część jego archiwum. Dokumenty z okresu powstań i plebi-



ZMP „Jedność” z Chorzowa na wycieczce w Czernej, 1926 r. U dołu w środku Władysława Kotłówna (późn. Dybielowa), obok w kapeluszu Paweł Dubiel (junior).

scytu oraz najbardziej antyhitlerowskie artykuły spalił Stryj tuż po wejściu Niemców do Chorzowa, gdy my jeszcze byliśmy na ewakuacji. Niedawno mój przyjaciel, znany prasoznawca dr Sylwester Dziki odnalazł w „Kuryerze Literacko-Naukowym” – tygodniowym dodatku najpopularniejszego dziennika „IKC” z maja 1939 – duży artykuł Ojca pt. „Dzieje polskości miasta Chorzowa” (o którym autor chyba nie pamiętał). Cztery lata wcześniej pod takim tytułem wydał broszurę, sprzedawaną w księgarni pana Tomasza Skowronka. Gdy rozliczono nakład, zostało akurat na dwa zeszyty „Koziołka Matołka” Makuszyńskiego i Walentynowicza – dla mnie, i na kawę z ciastkami u Klupscha – dla Mamy. Autorów wtedy też pieniędzmi nie rozpieszczano...

W ZUS-ie Ojciec zarabiał jako starszy referent 588 zł brutto. To było mało, starczyło m.in. na wspańnię wielolampowe radio Philipsa z magicznym „zielonym oczkiem”. Gdy latem 1939 r. dorośli gorąco dyskutowali: będzie wojna, czy nie? – Ojciec najmniej się ludził. Prowadzono przygotowania wśród ludności cywilnej. Dziadek został komendantem Obrony Przeciwlotniczej na cały Chorzów, Ojciec – na rejon naszej ulicy Mielęckiego. Kontrolowano uprzątnię strychów, przygotowanie tam piasku, wiader z wodą, bosaków itp. Rodziny pracowników ZUS ewakuowano do Sitkówki pod Kielcami, ale bez mężczyzn. Z nami pojechała Babcia i sąsiadka Pani Szurowa, z młodszymi ode mnie dziećmi: Danką, Zbyskiem i Mariankiem.

Wojna!

Dyrekcja ZUS z większością personelu też się ewakuowała, powierzając Ojcu kierowanie 50-osobowym zespołem, mającym zapewnić

wypłaty rent i emerytur 1 i 2 września. Wbrew protestom Ojca, to on – powstaniec i znany działacz narodowy – miał ewentualnie przekazać agendy ZUS wkraczającym Niemcom!

W sobotę 2 września rano przed gmachem zgromadził się tłum rentobiorców, ale pieniędzy nie było. Ojciec telefonował do wojewody o pomoc. Grażyński szybko przysłał z Katowic 80 tysięcy zł, zapowiadał aresztowanie dyrektorów, którzy uciekli. Ustnie mianował Ojca w ich miejsce. Po południu jedyny pozostały w magistracie wyższy urzędnik, dr Józef Korol powiadomił o odejściu ostatniego oddziału wojska i radził także opuścić miasto. Ojciec zarządził odmarsz pracowników według ich własnej woli. Poszła z nim połowa – 25 osób. Po różnych przygodach dotarli do Sitkówki.

Powrót do domu po raz pierwszy nie był miły. Chorzów – teraz Koenigshuette – tonął w powodzi hitlerowskich flag. Z ulic Św. Jacka i Mielęckiego (Wilhelm – i Karlstrasse) zniknęła żydowska biedota. Mówiono, że wywieziona do getta w Będzinie. Niektórzy sąsiedzi zionęli wręcz nienawiścią – całkiem świeżą – wobec „Polacken”. Były także wyjątki, a los niejednego Niemca pozostał w III Rzeszy taki sam.

Ojca wyrzucono z pracy. Mnie i siostrę, jak wszystkie dzieci, przymuszono do pójścia do szkoły niemieckiej. Obowiązujący język, którego wcale nie znaliśmy, przyswajano nam biciem ręką po głbie i trzcinką po palcach. Nie wiem, kiedy zorganizowano w Chorzowie tajne nauczanie, ale lekcje polskie odbywałem z Panią Wandą Mrozkową w mieszkaniu jej szwagrostwa Pp. Pietotów, w bloku ZUS przy ul. Drzymały. Wtedy nie trzeba nas było naganiać do polskiej nauki – chcieliśmy być gotowi, gdy się wojna skończy. Oj-

ciec jednak nie sądził (inaczej niż wielu), by to nastąpiło szybko. Traktował mnie coraz poważniej. Gdy rozpisano „palcówkę” spytał, jaką podać narodowość: niemiecką czy polską, przewidując za drugą deklarację prześladowania. Był wyraźnie dumny i wzruszony, gdy 10-latek oświadczył się bez wahania za polskość. Tak też Rodzice wypełnili „palcówki”.

Smutna była pierwsza okupacyjna Gwiazdka. W samą Wigilię dostaliśmy wiadomość o wysiedleniu z Poznania siostry mamy z trojgiem dzieci i Babcią Kogutową. Wujek Kazimierz Frąckowiak, ranny na lotnisku Ławica, jako oficer rezerwy, podążył mimo to z wojskiem i zginął potem w Katyniu. Pod choinką szykowaliśmy do Częstochowy zroszoną łzami paczkę dla wysiedlonych. Rodzice spodziewali się dla nas podobnego losu.

Terror

Wiosną 1940, podczas pierwszej wielkiej fali aresztowań, został wzięty Stryj Józef. Miesiąc później do naszych drzwi zadzwonił gestapowiec. Płacząc patrzyliśmy z okna z Mamą i siostrzyczką, jak wyprowadzał Ojca za bramę. Równocześnie został aresztowany Dziadek. Wywieziono ich do Dachau, Ojca potem do obozu zagłady (Vernichtungslager) Mauthausen. Stryj znalazł się w jeszcze cięższym obozie Mauthausen-Gusen.

Nie było za co żyć. Przenieśliśmy się do Babci, do willi. Nie pomieszkaliśmy długo. Spodobała się dowódcy SA na cały katowicki Śląsk, Standartenführerowi (pułkownikowi) Gerhardowi Haesslerowi. Wśród śmiechu i kpin, ekipa SA-manów w rzesystym deszczu wyrzuciła nas dosłownie na ulicę. Co zostało z mebli, starała się Mama przechować po znajomości. Różne rzeczy nigdy nie

wróciły. Na zamieszkanie odstąpiła nam pokój P. Sznurowa, sąsiadka z parteru przy Mieleckiego 9a. Po pewnym czasie nawet to wilgotne mieszkanie było za dobre dla Polaków. Wyrzucono państwa Sznurów wraz z nami, znów na bruk. Mamę z siostrą przygarnęła P. Salomea Rudawska (z rodziny Rymerów), wdowa po poległym we wrześniu 1939 pod Rybnikiem oficerze rezerwy WP. Ja nocowałem z Babcią u jej siostry, ciotki Julii Baluchowej, wdowie po górniku – działaczu narodowym.

Mama nie szczędziła sił i środków (których było jakże mało), by wyostać mężczyzn z obozów. Z Panią Spaltensteinową znalazły dojdzie do jakiegoś ważnego gestapowca w Katowicach. Wpierw wykupiono mecenasa Spaltensteina, potem uzyskano zwolnienia dla naszych trzech. Nie zdążył wrócić Dziadek, zamordowany zastrzykiem fenolu. Gdy przyszedł telegram z zawiadomieniem o zgonie, Mama zemdlą. Ojciec i Stryj szybko wynieśli się do GG. Stryja w Krakowie znów aresztowano. Na wieść o tym Babcia doznała wylewu. Pierwszej pomocy udzielali jej Niemcy Pp. Piechotowie, zawsze życzliwi dawni sąsiedzi z „dużej” kamienicy przy Mieleckiego.

Proszona przez licznych znajomych i całkiem nieznajomych, Mama wielokrotnie jeszcze uzyskiwała utartą ścieżką zwolnienia z obozów. Gdyby był zwyczaj sadzenia drzewek ratującym z łagrowej opresji, Mama miałaby spory gaik. A ten podpisujący zwolnienia gestapowiec wciąż mnie intryguje. Musiał być wysokiej rangi, skoro o tym decydował. A wiem, że nie zawsze dostawał za to pieniądze.

W szkole zaprzyjaźniłem się (na zawsze) z Henrykiem Maruszczykiem, także synem urzędnika ZUS. Oboje jego rodzice odgrywali znaczną rolę w „Sokole”. Ojciec Heńka z polskim wojskiem uszedł na zachód. Panią Maruszczykową z trzema

synami wyrzucono z bloku ZUS do nory w ciemnej oficynie. Ale gdy starsi, Mieczysław i Włodzimierz dorosli do poboru, hitlerowski funkcjonariusz partyjny przyniósł ich matce „grupę III” Volksliste, o którą wcale nie wnosiła. Starszy znalazł się wnet po stronie brytyjskiej i tam pozostał, Włodek poszedł w sowiecki plen, skąd w zaszronach łachmanach i obrzmiały z puchliny głodowej wrócił po wojnie do Chorzowa. Im się udało, lecz ilu śląskich Polaków padło we wrażeń mundurach...

Ukończyłem niemiecką Uebergangsschule (szkołę przejściową) na klasie 7. Do ósmej jako Polak miałem drogę zamkniętą. Zmieniło to sytuację całej rodziny. Dotąd Matki z dwójgiem uczących się dzieci nie obejmował przymus pracy. Teraz doniesiono nam poufnie z Arbeitsamtu (urzędu pracy), że Mamę i mnie czekają roboty przymusowe w Nadrenii, a młodszą siostrzyczkę wysyła do Bawarii na zgermanizowanie. Mama szybko zorganizowała „lewe” papiery i z końcem lata 1944 znaleźliśmy się w Częstochowie, gdzie przebywał Ojciec. Zameldowaliśmy się bez dokumentów, jako „uchodźcy z powstańczej Warszawy”.

W GG i z powrotem

Zapisano mnie na komplety tajnego nauczania w zakresie klasy pierwszej gimnazjalnej. Wtedy nie wiedziałem, że w konspirację poważnie zaangażował się Ojciec. Zabierał nas wszystkich w „odwiedziny rodzinne” do Pp. Spaltensteinów, mieszkających przy al. Najświętszej Marii Panny. Bywało tam zwykle więcej dorosłych i kilkoro dzieci – takie niedzielne spotkania Ślązaków. Faktycznie mecenas Spaltenstein przejął w czasie powstania warszawskiego obowiązki Delegata Rządu RP na Śląsk, od Ignacego Sikory – też dawnego działacza NPR. W Częstochowie skupiano kadry dla przyszłej administracji polskiego Śląska. Mój ojciec był przewidywany na prezydenta Bielska. Żony i dzieci działaczy miały maskować istotny cel spotkań. Po latach czytałem w „Panoramie” wspomnienia Lesława M. Bartelskiego, uczestnika tych narad, a przed wojną w Chorzowie kolegi syna Pp. Spaltensteinów – Leszka.

We wtorek 16 stycznia 1945 sowieckie czołgi zaczęły uliczne potyczki w Częstochowie, nazajutrz już Niemców nie było. Na wiadomość o oswojeniu Śląska Ojciec z grupą znajomych wybrał się na rekonesans. Na Rynku w Chorzowie odbywał się wiec, ktoś przemawiał. Dopiero później dowiedział się, że to jego brat – Józef. Stryj w Krakowie z początkiem 1942 r. wstąpił do PPR, przez znajomość sprzed wojny z Ignacym Fikiem



Trybuna w czasie przemarszu młodzieży szkolnej, Zabrze w 1946 r. Od prawej prezydent miasta Paweł Dubiel, wiceprezydent Franciszek Trąbalski, wicewojewoda Arka (diusz) Bożek, ks. biskup Bolesław Kominek.

i Mieczysławem Lewińskim. Z pseudonimem „Powróż” był dowódcą Gwardii Ludowej na Kraków. 23 października 1942 dopadli go gestapowcy i podczas aresztowania postrzelili. Po wielomiesięcznym śledztwie wypuszczono go, by infiltrował podziemie lewicowe. Zamiast tego złapał kontakt ze swą organizacją. Ukryto go i przerzucono pod Warszawę. Po wejściu Armii Czerwonej do Lublina, został sekretarzem generalnym Polskiego Związku Zachodniego. Jako pierwszy uświadamiał władze PKWN (i pośrednio Sowietów), że na Górnym Śląsku i Opolszczyźnie, na Warmii i Mazurach mieszka liczna ludność polska lub z polskim rodowodem, której nie wolno utracić. Na Śląsk wrócił Stryj z grupą operacyjną gen. Aleksandra Zawadzkiego, który darzył go wielkim zaufaniem i mianował prezydentem Chorzowa. Miastem dobrze zarządzal, przyciągnąwszy do współpracy liczne popularne osobistości o różnych rodowodach politycznych, jak m.in. inżynier Roman Grabianowski, lekarz dr Julian Hanslik, aktualny wiceprezydent miasta Jańczak, sędzia Paweł Kaluża, notariusz Paweł Kempka, adwokat Antoni Klejnot, starosta grodzki Konrad Stanoszek, lekarz dr Stawinski (większość z nich przystąpiła do Stronnictwa Demokratycznego). Stryj był w Chorzowie ceniony także za postawę w obozach koncentracyjnych Dachau, Mauthausen i Gusen. Kilku byłych więźniów poświadczało, że wsparciem powstrzymał ich od samobójczych decyzji.

Nowe władze Chorzowa (bez inspiracji Stryja) uczyły pamięć Dziadka – swego burmistrza. Nadano jego imię ogródkom działkowym, poniżej ul. Katowickiej i odcinkowi ul. Hajduckiej od skrzyżowania z ul. Wolności. Gdy z końcem 1949 r. nazwisko Dubiel stało się niewygodne, nazwy zmieniono.

W marcu 1946 Stryja powołano do Ministerstwa Ziem Odzyskanych, którym kierował wicepremier i sekretarz generalny PPR Władysław Gomułka. Aresztowany jesienią 1949, został Stryj na Plenum KC PZPR splugawiony przez Bolesława Bierutę jako agent Gestapo. Przesiedział bez wyroku wiele lat. Szef Biura Specjalnego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, płk Anatol Fejgin szykował ławę oskarżonych na proces przeciw Gomułce, z udziałem generałów Spychalskiego i Kuropieskiego, oficera GL Sowińskiej, Józefa Dubiela i innych.

Prezydent polskiego Zabrze

Ojciec przystąpił do Stronnictwa Demokratycznego, aktywnie działał w PZZ, współtworzył Związek Weteranów Powstań Śląskich.

Na jego zjeździe założycielskim 9 kwietnia 1945 prezesem z legitymacją nr 1 został pułkownik Jerzy Ziętek, Ojciec z legitymacją nr 2 (mam ją do dziś) pierwszym zastępcą preza. Był nim do likwidacji niezależnych organizacji kombatanckich, przymusowo połączonych w ZBoWiD we wrześniu 1949.

W połowie marca 1945 dostał Ojciec nominację na pierwszego polskiego prezydenta miasta Zabrze. Równocześnie nominację na prezydenta Gliwic odbierał mecenas Wincenty Spaltenstein (rekomendowany gorąco przez Stryja). Wojewoda Zawadzki miał obiekcje co do niemieckiego brzmienia nazwiska i „od ręki” zmienił je na Szpaltowski, pod którym prezydent Gliwic zaczął urzędowanie. Nie mogło jednak być tak, jak stwierdziła we „Wspólnym Chorzowie” nr 4/2002 Krystyna Spaltenstein (córka wybitnego działacza narodowego i powstańca, dra Edwarda Hankego), że: „Wojewoda zupełnie nie wiedział kim teść był, że nie miał lewicowych poglądów i był bardzo religijny”. Wiedział to dobrze choćby z życiorysu mec. Spaltensteina, niewątpliwie też z rozeznania UB, ale – tu zgoda z jego synową – „wówczas jakoś nikomu to nie przeszkadzało”. Niestety, tylko do czasu. Inna rzecz, czy i co wiedział gen. Zawadzki o roli Spaltensteina (a przy nim mego Ojca) w Delegaturze Rządu „londyńskiego”. Na tym tle reperkusji jednak nie było.

Nieprzejednany wobec zajadłych polakożerców i hitlerowców, starał się Ojciec ulżyć ciężkiej doli Niemców przy czekającym ich przesiedleniu. Wtedy prawie nikt z nich nie chciał opuszczać rodzinnego domu i miasta, jechać do zdruzgotanych militarnie, gospodarczo i okupowanych Niemiec. Niektóre znane Ojcu osoby

i rodziny mogły w Zabrzu przeczekać najtrudniejsze pierwsze lata. Nie zapomniano tego i w stanie wojennym od 1982 r. na adersy wskazane przez Mamę (Ojciec już nie żył) przyszły z RFN dziesiątki paczek z żywnością i środkami czystości.

Zaraz na wstępie musiał Ojciec usunąć z ratusza urzędującego tam przewodniczącego Komitetu Wolnych Niemiec, komunistę Sauera (rodem z Saksonii), działającego w porozumieniu z komendą radziecką. Miał własną uzbrojoną straż, jednak opierać się nie mógł, skoro przejmowanie Zabrze z całą Opolszczyzną przez władze polskie nastąpiło 19 marca 1945 z udziałem najwyższych władz państwowych. Pokazywał mi jednak Ojciec nielegalnie powielane tuż przed wycofaniem Wehrmachtu instrukcje komunistów niemieckich, że należy się ujawnić i bezwzględnie podporządkować Armii Czerwonej, natomiast przeciwstawiać „polskim nacjonalistom mogącym napływać z wojskiem” – tworząc Komitee Freies Deutschland (Komitety Wolne Niemcy).

Z wielu inicjatyw i dokonań Ojca w Zabrzu przypomnę tylko powołanie Akademii Medycznej. Przed jej lokalizacją u siebie wzbraniał się prezydent Bytomia i Gliwic, zaś Ojciec – wbrew oporom niektórych miejscowych działaczy – wystarał się o zgodę wojewody na jej umiejscowienie w Zabrzu-Rokitnicy. Swą prezydenturę naszkicował Ojciec pobieżnie we wspomnieniach „Spojrzenie w przeszłość”. Wspominał tam m.in. o swym udziale w Komitecie budowy Pomnika Czynu Powstańczego na Górze św. Anny. Napisał też i wydał nakładem Miejskiej Rady Narodowej w 1949 r. „Dzieje polskości miasta Zabrze”.

Funkcję prezydenta pełnił Ojciec do likwidacji tego stanowiska



Drużyna „Wesołość” Zabrze w 1920 r. Stoją od lewej R. Wadula, Sikora, Klose, Sekula, Pasek, Majkosz, Dubiel, H. Wadula, NN, u dołu Krafczyk, A. Wadula, Urbanek.



Msza polowa w Zabrze w lecie 1945 r. podczas wkroczenia do miasta 13 Dywizji WP. Za oficerami prezydenci miasta Franciszek Trqbalski (PPS), Paweł Dubiel (SD), H. Rambuszek (PPR).

1 czerwca 1950 ustawą o terenowych organach jednolitej władzy państwowej – rad narodowych powiatów, miast i gmin.

W szkole, harcerstwie i ZMP

Ja wtedy byłem już po maturze. Gdy w 1947 r. w chorzowskich „Odrowążach” (dziś im. J. Słowackiego) zlikwidowano liceum humanistyczne, z czterema kolegami stamtąd trafiłem do prywatnego – w gestii Kurii biskupiej – Liceum im. Św. Jacka. Stosunek władz do Kościoła stawał się coraz ostrzejszy. Krótko przed egzaminem dojrzałości wstrzymano „Jackowi” uprawnienia szkół państwowych – musieliśmy zdawać jako eksterniści z 10 przedmiotów. Z 32 zdających 12 „legło” (rok później było jeszcze gorzej, w pierwszym podejściu maturę „dano” tylko 6 z 22. Opisał to na łamach „Śląska” nr 56 ówczesny abiturient, Jerzy Skwara).

Maturę zdałem cudem. Zacząłem studiować prawo na UJ. Od wyzwolenia działałem z pasją w harcerstwie. Pełniłem wszelkie możliwe funkcje, w Chorzowie prowadziłem kolejno trzy drużyny, byłem przybocznym hufcowego. Na II semestrze prawa zorientowałem się, że obrałem niewłaściwy kierunek. Wiosną 1950, naciskany przez UB, ustąpił z funkcji hufcowego HR Kazimierz Laurentowicz, przed wojną zawodowy podoficer KOP. Ja od półtora roku należałem też do ZMP, byłem członkiem Prezydium Zarządu Miejskiego. Przewodniczącym był Krzysztof Gaertig, dawny kolega-harcercz z „Odrowążów”. Uzgodniliśmy, że przez pół roku, do końca akcji letniej poprowadzę chorzowskie harcerstwo, wtedy już skupione w jednej (męsko-żeńskie) Komendzie Miejskiej ZHP. Na konfe-

rencji kadry instruktorskiej wybrano mnie komendantem. Wciąż jeszcze był ZHP, ale z coraz bardziej rugowaną symboliką i metodyką. Usuwano sztandary i proporce, zmieniano sprawności i stopnie, krzyż harcerski zastąpiono „czuwajką” (odznaką z hasłem „czuwaj”). 1 maja 1950 wszyscy mieli założyć czerwone chusty. Trudno i z oporami przyszło nam wprowadzić te zmiany. Nadal jednak zachowaliśmy trochę harcerskości. Z tym zastępcą, już zmarłym Władysławem Gerlicem, Renatą Josionkówną (później przez lat kilka mą żoną), Henrykiem Maruszczykiem, Bogdanem Nowakiem, Stanisławem Szymańskim i in. zorganizowaliśmy w Wadowickim 9 punktów kolonijnych, z których dwa – Zbigniewa Twardonia w Gorzeniu i mój w Sleszowicach – miały „charakter obozów skautowych”, jak zarzucały inspekcje z Warszawy i Katowic. Po mej rezygnacji z funkcji komendanta miejskiego odeszła też część kadry, co w Komendzie Chorągwi (wnet przekształconej w wydział Zarządu Wojewódzkiego ZMP) określono jako mą „rozbijacką robotę”. Ustąpiłem też z funkcji w ZM ZMP, skąd w tym czasie usunięto Krzysztofa Gaertiga.

Studia i po studiach

Do podania o przyjęcie na studia należało załączyć opinię ZMP. Mnie w Zarządzie Miejskim kazano wypełnić – zamiast wielostronicowej – jednokartkową ankietę aktywisty. Na końcu komisja rekrutacyjna z instancji miejskich PZPR, ZMP, Wydziału Oświaty i in. opiniowała, czy kandydat zasługuje na studia.

Sprawa wzbudziła nieufność Mammy. Dotarła do asystenta w komisji przyjąć na dziennikarstwo w UJ. Któregoś wieczoru zadzwonił do Chorzowa, że opinia jest negatywna, lecz on to załatwi.

Egzamin wstępny był dla mnie raczej formalnością. Przed ślubowaniem studenckim w dziekanacie mogłem z mą teczką osobową wyjść na chwilę na korytarz. Obejrzałem ankietę. W rubryce „Czy zasługuje na przyjęcie?” był ręczny dopisek: „zasługuje”, ale pod światło było widać wyraźną zdrapkę po usuniętym „Nie”. Podpisali m.in. znani mi aktualny przewodniczący ZM ZMP, młodszy kolega z gimnazjum i harcerstwa, inspektor oświaty i jego zastępczyni. Nie miałem pretensji: musieli tak zrobić pod dyktando przedstawicieli partii.

Rok później na medycynę starała się mą siostra. Mimo bardzo dobrze zdanego egzaminu, nie dostała się „z powodu braku miejsc”. Ukończyła później studia aktorskie. Debiutowała w Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach, z Ludowego w Nowej Hucie przeszła do Polskiego we Wrocławiu i tam została profesorem PWST.

Na studiach nie miałem kłopotów politycznych ani naukowych. Pracę w „Gazecie Krakowskiej” zaproponował mi ówczesny redaktor naczelny, Arnold Mostowicz. Gdy po pięciu latach śledztwa zapadł wyrok w sprawie Stryja, wszystkie gazety podały na pierwszych stronach: „Współpracownik gestapo, zdrajca narodu polskiego Józef Dubiel skazany na 12 lat więzienia”. Był oskarżony z paragrafu, dopuszczającego karę śmierci. W mej redakcji, choć wiadano o naszym bliskim pokrewieństwie, nikt słowem nie poruszył sprawy. Stryj z postalinowską „odwilżą” wyszedł na wolność w sierpniu 1956. Odwołał wymuszone samooskarżenia, które przyjął sąd, mimo że zaprzeczył im nawet świadek – gestapowiec Kurt Heinemeier. Stryj był w Warszawie dziennikarzem w Prasowej Agencji „Interpress”.

Ojca powrót i odejście

Po prezydenturze w Zabrze szukał Ojciec ponad rok etatu. Dostał wreszcie taki o imponującym brzmieniu: kierownik Składnicy Artykułów Metalowych Centralnego Zarządu Zaopatrzenia Materiałowo-Technicznego Ministerstwa Budownictwa Przemysłowego. „Personel” Ojca stanowili magazynier, kontystka i paru pracowników wyładunkowych. Odpowiednio niska była płaca.

Ojciec wrócił do życia politycznego po Październiku 1956. Był wśród sygnatariuszy ogłoszonej w „Przemiach” rezolucji, w której m.in. Władysław Borth, Marceli Faska, Franciszek i Józef Kachelowie, Jacek Koraszewski, Stanisław Mastalerz, Wilhelm Szweczyk domagali się odrębnej od ZBoWiD organizacji b. powstańców, odkłamania historii powstań, nienaruczania kandydatów do Sejmu i rad narodowych. Od 1957 do 1969 r. był

Ojciec znów posłem na Sejm. Zaraz na początku głośna była w Chorzowie jego interpelacja w sprawie gmachu ZUS, do niedawna zajmowanego i zdewastowanego przez UB i MO. „Życie Chorzowa” wydrukowało odpowiedź Ministerstwa Kontroli Państwowej, przyznającą za zniszczenia i kradzieże przekraczające 3 miliony zł. Imiennie wskazano odpowiedzialnych wysokich funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej i Komendy Głównej MO. W Sejmie był Ojciec najaktywniejszy jako wiceprzewodniczący Komisji Pracy i Spraw Socjalnych. Udzielał się bardzo w Stronnictwie Demokratycznym w Chorzowie, Wojewódzkim Komitecie w Katowicach i Centralnym Komitecie, także jako członek jego Prezydium. W latach 1961-1963 był redaktorem naczelnym popularnego dziennika SD „Kurier Polski”. W tym czasie ukazały się dwa wydania książki „Wrzesień 1939 na Śląsku”, do której dokumentację zaczął zbierać w 1957 r., gdy stało się to możliwe bez narażania informatorów na podejrzenia i szykany UB. Profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz stwierdziła w liście do mnie: „... co by było, gdyby nie napisał kiedyś tej książki. Już nikt nie wyszedł poza Jego ustalenia.” (Do rzekomych nieścisłości w książce, imputowanych przez prof. Ryszarda Kaczmarka, odniosłem się w n-rze 6/2004 „Śląska”).

Cenił sobie Ojciec udział w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i w Polskim Komitecie Pomocy Społecznej. Najbardziej udzielał się jednak w Prezydium Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich oraz jako sekretarz Rady Naczelnej ZBoWiD i zarazem przewodniczący Okręgowej Komisji Socjalno-Bytowej ZBoWiD w Katowicach. Były to funkcje społeczne i tytułarne, dawały jednak możliwość interwencji i pomocy. Do śmierci Ojca i później napływały z życzeniami świątecznymi gorące słowa podziękowań od osób z Częstochowy, Siemianowic Śląskich, Zakopanego i in. Ojca najbardziej cieszyło, gdy pomógł przezwyteżać niejedną biurokratyczną bezduszość.

Cały czas wiele publikował. Obok „Września 1939 na Śląsku” cenił sobie szczególnie weryfikację miejsca hitlerowskiej prowokacji w sierpniu 1939 pod Stodolami (niesłusznie związanej z Łagiewnikami), co niestrudzenie prostował od 1961 do 1975 r. – gdy wreszcie przynano mu słuszość.

W połowie 1969 r. upływała kadencja Sejmu. Wśród kandydatów do następnego Ojca nie było. Kilka miesięcy wcześniej nie wszedł do Prezydium CK SD. Gdy w sierpniu 1968 Wojsko Polskie w ramach sił Paktu Warszawskiego weszło z „bratnią pomocą” do Czechosłowacji, w Klubie Poselskim



Plebiscytowa Komisja Parytetyczna w Zabrzu, 1921 r. Z prawej strony urny Niemiec dr Glaser, po lewej Paweł Dubiel (senior). Z tyłu oficerowie alianccy i policja plebiscytowa APO.

SD (i jako jego sekretarz) Ojciec zakwestionował decyzję podjętą z pominięciem Sejmu. Mnie o tym doniósł znajomy z KW PZPR w Krakowie, mający wiadomość z poufnego biuletynu wewnętrznego. Trafnie przepowiedział, że Ojciec sam sobie zamknął działalność polityczną. Tak się stało, w 1969 r. został emerytem.

Pożegnanie z Chorzowem

Rok wcześniej Rodzice pożegnali się z Chorzowem. Mimo sporych dochodów Ojca, olbrzymiej willi nie dało się utrzymać. Brakowało środków na odnowę budynku. Szczególnie ciężko było zimą samotnej Mamie, gdy Ojciec urzędował w stolicy, a dzieci też poza Śląskiem. Z najlepszego wówczas miejsca zamieszkania w Chorzowie, Rodzice przeprowadzili się do jednego z najgorszych w Katowicach – Superjednostki, czyli „mrówkowca” przy Rondzie.

Końcowe lata miał Ojciec bardzo ciężkie. Na tle poobozowej cukrzycy tracił wzrok. Nie mógł się sam poruszać poza domem. Nadal jednak działał, ukończył wspomnienia „Spojrzenie w przeszłość”, z olbrzymim trudem pisał artykuły, któreśmy Mu przepisywali. Po głębokim wylewie z częściowym paraliżem wiosną 1978 męczył się jeszcze 2,5 roku. Mama była Mu wszelką pomocą. Dożyła 1988 r.

Ja w Chorzowie „bawiłem” jeszcze przez niecały rok 1957, pracując w katowickim Tygodniku Młodych „Co dalej”. Pisałem m.in. o wybitnych działaczach narodowych z Opolszczyzny, jak Alfons Kłaka, czy Franciszek Trąbalski. Chorzowi przed wojną i współczesnemu poświęciłem cykl artykułów, argumentując za decentralizacją gospodarki i administracji. Gdy pismo zlikwidowano, wróciłem do Krakowa. Trzy kwartały byłem bez pracy, potem dostałem etat w wydawnictwie, a od

1961 r. do emerytury w 1990 poświęciłem się prasoznawstwu. Zawsze dużo publikowałem w prasie, omawiałem książki o Śląsku w tygodniku „Życie Literackie”, miesięczniku „Zdanie” i in. Nie wstąpiłem do partii, ale po ZMP działałem w ZMS. Aktywny w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, byłem wśród pisemnie protestujących przeciw jego rozwiązaniu w stanie wojennym.

Rodzice spoczywają na cmentarzu parafialnym św. Jadwigi w Chorzowie, Mama obok swej siostry Cecylii Frąckowiak, której mąż Kazimierz zginął w Katyniu. Stryk Józef zmarł w Warszawie w 1994, tam jest pochowany. Jeden z Jego wnuków nosi imiona Paweł Jan. Są w Chorzowie Dubielowie po bracie Dziadka, Klemensie – bojowym działaczem okresu powstańczo-plebiscytowego. Ale ród burmistrza Pawła I kończy się w chorzowskiej gałęzi na mnie i mojej siostrze – bezpotomnie.

„Naszego” Chorzowa już nie ma. Zniknęły wyznaczające pejzaż miasta kominy Huty Królewskiej/Piśsudskiego/Kościuszki. Estakada zmiotła schody ku pocztę i kawiarnię Klup-sza, po wojnie „Nasza” obok Rynku. Za narożnikiem ul. Mieleckiego wyrósł bezduszny blokowiska. Zamknięto stadion AKS, gdzie ma być hipermarket. Czteropasmowa szosa zagarnęła paradną część ogrodu naszej willi, a ona sama to potworna ruina.

Nie mam żalu za czymś utraconym, bo tego już nie ma. Część ulicy Wolności to dziś piękne korso. W mieście są szkoły wyższe, filia uniwersytetu. Nowe pokolenia ukształtują sobie nowe życie. Może znów ulicznik grajkowie ułożą (jak przed wojną) i zaśpiewają piosenkę, że „Chorzów – piękne miasto” – tylko już nie przemysłowe?

PS. Stare zdjęcia rodzinne skanowała do druku adiunkt ASP w Katowicach Justyna Szklarczyk-Lauer, wnuczka zamordowanego w Katyniu mego Wujka, Kazimierza Frąckowiaka.

Tak, najwyższy czas!... Przywrócić nam monarchię w Polsce – i to w trybie natychmiastowym – stało się już dziejowym nakazem, jeśli nie ma dojść do absolutnego rozkładu państwa i deprawacji narodu przy czynnym udziale bezkarnych służb specjalnych, skorumpowanego systemu sprawiedliwości, wojskowych dygnitarzy i tajnych agentów wszystkich krajów buszujących w tym szczególnie zagrożonym miejscu na ziemi, a już nade wszystko pewnego gigantycznego mocarstwa, które tylko czeka! No bo zważmy do czego doszło: co parlament to gorszy, co rząd to bardziej nieudolny, nie mówiąc już o mafijnych powiązaniach wysokich dygnitarzy państwowych, no a sam prezydent?...

Czy po tym czego doświadcza ostatnimi czasy pierwszy obywatel III RP da się jeszcze podnieść jego autorytet jako reprezentanta wszystkich Polaków, bez względu na to kim są a już szczególnie z osobna. Dla przykładu: taki profesor Bender i Jerzy Urban, czy grasujący ostatnio w USA Leszek Miller i poseł Ziobro... O, nie, jedynie koronowany król z uświęconej i pobłogosławionej woli wyborczej naszego przesławnego mimo wszystko narodu, będzie mógł nawiązać do najszczytniejszych tradycji reprezentując godnie wielką triadę narodowych wartości zawartych w haśle: Bóg, honor i ojczyzna. A skoro ta znowu w coraz większym niebezpieczeństwie!

Jak to już zostało wcześniej dowiedzione, haniebny koniec Wielkiej Rzeczypospolitej, która jako niezłomne przedmurze chrześcijaństwa i Europy została w chwili wewnętrznej słabości rozszarpana na trzy części i pochłonięta przez trzech sprzymierzonych sąsiadów – ten koniec w stanie absolutnej niesławy, przy plugawym udziale zdrajców i płatnych sprzeniewierców, stał się odtąd dziedziczną klątwą każdego kto jak Polak z łędwiw prawego Ojca Polaka i arcy polskiego Iona Matki Polki przychodzi na świat. Lecz z czym – i to już od ponad dwudziestu pokoleń przychodzi, a zanim jeszcze pozna smak mleka swej rodzicielki? Nie ma co kryć, iż zbeszczeszczony skazą grabieżnicą wieczystej niesławy utraty zagrabionego królestwa oraz znaków majestatu jego królewskiej władzy, no bo gdzież tamto berło, gdzie tron i korona? Za to od ponad 200 lat pobrzękują w narodowej pamięci zdradzieckie pieniądze. Ach, ten wieczny wstyd na samo przypomnienie kto dawał i kto brał! Ale czy dziś nie bierze?

Ow nikczemny koniec w okolicznościach haniebnych odtąd jednoznacznie dzieli nas i łączy, skłóca i jednoczy, godzi i napędza na siebie nienawistnie i to bez względu na światopogląd, przekonania polityczne i związki rodzinne – a już szczególnie wszystkich Polaków krwi najczystszej, skoro tenże nikczemny koniec przesławnego wcześniej królestwa w okolicznościach haniebnych spowodował pojawienie się nieodwracalnego syndromu zależności, kompleksu platnej zdrady, wyrażanego zaprzęgnięciem oraz wzajemnej podejrzliwości nieustającej. A do jakiego stopnia – dowodzi dziedziczny kompleks i syndrom szpiega. Takiego chociażby Alganowa. Bo gdzie dziś nie spojrzeć – wszędzie Alganow... Alganow tu, Alganow tam, po prostu wszędzie ten wszechobecny Alganow, realny i symboliczny. Ten ostatni zaś od ponad dwu wieków, od czasu wszechobecnej i bezwstydnej ruskiej carycy niemieckiego rodu co najmniej licząc.



Czas na monarchię (2)

Lecz jak się z tym piętnem skutecznie rozprawić, jak ten rozsadzający nasze serca i mózgi nowotwór dziejowy obezładzić – i to na wieki wieków? Otóż nie ma innego wyjścia jak powrót do monarchii prapolskiej, do zatraczonego, zagrabionego i unicestwionego królestwa, które musi teraz ożyć by każdy z nas przeżyć mógł wieczyste wyzwolenie i plodzić potomków wolnych, niesklanych winą zbiorową od chwili poczęcia, godnych wiekopomnej czci najślawniejszych mężów i niewiast co plemnik narodowy i macica wzniosła.

Lecz jak to zrobić bez rozlewu krwi a w stanie zgody powszechnej? Jak przekonać największy nie tylko w tej części Europy autorytet w kwestiach monarchii, który tak chlubnie i niezłomnie przewodzi polskim monarchistom, Leszek Książę Wielki Wierchowski, restytucja prosta monarchii w formie legalnej nie jest jednak możliwa. Zdaniem samego arcyksięcia Otta von Habsburga, na którego nasz niespożyty arcy monarchista się powołuje, jeśli w danym kraju, które królestwem ongiś było, miną dwa pokolenia bez korony, wówczas nie można restytuować monarchii, ale wprowadzić ją na nowo. Zachodzi więc dziejowa konieczność zbudowania monarchii od podstaw – no właśnie, ale jak to zrobić?...

Na szczęście można do tego doprowadzić w oparciu o obecną konstytucję, a więc legalnie. Wystarczy wiążący wynik powszechnego referendum, czyli wola zbiorowa Polaków, by stało się to co stać się musi łącznie z wyborem dziedzicznego króla. Są jeszcze inne rozwiązania prawne, lecz to i tylko to zapewnia pełną legitymizację władzy monarcharzysty wraz z powołaniem nowej dynastii. A skoro już monarchię wskrzeszać – to oczywiście nie dla celebry i względów czysto reprezentacyjnych, jak to się ma z większością panujących w Europie dworów, które funkcjonują ze szczytkowymi uprawnieniami monarchii konstytucyjnych czy parlamentarnych.

Nie, nie, nie – to nie ta droga! Jeśli już stawiać monarchię od podstaw, niechże to będzie monarchia w fazie szczytowego rozwoju – słowem: absolutna. Taka i tylko taka, jako że w Polsce nigdy nie udało się jej wykreować, co także zemściło się na nas sromotnie. Co do tego więc zgoda – monarchia silna a nawet wszechmocna, czyli absolutna!

Kto jednak mógłby zostać królem godnym polskiej korony i królewskiego odtąd narodu, dając początek nowej dynastii. Gdyby przeprzążyć ewentualnych kandydatów z zacnych monarchicznych rodów, w których tętnicach pulsuje również krew dawnych królów polskich, tu przede wszystkim wylaniają się plenni wielce Habsburgowie którzy wielokrotnie krzyżowali z nami nie tyle miecze, co więzi pokrewieństwa przez

małżeństwa z Piastównami i Jagiellonkami. Z tej rozrodzonej koligacji najbliżsi nam są ci z Żywca, jako iż wykazali się lojalnością obywatelską w Polsce odrodzonej po roku 1918. Ta opcja jest więc godna rozważenia: polski król nowej dynastii z władzą absolutną, z którego krwi dadzą się wyprowadzić związki genetyczne z takim Bolesławem Chrobrym! Czy możliwa jest jeszcze większa rekomendacja?

A może zdecydować się na wybór króla wywodzącego się z ludu, Polaka krwi czystej, oddanego wierze ojców a przy tym człowieka mocnego? Idealnym kandydatem mógłby być niewątpliwie Lech Wałęsa (Lech! Lech!...), człowiek obrotny, dzielny i wielodzienny, tamten Lechu sprzed lat. Jego autoritet nikczemnie jednak zmalał: rugają go rydzykowcy a byle gówniarze wszechpolscy obrzucają śnieżkami. A przecież chodzi o wykreowanie króla z władzą absolutną!

Mocnym człowiekiem z ludu jest bezwzględnie Jędrus Lepper, co to i w mordę walnie a nawet z czołgiem w potrzebie się zderzy. Przy tym chłop jurny, więc nie byłoby kłopotów z następcą tronu, gdyby mu jeszcze podsunąć jedną Habsburżankę o dowiedzionych związkach z rodem panującym (po uzyskaniu pobłogosławionego rozrodu ze względu na namaszczenie nowego królestwa na ziemi). Tylko te jego kłopoty z prawem! No bo jeśli się tak zdarzy, że wcześniej trafi z nie tak małym wyrokiem za kraty – co wtedy? Wybierać króla zasiadającego w kryminale?

Królem, który zapewniłby wskrzeszonej monarchii polskiej władzę co najmniej absolutną, byłby Lech Kaczyński. Można go nawet widzieć jako potencjalnego kreatora cesarstwa, bo ambicje ma tej miary. Za bardzo jednak kojarzy się, powiedzmy, z Łokietkiem; trudno zaś przystać na to, żeby na głowę koronowaną Polaka wszyscy patrzyli z góry. No i jeszcze ten brat Jarosław, zdaje się bliźniak jednojajowy. Bywa, że ponoć czasem nie rozpoznają się sami. Takie rozdwojenie mogłoby udzielić się nam wszystkim ze wszystkimi skutkami nie tylko psychologicznej natury.

A może jednak przystać na króla obco-krajowca, za to z majątkiem, że mógłby spłacić wszystkie narodowe długi. Taki Bill Gates, najbogatszy człowiek świata, prezes Mikrosoftu, z majątkiem obliczonym na setki miliardów dolarów... Taki napalony na polski tron Bill Gates skojarzony z Polką o książęcych koligacjach, w której krwi można się doszukać i królewskiej mieszaniki. O, tak – to jest ten trop!

Nie tak dawny pełen majestatu ślub hiszpańskiego następcy tronu księcia Filipe i (od tej chwili) księżniczki Letizii, który odbił się tak potężnym echem w Polsce, potwierdził do jakiego stopnia cierpimy na kompleks bylejakości, pospolitości, szarzyzny, tandety, braku dostojności, wzniosłości, dumy i patosu. A przecież mamy Wawel, zamek królewski w Warszawie..., Dzwon Zygmunta też czeka na wielkie historyczne okazy.

W tej chwili są na świecie 44 monarchie: 44 – zważmy na znaczenie symboliczne tej liczby i jej nową interpretację! Czas więc by także Polska znalazła się znów z całym wiekopomnym majestatem pośród monarchii tego świata. Tak, czas – najwyższy czas!

SKORPION

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Zawsze elegancka i wytworna, często ubrana w stroje z Paryża pani prof. Janina Lazarowa, wykladała historię sztuki w ASP.

W czasie wykładów, dla ich ubarwienia i wzbogacenia często „puszczała” muzykę stosowną do omawianego stylu w sztuce.

I zdarzyło się, że omawiając barok odtworzyła „Mszę h-moll” Bacha, kiedy muzyka wybrzmiała, po chwili ciszy pani Profesor zapytała „... a może ktoś wie, co znaczy „Donna eis pacem”? („Daj im pokój” – nazwa jednej z części mszy).

Obecny na tym wykładzie Franio Kłak (dziś wybitny aranżer wystaw sztuki) z właściwą mu życzliwą złośliwością odpowiedział: „Daj nam Pani święty spokój” Tolerancyjna i mająca poczucie humoru Lazarowa zaklaskała, tylko koledzy milczeli, bo nie znali łaciny, albo też myśleli o czymś zupełnie innym.

PALEC W OKO

Dookoła Gruszki (Józefa)

„Ja jestem doświadczonym posłem i jak słyszę szpiegostwo, to gęba mi się zamyka, a otwiera co innego”.

Posel Józef Gruszka, ozdoba sejmowej komisji etc. etc. nie zdradził, co mianowicie się otwiera posłowi Gruszce, jakaś inna część jego ciała, czy może ponad wszystko nóż w kieszeni? (Jak to mówią w Kozach: „Jesteś z Kóz, noś nóż!”)

Pełne bolesnej determinacji wyznanie posła Józefa Gruszki: „Ja byłem na imieninach u koleżeństwa i byłem sześć na dziewięć”, posel Józef Oleksy opatrzył w Radiu „Zet” (program Moniki Olejnik) zapytaniem, czy posel Gruszka miał na myśli pozycję sześć na dziewięć z Kamasutry?

Na co posel Donald Tusk stwierdził, że nie sześć na dziewięć, ale sześćdziesiąt dziewięć, bo owszem, taka pozycja istnieje, lecz nie ma ona nic wspólnego z Kamasutrą.

Wszyscy uczestniczy audycji dziwili się, że posel J. Oleksy myli rzeczy tak oczywiste. Posel Oleksy najwidoczniej zmieszany (w radio nie widać) milczał, ale nad tym wszystkim unosił się perlisty śmiech Moniki Olejnik.

Posel Józef Gruszka do dziennikarzy:

„Mówią, że Gruszka kręci, a ja wam mówię, że Gruszka jest uczciwym człowiekiem i jeszcze się dowiecie”.

(nf)

CZESŁAW CZAİKA

Nasze pozycje,
czyli
żałosny raport z zimy

W aurze zimowej tam, w Obersdorfie,
Nasi skakali niczym juniorzy,
W Hamburgu „Tiger” dostał po mordzie,
Strajkiem wciąż straszą siostry, doktorzy.

Szaleje grypa – ból głowy, brzuszka,
(Kuttina jakoś głowa nie boli).
Zwalila nawet Papę do łóżka,
Choć już do zdrowia wraca powoli.

Pierwszy Elektryk na radio szczeka,
Rozpieprzyć tubę chce jak komunę,
„Kancelarz” uśmieszki śle, hen, z daleka,
Walentynowicz „gra” o „fortune”.

By polityczną pożegnać biedę,
UW z Hausnerem pragnie pospółu
Wmontować Belkę do nowej PD
I wzmocnić stelaż swojego stołu.

Józio nerwowy – partia się sypie,
„papugi” robią sądowi kuku,
Wszyscy wieszają psy na tej grypie,
Wildstein za listę został na bruku.

A mnie tam zwisa, że ci z opozycji
Robią tym z rządu bałagan w klockach.
Żał mi jedynie, że nowej pozycji
Już nie wymyśli dla nas Wisłocka!



PYTANIE TYGODNIA

Pytanie brzmi: „I CO JA MAM Z PANIĄ ZROBIĆ???

Zadał je prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski pani redaktor Monice Olejnik w progr. I TVP.

Pytanie zostało zadane tak głośno, że red. Monika Olejnik odpowiedziała prezydentowi A. Kwaśniewskiemu (cicho i łagodnie): „Niech pan na mnie nie krzyczy”.

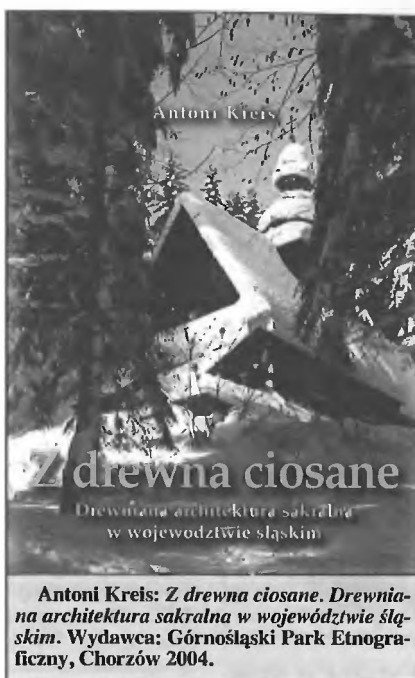


Rys. Ryszard Twardoch

Agresja i pomysły szokujące odbiorców są tym, co serwuje nam sztuka współczesna poszukująca jeszcze nie zaanektowanych obszarów. Co i rusz skandal, który podobno uwiarygodnia nowatorstwo: dyskusje mniej lub bardziej zapalczywe, sądy i wyroki. Co jeszcze można nazwać sztuką... To temat na niekończące się rozważania teoretyków i krytyków sztuki a i samych twórców. Czymże zatem może być spojrzenie na coś, co towarzyszy nam od wieków: na uboczu wielkiej sztuki, bez słynnych nazwisk, za to z klimatem, który chętnie chłoniemy.

Architektura sakralna – lecz nie ta z kręgu katedr gotyckich, kościołów baroku czy nowoczesnych świątyń, ale wyjęta z polskiego krajobrazu, polskiego zaścianka, zapomnianych przez Boga i ludzi miejsc. Drewniane kościoły – ich różnorodność i bogactwo form zachwycają po dziś dzień. Chętnie Igniemy do tego, co przynosi uspokojenie i wyciszenie. Bliższy ogląd tych obiektów daje satysfakcję estetyczną – odnajdujemy w nich wpływy największych trendów w sztuce, chociaż są przetworzone na użytek „maluczkich”. W najznakomitszych obiektach sakralnych swoje piętno odcisnęła misterna praca, dbałość o detal, imponująca wiedza budowniczego kościoła o sztuce. Zwykle wkomponowane w otoczenie po wielu dziesiątkach lat stanowią jedność. Większość z nich ciągle żyje, rozbrzmiewa w nich pieśń kościelna, a w kruchcie unosi się zapach dopiero co zgaszonych świec. Przez wieki były centralnym punktem miejsc, wokół których tętniło życie.

W regionie śląskim zachowało się sporo takich niezwykłych obiektów sakralnych. Chcąc poznać te najbardziej wartościowe wystarczy wyruszyć szlakiem drewnianej architektury sakralnej opracowanej przez znawców tematu z Górnośląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie. Najstarsze pochodzą z XV i XVI wieku. Są to kościoły w Poniszowicach, Księżym Lesie, Bojszowie, Grzawie, Łaziskach Rybnickich, Katowicach, Gliwicach, Rybniku Wielopolu. Większości został nadany barokowy wystrój ze swoim bogactwem malowideł, pysznym wystrojem ołtarzy i całych wnętrz kościołów, licznymi zdobieniami wyposażenia wnętrz, ornamentyką roślinną i zwierzęcą. W nielicznych obiektach zachowały się polichromie gotyckie czy renesansowe ołtarze. Prawdą jest, że autorami tych niezwykłych dzieł byli



Uspokojenie

zwykli cieśle, rzemieślnicy, którzy w budowę kościoła i jego wyposażenia wkładali cały swój kunszt i finezję. Tylko czasami pozostawiali na belkach swoje inicjały bądź w dokumentach parafialnych pojawiają się informacje o budowniczych. Stąd też wiadomo, że np. kościół w Sierakowicach jest dziełem Józefa Jozka, Paweł Krzyżyk zbudował świątynię w Kończycach Wielkich, Jan Ożga w Leszczynach, Joannes Mochowski w Rudzińcu a Jan Sedlaczek w Boguszowicach i Wilczej. Oczywiście lista twórców jest znacznie dłuższa.

Przyglądając się każdemu obiektowi z osobna nie sposób nie dostrzec dobrej ciesielskiej roboty, zachowania proporcji, nadających kościołowi czy kaplicy często niepowtarzalny kształt, charakterystycznych tylko dla danego obiektu detali. Wpisane są w otaczający krajobraz, w zieleni, zajmują miejsca na wzgórzu lub pomiędzy nimi, otoczone są murami czy tylko ogrodzeniem drewnianym, stanowiąc jednolitą całość.

Wiele z tych obiektów zostało uratowanych tylko dzięki temu, że zostały przeniesione ze swoich dawnych lokalizacji, jak np. katowicki kościół św. Michała, który trafił tu w latach 1936-1938 z Syryni czy kościół św. Józefa ulokowany w Górnośląskim Parku Etnograficznym. W ten sposób

uatrakcyjniły swoje nowe miejsca, nie tracąc nic ze swej dawnej świetności.

Chorzowski GPE od dawna pracuje nad zachowaniem wielu wspaniałych obiektów drewnianej architektury sakralnej w regionie śląskim. Obiekty te są dokumentowane, opisywane, fotografowane, a następnie prezentowane czy to w postaci wystaw czy, jak to ostatnio miało miejsce, w postaci wydanego albumu fotografii wraz ze szczegółowym opisem. Autorami tej publikacji są Antoni Kreis, artysta fotografik związany z GPE i Damian Adamczyk – muzealnik, współtwórca „Szlaku drewnianej architektury sakralnej”. Album nie tylko dokumentuje stan posiadania, ale zarazem jest świadectwem wielkiej pasji obydwu autorów: interesującym zdjęciom, na których często przeszłość sąsiaduje – poprzez detal – ze współczesnością, co pokazuje, że nie są to tylko obiekty znajdujące się pod ochroną konserwatora zabytków, ale są żywym elementem codziennego życia mieszkańców danej miejscowości. Różne obiekty, różne pory roku, obiekty w pełnym planie jak i pokazane poprzez szczegóły lub tylko zarys na horyzoncie, w świetle zachodzącego letniego słońca lub jesiennego popołudnia, w jaskrawe południe zimy.

Antoni Kreis od wielu lat fotografuje stare kościoły i kaplice, zapomniane przydrożne krzyże. Jego obiektyw zawsze ukazuje to co niezwykłe, co czasem trudno dostrzec gołym okiem: czasem jest to wieńczący kopułę krzyż, detal witrażu, czasem zmurszała deska lub ukruszona przez upływ czasu figura, czasem jest to tylko cień padający na prostą ścianę, ułożoną z prostych desek. Jeśli pokazuje detale wnętrza, to czyni to tak, jakby chciał zasugerować obecność człowieka, nie tylko piękno ciesielskiej roboty: wytarta farba na siedziskach ławek, odciski butów na śniegu wokół kościoła, zużyty sztandar zapewne ciągle służący do wielu miejscowych procesji. Niektóre zdjęcia pokazują, jak zmienia się otoczenie wokół osamotnionych świątyń: wyrastają wokół nich nowoczesne wille, drogi po których dziennie przejeżdżają setki samochodów. Ale one trwają, jak przed wiekami, tak i dziś są ostoją uspokojenia i wyciszenia, skupienia i prostej modlitwy. Ich przetrwanie nie zmienia, niezależnie od trendów i mód w sztuce, od postępu cywilizacji i techniki.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Lubomia



Pietrowice Wielkie



Popów



Rybnik Ligocka Kuźnia



Sadów

Z drewna ciosane

Drewniana
architektura sakralna
w województwie
śląskim



**KOMPANIA
PIWOWARSKA**



SPONSOR „ŚLĄSKA”



Jan Styka



Tadeusz Makowski



Figurka porcelanowa



Olga Boznańska



Jacek Malczewski

Z okna kuchni paryskiego mieszkania, które przez kilka tygodni było moją „bazą turystyczną”, widać było tylko studnię podwórka. Naprzeciw, piętro niżej, przez otwarte (był lipiec) okna widać było kawałek gabinetu i sąsiadującej z nim kuchni. Żył tam starszy pan, którego nazywałem „Antykwariuszem”. Bo mieszkał dosłownie w przeszłości. Widziałem jego rzeźbiony fotel z czerwonym, mocno spłowiałym obiciem, pulpit sekretarzyka nad którym wznosiły się kunsztownie wykonane wieże-szafeczki, szufladki i przegródki, fragmenty dwóch ścian zawieszono starymi obrazami w „złoty” ramach i kawałek gobelinu. W gabinecie pracował, stale coś zapisując i odkładając potem papierki do odpowiednich przegródek sekretarzyka. Czasem wchodził do kuchni i tam coś pichcił, przy czym naczynia i wyposażenie też musiały mieć najmniej ze sto lat. Myślałem sobie wtedy, że świetnie tak sobie żyć wśród przedmiotów, w których stworzenie ich twórcy włożyli serce. I z żalem myślałem o naszych „eMileś”, w których brakuje miejsca na podobne ekstrawagancje, o wojnach, które sprawiły, że przepadły gdzieś nasze rodzinne pamiątki i dzieła sztuki. Przypomniało mi się to wszystko, kiedy zwiedzałem w Muzeum Historii Katowic niezwykle nastrojową wystawę pod wypranym z wszelkiej poezji tytułem „Prywatna kolekcja z Poznania. Malarstwo polskie. Porcelana europejska”, bo oto okazało się, że i w Polsce znaleźć można ludzi lubiących otaczać się pięknem minionych czasów.

O prywatnych kolekcjonerach sztuki wiemy niewiele. Rzadko wystawiają swoje kolekcje. Czasem podczas jakiejś wystawy w muzeum trafiamy na tabliczkę, że dany obraz pochodzi ze zbiorów – tu dane właściciela. W telewizyjnych wiadomościach pojawia się niekiedy informacja, że okradzione zostało mieszkanie takiego zbieracza, przy czym więcej niż o dziełach mówi się o tym, iż poszkodowany nie miał pancernych drzwi, kamer, a zrabowane obrazy czy przedmioty nie były ubezpieczone, bo po prostu miłośnika sztuki nie było na to stać. Jedynym właściwie „oficjalnym”, czyli nagłośnionym przez media kolekcjonerem sztuki jest Wojciech Fibak (Barbara Piasecka Johnson mieszka przecież w Ameryce). Tym większą niespodzianką była dla mnie wystawa w Muzeum Historii Katowic prezentująca zbiory państwa Krystyny i Waldemara Organistów.

Zaczęło się to wszystko od obrazów w domach rodziców i dziadków poznańskiego kolekcjonera. Potem, w miarę powiększania zbiorów, państwo Organistowie traktowali gromadzone dzieła jako lokatę kapitału. Po-

Malowany koń wśród porcelany

nieważ jednak „oboje są trochę staroświeccy” i „przywiązują się do przedmiotów”, przestali szybko myśleć o tym, że można te zbiory spieniężać. Od początku swojego zbierania pozbyli się tylko jednego obiektu. I przyrzekli sobie, że nigdy więcej tego nie zrobią.

Zwiedzanie zaczniemy od malarstwa. Kolekcja Organistów ma charakter osobisty. I bardzo polski. Bo polskie krajobrazy dominują w dziale „Pejzaż”, polskie kwiaty w dziale „Martwa natura”, polskie są przeważnie „Sceny rodzajowe” i „Portrety”, przede wszystkim zaś polski jest dział „Koń malowany” poświęcony wizerunkom zwierzęcia szczególnie u nas cenionego, dział, w którym zgromadzono – poza oczywiście obrazami całej rodziny Kossaków (Juliusza, Wojciecha i Jerzego) – dzieła tak wspaniałych artystów jak Aleksander Orłowski, Piotr Michałowski, Józef Chełmoński i wielu, wielu innych.

Jeżeli dodamy do tego prezentowane w innych działach obrazy Olgi Boznańskiej, Jacka Malczewskiego, Juliana Fałata, braci Aleksandra i Maksymiliana Gieryskich, Jana Matejki, Henryka Siemiradzkiego, Leona Wyczółkowskiego, Teodora Axentowicza, Wojciecha Weissza, Stanisława Wyspiańskiego, Włodzimierza Tetmajera, Józefa Pankiewicza, Tadeusza Makowskiego, Zbigniewa Pronaszkę, Jana Cybisa (wszystkich wymienić nie sposób), to okaże się, że kolekcja poznańskich kolekcjonerów jest niemal kompletną reprezentacją prac artystów, którzy należą do historii sztuki polskiej XIX i pierwszych dekad XX wieku.

Wspaniałe przy tym jest to, że oglądać możemy w Katowicach dzieła na co dzień praktycznie niedostępne, cieszące jedynie oczy swoich właścicieli. Wydaje się więc, że takiej okazji zsmarować nie wolno, dlatego gorąco zachęcam wszystkich do odwiedzenia Muzeum Historii Katowic. To naprawdę szansa na zoba-

czenie mniej znanych, czasem wczesnych prac najwybitniejszych naszych artystów, na zapoznanie się z ewolucją sztuki we wspomnianym okresie, wreszcie na przestudiowanie technik „poetyk” oraz środków ekspresji charakterystycznych dla poszczególnych malarzy. Ta wystawa jest także dla tych, którzy nie lubią lub nie rozumieją sztuki współczesnej. Znajdą tu bowiem malarstwo „rozumiałe”, przedstawiające świat w sposób realistyczny, świat w dodatku swojski, pełen odniesień do naszej historii, trochę „staroświecki”, ale przez to właśnie pozwalający na odbycie sentymentalnej podróży do „krajów przodków” niby niezbyt odległej w czasie, a przecież trochę przez nas zapomnianej, może zagłuszonej przez agresywną, rozmiętą jak wideoklipy współczesną rzeczywistość. „Tradycyjność” tej sztuki była trochę wynikiem naszego opóźnienia w stosunku do Europy. Brakowało przecież krajowych ośrodków kształcenia artystów, nasi jeździli uczyć się do Niemiec, Francji, Włoch. Ale, być może, dzięki temu ich prace odróżniają się wyraźnie, mają „narodowy” charakter.

Poza malarstwem państwo Organistowie pokazują w Muzeum Historii Katowic swój zbiór porcelany. Europejskiej, ale przede wszystkim niemieckiej. Bo to w manufakturze w Miśni, za czasów Augusta III Sasa, udało się po latach prób uzyskać prawdziwe porcelanowe ciasto. Do roku 1710, kiedy to dwór Saksoński w Dreźnie został jedynym właścicielem patentu na porcelanę europejską, Europa musiała się zadowalać podziwianiem wyrobów chińskich a później również japońskich.

Oglądając zgromadzone na wystawie kruche cuda trudno rozstrzygnąć, co bardziej podziwiać – wyobraźnię projektantów wymyślających najrozmaitsze formy dla naczyń lub przedmiotów, trud modelarzy, którzy z mieszaniny składników tworzących porcelanowe ciasto lepili te wszystkie kunsztowne kształty, czy sztukę malarzy ożywiających barwami owe przebogate i czasem niezwykle misterne kompozycje.

Na koniec wypada podziękować państwu Krystynie i Waldemarowi Organistom za to, że zdecydowali się na ponad miesiąc rozstać ze swoimi skarbami, aby je pokazać szerokiej publiczności. Być może, ich przykład zachęci innych prywatnych zbieraczy sztuki do podobnych prezentacji.

JAROSŁAW STARZYK

Miasto Katowice, Muzeum Historii Katowic, Krystyna i Waldemar Organistowie: *Prywatna kolekcja z Poznania. Malarstwo polskie. Porcelana europejska*. 18 marca – 3 maja 2005.

Odzyskanie niepodległości przez Polskę w listopadzie 1918 roku było wydarzeniem wyczekiwanym przez Polaków w czasie 123 lat niewoli. Fakt historyczny nie zmienił jednak rzeczywistego obrazu i stanu społeczeństwa odrodzonego państwa. Podziały wyznaczały przede wszystkim dawne granice pomiędzy zaborami. Jednak w wypadku Śląska podziały te były znacznie silniejsze, a ich przyczyny bardziej skomplikowane. Teren Śląska, który po roku 1921 wszedł w skład państwa polskiego, był zaledwie częścią tej ogromnej krainy. Poza granicami pozostał cały Dolny Śląsk i znaczna część Górnego Śląska – Opolszczyzna. A i mieszkańcy tych ziem, które powróciły do macierzy, musieli sobie ten akt wywojować. U progu niepodległości bowiem z wrogim działaniem borykali się nie tylko Ślązacy na Śląsku przemysłowym, ale także Cieszyńscy, którzy w 1919 roku stanęli przed koniecznością obrony swej ziemi ojczystej przed wojskiem czeskim.

Sytuacja w obu tych częściach Śląska była całkowicie odmienna. Tak oceniał ją Dyboski – „Śląsk, zagarnięty przez Prusaka, stał się jednym z najbardziej ożywionych ośrodków przemysłowych nowoczesnego świata, gdy Śląsk Cieszyński mimo istnienia kilku ognisk przemysłu, przeważająco sielskim i rolniczym pozostał.” (*Księga o Śląsku*). Inaczej jednak sprawa wyglądała pod względem rozwoju polskiego życia kulturalnego. Cieszyn i jego okolice wchodziły w wiek XIX w skład zaboru austriackiego, stąd względna swoboda kulturalna i możliwość rozwijania się na tym terenie różnych form działalności Polaków. Górny Śląsk, jako część zaboru pruskiego, poddany był ostrej germanizacji. Pamiętać także należy, że właśnie te ziemie jako pierwsze odpadły od Rzeczypospolitej. Te wszystkie okoliczności powodowały istnienie ogromnych różnic w obrębie samego Śląska. Przeciwdziałanie im, powodowanie, aby mieszkańcy tej krainy zaczęli odczuwać więź i wspólnotę, stało się celem wielu działaczy w okresie międzywojennym. Jednym z nich był profesor anglistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, Roman Dyboski.

Urodził się on w 1883 roku w Cieszynie, w rodzinie bojowników o polskość Śląska Cieszyńskiego. Po ukończeniu studiów w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskał tytuł doktora filozofii w Wiedniu. Jego wykłady stały się podwaliną dla organizowania studiów



Roman Dyboski

W 1929 roku w Cieszynie ukazała się *Księga o Śląsku*, wydana z okazji 35-lecia organizacji akademickiej „Znicz” i reaktywowane zostało czasopismo „Zaranie Śląskie”, które propagowało ideę regionalizmu w kulturze. Na łamach „Zarania” i w *Księdze o Śląsku* znalazły się teksty inicjatora działań na rzecz zjednoczenia Śląska Cieszyńskiego i Górnego - Romana Dyboskiego.

Dyboski

JOLANTA
SZCZEŚNIAK

anglistycznych w Polsce. Zajmował się także kreowaniem wizerunku Polski w Anglii i Stanach Zjednoczonych, co było szczególnie ważne ze względu na prowadzoną przez Niemców akcję propagandową dyskredytującą Polskę. Po I wojnie światowej zajął się obok swych prac naukowych także działaniami na rzecz wewnętrznej konsolidacji ziemi śląskiej. Zmarł w 1945 roku.

Swoje poglądy zawarte w dwóch artykułach: *O jedność naszego Śląska*, który znalazł się w *Księdze o Śląsku* (Cieszyn 1929), wydanej z okazji 35-lecia organizacji akademickiej „Znicz”, i *Młodzież akademicka Śląska a położenie międzynarodowe Polski*, opublikowany w reaktywowanym „Zaraniu Śląskim” w tym samym roku, ukształtował Roman Dyboski pod wpływem idei regionalistycznych, które w tym czasie święciły tryumfy w całej Europie. Podobnie rzecz wyglądała na ziemiach polskich, gdzie należało przeciwstawić ideę regionalnego rozwoju dążeniom separatystycznym.

Dyboski nawoływał przede wszystkim do tego, aby podjąć działania mające na celu stworzenie nowego typu świadomości Ślązaka, jednakowej dla mieszkańca ziem uprzemysłowionych jak ziemi cieszyńskiej. Uważał, że działania należy adresować do studentów pochodzących ze Śląska, którzy znaleźli się w innych dzielnicach Polski. Miał na uwadze przede wszystkim Kraków, ponieważ sam wielokrotnie zabiegał o budowę śląskiego Domu Akademickiego, który stałby się wspólnym domem dla studiujących w Krakowie młodych Ślązaków. Wspólne mieszkanie, dzielenie się podobnymi problemami, miało by spowodować ich wzajemną integrację. W ten sposób można by osiągnąć zamierzony cel – młodzi z kolei oddziaływali by na starszych, tworząc nowy model świadomości narodowej Ślązaka. Dyboski w swych poglądach był pełnym realistą. Rozumiał doskonale, że jego zamierzenia to długotrwały proces, który w dodatku wymaga poparcia ze strony wielu ludzi i organizacji. Zaledwie dziesięć lat od chwili odzyskania niepodległości nie było w stanie nie tylko zlikwidować tych różnic, ale nawet ich nieco zatrzeć. *Księga o Śląsku* wydawała się Dyboskiemu szczególnie ważnym forum do prezentacji tych poglądów.

„Znicz” skupiał przede wszystkim młodzię akademicką. Jego poglądy wyraźnie wskazywały, że był gorącym zwolennikiem regionalizmu, co zresztą przekazał własnym uczniom. Wpłynęły one także na program działalności kulturalnej, który sformułowany został przez wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego. Celem tych działań było przede wszystkim likwidowanie rozbicia organizacyjnego Ślązaków, które wyraźnie potwierdzało istnienie odrębnych stowarzyszeń akademickich. Dyboski ponadto uważał, że na Śląsku dokonała się już rewolucja cywilizacyjna, przed koniecznością której znajdowała się dopiero Polska. Wskazując wyraźnie odrębność cywilizacyjną naszej dzielnicy, wielokrotnie podkreślał konieczność jej wewnętrznej integracji i znaczenie dla rozwoju całej Polski. Pracując w Krakowie stykał się na co dzień z akademikami pochodzącymi z dwóch różnych krain śląskich. Dostrzegał, że bardzo często wśród Górnoszlązaków pojawiały się postawy, wskazujące na brak wyrobionej świadomości narodowej.

Świadomość różnic podkreślono także wielokrotnie w *Księdze o Śląsku*. Zainicjowane przez Grażyńskiego spotkanie działaczy „Znicza” i „Silesii” w sprawie wspólnych ustaleń dotyczących budowy

Domu Akademickiego w Krakowie, nie doprowadziło do wypracowania wspólnego stanowiska, a, jak pisze sprawozdawca Krakowskiej Sekcji „Znicza”, „Poznaliśmy jedynie wielkie różnice, wynikające z tego, że byliśmy wychowani w zupełnie odmiennych warunkach kulturalnych i społecznych, które nas dzielią” (*Księga o Śląsku*). Dążenie do jedności Śląska w wypowiedziach Górnośląskich działaczy możliwe było jedynie pod patronatem Kościoła kato-

lickiego, który to pogląd wielokrotnie wygłaszał ks. Emil Szramek na łamach „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk”.

Poglądy regionalne Dyboskiego zaowocowały jednak stworzeniem konkretnego programu, który objąć miał wszystkie dziedziny życia kulturalnego, badania naukowe, literaturę, sztuki plastyczne, muzykę, organizacje społeczne i te instytucje, bez których istnienie takich działań jest w ogóle niemożliwe.

Celem stało się oddziaływanie na Ślązków w duchu patriotycznym, umacnianie w nich świadomości narodowej i uodpornienie na wrogą, niemiecką propagandę, a także ukazywanie w innych dzielnicach takiego wizerunku Śląska, który zjednywałby jego mieszkańcom szacunek i sympatię. Roman Dyboski jako inicjator i propagator takiego programu zasługuje w pełni na pamięć i uwagę.

Rozmyślając nad tym, na jaki temat skreślić kilka słów do jubileuszowej książki pamiątkowej „Znicza”, doszedłem do podobnego wniosku, jak wtedy, gdy kilka lat temu wypadło mi napisać przyczynkę do książki pamiątkowej Bratniej Pomocy Akademickiej w Krakowie: Że mianowicie innych przedstawicieli starszego społeczeństwa w takiej chwili może obejmie rozrzewnienie dawnych wspomnień, ale ten, kto właśnie jest kuratorem danego zrzeczenia akademickiego, na nastrój jubileuszowo-kronikarski – jakoś zdobyć się nie może, bo żyje pełnią bieżącego życia instytucji i troskami, i jej dziś i jutro raczej, niż dumaniami o czasach minionych.

To też, zestawiając dziś w myśli te warunki, w jakich przed laty „Znicz” powstawał, z tymi, w jakich działa szczęśliwsze politycznie pokolenie dzisiejsze, czuję moralny nakaz przemówić nie o owych pierwszych „Znicza” chwilach, które z dzieciństwa pamiętam, lecz o doniosłej sprawie aktualnej, w której widzę jedno z naczelnych zadań dla członków „Znicza” obecnego.

Zgodzimy się wszyscy na to, że dziś dla Polaka konsolidacja i wewnętrzne wzmocnienie naszej odrodzonej Rzeczypospolitej jest jednym z głównych zagadnień nie tylko politycznych, ale i kulturalnych; boć i we wielkich zbiorowych poczynaniach ludzkości całej tylko Polska silna i organicznie zespolona skutecznie i owocnie uczestniczyć może. Od dziesięciu lat pracujemy różnymi sposobami nad wypełnieniem z duszy polskiej przeżytków niewoli i bezstronny obserwator przyznać musi, że osiągnęliśmy sporo. Kordony duchowe między dawnymi trzema zaborami zaciera się w ślad za materialnymi, i poczucie wspólnoty interesów ogólnopolskich bierze stopniowo górę nad separatyzmem, wyhodowanym przez stulecie niewoli w trzech częściach Polski.

Śląsk jako pograniczne terytorium ścierania się różnych narodów, kultur i tworów politycznych rozmaitym w dziejach ulegał podziałom: nowością więc w jego losach nie jest i ten podział, któremu uległ po zakończeniu wojny światowej. My uzyskaliśmy z tego podziału wprawdzie nie całą rdzenność polską część Śląska, ale okazała się bogatą jej połac. Na tej połaci, jak w innych miejscach ziemi polskiej, wyznaczona jest nareszcie granica zaborcza: nie ma już tego kordonu między Śląskiem pruskim a austriackim, jaki

Fragment pochodzi z *Księgi o Śląsku*, Cieszyn, 1929, s. 72-74.

Księga o Śląsku

w poprzek oderwanego z dawna od macierzy kraju pociągnęła ręka wielkiego rabusia Fryderyka II.

Trzeba koniecznie – i czas po temu wielki! – żeby ten kordon, jak inne, znikł także w myśleniu naszym. Ślady jego, jak ślady kordonów po innych dzielnicach Polski, istnieją jeszcze w duszach starszego pokolenia, a także młodzieży, jak z przykrością się przekonałem, choć w jednolitych szkołach polskich się chowa, odziedziczonych przesądów z czasów zaborczych całkowicie jeszcze się nie wyżyła. (...) Jest przecież publiczną tajemnicą, że sprawa pierwszorządnej doniosłości dla młodzieży śląskiej – sprawa budowy śląskiego Domu Akademickiego w Krakowie – napotyka na trudności, po części z tej przyczyny wynikające. A ponadto, rozdział taki musi oczywiście osłabiać pozycję naszą wobec sąsiadów na zachodzie. Przekonałem się podczas pracy propagandystycznej w Anglii, w Genewie, w Ameryce, jak nieustannymi i celowymi są zabiegi Niemców nad wytworzeniem w opinii światowej nastroju korzystnego dla ich pretensji do całego obszaru polskiego Śląska. Jakże tej niestrudzonej akcji niemieckiej przeciwstawić mamy zwarty front samoobrony narodowej jeżeli my sami, Polacy śląscy, pozostaniemy duchowo podzieleni i obcy jedni drugim!

Powie ktoś, że nie brak usiłowań nad zjednoczeniem duchowym polskiego Śląska ze strony szlachetnych jednostek w administracji państwowej i samorządowej, oraz w organizacjach społecznych. Prawda, jest tak niezawodnie i część się należy tym pionierom idei. Ale, na Boga, Polska w swym zawsze krytycznym położeniu międzynarodowym czekać nie może, aż za tymi jednostkami ruszy się ogół!

Powie z drugiej strony ktoś inny, że nie ma się co lękać, iżby taka rzecz przy najwęższym nateżeniu woli narodowej w krótkim czasie dokonac się dała: bo proces zróżnicowania, dokonany przez

blisko dwa wieki rozdziału (1741-1918), odwrócić się da tylko przez nowy, długi okres współżycia. Chodzi wszakże nie tylko o te rozmaite przyzwyczajenia prawne i polityczne, jakie powstały w umysłach pod Austriakiem po jednej, a pod Prusakami po drugiej stronie, ale chodzi o głębokie różnice w ustroju społecznym i w rozwoju gospodarczym. Śląsk, zagarnięty przez Prusaka, stał się jednym z najbardziej ożywionych ośrodków przemysłowych nowoczesnego świata, gdy Śląsk Cieszyński, mimo istnienia kilku ognisk przemysłu, przeważając sielskim i rolniczym pozostał. A twardych faktów gospodarczych i wynikających z nich różnic w rozmieszczeniu ludności i w jej sposobie życia i myślenia nie unicestwią nawet najwznioślejsze ideowe hasła za kilka krótkich lat.

Zapewne: ale tu właśnie leży przyczyna, dla której zwracam się z apelem w tej sprawie do naszej młodzieży śląskiej w tej uroczystej chwili. Jakikolwiek zmiany duchowe u całego pokolenia wywołała gospodarcza depresja powojenna, młodzież jest i pozostawać musi ostoją idealizmu, – może jedyną właściwą jego ucieczką i twierdzą. A czymże jest idealizm, jeśli nie przeciwstawieniem się rzeczywistości danej w imię rzeczywistości wyższej i doskonalszej, którą tworzy duch ludzki w walce z bezwładem żywiołu! W tym znaczeniu bądźcie idealistami, młodzi moi ziomkowie śląscy, a dokonacie rzeczy, które rozważa dziś nazywa nieprawdopodobnymi. Wyciągnijcie ku sobie bratnie dłonie poprzez wszystkie przegrody, jakie stworzyła przeszłość; wytyćcie serca, by jednakowym zabiły rytmem! Nie braknie wam nagrody za takie usiłowania: wasze złączone trudy stworzą tę całość regionalnej kultury śląskiej, która, z wieków dawnej śląskiej pracy wyrastając, może zajaśnieć szczególniejszym blaskiem wśród skarbów dorobku kulturalnego różnych historycznych dzielnic naszej rozległej ojczyzny. Była w uniwersytetach średniowiecznych osobna „nacja śląska” pośród studentów: oby w koncercie duchowym nowego życia polskiego plemię śląskie jak najrychlej odezwalo się swoistym głosem, jednolitym i zharmonizowanym, a przez to silnym i dźwięcznym i oby ten głos jednako rozbrzmiewał od źródeł Wisły na stokach Baraniej i od starej wieży piastowskiej w Cieszynie aż po szyby katowickie i kominy Królewskiej Huty!

Laur dla Wojcieszka

Grzegorz Jarzyna, Wojciech Marczewski, Władysław Kowalski i Maciej Englert to tegoroczni jurorzy, którzy najwyżżej ocenili pracę Przemysława Wojcieszka (*Made in Poland*), przyznając mu po 10 tysięcy złotych. Tym samym to właśnie Wojcieszek, odbierając Laur Konrada, został zwycięzcą katowickiego festiwalu.

Ponadto jurorami byli: Anna Augustynowicz (10 tysięcy przyznała Pawłowi Miśkiewiczowi za telewizyjną *Podróż do wnętrza ziemi*) oraz Mikołaj Grabowski (wskazał na *Rewizora* w reżyserii Jana Klaty).

Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” w ubiegłym roku nie odbył się. Wyglądało więc na to, że musimy pogodzić się z tym, że odtąd będzie organizowany w rytmie biennale. Spotkała nas jednak miła niespodzianka. Prezydent Katowic, Piotr Uszak, patron konkursu i najhojniejszy z jego sponsorów, wypowiadając ze sceny zamykającą tegoroczną edycję festiwalu formułkę, nieoczekiwanie dodał: „Zapraszam wszystkich za rok”. Prezydent nie przejęzyczył się. Po prostu przekonał siebie (i katowickich radnych), że warto wydawać pieniądze na imprezę, która urosła do rangi jednego z ważniejszych wydarzeń teatralnych w naszym kraju.

Festiwal jest w Polsce bez liku. Teatralnych w szczególności. Każde większe miasto – i nie tylko większe, bo ambicje zgłaszają także małe ośrodki teatralne – chce poprzez festiwale zaznaczać swoją obecność na ogólnokrajowej mapie kulturalnej. Jednym udaje się to lepiej, innym gorzej lub wręcz wcale. Katowice, które przez długie lata organizowały konkursy bądź przeglądy sztuk rosyjskich i radzieckich tudzież pisanych w tzw. krajach socjalistycznych, też zapragnęły na nowo „zaznaczyć się”. Też chciały „przypomnieć się” i dać śląskiej publiczności jakiś porządny festiwal. Jaki? Pomysłów było wiele.

Jeden z nich, z początku lat 90., zakładał, że stolica ważnego województwa, wtedy jeszcze katowickiego a nie śląskiego, powoła do życia przegląd sztuk amerykańskich. Cóż, zmienił się ustrój, zatem należało teraz – tak zapewne

Młodzi znowu nie zawiedli



Przemysław Wojcieszek otrzymał Laur Konrada za „*Made in Poland*” – autorski spektakl penetrujący życie polskich blokowisk. Legnicki teatr jeszcze raz udowodnił, że bez trudu i z wielkim powodzeniem potrafi wyrwać się z pudełka tradycyjnego teatru mieszczańskiego.

Odwaga nagrodzona

KRZYSZTOF
KARWAT

W tym roku pokazano siedem spektakli. Były to: *Król Edyp* Sofoklesa w reżyserii Gustawa Holoubka (Teatr Ateneum im. S. Jaracza z Warszawy; tzw. spektakl mistrzowski, pozakonkursowy), *Proces* Franza Kafki w reżyserii Marka Fiedora (Teatr Polski z Poznania), *Lot nad kukułczym gniazdem* Kena Kesey’a w reżyserii Mai Kleczewskiej (Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego z Wałbrzycha), *Rewizor* Mikołaja Gogola w reżyserii Jana Klaty (Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego z Wałbrzycha), *Made in Poland* według scenariusza i w reżyserii Przemysława Wojcieszka, (Teatr im. H. Modrzejewskiej z Legnicy), *Kamień i popioły* Daniela Danisa w reżyserii Iwony Kempy (Teatr Polski im. H. Konieczki z Bydgoszczy) oraz *Narty Ojca Świętego* Jerzego Pilcha w reżyserii Piotra Cieplaka (Teatr Narodowy z Warszawy; tzw. spektakl mistrzowski, pozakonkursowy). Spektakle prezentowano na Dużej Scenie Teatru Śląskiego, *Made in Poland* – w Szybie Wilson w Katowicach-Janowie.

Ponadto w Auli Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego oglądano spektakle telewizyjne. Były to: *Lucja i jej dzieci* Marka Pruchniewskiego w reżyserii Sławomira Fabickiego, *51 minut* Ingmara Villqista w reżyserii Łukasza Barczyka, *Fryzjer* Macieja Pieprzycy i Bartosza Kurowskiego w reżyserii Macieja Pieprzycy, *Podróż do wnętrza pokoju* Michała Walczaka w reżyserii Pawła Miśkiewicza, *Cicho* Mariusza Bielińskiego w reżyserii Adama Guzińskiego, *Kąpielisko Ostrów* Pawła Huelle w reżyserii Macieja Englerta (tzw. spektakl mistrzowski) oraz *Sceny z Powstania* w reżyserii zbiorowej studentów Wydziału Radia i Telewizji im. K. Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego (pokaz specjalny, pozakonkursowy).

Imprezę towarzyszącą stanowiła wystawa scenografii *Diabły z Loudun* – autorstwa Lidii i Jerzego Skarżyńskich do spektaklu operowego Krzysztofa Pendereckiego w reżyserii Konrada Swinarskiego.

myśleli entuzjaści „festiwalu made in Katowice & New York” – znowu zrobić festiwal politycznie słuszny. Choć słuszny inaczej. Pomysł mógł się wydawać ciekawy i racjonalny, bo przecież dramaturgia amerykańska znaczyła i znaczy w świecie wiele, więc polskie teatry zawsze chętnie będą po nią sięgały. Ale przecież dobrze się stało, że tamten pomysł nie wypalił, bo zapewne po kilku edycjach wypaliłaby się formuła programowa i artystyczna. Prędzej czy później okazałoby się, że owszem, można w Polsce znaleźć dobre przedstawienia powstałe w oparciu o dramaturgię amerykańską, ale jest ich w danym roku tylko kilka. Dwa, trzy, pięć? Zabrakłoby więc materii. Nie byłoby z czego dobrego festiwalu uszyć. No i komu – ostatecznie – on by służył?

Władze Katowic postąpiły rozsądnie. Rozpisały wieloetapowy konkurs na koncepcję nowego festiwalu. Nie spieszyły się. Wykazały się godną pochwały cierpliwością, przesiewając wraz ze specjalnie do tego powołaną komisją kolejne pomysły. Były wśród nich, a tak przecież zawsze jest, pomysły poronione albo nierealne. Oryginalne i standardowe. Rewolucyjne i zachowawcze. Takie, które małpowały znane już rozwiązania albo je tylko trochę modyfikowały. Do tej drugiej grupy należała na przykład koncepcja zrobienia festiwalu dramatów Wyspiańskiego (na wzór, na przykład, festiwalu radomskiego, gdzie pokazuje się sztuki i adaptacje Gombrowicza). Byłby to ułkon w stronę Teatru Śląskiego i jego ówczesnego dyrektora, ale wkrótce musiałoby się okazać, że w którymś z sezonów w ogóle nie gra się Wyspiańskiego albo gra się go kiepsko. Taki festiwal musiałby być nudny, nawet jeśli któraś z jego edycji byłaby rewelacyjna. Znowu – ostatecznie – zabrakłoby materiału.

Na tym pustym polu stanął Jacek Sieradzki, który wymyślił festiwal nie narażony na zmienne rytmy życia teatralnego, na jego naturalne pulsowanie. Festiwal, który jest jak dobrze naoliwiona machina. Machina, której czas łatwo nie złamie. Festiwal – perpetuum mobile. A takie są właśnie „Interpretacje”. Rywalizują w nich reżyserzy, których zawodowy staż pracy na scenie nie przekracza lat piętnastu. Oceniają ich zaś uznani artyści różnych generacji. Także młodzi, na przykład, a to przypadek Grzegorza Jarzyny czy Anny Augustynowicz, zwy-



Jan Kłata umieścił swojego „Rewizora” w epoce gierkowskiej. Pomysł szalony, ale i nadzwyczajnie płodny.

cięzcy poprzednich festiwali, zdobywcy Lauru Konrada (nagroda na cześć Konrada Swinarskiego, jednego z najwybitniejszych polskich inscenizatorów XX wieku, w którego życiu epizody katowickie i śląskie odegrały nadzwyczajnie ważną rolę).

VII edycja „Interpretacji” była udana, nawet bardzo udana, choć zabrakło spektaklu, który powaliłby na kolana. Zabrakło wydarzenia na miarę – na przykład – pokazanej w roku 1999 *Iwony, księżniczki Burgunda*, którą w Krakowie zrealizował Grzegorz Jarzyna czy znakomitej opolskiej *Matki Joanny od Aniołów*, wyreżyserowanej przez Marka Fiedora w roku 2003. Także tzw. spektakle mistrzowskie, rapsodyczny *Król Edyp* Gustawa Holoubka i sarkastyczne *Narty Ojca Świętego* Piotra Cieplaka, nie wzbudziły zachwyty, choć są to – rzecz jasna – przedstawienia interesujące. *Edyp* to przykład teatru, w którym ponad wszystko szanuje się słowo, w *Nartach* – do głosu doszło przekonanie, że na scenie można i trzeba poruszać sumieniami Polaków, kpiąc z ich zaściankowej tromtadracji i bezmyślnej pychy.

Ale za to poziom artystyczny konkursu był bardziej wyrównany niż w poprzednich latach. O żadnym przedstawieniu nie można powiedzieć, że znalazło się w Katowicach przypadkowo. Uwaga ta dotyczy również widowisk telewizyjnych (przyjmując perspektywę górnośląską, z satysfakcją odnotuj-

my psychologiczno-obyczajowego *Fryzjera* w reżyserii tyszanina Macieja Pieprzycy czy porażające *51 minut* Łukasza Barczyka, zrealizowane na podstawie sztuki chorzowianina Ingmara Villqista).

Nie ulega wątpliwości, że w tym roku punktowali reżyserzy, którzy poszli na całość, wykazując się niebywałą odwagą, niekiedy graniczącą z szaleństwem. Bo czyż nie był szalony debiutujący Jan Kłata, gdy wymyślił, że jego *Rewizor* rozgrywać się będzie w peerelu? Pytanie retoryczne, a przecież Kłata zrobił przedstawienie niezwykle, o dziwo – nie nadużywając struktury arcydzieła Gogola. W Wałbrzychu powstał do bólu zjadliwy obrazek, żywcem wyjęty z jakiegoś małego skorumpowanego miasteczka, którego – pozał się, Boże – elity myślą tylko o jednym: jak zmieścić się w rygorach gierkowskich porządków i reguł, i ile można „wyciągnąć” z nich dla siebie. Satyra? Kabaret? Jednak coś więcej. Kłata zrobił spektakl, co się zowie, polityczny, choć w końcowym partiach – nazbyt uproszczony. Przesłanie jest bowiem takie: peerel był, jest i będzie. Nie uwolnimy się od partyjnych kacyków, czyli rozmaitej maści Horodnicznych i marnych cwaniaczków w typie Chlestałkowa. Może i racja, ale reżyser użył do udowodnienia tej tezy mało subtelnych środków. Słowem – przesadził, gdy w finale wyświetlił i wymieszał wielkie zdjęcia premierów III RP z fotką Andrzeja Leppera. Zagalopował się również, gdy nadmiernie mnożył gagi i sceniczne

grepsy. Im dalej, tym ich było więcej. Im dalej, tym mniej były śmieszne, więc i aktorzy przestali sobie z nimi radzić. A jednak – powtórzmy – to jest przedstawienie niezwykle. Prowokacyjne i prowokujące. Kłata pokazał, że jest utalentowanym buntownikiem, którego drażni polityczna poprawność, panosząca się nie tylko w salonach władzy, ale i w zalęknionych umysłach maluczkich. Brawo!

Nie mniejszą odwagą od Kłaty wykazał się Przemysław Wojcieszek, który swój niezrealizowany w kinie scenariusz o życiu polskich blockersów zaadaptował na potrzeby sceny. Ścisłej – przestrzeni jakiejś peryferyjnej legnickiej hurtowni, gdzie na co dzień to przedstawienie jest grane na tle paskudnego osiedla (w Katowicach pokazano je w szybie Wilson). *Made in Poland* to polski wariant anglojęzycznych sztuk tzw. brutalistów.

Nie przepadam za tym rodzajem dramaturgii, bo ona na scenie (albo tam, gdzie się ją wystawia) rzadko nabiera siły porównywalnej z tym, co oferują nam codziennie wysokonakładowe media, skuteczniej niż teatr handlujące gwałtem, przemocą, krwią i spermą. Wojcieszek jednak zrezygnował z mielizmami, w które mógł wpaść. Jego przedstawienie wykracza poza socjologizującą diagnozę świata blokowisk. Świata zbrodni i nudy. Alkoholu i beznadziei. Udało mu się nie tylko wkraść w ten świat i realistycznie go skonstruować, nie tylko zawrzeć jego „egzotykę” w brutalnym języku, ale nade wszystko – przeniknąć w psychikę ludzi go zaludniających, zajrzeć w ich wną-

trza, ujawnić ich marzenia. Inna rzecz, że legnickie przedstawienie, skądinąd znakomicie zagrane, jest momentami zbyt – by tak powiedzieć – deklaratywne. Zaważyły na tym niedoróbki scenariuszowe, obecne w partiach lirycznych, w których zbyt nachalnie przekonuje się nas, że blockersi, jak wszyscy inni ludzie, też potrzebują miłości i – a to jest myśl w tym przedstawieniu najważniejsza – potrafią ją w sobie odkryć i pobudzić. *Made in Poland* jest jednak niebywale i porażająco emocjonalnym spektaklem. Przykładem wzorowej pracy zespołowej.

Wielką odwagą wykazała się również Maja Kleczewska, która w Wałbrzychu wystawiła *Lot nad kukulczym gniazdem*. Musiała zmierzyć się z kultowym filmem sprzed lat, ciągle chętnie i masowo oglądanym. To cud, że wyszła z tej konfrontacji cało. Udało jej się zmetaforyzować przestrzeń szpitala dla psychicznie chorych. Powstało przedstawienie o granicach wolności, o tęsknocie do wolności i o bezdusznej machinie zła, która potrafi każdego, nawet najsilniejszego człowieka wdeptać w ziemię. Kleczewska, zmieniając zakończenie swej opowieści, wprowadziła jednak element optymizmu i nadziei. Przedstawienie jest niezłe zagrane, choć aktorzy niekiedy nie wiedzą, co mają na scenie robić w tych sytuacjach, gdy akurat scenariusz nie przewiduje dla nich partii dialogowych. Słowem – drugie i trzecie plany nieraz się zamazują, są zbyt statyczne, albo odwrotnie – rozedrgane i sztucznie ożywiane.

A czy nie był odważny Marek Fiedor, który *Proces* Franza Kafki wystawił we współczesnej scene-

rii? Mało tego – pokazał Józefa K. jako młodego menedżera bankowego, który bynajmniej nie jest neurastenikiem, lecz człowiekiem zdecydowanie i z wielkim samozaparciem walczącym z bezimienną biurokracją, tajemnymi mocami, które tkwią w naszej odhumanizowanej cywilizacji komputerów i telefonów komórkowych. Fiedor świetnie poradził sobie z symultanicznie ustawianymi scenami, świetnie poprowadził poznańskich aktorów. A jednak jest to przedstawienie chłodne, bo przeintelektualizowane i wyspekulowane. Czy mogło być inaczej, skoro reżyser poszedł aż tak daleko i całkowicie odrzucił tradycję czytania i interpretowania Kafki?

Kamień i popioły Kandydczyka Daniela Danisa Iwona Kempa zrealizowała w Bydgoszczy. To bardzo ekspresyjny spektakl, rodzaj eksperymentu, skoro działania aktorów wyprowadzane są raczej z intuicji reżyserskiej, a nie gotowych, po bożemu napisanych ról. Takie spektakle raczej powstają w teatrach offowych, nie instytucjonalnych. Literatura, w tym przypadku długa seria niesceniczných monologów, które długo wcale się z sobą nie łączą, stanowi tylko pretekst. Iwona Kempa udowodniła, że potrafi opowiadać zawiłe historie, które porazić nas mają siłą wniesionych w nie żarliwych uczuć. Zobaczyliśmy afabularny spektakl stylistycznie czysty, a jednak sztucznie wypreparowany, trochę wydumany. To popis reżyserski, z którego jednak widz zbyt wielkiego pożytku nie ma. Ot, eksperyment. Intrygujący, bo nieco dziwny. Tylko tyle.

Podsumowując: VII Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” był wydarzeniem bardzo interesującym i pouczającym, bo pokazał, że młodych reżyserów stać na rozstrzygnięcia i wybory bezkompromisowe. Oni nie oglądają się do tyłu, nawet jeśli realizują klasykę obrosłą teatralnymi czy literackimi legendami. Nie boją się dramaturgii współczesnej, polskiej i obcej. Chętnie adaptują teksty pozornie niesceniczne. Sami piszą bądź gotowe materiały literackie zdecydowanie „poprawiają”. Najpierw piórem, później na scenie. Chcą bowiem robić teatr nieobojętny, emocjonalny, żywy. Współczesny. Nawet jeśli historie, które mają do opowiedzenia, wyprowadzają z odległej przeszłości.



„Lot nad kukulczym gniazdem” wystawiła w Wałbrzychu Maja Kleczewska. Spektakl otrzymał nagrodę publiczności.

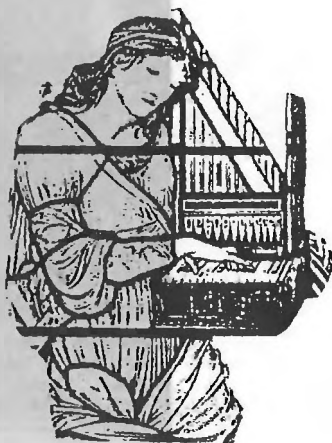
Dialog mistrza z fortepianem

Z lutowych koncertów „Silesii” trzeba wyróżnić znakomity recital schumannowski Wojciecha Światały, który odbył się dnia 7 tego miesiąca w studiu radiowym. Artysta zagrał dwa monumentalne cykle fortepianowe Schumannna: *Phantasiestücke* op. 12 i *Kreisleriana* op. 16. Pierwszy zbiór zna każdy meloman: to tam znajdują się tylekroć opiewane przez poetów utwory-symbole romantyzmu: *Auschwung* (Wzlot) i *Warum?* (Dlaczego?). Nie tak często grywany jest natomiast cykl *Kreisleriana* – efekt daleko idącego eksperymentu w dziedzinie formy, cykl stanowiący skomplikowaną mozaikę faktur i nastrojów. Nielatwo zmierzyć się z cyklami Schumannna; trzeba bowiem nastawić się na odmienny od klasycznego („naturalnego”) sposób kreowania dramaturgii: nie chodzi tu o budowanie formalnego monumentu („wielkiej narracji”), lecz na wypowiedzenie się w ramach ulubionej przez niemieckich romantyków formy „fragmentu”. Schumannowski „fragment muzyczny” reprezentuje ten sam idiom gatunkowy, co fragment literacki, jaki pojawia się w twórczości Friedricha Schlegla czy Novalisa (Schumann był miłośnikiem i znawcą literatury swego kręgu kulturowego). Zatem – jest formą niedokończoną, niedopowiedzianą, chociaż – zamkniętą. Ledwo uchwytyny moment niedopowiedzenia stanowił atut interpretacji, którą zaproponował Wojciech Światały. Trudno powiedzieć, skąd się brał, bo w gruncie rzeczy pianista grał klasycznie, myśląc raczej całością, niż fragmentami. Może z tego, że uważnie, powiedziałabym nawet – z uczuciem słuchał muzyki, która wypływała spod jego palców. Wynikał stąd subtelny dialog, przekonujący zarówno we fragmentach piano, jak i w potężnych wyładowaniach. Na tym słuchaniu Światały wiele zyskał fortepian – tego dnia okazał się narzędziem wyjątkowo harmonijnymi i dobrze ułożonym.

Opera w pigułce

Pigulkę, o której chcę powiedzieć, stworzyło poważne zamierzenie, obliczone mniej na doraźny efekt, więcej na uznanie znawców operowej farmaceutyki. Dzięki przychylności publiczności „Silesii”, która uwielbia serwowane jej operowe medykamenty i oklaskuje produkcje wokalne bardziej namiętnie, niż występy instrumentalistów, osiągnięto jedno i drugie. Słuchacze o ochotczych sercach i rękach gotowych do oklasków wypełnili szczerze salę teatru Ateneum, by wysłuchać przekroju opery Georga Friedricha Haendla *Juliusz Cezar*. W minispektaklu, który odbył się 28 lutego, wzięli udział: Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska, Agata Kobińska, Piotr Rachocki i Benon Maliszewski, akompaniowała Dagmara Podsjedlik, libretto

MIEDZY NUTAMI



opowiadała Regina Gowarzewska-Griessgraber, słusznie starając się ograniczyć swoją partię do minimum, jako że fabuła – jak to bywa w barokowej operze – okazała się nie do opowiedzenia prozą. Barokowa opera okazała się, swoją drogą, nie do skrócenia; kilka wybranych z poszczególnych aktów arii i numerów zespołowych nie złożyło się – nie mogło się złożyć – w przekonującą namiastkę całości. Opera barokowa stoi bowiem dramaturgią, która rozwija się stopniowo, z arii na arie. Istotą mowy dzieła operowego sprzed trzech wieków jest zawiła retoryka, której sedno stanowią kontrasty. A kontrast „działa” tylko na styku oryginalnie odpowiadających sobie części. Realizatorzy pigułkowego eksperymentu byli świadomi, że tym razem nie uda się stworzyć teatru. Dlatego zrezygnowali z najdrobniejszych aluzji do kostiumów, rekwizytów i gestu operowego, decydując się na występ „w cywilu”. Mieliśmy zatem po prostu popis śpiewu, pokaz koloratury (oj, trudnej), lekcję stylu – o ile można go było zachować w sytuacji, gdy oryginalne ciężkie brzmienie Haendlowskiej orkiestry musiało zastąpić domowe brząkanie pianina, a koturn i krynolinę – nowoczesna kiecka rozciąta po bokach. Batację jednak wygrano – finałowy ensamble czworga solistów wypadł naprawdę imponująco.

Na cześć Mikołaja Reja

Jakby jej było mało jubileuszowych „okazji”, katowicka Akademia Muzyczna pośpieszyła uczcić 500-lecie urodzin Mikołaja Reja. Uroczystość, która odbyła się 16 lutego w gmachu uczelni, miała dwie dominanty: wykład profesora Jana Malickiego poświęcony wizji świata i człowieka w twórczości Reja i promocję książki Jadwigi Bobrowskiej dotyczącej odnalezionych przez nią u Reja źródeł informujących o staropolskiej muzyce ludowej. Jadwiga Bobrowska jest jedyną w Polsce specjalistką od badań XVI- i XVII-wiecznej literatury polskiej w kontek-

ście zawartych w niej informacji o muzyce. Napisała na ten temat wiele prac, które były ekspozowane na przygotowanej przez Bibliotekę Główną Akademii Muzycznej wystawie poświęconej Rejowskiej rocznicy.

Na wystawie zgromadzono piękne stare książki i czasopisma (użyczone przez Bibliotekę Śląską), egzemplarze utworów muzycznych napisanych do słów Reja, Kochanowskiego i innych poetów staropolskich, znalazł się nawet rzadki rękopis psalmu Władysława Żeleńskiego. Kilka eksponatów ożyło – w wykonaniu chóru Akademii Muzycznej pod dyrekcją Aleksandry Paszek-Trefon. Zabrzmiały oczywiście najślawniejsze utwory do słów Reja – motety Wacława z Szamotuł *Już się zmierzcha* i *Kryste, dniu naszej światłości* – te same, o których protestantem rodowodem przekonywał niegdyś polskich uczonych Ślązak rodem z Cieszyna, Karol Hławiczka.

Pamięci Szalonka i Glinkowskiego

Ambicją Akademii Muzycznej w roku jubileuszowym jest uczczenie koncertami zmarłych wybitnych pedagogów uczelni. Po listopadowym koncercie poświęconym muzyce Bolesława Szabelskiego i Bolesława Woytowicza przyszedł czas (3 marca) na uhonorowanie dwóch nieżyjących już absolwentów klas kompozycji prowadzonych przez wielkich Bolesławów: Witolda Szalonka i Aleksandra Glinkowskiego. Utalentowani studenci wydziału instrumentalnego, z pomocą pedagogów i kilku osób wypożyczonych z zewnątrz dali publiczności możliwość usłyszenia rzadko (za rzadko!) wykonywanych utworów twórców, którzy zapisali jedne z najciekawszych kart w historii muzyki polskiej XX wieku.

Łukasz Frant i Maria Sz wajger-Kulańska zaprezentowali od lat nie grywaną młodzieńczą *Sonate wiolonczelową* Szalonka – rzadki w muzyce polskiej lat 50. okaz myślenia konstruktywistycznego nie zepsutego neoklasycznym banałem; dawno nie słyszana publicznie Aleksandra Krzanowska zagrała kilka fortepianowych preludów, które napisał kompozytor w ostatnich latach przed śmiercią dla przyjaciół, zmyślnie charakteryzując ich dźwiękami (światny, demoniczny Ryszard Gabrys sportretowany w *Preludium III*!), a Benon Maliszewski z Wojciechem Stysem zaśpiewali ostatnie opus Szalonka – cykl przejmujących pieśni miłosnych *Der Weg zur Liebe*.

Drugą część koncertu poświęcono utworom Aleksandra Glinkowskiego. Oboista Tomasz Miczka oraz pianiści: Szymon Bywalec zaprezentowali prawdziwy repertuarowy rarytas – „sonorystyczną” etiudę na obój i dwa fortepiany pt. *Amphi* z 1968 roku. Na finał wykonano efektowne, liryczne *Concerto notturno* na klawesyn i orkiestrę kameralną. Dyrygował Szymon Perłowski.

MAGDALENA DZIADEK

Czy politykę da się „uprawiać sercem i rozumem”, zastanawiał się publicysta Wolfgang Diehl w roku 1832. Dziewiętnastowieczne niemieckie pieśni o walkach wolnościowych Polaków poz zbierał Piotr Rogulski i wydał je jako „Poezja i czyn polityczny. Powstanie listopadowe w poezji niemieckiej pierwszej połowy XIX wieku”, w niewielkim nakładzie dla celów wewnątrzuniwersyteckich w r. 1993. Obecnie rozbudowana, wzbogacona i pogłębiona książka jest już imponującym wydawnictwem o charakterze albumowym. Równorzędną bowiem warstwą książki są portrety, obrazy i satyry z epoki, fotografie ozdobnych szpalt przynoszących nuty, rękopisy, karty tytułowe, symbole walki i męczeństwa.

„Dzielny kosynier i piękna Polka. Powstanie listopadowe w poezji niemieckiej”, bo tak się nazywa dojrzała postać wieloletniej pracy, przynosi materiał faktograficzny i przesłanie myślowe naszych czasów. Wbrew pozorom, nie jest to jednoznaczny folklor polityczny. W całej Europie, zwłaszcza w Niemczech i w Rosji, rozwinęła się wielka debata w ramach wypowiedzi literackich i publicystycznych pomiędzy tymi, co akceptują starą Europę, stabilną, ułożoną na Kongresie Wiedeńskim i zwolennikami przewrotów, insurekcji, powstań, rewolucji, wolności. Nawet dwóch tak wielkich poetów jak Heine i Puszkina odniosło się niechętnie do polskiego powstania.

Na salonach i w wierszach mówiono i pisano o czynie Polaków bądź jako o powstaniu, wiośnie wolności, bądź jako o rebelii i występku przeciw pokojowi i stabilizacji.

Autor bardziej wnikliwie rozpatruje poezję i pieśń polonofilów. „Nie słyhać tutaj wesołych melodii, Uciekły ptaki w dal od tego grobu”, pisał Nikolaus Lenau. Krytyk kreśli sylwetki dziesięciu poetów, takich jak August von Platen, Julius Mosen, Ernst Ortlepp, Paul



Symbolika polska w poezji niemieckiej

Harring i inni. Przywołuje też książki i publikacje prasowe anonimowe. Lata pracy w niemieckich uniwersytetach pozwoliły mu dotrzeć do publikacji rzadkich i zapomnianych. „Wiedz: kto za wolność padł, Ten zbawia cały świat, Wprowadza lepszy ład, Przybliża cel!”.

Jako filolog, tłumacz i poeta - Piotr Rogulski stara się zrekonstruować symbolikę i głębsze przesłanie tej poezji. Podejmuje też polemikę z interpretacją Polenlieder jako swoistą publicystyką i stara się przywrócić tym pieśniom rangę literacką. Jednoś literatury i polityki, udział poezji w wydarzeniach historycznych były w wieku XIX czymś naturalnym. To dopiero wiek XX wypracował wersję wypowiedzi literackiej, w której poeta reprezentuje siebie, człowieka, humanistę. Stąd brały się konwencje językowe, w których poezję tę nazywano testamentem bohaterów, pieśnią wolności i walecznego ludu, zawołaniem Wiosny Lu-

dów i demokratów, nieformalnym referendum postępowych Polaków i Niemców. Podchwyciono symbolikę walecznego kosyniera, pięknej Polki wspomagającej bohaterów, Mazurka Dąbrowskiego, wiosny wolności, orła białego, Warszawy - twierdzy wolności i męczeństwa, mogił jako zasiewu bohaterstwa przyszłości, walki Dawida z Goliatem, wygnańca jako proroka swobody. Obrazy te były prądem i modą nurtu opozycyjnego i liberalno-demokratycznego w kulturze i życiu społecznym niemieckim.

Autor w skrótowych refleksjach przybliży też dalsze dzieje motywu polskiego w liryce niemieckiej: przełomu wieku i współczesnej. „Jeszcze wolność nie zginęła, póki wróg nas nie pokonał! W każdej pieśni się odrodzi, którą pierś skowronka zrodzi” (anonimowa pieśń rewolucyjna z doby Wiosny Ludów). Wątek polski przedłuża się w dobie międzywojennej i w czasie współczesnym. „Ale, by poczuć ciepło ludzkich postaci, porzuciłeś siebie dla tłumu”, robi uwagę poeta XX-wieczny, proponując rozmowę nie nacji i idei, a człowieka z człowiekiem. Współcześnie - przechodnia na moście w Gubinie, który idzie do Polski kupić smaczny i tani chleb. Nie muszę chyba dodawać, że spora wiedza dotycząca faktów, dokumentów, cytatów dwujęzycznych mieści się w przypisach. A książka została poświęcona przyjaciółom niemieckim.

„Obie kultury, niemiecka i polska, powinny zachować pamięć o Polenlieder” - twierdzi autor. A ja dodam, że daje argumenty dla ludzi racjonalnego i nie pozbawionego pamięci pojednania, że od dwóch wieków snuje się wątek spotkania dwóch sąsiednich narodów, jest się zatem do czego odwołać. A literatura spotkanie to widzi na wszystkich polach: prywatnym, publicznym, racjonalnym i podświadomym.

JAN ZDZISŁAW BRUDNICKI

Recenzji z poprzedniego tomiku Ewy Lipskiej „Ja” nadałem tytuł „Uroda brzydkich słów”. Zwróciłem bowiem wtedy uwagę na to, że poetka z rozmysłem wykorzystuje w swoich wierszach wyrazy zupełnie – tak by się zdawało – nie pasujące do poezji. Rodem z techniki, świata komputerowego, urzędowych pism itd. I robi z tych potworków językowych (taka np. „sokowirówka” musiała się urodzić w głowie jakiegoś absolutnie niewrażliwego ani na sens, ani nawet na brzmienie „nazywacza” w fabryce AGD) naprawdę przejmującą poezję. Do dziś pamiętam dwie linijki wiersza „Dom”:

W oddali nasz dom rodzinny.

Czarna skrzynka. Dygresja wypadku bo wykorzystanie tu żargonowej nazwy lotniczego urządzenia nieoczekiwanie nadało lapidarnemu, złożonemu z raptem dziewięciu słów obrazowi ogromną siłę wyrazu, przemawiającą do czytelnika po prostu prawdą. „Brzydkich słów”, stających się nieoczekiwane tworzywem świetnej poezji, nie brakuje również w nowym tomiku. Np. „Zalogowałem się w tobie na zawsze”, „Fabryki świątyn. Przemysł na wielką skalę”, „przeciwzmarszczkowe ptaństwo”.

Napisałem też w tamtej recenzji, że po bardzo ascetycznych „1991” i „Sklepach zoologicznych”, w których to książeczkach autorki nie ma, schowała się całkowicie za skrajnie obiektywistycznym opisem rzeczywistości, tomikowi „Ja” Lipska nadała charakter bardziej osobisty, w wierszach zaczęło pojawiać się wspomnienie (np. picie tranu), jakaś informacja o niej samej (np. że ma krawca, w dodatku mądrego, bo świadczy o tym jego sentencja „świat się spru!”). I ten tran i ten krawiec mogą być oczywiście wyłącznie kreacją, czystym zmyśleniem, jednak po co miałoby się takie rzeczy wymyślać – nie są to przecież żadne sensacyjne szczegóły autobiograficzne, rodzinne sekrety, czy intymne zwierzenia. Nowy tomik „Gdzie Indziej” jest kontynuacją osobistego tonu w poezji Lipskiej. Powiedziałbym nawet, że w porównaniu z „Ja” poetka poszła dalej. Bo jak nigdy wcześniej pojawiają się w tym zbiorze wiersze, które można zaliczyć do poezji kobiecej. Wiele piszących kobiet oburza się na takie określenie, ponieważ – tak twierdzą – poezja z płcią nie ma nic wspólnego, jest tylko dobra albo zła. Myślę jednak, że otwierającego zbioru, bardzo pięknego wiersza „Tramwaj” nie mógłby napisać mężczyzna.

Trzymam w garści ten krajobraz przez który jadę tramwajem. Jedynek. Czuję zmysłowe żelazo kół. Uległe pasma szyn.

Zupełnie jak w zabawkach edukacyjnych.

Dziewczynka ustępuje mi miejsca. Na zakręcie wywraca się język.



Ewa Lipska Gdzie Indziej

Ewa Lipska: *Gdzie Indziej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005, s. 56.

Piękne momenty nieuwagi

Z ust wypadają sylaby.
Nieokrzesany zgrzyt.

*Ciesz się dziecko jeszcze,
ciesz się tą chwilą. Tym
tramwajem. Tym Dalej*

Ale nie Najdalej. To wiem.
Twoje siwe włosy czekają już
na tramwajowej pętli. (...)

Wydarzenie z gatunku „nic się nie stało”. Narratorce, która się cieszyła tramwajem jak edukacyjną zabawką, nagle jakaś dziewczynka ustąpiła miejsca. Naprawdę „nieokrzesany zgrzyt”. Więc, zamiast wdzięczności, przepowiednia siwych włosów czekających na dziecko na odległej tramwajowej pętli. „Ale żart / mówią podróżni: życie starość śmierć.” Pasażerka-narratorka, choć rozumiemy jej uczucia w momencie, gdy gest dziewczynki staje się bolesną informacją: „jesteś stara”, nie budzi sympatii. Ulega bowiem pokusie wzięcia natychmiastowego odwetu – uświadomienia temu dziecku, że też takie będzie, że „siwe włosy czekają już” choć do tej pętli jest jeszcze daleko. Mężczyźni mają w sobie więcej hipokryzji, dlatego rzadko kiedy przyznają się w poezji do podobnej małostkowości.

„Kobięcy” jest też wiersz „Ciasto ze śliwkami”. Zaczyna się czułym gestem: „Zdejmuje z twojej twarzy / okruszek ciasta ze śliwkami”. Ta dro-

bina miała zapisać tę chwilę na zawsze, zostać „na starej porcelanie kartki”. Ale „Nie wiadomo kiedy / zdmuchnął wszystko przeciąg. / Ktoś otworzył okno. Ktoś otworzył drzwi.” Jednak nie delikatnie naszkicowany w tym liryku obraz całej sytuacji sprawia, że nazywam go „kobięcym”. Decydująca jest dla mnie jedna linijka: „Mam żal że mi się tylko zdajesz.” Przypomina to dziewczynę, która obraża się na swojego chłopaka, bo jej się śnił i był w tym śnie niedobry. Nie mam zamiaru tu dyskredytować nieracjonalnego w tym przypadku kobiecego myślenia, bo nie chodzi o rozstrząsanie psychologicznych różnic płci, ponadto zaś bardzo do mnie ten „żal że mi się tylko zdajesz” przemawia. Chcę jedynie zwrócić uwagę na prawdziwość samej obserwacji. I jednocześnie bogactwo tego prostego przecież zdania, które otwiera w czytelniku bardzo rozległe obszary skojarzeń i odniesień, trochę na podobieństwo muzyki.

Krótki poemat, zatytułowany „Moi tłumacze” poświęciła Lipska tym, którzy są „jej ciągiem dalszym”, „chirurgami” zajmującymi się „transplantacją słów”. Poetka pyta:

Coś po mnie odziedziczą?
Mój lęk? Mój apetyt
na wszystko co przemija?

I powtarza kilkakrotnie zestawienie zaimków „moja – ich”, „moje – ich”, jak gdyby chciała oddać sprawiedliwość wysiłkowi ludzi, z którą ją łączy „sterta czasu na stole”. Zawsze wydawało mi się, że tłumaczenie tej poezji jest właściwie rzeczą prostą a zarazem dość przyjemną. Lipska buduje swoje wiersze bardzo precyzyjnie, podążanie za jej wywodem, odkrywanie starannie dobranych niespodzianek-odkryć w tej poezji dostarcza naprawdę wiele satysfakcji. I dopiero po przeczytaniu jej wiersza dedykowanego tłumaczom, zdałem sobie sprawę, że wszystko to dobrze odbiera się „po polsku”. Jak jednak w innych językach nazywa się ta nieszczęсна „sokowirówka”? Czy równie brzydko? Czy też, jeśli sprzęt ten nazwamy jest – dajmy na to – po szwedzku sensownie, gubi się intencja włączania do języka poezji słów z urodzenia już całkiem nie-poetyckich. Jak mają sobie dać radę tłumacze z ostatnim wierszem w tomiku „Gdzie Indziej”, zatytułowanym „Moment nieuwagi”:

Poetów nie ma.
Jest tylko moment nieuwagi.

Gra słów na ruchliwej jezdni.
Na wypadek
wiersza.

Świetny wiersz, ale tak pojemne w polskim wyrażenie „na wypadek”, musi być niesłychanie trudne (o ile w ogóle możliwe) do przeniesienia w inny język. Cóż, mamy szczęście. Możemy sobie czytać Lipską w oryginale.

BOGDAN WIDERA

Kościół bez anestezjologa

Kościół bez znieczulenia,
z bp. Tadeuszem Pieronkiem
rozmawia Marek Zając, Znak,
Kraków 2004.

W środowisku krąży dowcip, jak to bp Pieronek zajął miejsce Pana Boga w Niebie i nie chciał zejść. Do opuszczenia tronu namówił go dopiero mały aniołek, który powiedział, że gdzieś organizują konferencję prasową... Z tą łatką biskup zмага się na kartach wywiadu-rzeki *Kościół bez znieczulenia*. Bp Tadeusz Pieronek należy do najłatwiej rozpoznawalnych postaci polskiego Kościoła katolickiego, ale szerzej znany jest jedynie z pracy w Episkopacie. Wywiad Marka Zająca próbuje nakreślić pełniejszy obraz tego niepospolitego i kontrowersyjnego biskupa: poznajemy jego dzieciństwo, szkołę życia w seminarium, studia prawnicze w Rzymie, czy współpracę z kardynałem Wojtyłą.

Książka porusza bardzo wiele tematów i nie sposób byłoby napisać o wszystkich. Do najważniejszych wątków należą szerokie omówienie roli prawa kanonicznego i sądów kościelnych rozstrzygających o ważności zawartych małżeństw. Mało kto wie, ale bp Pieronek był przez kilkanaście lat obrońcą węzła małżeńskiego, czyli osobą broniącą ważności zawartego małżeństwa. Poznajemy dylematy, przed jakimi staje Kościół orzekając o ważności bądź nie, zawartego ślubu kościelnego. Sprawa niezwykle kontrowersyjna i wzbudzająca ciekawość wielu osób, jednak wydaje się, że w książce wyłożona jest w nieco chaotyczny sposób. Bi-

skup opowiada o tragedii dzieci z rozwiedzionego małżeństwa, ale nic nie mówi na temat dramatu dzieci pochodzących z małżeństwa nieważnego. Ten temat wymaga precyzyjnego i poukładanego wyłożenia, ale dobrze, że się pojawia.

Chyba jednak najbardziej wyczekiwane w książce są rozdziały traktujące o Kościele w Polsce, czy o stosunku biskupa do lewicy i Radia Maryja. Nie bez kozery książka nosi tytuł „Kościół bez znieczulenia”. Bp Pieronek nie bawi się w modną ostatnio polityczną poprawność: „(...) zawsze uważałem, że jeżeli mam inne niż reszta zdanie, mam wówczas prawo – a nawet obowiązek – nie milczeć, ale o tym powiedzieć.” I biskup nie milczy. O Radiu Maryja: „(...) Radio Maryja buduje getto”, „Jeżeli wiara ma być pistoletem wymierzonym w innych, inaczej myślących (...) wówczas niewiele ma wspólnego z Ewangelią i Kościołem.” O pracy Episkopatu: „Kto próbował się przebić z innym zdaniem, był nieraz albo wytupywany, albo słyszał z sali buczenie.” O roli biskupów: „Biskup ma być pasterzem, a nie owcą, która wlecze się w stadzie”. O współpracy z mediami: „Jezus spotykał się, jadł i pił nawet z celnikami i nierządnicami. Dlaczego biskup miałby unikać dziennikarzy?” Takich perełek znajdzie czytelnik w książce bardzo wiele.

Wywiad z biskupem, o którym mówiono, że jest Żydem, masonem, wrogiem Kościoła, nie-Polakiem, warto przeczytać, żeby swoje oceny przemyśleć i przewartościować. Dla niektórych przestanie być wtedy zdrającą narodowej sprawy, dla innych dopiero się stanie...

KAMIL PIETRALA



Kamil Durczok: *Wygrać życie*. Znak, Kraków 2005.

„Odczarowany” rak

„Wygrać życie” to stronicowa książka stanowiąca pokłosie rozmów, jakie przeprowadził Piotr Mucharski ze znanym dziennikarzem – Kamilem Durczokiem. Książka ta z reporterską skrupulatnością rejestruje szczegóły dotyczące leczenia choroby nowotworowej: operacje chirurgiczne, chemioterapie, naświetlania. Wplecione w dialog interlokutorów wypowiedzi: docenta Krzysztofa Składowskiego i profesora Bogusława Maciejewskiego, stanowią dla czytelnika swego rodzaju pierwszy krąg wtajemniczenia w procedurę walki z rakiem. W sposób niezwykle prosty i obrazowy, bez nadmiernej terminologii medycznej, obaj panowie ukazują podstępne mechanizmy działania nowotworu. Mimo iż wiedza na temat tej choroby staje się coraz bardziej złożona, to jednak nie daje się ona w łatwy sposób zasufladkować w tabele, klasyfikacje, statystyki. Okazuje się, iż każdy przypadek choroby wymaga indywidualnej terapii i „W zasadzie tyle jest typów nowotworów, ilu jest ludzi, którzy z tą chorobą przychodzą”.

Z drugiej strony rozmowy te stanowią zapis stanów świadomości człowie-

ka, któremu przyszło zmierzyć się z chorobą nowotworową i zwyciężyć. Krok po kroku możemy śledzić jego zmagania z bólem, z niepokojem, pod naporem którego umyka pewność jutra. Cierpi chory, bowiem w jego życie wkłada się „nieprzewidywalne poczucie obcości”. Zaczyna dostrzegać piętno choroby na swoim ciele, traci poczucie bycia sobą. Myśli oscylują między sprawami fundamentalnymi, jak: rodzina, przyszłość a rozpaczą nad widokiem wypadających włosów. Choroba, jak w pewnym fragmencie konstatuje żona – Mariana, „nie buduje bariery obcości (...) ona jednocześnie zbliża i oddala”. Cierpią również najbliżsi. Próbują wczuć się w sytuację chorego, co staje się źródłem niemocy i bezradności. Stają się obiektem odlegowanego bólu, którego nie potrafią sobie wyobrazić.

Ale choroba, a raczej zmagania z nią, posiada także drugą twarz. W pewnym momencie rozmówca Piotra Mucharskiego stwierdza, iż „to jest dobry czas na postanowienia: zawodowe, życiowe, moralne”, spełnianie marzeń, a nawet zmianę systemu wartości.

O przeżyciach związanych z chorobą Kamil Durczok opowiada w sposób prosty, zwięzły, a zarazem aforystyczny. Wplata w swoje wypowiedzi szereg trafnych konstatacji na temat życia, ale unika zbędnego moralizowania.

Ponadto książka ta obnaża palące problemy naszego społeczeństwa: zaniedbania w profilaktyce, przełamywanie barier między lekarzem a pacjentem. Przełamuje znowu milczenia i wstyd, jakie niejednokrotnie towarzyszy chorym.

Dla zdrowych stanowi przestrożę, chorym daje nadzieję, w imieniu umierających domaga się prawa do godnej śmierci. Byleby jednak nie pozostała jedynie „głosem wołającego na pusztyni”, który ginie w morzu obojętności i znieczulicy.

DARIA WEPS



S. Shuty: *Zwał*. Wydawnictwo W. A. B. Warszawa 2004.

Era hamburgerów

Na okładce powieści Sławomira Shutego *Zwał* widnieje opinia Wojciecha Kuczoka, wedle której główny bohater jest „dezertorem ze społeczeństwa konsumpcji”. Mirek to pracownik wielkiego banku. To miejsce rzeczywiście może stanowić mikroskalowy obraz życia w erze hamburgerów. Autor skupia się na pokazaniu mechanizmów traktowania pracowników przez szefostwo. Trzeba przyznać autorowi *Bloku* wyjątkowe poczucie humoru związane z kreacją Basi, szefowej oddziału Hamburger Banku. Notorycznie się spóźnia, w czasie pracy gra w komputerowego pasjansa, pamiętając przy tym, aby jej pracownicy nie zapomnieli, kto tam rządzi. W konsekwencji pracownicy czują się zaszczuci, a panująca w banku atmosfera przypomina rodzaj bomby, która nie wie, kiedy wybuchnie. Wybuch zdecydowanie Gochy, jedna z pracownic, regularnie, ale za to tylko na zapleczu, za plecami szefowej. Jędrne i z gruntu polskie kawałki Gochy brzmią dość przekonująco i zapewne każdemu coś przypomina: „To zobacz, Mirciu, kiedy wyjdziemy, jak jej (Basi – przyp. M. K.) nie ma. No zobacz, o wpół do siódmej, a nie o ósmej, i co o tym myślisz? Jakby tej cipy tu nie było, to byśmy wychodzili

tak codziennie, ale tak to jest, jak ktoś nie ma nic do roboty w domu, bo mamusia się dzieckiem zajmuje, a ona może siedzieć na dupie, grać w kulki w kaczki, w chuj, muje, dzikie węże i udawać, że coś robi.” Opisując środowisko zawodowe, Shuty zwraca również uwagę na wszechwładzę klientów, którzy – jako właściwi chlebodawcy – mają prawo rozporządzać czasem pracownika, zwłaszcza czasem po godzinach. Mirek, narrator dziennika, dlatego żyje od weekendu do weekendu, który traktuje jako rodzaj odtrutki. A lekiem na całe zło mają być dla niego drugi.

Postać Shutego żyje myśłą zemsty, na sprzeciw jej jednak nie stać. Na co dzień stanowi wzór opanowania, nie prowokują go do buntu nawet krwiste kawałki Gochy. Słucha ich z zadziwiającym spokojem. Tym bardziej zaskakująca okazuje się coda powieści. Zaskakująca do momentu, w którym czytelnik odkrywa niemoc bohatera. Krwawe rozprawienie się z autorką traum Mirka – Basią stanowi bowiem jedynie sen. Pracownik Hamburger Banku bierze pistolet, a „metalowe dildo graveruje na podniebieniu złote logo odwiecznej tajemnicy. Po chwili zapada ciemność”.

Schizofreniczność życia prowadzonego przez bohatera obrazuje język powieści. *Zwał* pisany jest w formie dziennika. Dni robocze to styl jasny. To przede wszystkim fragmenty wyjęte z rozmów przy pracy, a także relacje samego narratora o życiu szefowej, Basi. Wypowiedzi te niejednokrotnie zawierają wulgaryzmy, ale tylko w wykonaniu Gochy. Rzadko mamy okazję przeczytać osobiste refleksje bohatera. Czas weekendu to język zmetaforyzowany, niejasny i chaotyczny. Przykład: „Wywołany mocnym sucharem demon filozofii samplingu zaczynał swój płodny wieczór, wierząc się jak porno-Silva na silikonowej brzytwie conceptu, błyskotliwej konwersacji, taniego dowcipu”.

Zwał jest książką, którą dobrze się czyta. Zaś refleksja towarzysząca lekturze rodzi tylko poczucie frustracji i zgorzknienia.

MONIKA KAMIENIŃCZYK

Na skrzydłach Pegaza

Agnieszka Karaś: *Miał zbudować wieżę*. Życie Witolda Hulewicz. Oficyna Literatów i Dziennikarzy Pod Wiatr. Warszawa 2003, s. 344.

Wysoki mężczyzna, „trochę niedźwiedziowatej budowy, o pocziwych oczach. Nadzwyczaj grzeczny w obejściu, doskonały rozmówca, prędko nawiązywał znajomości, a nawet przyjaźnie” – jak powiedział o Witoldzie Hulewiczu Tadeusz Byrski – stał się głównym bohaterem książki Agnieszki Karaś zatytułowanej *Miał zbudować wieżę*.

Jak przystało na „tradycyjną” opowieść tego typu autorka rozpoczyna od czasów, kiedy to Witold był małym Witkiem, któremu za bycie „beniaminkiem matki” „obrywało się” od starszego rodzeństwa, opisu domu rodzinnego – majątku w Kościankach – stanowiącego „rzadką w Wielkopolsce oazę artystów i literatów. Gośćmi Hulewiczów bywali Józef Ignacy Kraszewski i Władysław Reymont. Za namową Heleny Hulewiczowej, rodzina jeździła na koncerty Ignacego Paderewskiego. Ojciec Witolda brał udział w każdym wydarzeniu powiatu. Pasje rodziców przeszły na dzieci”. Potem okres szkolny, walka w barwach niemieckich m.in. nad Sommą, udział w Powstaniu Wielkopolskim, redagowanie „Zdroju” – współpracującego z „Die Aktion” oraz „Der Sturm” pisma polskich ekspresjonistów, goszczącego na swych łamach zarówno poetów Młodej Polski (Przybyszewski, Kasprówicz, Przesmycki), jak i należących do generacji następnej (Wittlin, Iwaszkiewicz, Żegadłowicz), nieudane małżeństwo i narodziny córki Agnieszki, starcie z Catem Mackiewiczem, założenie Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia, organizowanie Śród Literackich, konty-

nuujących dziewiętnastowieczną tradycję spotkań w mieszkaniu Władysława Syrokomli, które zyskały dużą popularność w okresie działalności Hulewiczów, walka u boku Stefana Starzyńskiego i redagowanie konspiracyjnego tygodnika „Polska Żyje”, aresztowanie przez gestapo zakończone rozstrzelaniem. Tak pokrótce przedstawia się zawartość *Miał zbudować wieżę*, będącej biografią żyjącego w latach 1895–1941 poety i tłumacza Olwida, pokazanego na tle epoki. Obok sentymentalnych wspomnień znajdują się zabawne anegdoty, dowodzące, że temu, co robił, poświęcał się duchem i ciałem, zyskując raz aprobatę, raz sprzeciw otoczenia. Poza wszystkim był człowiekiem wyjątkowym, któremu nie sposób odmówić wybitnej roli oraz wpływu, jaki wywarł na środowisko artystyczne międzywojnia. Fragmenty korespondencji, urywki jego tekstów, akapity artykułów prasowych komentujących poczynania autora *Pogrzebu Kiejstuta* lub bieżących wydarzeń, wspomnienia tych, co go poznali dopełnione zostały fotografiami Hulewiczów, jego rodziny, znajomych oraz związanych z nimi miejsc, co w sumie składa się na barwną opowieść o przyjacielu, wielbicielu i tłumaczu Rilkego.

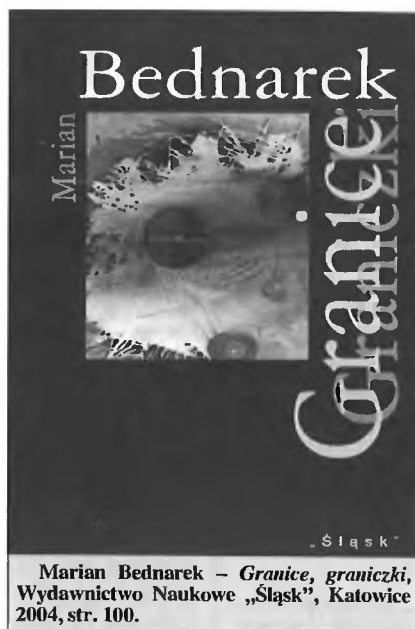
Momentami jednak postać autora opowieści o Beethovenie (*Przybłąda Boży*) staje się li tylko pretekstem do nazbyt szczegółowego przypomnienia powszechnie znanych faktów historycznych (jak: losy Michała Drzymały, dane statystyczne walczących na frontach I wojny światowej), zupełnie jakby Karaś nie do końca ufała wiedzy wyniesionej przez czytelnika ze szkolnych ław. Niemniej jednak, biografia tego, który „latał na skrzydłach Pegaza”, przyczyniając się do rozwoju życia artystycznego międzywojnia, napisana została lekkim, esejistycznym językiem i to walor tej lektury.

VIKTORIA PAWŁOWSKA

„Granice i graniczki” to książka frapująca, choć pod względem poetyckiej dykcji polifoniczna. Nim jednak wnikiemy w treść tych wierszy – poświęćmy chwilę refleksji samemu autorowi. Marian (wówczas używający jeszcze drugiego imienia Lech) Bednarek startował wspólnie z pięknie zapowiadającą się w krajo-brazie śląskiej literatury formacją pokoleniową. Swoją debiut zatytułowany „Kawałek życiorysu” opublikował na przełomie roku 1990 i 91 w serii Biblioteki Śląskiego Funduszu Literackiego. W tym samym czasie i tej samej serii swoje pierwsze lub drugie książki poetyckie wydali młodzi wówczas poeci, tworzący prawdziwą plejadę. Wymieńmy nazwiska niektórych współtowarzyszy Bednarka: Mirosław Polok, Ewa Parma, Piotr Jędrasz, Anita Machnik-Skwara, Lesław Nowara, Bogdan Prejs, Beata Rokosz, Krystian Hadasz. To pokolenie poszło w rozsypkę; dzisiaj czasami pojawiają się jego rozproszone głosy z ciemności. Takim głosem są też „Granice i graniczki”.

Przyczyny rozbicia tak dobrze zapowiadającej się formacji pokoleniowej mają przyczyny głębsze niż tylko literackie. Przełom roku 1989 miał swoje konsekwencje również dla literatury; jej przyniósł decentralizację i regionalizację środowisk. Komunikacja i kontakt między nimi zostały bardzo utrudnione, w jakimś sensie zanikł ogólnopolski obieg – nie tylko wartości, ale i informacji poetyckich. Trzeba dużo samozaparcia, by śledzić nową twórczość Agnieszki Herman, Dariusza Tomasza Lebiody czy Piotra Cielesza, tak samo jak zresztą jak Bednarka albo Hadasza. Dziś w ogólnopolskim obiegu – posłużyć się tutaj wygodnym sloganem – funkcjonują tylko ci, którzy załapali się do przysłowiowego komputera „Gazety Wyborczej”. Bednarek w nim nie ma miejsca. I tylko czasami, czy wręcz bardzo rzadko, daje znak poetyckiego życia – drugim tomem „Notatki z prowincji” (1998), trzecim „Granice i graniczki”, gromadzącym utwory z lat 1998–2004. Głos to nieczęsty, jednak – może również dlatego – sporo znaczący.

Zaczyna się niemal programowym tekstem – manifestem pokory, która jak się wydaje jest nie tylko artystycznym, ale również egzystencjalnym doświadczeniem. W otwierającym książkę wierszu „Granica I” czytamy: „(...) z całą moją wielką niezgodą / z tym wielkim „Nie” / utleniam się jak rdza / na jej nieodmknętej bramie”. To gorzkie stwierdzenie – człowiek (poeta) nie znaczy wiele, tak samo jak cały jego bunt przeciw światu. Bo życie ma swoje prawa, które możemy tylko i aż zaakceptować. Ta akceptacja jest łatwiejsza, kiedy na kosmos będziemy patrzeć z perspektywy prowincji – a ta-



Polifoniczne granice

ką właśnie optykę proponuje bez złudzeń i z cieniem gorzkiej melancholii Marian Bednarek. Przytoczmy tutaj miniaturę pod zmiennym tytułem „Nad kopalnią Marcel nocą”: „Części mowy / unoszą się i kłębią jak chmury i zderzają się / by wyartykułować magię nadchodzącego świtu / bo przecież dajemy sobą poniewierać tylko dla tego świtu / dla tych kilku promyków / wszystko robi się dla / świtu”. Bardzo to oczywista refleksja, ale też nie wyzuta z liryzmu i jakiejś ważnej prawdy, dla powiedzenia której warto zaryzykować otarcie się o banał. Ten krótki tekst tłumaczy, być może, dlaczego można równocześnie być poetą i mieć świadomość „rdzy istnienia” – rdzy rozpadu, niezauważonego kruszenia się metalu w proch. Ale przecież prowincja, każdy punkt świata może zazębić się z uniwersum, bo nie jest ono bynajmniej przypisane do jakiegoś centrum. Wszelkie wątpliwości można rozproszyć widząc taki tytuł wiersza: „Nad Zalewem Rybnickim czytając Heinego”.

„Granice i granice” to książka na wskroś polifoniczna, gdyż autor próbuje różnych poetyk i stylów. Odnajdujemy tylko, że w kilku miejscach bawi się nawet w tak niepoetyckie formy poezji jak poezja lingwistyczna i konkretna. Jakby chciał dotknąć każdego z możliwych kryształów soli i dopiero po takim doświadczeniu stwierdzić: Te są gorzkie. A te dobre, nadają smak ziemi – więc autor smakuje powściągliwość dykcji w quasihauku „Ruch”, poetyckim żarcie („Do szmaty”), czy wreszcie świetnych „Tworzywach”,

w których jest tyleż aforyzmu, co fabularnej (sic!) sytuacji i zdarzenia: „Ludzie mówią, że są z kości i krwi. / Ja znam wielu z papieru i mgły, / z worków po cementie i drewna, // z drutu, który świetnie naśladuje kręgosłup.” Gdyby nagrodę Nike przyznawano za pojedyncze wiersze – ta niezwykle bogata w treść miniatura powinna być jednym z murowanych kandydatów. Wiele wierszy przywozmi mi na myśl dykcję Jana Polkowskiego, choć Bednarek raczej nie falsyfikuje jej świadomości, w przeciwieństwie też do Polkowskiego częściej sięga po dowcip, czasami nawet rubaszny, wpłata w poezję słowa i zwroty codziennego użytku. Wszystko jednak składa się w jakąś przemyślaną oraz indywidualną całość.

To książka frapująca. Raz po raz natykam się tutaj na wiersze, obok których nie sposób przejść obojętnie. Poruszają mnie i dają wiarę w poezję współczesną. Jest tu próba współczesnego psalmu („Lecąc w dół”), są teksty naznaczone dystansem i humorem. Ale także spojrzenie w stronę innego wymiaru, z którym przez całe życie próbujemy nawiązać dialog: „Przytulić się do zmarłych / którzy już nie mogą sobie zagwizdać / od tak gdy niespodziewanie przyjdzie na to ochota // Przytulić się / i nie zasnąć.” Do tego tyleż retoryczne, co osobiste „Wyznanie wiary”: „Wierzę w ryby mojej krwi że są niezmordowaną miłością / Bez względu na to jak zakończą swój los / Że poezja zniknie z ostatnim ptakiem // (...) Wierzę w kolor słomy i juty workowej oraz olej lniany / Że zgłębianie czerni jest kluczem / Do innych kolorów / Że noc sprzyja spowiedzi nad kartką której biel / Tak wiele wymaga i każde kłamstwo zdemaskuje / Że najtrudniej jest przejść na ty z samym sobą”. Podobnie odczytywać należy „Gwiazdę” – inny wiersz pretendujący do rangi przesłania: „Jedyną co może naprawdę wyrazić życie / to gwiazda / zwykła / z tektury, nieoklejona jeszcze sreberkiem”. Myślę że znajdziemy tutaj wiele deklaracji, które można uznać za uczciwe, nieprzesłonięte maską maniery. Z tych obrazów wyłania się jakiś spójny obraz świata, choć ze względu na różne formy wiersza książkę można uznać za polifoniczną. Ale przecież autor zatytułował książkę „Granice, graniczki” pewnie właśnie ze względu na świadomość, iż porusza się pomiędzy różnymi granicami formy słowa. Tyle tylko, że nie jest to poszukiwanie, lecz świadome korzystanie z różnych literackich sztanc – Bednarek lubi wypowiedzi w różnych formach, wszak uprawia również malarstwo oraz tworzy spektakle teatru ruchu i plastyki.

Warto dotrzeć do nowego, trzeciego w karierze literackiej, tomiku Mariana Bednarka, poety z prowincji.

MARCIN HAŁAŚ

O Konstantym Wolnym przez długie lata powojenne nie mówiono publicznie nic lub prawie nic. Tylko w chwilach odwilży politycznej, gdy do podręczników powracało nazwisko Wojciecha Korfatego, niejako automatycznie przywracano pamięć o jego przyjacielu Wolnym. Ale ta pamięć była wybiórcza. Jej pielęgnacji na pewno nie służył fakt, że wielokrotny marszałek przedwojennego Sejmu Śląskiego, zmarł na początku II wojny światowej w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Dopiero w latach 90., staraniem działaczy Związku Górnośląskiego, ufundowano tablice pamiątkowe w miejscach związanych z życiem i działalnością tego polityka, adwokata i – jednocześnie – twórcy podwalin pod Bibliotekę Śląską. Odnaleziono m.in. archiwalne zdjęcia filmowe, pokazujące Wolnego przy ulicy Zacisze 3, w otoczeniu rodziny (willa na zapleczu Akademii Muzycznej w Katowicach istnieje do dziś).

Spore zasługi w owym przywracaniu Wolnego świadomości Ślązaków położył Alojzy Lysko, działacz samorządowy i pisarz regionalny, autor wielu wartościowych publikacji z obszaru najnowszej historii Górnego Śląska. Tym razem wsparł go Konstanty Wolny, wnuk marszałka, i w ten oto sposób powstała rzetelna biografia człowieka, którego cenili również przeciwnicy polityczni i działacze mniejszości niemieckiej (Wolny był chadekiem). Autorzy tego bogato ilustrowanego albumu podkreślają, że publiczny wizerunek Wolnego nie jest wielowymiarowy, bo polityk ten dbał o zachowanie



W hołdzie marszałkowi

obiektywności podczas prowadzenia obrad Sejmu Śląskiego i swoich przekonań głośno nie manifestował. Musiał i chciał być bezstronny podczas poselskich spięć i napięć politycznych (w drugiej połowie lat 30. już nie kandydował na stanowisko marszałka, bo sanacja zgłajszachtowała Sejm Śląski, wprowadzając do niego niemal wyłącznie swoich ludzi).

Rodzina bezskutecznie próbowała po wojnie sprowadzić prochy marszałka. Wiadomo było tylko, że po ciężkiej chorobie zmarł w roku 1940 we Lwowie. W końcu udało się odnaleźć zbiorowy grobowiec na Cmentarzu Janowskim i uzupełnić inskrypcję. Po jego otwarciu okazało się, że grobowiec był wielokrotnie plądrowany. Potomkowie marszałka uznali, że przeniesienie doczesnych szczątków Wolnego nie jest możliwe i zasadne.

KRZYSZTOF
KARWAT

Pisanie i rozmawianie o Górnym Śląsku nie jest dzisiaj zadaniem prostym, albowiem wiedza o jego przeszłości i kulturze jest nadal bardzo niewielka, a pojęcie wielokulturowości budzi wciąż emocje, prowadząc do „odgrzewania” stereotypów, mitów i uprzedzeń. Niebezpieczna okazuje się selektywność i subiektywność w sposobie interpretowania historycznych faktów, która często prowadzi do relatywizacji zakorzenionych w miejscowej kulturze wartości i przedstawia tradycje w ramach wąsko pojętego prowincjonalizmu.

Najnowsza publikacja Urzędu Gminy i Miasta Czerwionka-Leszczyny pt. „Śląsk bogaty różnorodnością – kultur, narodów i wyznań” ukazuje oblicze skomplikowanego fenomenu wielokulturowości Śląska na przykładzie historii lokalnej, wydobywając z zapomnienia to, co dla przeszłości gminy było społecznie ważne i co kształtowało tożsamość jej mieszkańców. Książka powstała w ramach zainicjowanego w 1998 r. przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach projektu „Historia lokalna na przykładzie wybranych powiatów, miast i gmin” i jest rezultatem dziesięciu spotkań i sympozjów zorganizowanych w Czerwionce-Leszczynach w latach 2003–2004.

Prezentowane w tomie tematy przedstawiają wydarzenia lokalne, np. powstanie parafii ewangelickiej w Czerwionce-Leszczynach (artykuł ks. Henryka Reske) na tle istotnych dla regionu przemian kulturowych, socjologicznych i cywilizacyjnych, jakim była historia budownictwa sakralnego na Górnym Śląsku (artykuł Jerzego Gorzelika) czy kształtowanie się śląskiej tożsamości (artykuł Marii Szeji). W zdarzeniach tych uczestniczyły miejscowe wielkości, np. John Baildon i Richard Holtze (artykuł Roberta Wilhelma Borowego), właściciele ziemscy i przemysłowcy wznoszący pałace i rezydencje w powiecie, np. rodzina Tiele-Wincklera, Konrad Bartelt, Otto von Hengschmidt, Hans Ulrich von Schaffgotsch (artykuł Irmy Koziny). Czytelnik tej starannie wydanej publikacji znajdzie także ciekawą informację o czterech górnośląskich noblistach: Otto Sternie, Kurcie Adlerze, Marii Göppert-

Wielokulturowość Górnego Śląska

Śląsk bogaty różnorodnością – kultur, narodów i wyznań. Historia lokalna na przykładzie wybranych powiatów, miast i gmin. Czerwionka-Leszczyny 2004.

Mayer i Konradzie Emilu Blochu (artykuł Piotra Greinera) i o wybitnym, światowej sławy ślawieście i językoznawcy Reiholdzie Oleschu, badającym gwarę śląską (artykuł Joanny Rostropowicz). Z tragicznymi rozdziałami w najnowszej historii regionu zaznajamiają teksty dwóch historyków – Ryszarda Kaczmarka („Totalitaryzmy na Górnym Śląsku XX wieku”), który dokonuje rekonstrukcji faktów i przyczyn prowadzących do powstania totalitaryzmu nazistowskiego i komunistycznego oraz Zygmunta Woźniczki („Wysiedlenia ludności górnośląskiej do ZSRR wiosną 1945 roku”) podejmującego próbę syntezy wywózki górników i hutników ze Śląska do obozów sowieckich w oparciu o zeznania, relacje i wspomnienia świadków.

Książka przybliży zapoznane rozdziały w historii czerwieskiego powiatu i historii Górnego Śląska, uzmysławiając czytelnikowi złożoność spraw związanych z koegzystencją różnych grup narodowych, etnicznych i wyznaniowych na jego terenie. Znajomość wzajemnych oddziaływań i wspólnych dokonań pozwala dzisiaj dyskutować o teraźniejszości i przyszłości regionu, o tożsamości jego mieszkańców i pielęgnowaniu wielowiekowego dziedzictwa kulturowego. Książkę tę, podobnie jak inne publikacje o historii lokalnej, np. przewodnik krajoznawczy po ziemi rybnickiej Aleksandra Żukowskiego i Anny Gudzik pt. „Śląskami Zielenego Śląska” (2002), Henryka Polaka „Dzieje Belku” (2003), Bogdana Kłocha „Szczekowice” (2004) warto polecić nauczycielom zaangażowanym w programy edukacji regionalnej młodzieży i wszystkim zainteresowanym historią i fenomenem wielokulturowości Górnego Śląska.

GRAŻYNA BARBARA
SZEWCZYK

Ivan Klima: *Premier i anioł*. Przekład: Jan Stachowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 224.

Premier rządu wstrząsanego coraz to nowymi aferami, kiedyś idealista walczący z totalitarnym systemem, teraz mocno uwikłany w partykularne, partyjne interesy polityk pozbawiony złudzeń, podejmujący jeszcze raz próbę oszukania społeczeństwa w wyborczych grze... Wreszcie polska powieść współczesna? Nie, Ivan Klima jest świetnym pisarzem czeskim. Ale akcja jego powieści nie dzieje się też w Czechach, rozgrywa się rzecz cała w jakimś nieokreślonym państwie postkomunistycznym. A przecież znajomym, bo to miejsce łapówkarskich afer, głupich polityków, cwanych karierowiczów, cynicznych graczy ze służb specjalnych itd. Czyta się więc tę książkę początkowo jak przegląd swojskiej prasy. Zabawa zaczyna się, kiedy premierowi zaczyna się objawiać anioł... Bardzo to komplikuje funkcjonowanie państwa. Wzdychamy z żalem: Jaka szkoda, że ci mieszkańcy niebios omijają przedstawicieli naszej klasy politycznej. fp.

Ks. Jan Kracik: *Powszechny, apostołski, w historię wpisany. Z wędrówek po kościelnej przeszłości*. Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2005, s. 352.

Autor jest księdzem, uznanym historykiem Kościoła i umie pisać (stałe współprace w „Tygodniku Powszechnym”). Dlatego właśnie te szkice o przemianach, jakie w różnych epokach zachodziły w życiu chrześcijańskim czyta się z zainteresowaniem i wielką przyjemnością. Dla zachęty wystarczy przytoczyć kilka wybranych na chybił-trafił tytułów: „I odpuść nam nasze odpusty...”, „Śmiech miejscami poświęcany”, „Być starym dawno temu”, „Gdy Kościół znosił święta, a lud ich bronił”. Kracik pokazuje jak zmieniał się Kościół w świecie na przestrzeni czasu, jak ewoluowała doktryna, stosunki Kościół – państwo, ale zajmuje się także przemianami w pobożności „oddolnej” – rozumieniu prawd wiary, wykształcaniu się na przestrzeni wieków chrześcijańskiej obyczajowości, relacjom między „szarym ludem Bożym” a klerem. j.s.

Wacław Kostrzewa: *Bile tango – Białe tango*. Przekład: Libor Martinek. Literature & Sciences, Opava 2004, s. 132.

Autor, urodzony w 1951 roku w Klimontowie na ziemi sandomierskiej, był górnikiem (później sztygarem) i pisał wiersze. Wydał trzy tomiki: „Ta jedyna”, „Uspokój moje wzburzone morze”, „Pragnienie”. „Bile tango – białe tango” jest autorskim wyborem wierszy z tych książeczek wydanym bardzo starannie w wersji dwujęzycznej, czeskiej i polskiej. Dominuje w tym zbiorze poezja miłosna, śmiała, sensualistyczna. Ale są też wiersze związane z ważnymi dla autora miejscami. A są to jego strony rodzinne i ziemia, gdzie mieszka obecnie. Stąd powracające w tych utworach swojsko brzmiące nazwy: Kobiór, Jezero Goczałkowickie, Miedźna. Pisz Kostrzewa: *Dwie rzeki / płyną we mnie / dziś / Pszczynką popłynę do Pszczyny / jutro / Wisłą do Sandomierza*. Lekcja geografii dla sąsiadów z południa. bw.

Yann Martel: *Historia rodziny Roccamatio*. Przekład: Rafał Śmietana. Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2004, s. 188.

*Pisałem dalej. Nim zająłem się prozą, popelnilem kolejną sztukę – absurdystyczny pastisz – okropny. Napisałem kilka opowiadań – wszystkie złe, potem powieść – również złą, i jeszcze parę opowiadań – żadnego z nich nie można nazwać dobrym. Jak na fragment odautorskiego wstępu, mającego zachęcać do lektury, tekst dość nietypowy. On to jednak sprawił, że zainteresowałem się wyborem złożonym z czterech jego wcześniejszych opowiadań, czego bynajmniej nie żałuję. Poza tytułową *Historią*... znalazły się w książce jeszcze: *Gdy usłyszałem koncert Johna Mortona ku czci szeregowca Donalda J. Rankina na smyczki i dysonujące skrzypce*, *Ostatnie godziny: warianty oraz Wytwórnia Luster Vita Aeterna*. *Lustra na całą wieczność*. Opowieści są równie intrygujące jak ich tytuły. Warto więc po nie sięgnąć. j.s.*

Aneta Kielan: *Przystań*. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2005, s. 64.

Młoda autorka jest absolwentką Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości i studentką Akademii Ekonomicznej. Te kierunki niezbyt „rzymują się” z uprawianiem poezji. A przecież jest w jej wierszach to „coś”, co świadczy o wrażliwości widzenia, umiejętności budowania poetyckich obrazów. „Przystań” to drugi tomik Kielan. Jeszcze dość nierówny, być może nie zaszkodziłaby surowsza selekcja (ale to uwaga raczej do redaktora wyboru Jacka Lubarta-Krzysicy). Wiersze nastrojowe, budowane przy pomocy bardzo oszczędnych środków. Jak choćby ten: *Świeca się tli / choinka ubrana / z kuchni dobiega / zapach barszczu / przy echu kołód / marzeń przybywa / i myśli o tych / których tu nie ma.* fp.

Frank Cottrrell Boyce: *Miliony*. Przekład: Zbigniew Batko. Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2005, s. 260.

Tytuł jest lekką przesadą. Bo naprawdę chodzi o dwieście dwadzieścia dziewięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt funtów szterlingów. Ale i tak to suma całkiem pokaźna, zwłaszcza że „spada z nieba” dwóm chłopcom – Anthonemu i Damianowi. Wiedzą oni dobrze, iż nie można za pieniądze kupić miłości ani szczęścia, z drugiej jednak strony dobrze wiedzieć, że za ten niespodziewany dar losu można nabyć np. 15 390 modeli samochodów wyścigowych Micro Turbo. Albo 5736 stołowych maszynek do kręcenia cukrowej waty. Nielatwo w każdym razie wydać takie pieniądze, nawet jeśli się jest uczniem już V klasy. I tylko tyle, bo dalsze streszczanie tej zabawnej książki byłoby odbieraniem czytelnikowi przyjemności jej czytania. A tego przecież w miesięczniku społeczno-kulturalnym robić nie należy. b.w.

Leonard Cohen: *Piękni przegrani*. Przekład: Anna Kolińska. Wydawnictwo „Sic!”, s. 246.

Leonard Cohen, poeta i pieśniarz kanadyjski, ma rzeszę fanów na całym świecie. Już któreś pokolenie zachwycę się jego piosenkami – muzyką oraz tekstami, charakterystycznym głosem. Ale Cohen powieściopisarz – to zupełnie inna sprawa. „Pienkni przegrani” nie należą bowiem do lektur łatwych. Trójkątem miłosny należy wprowadzić do „odwiecznych” tematów literackich, ten jednak akurat jest dość zwariowany, ponieważ tworzące go osoby – narratora, jego żonę i szalonego (a może nienormalnego) przyjaciela łączą nie tylko erotyczne, skomplikowane związki. Jest jeszcze Katarzyna Tekakwita, indiańska święta z XVII wieku, której postać czcżą, a w każdym razie usiłują zrozumieć. W ten sposób książka zyskuje dodatkowy wymiar – pozwala na osadzoną w historii refleksję na temat upadków cywilizacji z odniesieniami do dnia dzisiejszego, kultury masowej itd. Wiele lat temu fragmenty tej powieści wydrukowano w „Literaturze na Świecie”. Musiała się więc też ukazać w jakimś wcześniejszym wydaniu książkowym. I przeszła wtedy bez echa. Teraz też będzie to raczej publikacja dla koneserów. b.w.

***trochę zostawić Bogu. Z Wacławem Oszajcą SJ rozmawia Jarosław Makowski*. Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2004, s. 176.**

Pasjonujący, bez przesady, wywiad ze znanym duszpasterzem, zakonnikiem, poetą. Rozmowa koncentruje się wokół trzech wątków: ślubów zakonnych (posłuszeństwo, czystość, ubóstwo), cnót chrześcijańskich (wiera, nadzieja, miłość) oraz siedmiu grzechów głównych. Wacław Oszajca SJ odpowiada na pytania bardzo ciekawe, czasem trudne. Np. Czy ksiądz może się nie zgadzać z własnym biskupem? Czy ludzkie ciało jest siedliskiem grzechu? Czy pycha może być pożyteczna? Dlaczego klerycy powinni czytać Szekspira i Dostojewskiego? Ostatnio bardzo modne są wśród czytelników rozmaite poradniki z cyklu „jak żyć?” Ta książka nie daje żadnych gotowych recept, a przecież w jakiś sposób na tanto pytanie odpowiada. Pomaga po prostu zrozumieć, wybrać, bo taka jest zawsze nasza korzyść wyniesiona z rozmowy z mądrym człowiekiem. j.s.

Dlaczego w Chorzowie, ale w Wodzisławiu?

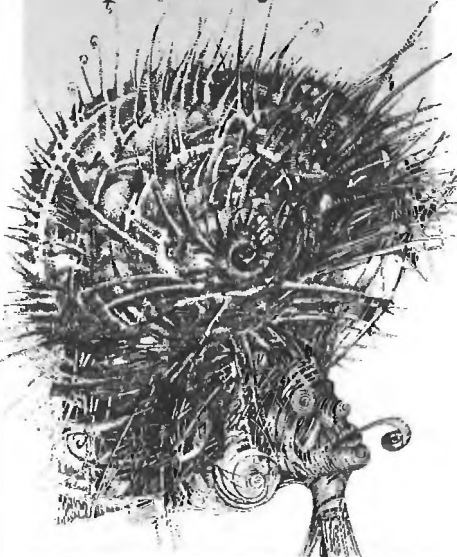
- Każdego racjonalnie myślącego współczesnego Polaka musi intrygować niekonsekwencja w traktowaniu gramatycznym nazw miejscowych typu *Chorzów, Radzionków, Sieraków, Janów, Wodzisław, Wrocław, Jarosław*. Dlaczego - mimo tej samej stojącej na ich końcu spółgłoski „w” - w wypadku czterech pierwszych form obowiązuje odmiana *Chorzowa - Chorzowowi - Chorzowem - w Chorzowie, Radzionkowa - Radzionkowowi - Radzionkowem - w Radzionkowie, Sierakowa - Sierakowowi - Sierakowem - w Sierakowie, Janowa - Janowowi - Janowem - w Janowie*, a w wypadku trzech kolejnych *Wodzisławia - Wodzisławowi - Wodzisławiem - we Wrocławiu, Jarosława - Jarosławowi - Jarosławem - w Jarosławiu*!

Bez analizy historycznej wytłumaczyć się tej różnicy deklinacyjnej nie da. Trzeba więc sobie uświadomić, że *Chorzów - pierw. Charzew, Radzionów, Sieraków - pierw. Siraków* czy *Janów* to z pochodzenia tzw. dzierzawcze nazwy miejscowe, utworzone przyrostkiem *-ów* od dawnych imion osobowych *Charz* (to najprawdopodobniej zdrobnienie od *Zachariasza*), *Radzionek, Sirak* i *Jan*.

Nazwami dzierzawczymi są także *Wrocław, Jarosław* i *Wodzisław*, tyle że utworzonymi archaizmem, niezachowanym do czasów piśmienniczych przyrostkiem *-j* (następował po nim jeszcze tzw. *jer miękki*, czyli prasłowiańska półsamogłoska). Oto funkcjonowały imiona *Wrocisław* („ten, który miał wrócić sławę albo sławny”) - w skróconej wersji *Wrocław* oraz *Jarosław* (*Jar* - „surowy, ostry”), odmieniane tak jak *Wacław* czy *Bolesław*, czyli *Wrocława, Wrocławowi, Jarosława, Jarosławowi*. Gród *Wrocław* i gród *Jarosława* to były *Wrocławj* i *Jarosławj*. Jak już wspomniałem, przyrostek *-j* się nie zachował, ale zostawił ślad w postaci zmiękczonej spółgłoski przed nim występującej. Do XVIII wieku były to więc *Wrocław’* oraz *Jarosław’* - z miękkim „w” na końcu. Ale miękkość ta zanikła i w pierwszym przypadku *Wrocław* i *Jarosław* zrównały się w wygłosie z postaciami *Chorzów* czy *Janów*. Jedynym śladem dawnego przyrostka *-j* i miękkiego wygłosowego „w” są dzisiaj tylko przypadki zależne z miękkim „w”: *Wrocławia - Wrocławowi - Wrocławiem, Jarosława - Jarosławowi - Jarosławie*, w szóstym przypadku - *we Wrocławiu, w Jarosławiu* (jak przy miękkotematowych rzeczownikach, np. o koniu, o liściu, o tatusiu).

Wodzisław muszę potraktować oddzielnie, bo tkwi w nim jeszcze jeden niezwykle archaizm, a mianowicie pierwotna postać imienna *Włodzisław* (*włodzi, od włodać - „władać, panować, rządzić”*), która dopiero później - pod wpływem fonetyki czeskiej - zmieniła się w dzisiejszego *Władysława*. Tak jak *Wrocław* i *Jarosław* utworzono nazwę górnośląskiego grodu przyrostkiem *-j* od imienia *Włodzisław*, które nosił książę raciborsko-opolski. Identyczne procesy doprowadziły ją do współczesnej odmiany

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

według wzoru rzeczowników miękkotematowych.

A dlaczego dawny *Włodzisław* przekształcił się ostatecznie w *Wodzisław*? - Tu z kolei dał o sobie znać mechanizm tzw. hiperpoprawności, czyli przesadnej poprawności językowej. Ponieważ za typowo gwarową uchodzi wymowa typu *łokno, łobroz, łojczyzna* (*okno, obraz, ojczyzna*), absolutnie poprawny i uzasadniony etymologicznie *Włodzisław* zmieniono na „lepszy” *Wodzisław* i to brzmienie jest dzisiaj obowiązujące.

Pierwotne staropolskie *-to* - w *Wodzisławiu* potwierdza też niemiecki substytut tej nazwy - *Loslau*. Z miasta tego pochodził kupiec żydowski Chajim Wolfsson, który już jako mąż zaufania gminy żydowskiej i deputowany Rady Miejskiej Wrocławia znany był jako Heyman Lassal. To nowe nazwisko nawiązywało do niemieckiego brzmienia jego rodzinnego miasta.

Synem zaś Lassala był wybitny niemiecki socjalista, założyciel pierwszej niemieckiej partii robotniczej - Ferdinand Lassalle (1825-1864), urodzony i pochowany we Wrocławiu. On z kolei - jak widzimy - swemu nazwisku nadał postać francuską.

O mieszkańcach Kamionki i Tychów

Mówiłem już wiele razy w swej telewizyjnej „Ojczyźnie polszczyźnie”, że kiedy - dajmy na to - mieszkańcy Wronek czy Lipna posługują się wariantami przymiotnikowymi *wronecki - wronecki - wronkowski, lipieński - lipnowski*, to albo pozostają wierni tradycji, wybierając postacie *wronecki, wronecki, lipieński*, albo posługują się formami młodszymi *wronkowski, lipnowski*, które są dla mnie komunikatywniej-

sze, bo kryją w sobie niezmienione brzmienia podstaw słowotwórczych *Wronki, Lipno*.

Kilka tygodni temu pewna młoda osoba z *Krzyża Wielkopolskiego*, mieszkająca w nim od niedawna, wyraziła w liście do mnie swe przeogromne zdziwienie brzmieniem przymiotnika *krzyski*, w tamtych stronach oczywistym. Podkreślając siłę tradycji, motywując postać *krzyski*, przywołałem *Góry Świętokrzyskie, ulicę Świętokrzyską i bazylikę Świętokrzyską* - z serią identycznych dawnych derywatów pochodzących od rzeczownika *krzyż*. Dopiero młodsza droga *krzyżowa* - uświadomiłem to telewizorowi - kryje w sobie przymiotnik z przyrostkiem *-owy*, nieporęczającym z sobą konieczności wymian głoskowych.

Brak jakichkolwiek alternacji w ciągu morfologicznym *Zabrze - zabrzaniin - zabrzanka - zabranie - zabrzański* zawsze każe mi go uznać za lepszy niż ten z formą *zaburski*, w dodatku trudną do wymówienia (zbitka aż czterech spółgłosek!).

A skoro już się tutaj pojawił *zabrzaniin...* - Wiadomo, że najbardziej typowym przyrostkiem, za pomocą którego stworzymy od nazw miejscowych odpowiednie przymiotniki, jest cząstka *-anin*: *zabrzaniin* od *Zabrze* - tak jak *chorzowianin* od *Chorzowa*, *bytomianin* od *Bytomia* czy *rybniczaniin* od *Rybnika* (dodajmy, że ów przyrostek miał pierwotne brzmienie *-janin*, a nagłosowe *-j* musiało miękczyć poprzedzające je spółgłoski, stąd - *chorzowianin, bytomianin* czy *rybniczaniin*, a nie „chorzowanin”, „bytomanin” i „rybnikanin”).

Zauważmy jednak, że nieraz między owym przyrostkiem *-anin* a rdzeniem nazwy miejscowej pojawia się w nazwie mieszkańca spółka *-ow-*, np. *tychowianin* - „mieszkaniec Tychów”. Dzięki niej pienna część danej nazwy (w tym wypadku *Tych*) zachowuje swoje brzmienie w nienaruszonym stanie. To dlatego absolutnie poprawna forma *tyzaniin*, którą nieraz tu i ówdzie słyszę, przegrywa z wariantem *tychowianin*, polecanym jako wyłączny we wszystkich współczesnych słownikach.

Gdy mnie więc pyta Pan Adrian A. Jolko z Mikołowa, przygotowujący materiały do monografii historycznej Kamionki (obecnie dzielnicy Mikołowa), który wariant wybrać spośród mozaiki nazw mieszkańców: *kamionkowiec, kamionczanin, kamionkowicz, kamionkowiak*, odpowiadam następująco: Strukturalnie nie do zaakceptowania są *kamionkowiec* i *kamionczanin* i w liczbie mnogiej *kamionkowiacy* to brzmienie poprawne, ale potoczne, takie jak *chorzowiac* - *chorzowiaczy* czy *bytomiac* - *bytomiaczy*.

Dwa warianty mają stylistyczny status form oficjalnych: *kamionkowiec* oraz *kamionczanin*. Ten ostatni absolutnie odpowiada postaciom typu *rybniczaniin, prudniczanin, porąbczanin* - utworzonym od *Rybnika, Prudnika* i *Porąbki* (z konieczną wymianą *k* na *cz*). *Kamionkowiec* i w liczbie mnogiej *kamionkowiec* natomiast przylegają morfologicznie do brzmień *tychowianin, tychowianie*: dzięki spółce *-ow-* nie dochodzi w tych formach do jakichkolwiek wymian głoskowych. Z punktu widzenia współczesnej motywacji słowotwórczej są więc one najracjonalniejsze i najbardziej komunikatywne. Dlatego za nimi się opowiadam!

Kolekcja wrocławska Jerzego Dudy Gracza

Kim jest ten zapobiegliwy wrocławski kolekcjoner, przyjaciel niedawno zmarłego artysty, który zgromadził łącznie ponad sto jego prac, a jest to największy ich zbiór skupiony w jednym miejscu nie licząc oczywiście katowickiego domu Jerzego Dudy Gracza. Kim jest - nie zostało ujawnione przez organizatorów jego pierwszej wystawy pośmiertnej, którą zaprezentowało w dniach 8 stycznia - 13 lutego Muzeum Miejskie we Wrocławiu. Sam fakt, iż wrocławski kolekcjoner, który ze zrozumiałych względów postanowił pozostać osobą anonimową, wypożyczył 90 obrazów na tę ekspozycję, świadczy chlubnie nie tylko o jego artystycznej pasji, ale i misji prawdziwego kolekcjonera dzieł sztuki, skoro udostępnił do publicznej prezentacji swą unikatową kolekcję. Mało tego, wyraził także zgodę, by po wystawie wrocławskiej została także zaprezentowana w Muzeum Śląskim.

Należą się słowa uznania dyrektorowi muzeum Lechowi Szarańcowi, który tak sprawnie doprowadził do przeniesienia wrocławskiej ekspozycji do Katowic. A właśnie w tym czasie - 20 marca - wypadły 64. urodziny Jerzego Dudy Gracza. Zresztą Muzeum Śląskie było zawsze mocno zaangażowane w prezentację jego dorobku. To przecież w jego salach doszło do panoramicznej prezentacji dzieł artysty w roku 1996. Pięć lat później - nie bez gestów demonstracyjnych - miało miejsce kolejne ważne wydarzenie: jubileuszowa wystawa Jerzego Dudy Gracza z okazji 60. urodzin. Przez sale Muzeum Śląskiego przetoczyły się wtedy tłumy, choć dało się także zauważyć kto się z różnych powodów nie pojawił. Nie było i wówczas ani później tajemnic, że ten wybitny twórca, związany z Katowicami od czasów studiów, które ukończył w 1968 roku, w miarę upływu czasu był coraz mniej w pewnych kręgach i miejscach - właśnie „u siebie” - akceptowany i miał niemało osób nieprzyjaznych w macierzystym środowisku.

Tak to jednak bywa, gdy świadomy swej miary i wartości dorobku, a przy tym ciszący się szczególnym wzięciem artysta, osiąga w krótkim czasie tak wyjątkową, dominującą pozycję artystyczną, którą potwierdza na dodatek rynkowa wartość prac. A Jerzy Duda Gracz był przy tym z natury człowiekiem hardym i niezależnym, który nie schodził pokornie z drogi swoim konkurentom i antagonistom, zaś pióro miał walczyk. Jednak w ostatnich kilkunastu latach już nie reagował na zaczepki a nawet bojkot własnej osoby, bez reszty zajęty narzuconymi sobie tytanicznymi wręcz zadaniami. Twórca potężnych 18 płócien sławnej Golgoty Jasnogórskiej, która jako autorskie wotum została umieszczona na stałe podczas imponujących uroczystości w roku 2001 w górnej części zabudowań Kaplicy Cudownego Obrazu, podjął w następnym rzucie realizację potężnego cyklu malarskiego na kanwie inspiracji muzyką Chopina. I tak powstało w kolejnych latach łącznie 289 obrazów tego gigantycznego cyklu, co samo w sobie wydaje się nieprawdopodobne nawet ze względu na swoją monotematyczność. A przecież tak ogromnego zadania podjął się artysta po skomplikowanej operacji serca... i doprowadził je do końca, jeśli przyjąć, że nagła śmierć podczas pleneru w Łagowie nastąpiła, gdy artysta zamykał już ostatnie wielkie dzieło życia.

Pozostawił po sobie dorobek imponujący, o wielkiej wartości. Łącznie około 3000 prac, z których każda opatrzona jest datą i kolejnym numerem. Pod tym względem Duda Gracz wyróżniał się wręcz pedantyczną dbałością: każdy obraz sygnował, z wielką starannością prowadził również dokumentację swojego dorobku a łączna bibliografia publikacji o nim i jego twórczości to ponad 500 pozycji.

Rozległe a przy tym wielce zróżnicowane dzieło tego niezwykle wydajnego artysty trzeba oceniać uwzględniając zarówno wyjątkowo obfity dorobek powstały w okresie 36 lat pracy twórczej, ale i kolejne fazy jego twórczości, które dadzą się wyznaczyć nie tyle w oparciu o warsztatowe przewroty i rewizje programowe, co w odniesieniu do przemian postawy wobec otaczającego świata, a te w pełni oddaje jego sztuka. Jeśli w okresie wczesnych lat twórczości z okresu „burzy i naporu” Jerzy Duda Gracz rozprawiał się z Polską i polskością w zjadliwych, demaskatorskich obrazach, które były jednocześnie świadectwem ambiwalentnej postawy wobec jej urojeń i mitów - jego ideowymi przewodnikami są w tym czasie Wyspiański, Witkacy, Gombrowicz i Mrozek... z czasem stanie się malarzem polskiej prowincji i jej krajoobrazów w tonacjach lirycznej kontemplacji przy użyciu wygaszonej palety barw. Lecz jeszcze długo kojarzony będzie z tak szokującymi płótnami jak słynni „Jeźdźcy Apokalipsy, czyli fucha”; obraz nawiązujący do znanej „Trójki” Chełmońskiego, ale o jakże drastycznej, szyderczej wymowie, na którym trójka rozpędzonych robotli zaprzężona do betoniarci pędzi w obłędzie przed siebie.

Wystawa obrazów Jerzego Dudy Gracza z kolekcji wrocławskiej w Muzeum Śląskim nie prezentuje oczywiście jego twórczości w artystycznym przekroju. Dobór eksponowanych prac wynika z zasobów zgromadzonych przez wrocławskiego kolekcjonera, zaprezentowanych często w bardzo okazałych, nawet wystawnych ramach, co też nadaje ekspozycji charakter na swój sposób osobisty i prywatny. Oś wystawy akcentującą jej główne przesłanie - a więc „Pro memoria”, wyznaczają dwa płótna z domowej kolekcji artysty: znany autoportret „Ora et colabora” z roku 1982, obraz o wieloznacznej wymowie, w którym krzyżują się cechy zjadliwej autoironii i moralnego samosądu z poczuciem rozdrowienia i zagubienia. Ten obraz zawieszony nad wejściem do sali kontrastowany został z wiszącym naprzeciw portretem żony Wilmy

(rok powstania - 1983), która w długiej czarnej sukni, ze skrzyżowanymi rękami, patrzy obolała przed siebie. Emocjonalna relacja między tymi obrazami ma przejmującą wymowę i ujawnia głęboki dramat artysty, który od tego czasu - a jest to szczytowy okres stanu wojennego - coraz głębiej przenika jego nasyczone emocjami osobistymi malarstwo o czelnych skojarzeniach z życiem polskim.

Zrab kolekcji wrocławskiej, świadczącej także o upodobaniach jej właściciela stanowią obrazy polskiej prowincji, w tym ze znakomitego cyklu jurajskiego, którą poprzez pejzaz i sugestywne sceny rodzajowe Jerzy Duda Gracz odkrył w połowie lat osiemdziesiątych. Wyprawia się odtąd nieustannie gdzieś w Polskę na malarskie plenery... a jak rozległe ilustrują sygnatury pod obrazami, do których przypisanych jest kilkanaście miejscowości. Te obrazy, które kojarzone są z nawiązaniami do takich mistrzów i malarzy polskich krajoobrazów, jak Chełmoński, Wojtkiewicz, Wyczółkowski, Gierymski i Jacek Malczewski, są świadectwem zauroczenia dawną polską prowincją parafialno-gminną, która już przemija. W tym kolorystycznie rozgrywają się także jego rzewne bądź groteskowe sceny polskie, gdzie na prawach widzialnych zjaw nachodzą ludzi widma w rogatywkach, ulańskich czakach i hełmach z martyrologicznej narodowej przeszłości. Bo z tych obsesji nie uwolni się nigdy.

Powiedzmy w zakończeniu jeszcze i to, co wymaga artykulacji w trybie pilnym a zdecydowanym w tonie. Wrocław dzięki zapobiegliwości miejscowego kolekcjonera dysponuje dużym blokiem prac Jerzego Dudy Gracza. A Katowice, gdzie ponad 40 lat żył, tworzył i spoczął w rodzinnym grobie? Czy nie jest możliwe, by właśnie tutaj, w oparciu o cenne zbiory domowe artysty, powstała jego rozległa autorska galeria? Był czas, gdy dzięki władzom Bytomia galeria taka została utworzona w Bytomiu. Niestety, w atmosferze politycznej lustracji spowodowanej przez doktrynę artysty wycofał z niej swe prace. Tym razem sytuacja wymaga taktu, zdecydowania i zapobiegliwości. Trzeba uczynić wszystko, by w Katowicach powstała stała galeria tego wielkiego twórcy. A chodzi przecież o fenomen malarza, który jako „artystyczne zjawisko bardzo wybitne” (słowa Jerzego Nowosielskiego) mógł jednocześnie liczyć na zainteresowanie znawców i koneserów, ale i szerokich kręgów odbiorców ze wszystkich środowisk. Należy podjąć takie starania póki czas, zanim ubiegna nas inni.

TADEUSZ KIJONKA

W niedzielę, 20 marca przed południem odbyło się w Muzeum Śląskim spotkanie osób z kręgu przyjaciół Jerzego Dudy Gracza z okazji 64. rocznicy urodzin. Wszystkim obecnym w tym dniu w otoczeniu jego obrazów, które zyskały w tych okolicznościach inną perspektywę, udzielił się nastrojny skupienia w akcie „pro memoria”. Pięknym zwieńczeniem tego spotkania było wykonanie kilku pieśni Chopina przez Joannę Ryszałę-Wisniewską (akompaniował Piotr Wisniewski). Można było po tym jeszcze raz wrócić do kilku obrazów artysty dedykowanych Chopinowi. Jak widać - Katowice pamiętały.



Obraz 2784 (cykl „Chopinowi” – Polonez), 2002



Obraz 1780 (Polska – Maj 2), 1995



Obraz 1331 (Wież Brzegi – Skowryowie odchodzą – matka), 1989



Obraz 2890 (Kamion – Etiuda jesienna) 2003



Obraz 1554 (Gmina Zakopane – Witkacemu; Błękitna Heloiza), 1993

Powrót Holtzego

9 marca 2005 roku przy ulicy Mickiewicza odsłonięte zostało popiersie wraz tablicą pamiątkową poświęcone doktorowi Richardowi Holtze. Popiersie zostało wmurowane we frontową ścianę dawnej łaźni miejskiej, obecnie siedziby PZU.

Aktu odsłonięcia dokonali przedstawiciele władz samorządowych Katowic z prezydentem Piotrem Ushokiem na czele.

Dodać trzeba, że z początkiem XX wieku, przed tym budynkiem na cokole stało popiersie Richarda Holtzego, w ten sposób powróciło po stu latach na swoje miejsce.

Richard Holtze (1824-1891) był jednym z twórców Katowic, inicjatorem rozkwitu miasta. Był Ślązakiem, urodzonym 9 lutego 1824 roku w Belku na ziemi rybnickiej. Z wykształcenia był lekarzem. Po studiach osiadł w Katowicach. Otrzymał stanowisko radcy sanitarnego w katowickim magistracie.

Po kilku latach poślubił córkę Friedricha Wilhelma Grundmanna – wówczas czołowej osobistości Katowic.

Po uzyskaniu przez Katowice w 1865 roku praw miejskich, Richard Holtze został przewodniczącym pierwszej rady miejskiej.

Był założycielem parafii ewangelickiej i pierwszym prezesem Związku Przemysłow-



Richard Holtze

ców, organizatorem Związku Sztuki i Wiedzy, Towarzystwa Muzycznego i Towarzystwa Pożytkowego, jak również pierwszym przewodniczącym katowickiej loży masonskiej „Światło na Wschodzie”. W 1871 roku założył pierwsze gimnazjum miejskie, oraz działał na rzecz intensywnego rozwoju szkolnictwa. Z okazji 25-lecia swojego doktoratu otrzymał od spo-



Popiersie i tablica pamiątkowa Richarda Holtze została wmurowana we frontową ścianę dawnego budynku Łaźni Miejskiej.

czeństwa miasta wysoką nagrodę, którą przeznaczył na budowę basenu w Łaźni Miejskiej. Jako lekarz cieszył się dużym zaufaniem swoich pacjentów. Sprawował także opiekę nad pierwszym miejskim szpitalem utworzonym w 1871 roku. Był również działaczem politycznym – z ramienia partii narodowo-liberalnej został posłem do sejmiku pruskiego.

Richard Holtze zmarł nagle 27 stycznia 1891 roku. Spoczął na dawnym, nieistniejącym już cmentarzu ewangelickim przy ulicy Damrota (w sąsiedztwie obecnego gmachu Biblioteki Śląskiej).

Przed wojną dzisiejsza ulica Mariacka nosiła imię Richarda Holtzego.

Był Holtze autorem historii – kroniki Katowic, którą, po jego śmierci ukończył Georg Hoffmann.

Chcąc bliżej poznać kronikę Katowic spisaną przez Richarda Holtzego warto sięgnąć do „Ziemi Śląskiej” tom 5, wydanej w 2001 roku przez Muzeum Śląskie w Katowicach.

(wk)

**ZNAKI
I TWARZE
MIASTA**



Aktu odsłonięcia popiersia i tablicy pamiątkowej poświęconej Richardowi Holtzemu dokonali przedstawiciele władz samorządowych Katowic.



W uroczystości wzięli udział przedstawiciele katowickiego magistratu z prezydentem Piotrem Ushokiem na czele i przewodniczącym Rady Miejskiej Jerzym Forajterem.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



O tego numeru miesięcznik „Śląsk” poszerzony będzie o ukazujący się w tym miejscu pod stałą winiętą Wojewódzki Informator Kulturalny (WIK), zawierający miesięczne repertuary teatrów, filharmonii i orkiestr symfonicznych a także oferty muzeów, salonów i galerii wystawowych oraz ważniejszych placówek kulturalnych z obszaru całego województwa. „Śląsk”, który poprzez sieć RUCH S.A., Kolportera i wybranych księgarni a także stałych prenumeratorów ma zasięg obejmujący liczne punkty, adresy i instytucje województwa śląskiego, może okazać się dobrym pośrednikiem w dostępie do kalendarza zapowiadanych imprez i kulturalnych wydarzeń kolejnego miesiąca. Dysponując co miesiąc nowym numerem „Śląska” możemy mieć zbiorczy przegląd ofert repertuarowych i programowych, a więc na bieżąco orientować się co, gdzie i kiedy godne jest obejrzenia i uczestnictwa.

WIK to ważne wzmocnienie i poszerzenie funkcji informacyjnych „Śląska”. To także dokument życia kulturalnego w województwie śląskim - co miesiąc, dzień po dniu.

Zapewne uda nam się wypracować z czasem pełniejszą i bogatszą formułę Wojewódzkiego Informatora Kulturalnego, jako wynik poszerzonych kontaktów i propozycji, na co bardzo liczymy, prosząc o uwagi i korekty. Ze względu na WIK i jego informacyjne funkcje, będziemy dążyć do tego, by „Śląsk” był do nabycia w kasach instytucji artystycznych i w placówkach kulturalnych województwa. Liczymy na zainteresowanie i współpracę.

Tadeusz Kijonka

Festiwal prawykonń

KATOWICE

NOSPR zaprasza na wydarzenie, które zamieni Katowice w muzyczną stolicę Polski

W dniach 8-10 kwietnia odbędzie się festiwal Polska Muzyka Najnowsza - Festiwal Prawykonń, którego organizatorem jest Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach. Pomysłodawcą festiwalu jest dyrektor NOSPR, Joanna Wnuk-Nazarowa. Siedem koncertów (w tym dwa kameralne) w trzydniowym cyklu sprawi, że Katowice - stolica Śląska - staną się muzycznym centrum Polski. Ideą przyświecającą całemu przedsięwzięciu jest zapoznanie słuchaczy z najnowszymi dokonaniem trzech pokoleń polskich kompozytorów współczesnych. Trzydziestu twórców zaprezentuje swoje najświeższe dzieła, od kompozycji na klasyczne składy po utwory zawierające warstwę elektroakustyczną. Wszystkie kompozycje zostaną wykonane po raz pierwszy w Polsce, a niektóre z nich - także na świecie. Znaczące miejsce wśród nich zajmą dzieła kompozytorów śląskich. Na scenie pojawią się, obok Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, AUKSO - Orkiestra Kameralna Miasta Tychy, Zespół Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia, Kwartet Śląski, Chór Polskiego Radia w Krakowie oraz szereg znakomitych solistów. Wystąpią także pedagodzy i absolwenci Akademii Muzycznej w Katowicach.



Sacrum in musica

BIELSKO-BIAŁA

VI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej na Podbeskidziu

Ten festiwal wpisał się już na trwałe do kalendarza muzycznych imprez. Kiedy przed laty Bielskie Centrum Kultury wspólnie z Klubem Inteligencji Katolickiej zainaugurowali Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, organizatorom nie marzyło się festiwałe. Tymczasem towarzyszące imprezie koncerty zyskały ogromną popularność i tak zrodził się międzynarodowy festiwal. Tegoroczny jest już szósty. Inauguracja - 17 kwietnia. Podczas kolejnych czterech dni miłośnicy wysłuchają koncertów muzyki żydowskiej, chorałów gregoriańskich, festiwal zakończy (21.04) koncert muzyki gospel, w którym wystąpi Johnny Thompson Singers.

ścijańskiej, organizatorom nie marzyło się festiwałe. Tymczasem towarzyszące imprezie koncerty zyskały ogromną popularność i tak zrodził się międzynarodowy festiwal. Tegoroczny jest już szósty. Inauguracja - 17 kwietnia. Podczas kolejnych czterech dni miłośnicy wysłuchają koncertów muzyki żydowskiej, chorałów gregoriańskich, festiwal zakończy (21.04) koncert muzyki gospel, w którym wystąpi Johnny Thompson Singers.



„Aida” - najlepsze przedstawienie ubiegłego sezonu - Opera Śląska

Złote Maski

BYTOM

To już po raz 37. twórcy teatru odbiorą prestiżowe nagrody - „Złote Maski”, przyznawane przez dziennikarzy województwa śląskiego. Statuetki autorstwa Zygmunta Brachmańskiego trafią do najlepszych aktorów, reżyserów, choreografów, kompozytorów... Tegoroczne uroczystości odbędą się - jak nakazuje zwyczaj - w teatrze, który przed rokiem odebrał laur za najlepsze przedstawienie. Wszyscy pamiętamy - była to „Aida” Giuseppe Verdiego, w reżyserii Laco Adamika w Operze Śląskiej. Tak więc „Złota gala”, feeria emocji i wzruszeń już w poniedziałek, 4 kwietnia o godz. 18.00 na gościnnej bytomskiej scenie. W uroczystym koncercie wystąpią: soliści, chór, balet, orkiestra Opery Śląskiej pod dyktando Tadeusza Serafina, a poprowadzą go: Joanna Kściuczyk-Jędrusik i Jacynt Jędrusik.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA

PAŁAC MIEROSZEWSKICH

ul. Świerczewskiego 15

tel./fax 267-77-07

MUZEUM ZAGŁĘBIA

ZAMEK

ul. Zamkowa 1

tel. 267-47-31

TEATR

DZIECI ZAGŁĘBIA

ul. Teatralna 4

tel. 267-36-25

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA MIEJSKA BWA

ul. 3 Maja 11a

tel. (33) 812-58-61

MUZEUM

W BIELSKU-BIAŁEJ

ZAMEK SUŁKOWSKICH

ul. Wzgórze 16

tel. (033) 822-06-56

TEATR POLSKI

ul. 1 Maja 1

tel. (033) 822-84-53

TEATR LALEK

BANIALUKA

ul. A. Mickiewicza 20

tel. (033) 815-09-15

**BIELSKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. J. Słowackiego 27
tel. (033) 828-16-40

KSIĄŻNICA BESKIDZKA
ul. J. Słowackiego 17a
tel. (033) 822-82-21

BYTOM

GALERIA „KRONIKA”
Rynek 26
tel. 281-81-33

GALERIA „OD NOWA II”
ul. Dworcowa 25
tel. 787-15-57

**MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
GMACH GŁÓWNY**
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94

**ODDZIAŁ MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIEGO**
ul. Korfańskiego 34
tel. 281-97-33

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-34-31

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53

**BYTOMSKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 389-31-09/10

CIESZYN

**MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO**
ul. T. Regeera 6
tel. (033) 852-15-77

**TEATR
im A. MICKIEWICZA**
Plac Teatralny 1

**CIESZYŃSKI
OŚRODEK KULTURY -
DOM NARODOWY**
Rynek 12
tel. (033) 851-25-20



WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
BWA**

Czynna codziennie
z wyjątkiem poniedziałków
godz. 10.00 - 18.00
ceny biletów:
12 zł - 15 zł, grup. 9 zł

**Leonardo da Vinci
geniusz i jego maszyny**
(wystawa czynna do 8.04)

15.04. piątek, godz. 17.00
wernisaż



PRZEGLĄD

Wystawa przygotowana została
w 2000 roku przez **Gerharda
Richtera** i **Götz Adriani** dla Insti-
tut für Auslandsbeziehungen
(IFA) w Stuttgarcie.

W skład wystawy wchodzi 27
eksponatów, w tym 9 obrazów,
a pozostałe prace to grupa off-
setów i cibachromów. Jest to
wyjątkowy autorski wybór sta-
nowiący przekrój przez twór-
czość artysty. Tematy prezen-
towanych na wystawie prac sta-
nowią doskonałą reprezentację
zainteresowań twórczych Rich-
tera. Pojawiające się tutaj mo-
tywy przewijają się przez całą
jego twórczość.

**PAŁAC MŁODZIEŻY
GALERIA AKWARELA**

5.04. wtorek
godz. 17.30
wernisaż

**Mały nieustający tancerz
- Indianie wielkich prerii**

29.04. piątek
godz. 16.00
wernisaż

Kalendarz Pirelli 2005
Foyer sali teatralnej
Pałacu Młodzieży

MY WALK



Wystawa T. Gudzwatego
Galeria Marmurowa
8.04. piątek

Edward Lutczyn
„Święta, święta i po świętach”

**BIELSKO-BIAŁA
GALERIA ZAMKOWA**
6.04. środa, wernisaż
Trwanie
Ewy Kołodziejczak
- malarstwo olejne

CIESZYN
Cieszyński Ośrodek Kultury
GALERIA
czynna w dni powszednie
godz. 13.00-18.00
**Wystawa prac z pracowni
rysunku, malarstwa
i ceramiki Domu Narodowego**
19.04-30.04

**Pamięć Abrahama,
Izaaka, Jakuba...**
wystawa fotografii
Wiesława Radwańskiego

**CZĘSTOCHOWA
GALERIA
ART. FOTO**
Regionalnego Ośrodka Kultury
w Częstochowie
czynna: pon., śr., czw.
godz. 8.00-18.00
wt. i czw. godz. 8.00-15.00
ceny biletów: norm. 3,00 zł
ulg. 1,50 zł

8.04. piątek
**Pokonkursowa
wystawa fotografii
VIII Międzynarodowego
Konkursu Fotografii
Cyfrowej „Cyberfoto 2005”**

**MIKOŁÓW
GALERIA MDK**
Czynna pon.-pt. 8.00-20.00
1.04. piątek, godz. 18.00
wernisaż
Marta Jójko, Stanisław Grząba:
Fotografia
„Ze Wschodu na Zachód”

4.04. poniedziałek, godz. 18.00
Koncert muzyki renesansowej

**Zespół Muzyki Dawnej i Tańca
Historycznego**
„Capella Nicopolensis”

8.04. piątek
GALERIA PODRÓŻNICZA
Waldemar Niemiec:
Madagaskar
spotkanie z autorem

29.04. piątek, godz. 18.00
wernisaż
Dorota Korus:
Malarstwo, Grafika, Rysunek

**PSZCZYNA
PSZCZYŃSKIE
CENTRUM KULTURY**
23.04. sobota, godz. 17.00
wernisaż
Galeria „13”
Człowiek znikąd. Westerny
Józefa Kłyka

Prezentowane fotografie ilustrują
realizację filmowej trylogii „Sła-
kiem Bezprawia” („Człowiek Zni-
kąd”, „Full Śmierci”, „Wolny
Człowiek”) w latach 80. Pochodzą



z prywatnego archiwum filmowca
Józefa Kłyka z Pszczyny (rodem
z Bojszów). Zostały wykonane
przez obecne na planie osoby, czę-
sto zupełnie przypadkowe. Auto-
rem kolorowych fotografii jest
Tomasz Tomaszewski, obecnie
współpracownik „National Geo-
graphic”. Dopelnieniem zdjęć są ar-
tykuły prasowe z tego czasu, które
prezentują wrażenia przebywają-
cych na planie filmowym dzienni-
karzy z całego kraju.

*Żadne dzieło sztuki
nie szerzy poglądów.
Poglądy miewają ludzie,
którzy nie są artystami.*
Oscar Wilde

GALERIE

KATOWICE

MUZEUM ŚLĄSKIE

czynne: wt.-pt. 10.00-17.00
sob. i nd. 11.00-17.00
ceny biletów: normalny - 9 zł
ulgowy - 4,50 zł

Wystawy stałe:

Galeria Malarstwa Polskiego 1800-1939. (O. Boznańska, J. Chelmoński, J. Cybis, J. Malczewski, T. Makowski, W. Mehoffer, J. Pankiewicz...).

Po wiekach rozłąki.

80. rocznica powrotu Górnego Śląska do Polski

Wystawy czasowe:



Mity słowiańskie
w malarstwie Jerzego Przybyła
1.04 - maj 2005

Jest się



Anna Szpakowska-Kujawska
(II połowa kwietnia - II połowa czerwca)

Wędrowka do wnętrza
śląskich kamieni



Agaty ze zbiorów
Jana Rzymelki
(otwarcie 18.04)

Jak pisze Jan Rzymelka „Agaty to kamienie polne, najurodzajniejsze plody ziemi śląskiej. Przemawiają one pięknem, fascynują labiryntem krętych linii tworzących fantastyczne rysunki i niesamowitą grą barw naturalnych.

Jerzy Duda Gracz
PRO MEMORIA

- kolekcja wrocławska

Pierwsza w Katowicach pośmiertna wystawa prac Jerzego Dudy Gracza - niedawno zmarłego wielkiego artysty i zasłużonego pedagoga. Ekspozycja prezentuje około osiemdziesięciu obrazów olejnych. Wszystkie pochodzą z prywatnej kolekcji i powstały w latach 1983-2003. Prace obejmują wszystkie etapy twórczości, także ten ostatni, zwany umownie cyklem Chopinowskim, który jest reprezentowany kilkoma obrazami. (wystawa czynna do 10.04.)

Epoka Snów - Przebudzeni.
Sztuka Australijskich
Aborygenów

(wystawa czynna do 15.04.)
Złoty wiek broni palnej. Broń strzelecka XIX wieku (wystawa czynna do 15.04.)

MUZEUM
HISTORII KATOWIC
czynne: wt. i czw. 10.00-15.00

śr. i pt. 10.00-17.30,
sob. i nd. 11.00-14.00
ceny biletów: normalny - 6 zł
ulgowy - 3 zł, rodzinny - 10 zł
przewodnik - 15 zł
lekcja muzealna - 30 zł

Wystawy stałe:
W kamienicy mieszczańskiej
Codzienność i oświećność
- u sąsiadów na pokojach
i w kuchni

Wystawy czasowe:
Prywatna kolekcja z Poznania
Malarstwo polskie
Porcelana europejska

Wystawa prezentuje prywatną kolekcję malarstwa i porcelany Krystyny i Waldemara Organistów z Poznania. Kolekcja porcelany składa się z wyrobów najważniejszych manufaktur europejskich, głównie niemieckich, jako że to właśnie w Saksonii udało się wytworzyć pierwszą porcelanę europejską. Zbiór obejmuje zarówno naczy-



nia, jak i porcelanę figuralną, takich wytwórni, jak Miśnia, Berlin, Wiedeń, Plauen, Passau i Volkstedt a także fajanse z Eichwaldu.

W dziale malarstwa zdecydowanie przeważają dzieła artystów polskich XIX i XX wieku, reprezentowane przez najważniejszych przedstawicieli m.in.: Józefa Brandta, Henryka Epsteina, Juliana Fałata, Aleksandra Gierzyńskiego, Apoloniusza Kę-



dzierskiego, Romana Kochanowskiego, Juliusza, Wojciecha i Jerzego Kossaków, Alfreda Wierusza-Kowalskiego, Jacka Malczewskiego Józefa Mehoffera, Piotra Michałowskiego, Aleksandra Orłowskiego, Józefa Pankiewicza, Adama Setkowicza, Stanisława Sistrzeńciewicza, Franciszka Streitta, Adama i Jana Styków, Januarego Suchodolskiego, Zygmunta Rozwadowskiego, Włodzimierza Tetmajera, Wojciecha Weissasa, Leona Wyczółkowskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Ignacego Zygmunowicza i wielu innych.

Moniki Hartman malarstwo,
grafika, rysunek

Monika Hartman. „... nasza percepcja nie pozwala na ujęcie wszystkich aspektów bytu. Możemy je tylko intuicyjnie przeczuwać. Moje prace zaś są, w większości przynajmniej, za-

KSIAŻNICA CIESZYŃSKA

ul. Mennicza 46
tel. (033) 851-46-77

STOWARZYSZENIE
MIŁOŚNIKÓW MUZYKI
„VIVA IL CANTO”

ul. A. Fredry 7
tel. (033) 851-56-43

CHORZÓW

GALERIA „MM”

ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-15-13

MUZEUM
W CHORZOWIE

ul. Powstańców 25
tel. 241-31-04

GÓRNOŚLĄSKI
PARK ETNOGRAFICZNY

ul. Parkowa 1
tel. 241-55-01

TEATR ROZRYWKI

ul. M. Konopnickiej 1
tel. 346-19-34

CZĘSTOCHOWA

MEJSKA
GALERIA SZTUKI

Aleja NMP 64
tel. (034) 324-60-57

MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE

ul. Wolności 30
tel. (034) 360-56-31

TEATR
im. A. MICKIEWICZA

ul. Kilińskiego 15
tel. (034) 360-56-50

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA

ul. Wilsona 16
tel. (034) 324-42-30

OŚRODEK
PROMOCJI KULTURY
GAUDE MATER

ul. Dąbrowskiego 1
tel. (034) 324-36-38

**PAŁAC
KULTURY ZAGŁĘBIA**

Pl. Wolności 1
tel. 262-20-61

MUZEUM

ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95

GLIWICE

GALERIA „BRAMA”

ul. Krótka 1-3
tel. 231-03-64

**MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO**

ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54

ZAMEK PIASTOWSKI

ul. Pod Murami 2
tel. 231-44-94

GLIWICKI

TEATR MUZYCZNY

ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-11-01

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA**

al. Korfańskiego 6
tel. 259-90-40, 259-93-24

**GALERIA
BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ**

pl. Rady Europy 1
tel. 208-37-40

GALERIA „FRA ANGELICO”

Muzeum Archidiecezjalne
ul. Wita Stwosza 16
tel. 608-15-24

**GALERIA
PR W KATOWICACH**

„NA ŻYWO”
ul. S. Ligonia 29
tel. 251-52-21

GALERIA LAUREATÓW

„ZŁOTEJ MASKI”
Kawiarnia Artystyczna
al. Korfańskiego 6



pisem takiego odczucia. Mówią o tym, że nie jest tak, jakby się z pozoru wydawało. Jest niewyobrażalnie inaczej. A to wymusza zmianę perspektywy, gdy patrzymy na świat i własne życie”.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA

ceny biletów:
norm. - 6 zł, ulg. - 3 zł
bilet normalny łączony Zamek i Pałac - 10 zł, bilet ulgowy - 5 zł

ZAMEK

czynny: wt., śr., czw. i pt.
9.00-16.00, sob. 9.00-15.00
nd. 10.00-15.00

Baszta z punktem widokowym
nieczynna.

Wystawy stałe:
uroczyste otwarcie - 12.04
godz. 13.00
Dawna broń
Dzieje Będzina

Wystawy czasowe:
Historia zamku będzińskiego

PAŁAC

czynny: wt., czw. i pt.
9.00-16.00, śr. 9.00-17.00
sob. 9.00-15.00, nd. 10.00-15.00

Wystawy stałe:
Wnętrza stylowe
XVIII - XIX wieku
Kolekcja malarza i grafika -
Samuela Cyglera
Dzieje ziemi zagłębiowskiej
Izba zagłębiowska

Wystawy czasowe:
Twórca - tworzywo
prace uczniów i absolwentów
Państwowego Liceum Sztuk
Plastycznych w Nowym Wiśniczu.

BIELSKO-BIAŁA

MUZEUM

ZAMEK SUŁKOWSKICH
czynny: wt. i sob. 10.00-15.00
śr. i czw. 10.00-18.00

pt. 11.00-19.00
nd. 10.00-16.00, ceny biletów:
norm. - 7 zł, ulg. - 4 zł
rodzinny - 17
przewodnik dla grupy - 15 zł

Wystawy stałe:
Z dziejów miasta i zamku
Galeria malarstwa XIX i XX w.
Zbrojownia i pokój myśliwski
Salon muzyczny

GLIWICE

**MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO**

czynna: wt., śr. i pt. 9.00-14.30
czw. 11.00-18.00
sob. i nd. 10.00-15.00
ceny biletów: norm. - 6 zł
ulg. - 3 zł, grupowy - 2 zł
rodzinny - 10 zł
w czwartki wstęp bezpłatny

Wystawy stałe:
Dziewiętnastowieczne wnętrza
mieszkalne willi górnośląskich
przemysłowców
Kultura ludowa regionu
gliwickiego XIX/XX w.

Wystawy czasowe
Najpiękniejsze kroszonki 2005 r.
wystawa pokonkursowa

17.04. niedziela, godz. 12.00
Spotkania z poezją - Poetycko
o Śląsku: Jan Różewicz.

24.04. niedziela, godz. 12.00
Spotkanie z obrazem: Greta
Waldau „Panorama Gliwic”



STOPlakat. 1905-2005 plakaty
Muzeum w Gliwicach



Wystawa z okazji stulecia istnienia Muzeum w Gliwicach.

ZAMEK PIASTOWSKI
czynny: wt., śr. i pt. 9.00-14.30
czw. 11.00-18.00, sob. i nd.
10.00-15.00, ceny biletów:
norm. - od 2 zł
ulg. - od 1.50 zł
grupowy - 1 zł, rodzinny - 5 zł
przewodnik - 20 zł
w czwartki wstęp bezpłatny

*Wszystko, co doskonałe,
dojrzało powoli.*
Arthur Schopenhauer

Wystawy stałe:
Ikona miasta
Pradzieje ziemi gliwickiej
- wystawa archeologiczna
Z dziejów Gliwic
- wystawa historyczna
Przemysł w Gliwicach na
przełomie XIX i XX wieku
- wystawa historyczna

Wystawy czasowe:
otwarcie 8.04. piątek
Notgeld - czyli pieniądź
zastępczy na Śląsku w latach
1914-1924

PSZCZYNA

MUZEUM ZAMKOWE

czynne: pon. 11.00-15.00
wt. 10.00-15.00, śr. 9.00-17.00
czw., pt. 9.00-16.00
sob., 10.00-16.00
nd. i święta 10.00-17.00
ceny biletów: normalny - 11.00 zł
ulgowy - 6 zł, rodzinny - 26 zł
przewodnik - 36 zł
udogodnienia dla osób
niepełnosprawnych

Wystawy stałe:
Apartament
cesarza Wilhelma II
i wnętrza mieszkalne
z XIX-XX w.
Gabinet miniatur

ZABRZE

MUZEUM MIEJSKIE

Wystawy czasowe:
Od modernizmu
do koloryzmu
Malarstwo polskie ze zbiorów
Muzeum w Częstochowie
(wystawa czynna do 3.05)
Deportacja Górnoślązaków
do ZSSR w 1945 r.
(wystawa czynna do 10.04)
Rycerka Górna 2004
Wystawa poplenerowa
Klubu Pastel
(wystawa czynna od 14.04).

TEATR

KATOWICE

TEATR ŚLĄSKI

Duża scena

1.04. piątek, godz. 19.00

Finał plebiscytu „Świry 2005”

2.04. sobota, godz. 19.00

3.04. niedziela, godz. 19.00

Nie teraz kochanie

R. Cooney J. Chapman

reż. M. Sławiński

4.04. poniedziałek, godz. 19.00

Belfer

J. P. Dopagne

monodram Wojciecha Pszoniaka

6.04. środa, godz. 10.00

7.04. czwartek, godz. 10.00

Ballady i romanse

A. Mickiewicz

reż. Irena Jun

9.04. sobota, godz. 19.00

10.04. niedziela, godz. 19.00

29.04. piątek, godz. 19.00

30.04. sobota, godz. 19.00

Wieczór kawalerski

R. Hawdon

reż. Janusz Sztydlowski

12. 04. wtorek, godz. 10.00

13. 04. środa, godz. 10.00

Romeo i Julia

W. Shakespeare

reż. B. Zaczekiewicz

14.04. czwartek, godz. 19.00

15.04. piątek, godz. 19.00

Mayday

R. Cooney

reż. W. Pokora

16.04. sobota, godz. 19.00

Twórcy obrazów

P.O. Enquist

reż. K. Kutz

17.04. niedziela, godz. 17.00

Był kabaret, jest kabaret

19.04. wtorek, godz. 18.00

Gala Straussowska

gościnnie

Zespół Opery Śląskiej

23.04. sobota, godz. 19.00

24.04. niedziela, godz. 19.00

Mein Kampf

G. Tabori

reż. H. Baranowski

27.04. środa, godz. 10.00

28.04. czw., godz. 10.00 i 18.00

Trainspotting

I. Welsh

reż. M. Ratyński

Scena kameralna

1.04. piątek

godz. 11.00 i 18.30,

2.04. sobota godz. 18.30,

3.04. niedziela godz. 18.30



Oskar i pani Róża

E. Schmitt

reż. G. Kempinsky

5.04. wtorek, godz. 10.00

19.04. wtorek, godz. 10.00

Zabawna

hisoryjka o domku-cudomku

P. Maar

reż. H. Adamek

7.04. czwartek, godz. 18.30

Miłość i las

F. Roth

reż. M. Ratyński

8.04. piątek, godz. 18.30

Życie: trzy wersje

Y. Reza

reż. M. Rosa

9.04. sobota, godz. 18.30

10.04. niedziela, godz. 18.30

Beztlenowce

I. Villqist

reż. I. Villqist

14.04. czwartek, godz. 10.00

15.04. piątek, godz. 18.30

Krzesła

E. Ionesco

reż. P. Bikont

20.04. środa, godz. 10.00

21.04. czwartek, godz. 18.30

Klincz

A. Słapowski

reż. E. Pytka

23.04. sobota, godz. 18.30

24.04. niedziela, godz. 18.30

Zamiana

P. Claudel

reż. A. Smolar

Scena w Malarni

1.04. piątek, godz. 19.00

16.04. sobota, godz. 19.00

17.04. niedziela, godz. 19.00

Fantom

I. Villqist

reż. I. Villqist

8.04. piątek, godz. 19.00

Kształt rzeczy

N. LaBute

reż. G. Chrapkiewicz

występ gościnny zespołu
Teatru Polskiego w Białymostku

21.04. czwartek, godz. 19.00

22.04. piątek, godz. 19.00

Pan Paweł

T. Dorst

reż. G. Kempinsky

ŚLĄSKI TEATR LALKI

I AKTORA „ATENEUM”

2.04. sobota, godz. 16.00

16.04. sobota, godz. 16.00

O makowej wojnie...

E. Szelburg-Zarębina

reż. M. Wit

3.04. niedziela, godz. 16.00

Przypowieść o szczęściu

reż. K. Jakóbczyk

9.04. sobota, godz. 16.00

Pinokio

reż. K. Dworakowski

10.04. niedziela, godz. 16.00

Kowal

reż. B. Nauka

17.04. niedziela, godz. 16.00

Podróże Gullivera

reż. K. Jakóbczyk

23.04. sobota, godz. 16.00

Kot w butach

J. Brzechwa

reż. B. Nauka

24.04. niedziela, godz. 16.00

O czerwonym kapturku

reż. M. Wit

30.04. sobota, godz. 16.00

Kalinowy dwór

reż. H. Konwiński

TEATR COGITATUR

1.04. piątek

Tysiąc moich wież

wystawa Marty Kadlub - grafika

8.04. piątek, godz. 20.00

Koncert

zespołu EARTHQUAKE
wraz z poezją Marty Kadlub

9. 04. sobota, godz. 19.00

Wściekliczna 2

16.04. sobota, godz. 19.00

W hołdzie ekspresjonistom

reż. Witold Izdebski

30.04. sobota, godz. 19.00

Recital Elżbiety Okupskiej
(piosenki Brechta)

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY

pl. Sejmu Śląskiego 2

tel. 255-38-06

GALERIA „ENGRAM”

GALERIA „SEKTOR I”

GALERIA „5”

GALERIA „PUSTA”

PAŁAC MŁODZIEŻY

ul. Mikołowska 26

tel. 251-85-93

GALERIA AKWARELA

GALERIA MARMUROWA

MUZEUM ŚLĄSKIE

al. Korfańtego 3

tel. 258-56-61

ODDZIAŁ

MUZEUM ŚLĄSKIEGO

CENTRUM

SCENOGRAPHII POLSKIEJ

pl. Sejmu Śl. 2

tel./fax 251-57-14

MUZEUM

HISTORII KATOWIC

ul. Szafranka 9

tel. 256-18-10

MUZEUM

ARCHIDIECEZJALNE

ul. Wita Stwosza 16

tel. 608-15-24

TEATR ŚLĄSKI

im. S. Wyspiańskiego

tel. 258-72-51

Duża Scena, Rynek 2

Scena Kameralna

ul. Warszawska 2

Scena w Malarni

ul. Teatralna 2

ŚLĄSKI TEATR

LALKI I AKTORA

„ATENEUM”

ul. św. Jana 10

tel. 253-82-21

STOWARZYSZENIE

TEATR COGITATUR

ul. Gliwicka 9a

tel. 206-83-43

STOWARZYSZENIE

OGRODY TEATRU

TEATR GRY I LUDZIE

al. Niepodległości 2

tel. 605-336-966

TEATR KOREZ
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 209-00-88

FILHARMONIA ŚLĄSKA
ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61

**NARODOWA
ORKIESTRA
SYMFONICZNA
POLSKIEGO RADIA**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 251-09-03

**ESTRADA ŚLĄSKA
INSTYTUCJA KULTURY**
ul. Kościuszki 88/90
tel. 251-93-38

**INSTYTUCJA
PROMOCJI
I UPOWSZECZNIANIA
MUZYKI
„SILESIA”**
ul. 3 Maja 31 a
tel. 259-84-83

**GCK
JAZZ CLUB HIPNOZA**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 785-71-31

**ARS CAMERALIS
SILESIAE SUPERIORIS**
ul. Ligonja 7
tel. 257-06-01

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
pl. Rady Europy
tel. 208-37-00

**GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06

**PRZEDSIĘBIORSTWO
WIDOWISKOWO-
SPORTOWE
„SPODEK”**
al. Korfantego 35
tel. 258-32-61

**ŚLĄSKIE
CENTRUM DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO**
ul. Ligonja 7
tel. 251 71 04



WOJEWÓDZKI KULTURALNY INFORMATOR

BĘDZIN

**TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
W MEKSYKU!**
„Tymoteusz wśród ptaków”
J. Wilkowskiego i „Księżniczka



na ziarnku grochu” H. Ch. Andersena będą reprezentować Polskę na XVII Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalek w Mexico City (15.04 - 1.05).

2.04 - 9.04
**Obchody jubileuszowe
60-lecia Teatru**

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
3.04. niedziela, godz. 18.00
Bal w operze
R. Heuggerger
w wykonaniu artystów
Zagłębiowskiej Sceny Muzycznej

4.04. poniedziałek, godz. 18.00
**KONCERT GALOWY
OPEROWO-OPERETKOWY
ZŁOTE MASKI
- WRĘCZANIE NAGRÓD
ARTYSTYCZNYCH**

5.04. wtorek, godz. 10.30
Królowna Śnieżka
B. Pawłowski
reż. H. Konwiński

7.04. czwartek, godz. 10.30
Straszny dwór
S. Moniuszko
reż. H. Konwiński

9.04. sobota, godz. 18.00
Wesoła wdówka
F. Lehár
reż. H. Konwiński

14.04. czwartek, godz. 10.30
**Opera jako widowisko
LEKCJE TEATRALNE**

16.04. sobota, godz. 18.00
BORYS GODUNOW
M. Musorgski
reż. W. Ochman
gościnnie **Romuald Tesarowicz**

19.04. wtorek, godz. 19.00
20.04. środa, godz. 19.00
Mayday
R. Cooney
reż. W. Pokora

21.04. czwartek, godz. 18.00
Carmen
G. Bizet
reż. M. Foltyn

23.04. sobota, godz. 18.00
Faust
Ch. Gounod
reż. B. Hussakowski

24.04. niedziela, godz. 18.00
Traviata
G. Verdi
reż. W. Ochman

26.04. wtorek, godz. 10.30
Don Kichot
L. A. Minkus
choreografia: H. Konwiński

30.04. sobota, godz. 18.30
**KONCERT JUBILEUSZOWY
50-lecia pracy artystycznej
choreografa i reżysera
HENRYKA KONWIŃSKIEGO**

**CHORZÓW
TEATR ROZRYWKI**
1.04. piątek, godz. 9.00 i 11.00
12.04. wtorek godz. 9.00 i 11.00
Stuku puku
E. Ehrhardt

1.04. piątek, godz. 19.00
Piątek wieczorem
Koncert bluesowo-jazzowy
Wojciecha Karolaka
i Sławomira Wiercholskiego



2.04. sobota
godz. 16.00 i 19.00
Cholonek
wg Janoscha
reż. M. Neinert i R. Talarczyk

3.04. niedziela
godz. 16.00 i 19.00
Okno na parlament
R. Cooney
reż. M. Korwin

4.04. poniedziałek, godz. 19.00
Tomasz Stańko Quartet
koncert jazzowy



5.04. wtorek, godz. 18.30, 6.04.
środa, godz. 18.30
Bal u Wolanda
reż. Ł. Czuj
z udziałem Macieja Maleńczuka



7.04. czwartek, godz. 10.00
Dziela wszystkie Szekspira...
A. Long, D. Singer, J. Winfield
reż. J. Jędrusik, M. Książek,
R. Talarczyk

7.04. czwartek, godz. 19.00
Shirley Valentine
W. Russell
reż. Dariusz Milkowski

9.04. sobota, godz. 19.00
Koncert charytatywny

10.04. niedziela, godz. 19.00
Stare dobre małżeństwo
koncert

11.04. poniedziałek, godz. 19.00
FIUK
spektakl tańca współczesnego

12.04. wtorek, godz. 19.00 i 21.30
GORDON HASKELL
koncert

16.04. sobota, godz. 19.00
MAANAM
koncert

17.04. niedziela, godz. 16.00 i 19.00
Recital
Ryszarda Rynkowskiego

18.04. poniedziałek, godz. 19.00
Antyki i przyjaciele
koncert

20.04. środa, godz. 18.30
21.04. czwartek, godz. 18.30
Skrzypek na dachu
J. Stein, J. Bock, S. Harnick
reż. M. Kochańczyk

22.04. piątek, godz. 19.00
23.04. sob., godz. 16.00 i 19.00,
24.04. niedziela, godz. 19.00
The Rocky horror show
R. O'Brien
reż. M. Kochańczyk

25.04. poniedziałek, godz. 19.00
Piosenki Starszych Panów
występują: Magda Umer, Piotr
Machalica i Maciej Stuhr

29.04. piątek, godz. 18.00
BLUESTRACJE 2005
i JOHN LEE HOOKER JR.

30.04. sobota, godz. 15.00
O co biega?
Philip King
reż. M. Korwin

GLIWICE

GLIWICKI

TEATR MUZYCZNY

1.04. piątek, godz. 9.45
Urodziny pana Andersa
Początek - Palmiarnia Miejska,
ul. Fredry 6

1.04. piątek, godz. 18.00
16.04. sobota, godz. 18.00
30.04. sobota, godz. 18.00
Zemsta nietoperza
J. Strauss
reż. J. Chmielnik

2.04. sobota, godz. 18.30
Wiedeńska krew
J. Strauss
reż. M. Rosiński

**XI DZIECIĘCE SPOTKANIA
TEATRALNE**
4.04. pon., godz. 9.30 i 11.30
Kopciuszek
Teatr Łalka z Warszawy

5.04. wtorek, godz. 9.00 i 11.30
Pinokio
Teatr Groteska z Krakowa

6.04. środa, godz. 9.00
Warsztaty teatralne

7.04. czw., godz. 9.30 i 11.30
Byczek Fernando
Opolski Teatr Łalki i Aktora

8.04. piątek, godz. 9.30 i 11.30
Piękna i Bestia
Teatr Baniałuka z Bielska-Białej

9.04. sobota, godz. 16.00
Cesarskie słowiki
Teatr Baniałuka z Bielska-Białej

— ■ —

10.04. niedziela, godz. 18.00
Kwiat jednej nocy
gościnnie zespół
Teatru Rozrywki z Chorzowa

12.04. wtorek, godz. 18.30
Grają naszą piosenkę
N. Simon
reż. J. Chmielnik

14.04. czwartek, godz. 18.30
Tango, Tango
gościnnie: zespół Teatru
Zagłębia z Sosnowca

15.04. piątek, godz. 18.30
Wesoła wdówka
F. Lehár
reż. D. Kustosik

17.04. niedziela, godz. 18.00
Hello, Dolly!
reż. M. Sartowa

19.04. wtorek, godz. 18.30
Księżniczka kardasza
E. Kálmán
reż. W. Adamczyk

21.04. czwartek, godz. 18.30
Zorba
J. Kander
reż. J. Szurmiej

22.04. piątek, godz. 18.30
Jubileusz Jerzego Gościńskiego,
23.04. sobota, godz. 18.30
Ptasznik z Tyrolu
K. Zeller
reż. W. Adamczyk

24.04. niedziela, godz. 18.00
Dajcie mi tenora!
K. Ludwig
reż. M. Sławiński

26.04. wtorek, godz. 20.00
Piosenki Starszych Panów
występują: Magda Umer,
Piotr Machalica i Maciej Stuhr

28.04. czwartek, godz. 10.30
i 19.00, 29.04. piątek,
godz. 10.00 i 19.00
Footloose - wrzuć luz!
T. Snow
reż. M. Korwin
bilety już od 5 zł!

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA

2.04. sobota, godz. 19.00 (pre-
miera), 3.04. niedziela, godz.
18.00, 7.04. czwartek, godz.
10.00, 8.04. piątek, godz. 10.00,
23.04. sobota, godz. 18.00,
24.04. niedziela, godz. 18.00
Hamlet
W. Szekspir
reż. B. Wyszomirski

5.04. wtorek, godz. 10.00
6.04. środa, godz. 10.00
Moralność pani Dulskiej
G. Zapolska
reż. B. Wyszomirski

9.04. sobota, godz. 18.00
10.04. niedziela, godz. 18.00
Kolacja dla głupca
F. Veber
reż. A. Celiński

12.04. wtorek, godz. 10.00
Świniopas
H. Ch. Andersen
reż. K. Jakóbczyk

13.04. środa, godz. 10.00
15.04. piątek, godz. 18.00
16.04. sobota, godz. 18.00
Tango, tango
reż. J. Niesobka

17.04. niedziela, godz. 18.00
Edith i Marlene
E. Pataki
reż. E. Markowska

19.04. wtorek, godz. 10.00
20.04. środa, godz. 10.00
Mały książę
A. Saint Exupéry
reż. C. Domagała

21.04. czwartek, godz. 10.00
22.04. piątek, godz. 18.00
Ożenek
M. Gogol
reż. B. Ciosek

26.04. wtorek, godz. 19.00
W wiedeńskim nastroju
gościnnie: zespół Gliwickiego
Teatru Muzycznego

27.04. środa, godz. 19.00
Szalone nożyczki
P. Portner
reż. M. Sławiński
gościnnie:
zespół Teatru Polskiego
z Bielska-Białej

28.04. czwartek, godz. 19.00
Łóżko pełne cudzoziemców
D. Freeman
reż. M. Sławiński
gościnnie: zespół Teatru
Nowego z Zabrze

29.04. piątek, godz. 19.00
Kwiat jednej nocy,
czyli gala piosenki polskiej
gościnnie: zespół Teatru
Rozrywki z Chorzowa

30.04. sobota, godz. 19.00
Pod niebem Paryża
gościnnie: zespół Teatru
im. A. Mickiewicza
z Częstochowy

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA

„SŁĄSK”

im. Stanisława Hadyny
ul. Zamkowa 3
tel. (034) 357-63-41

MIKOŁÓW

GALERIA MDK

Rynek 1
tel./fax 226-21-47

INSTYTUT MIKOŁOWSKI

ul. 1 Maja 8
tel./fax 738-07-55

MIEJSKI

DOM KULTURY

Rynek 19
tel./fax 226-21-47

MYSŁOWICE

NA POGRANICZU

ul. Grunwaldzka 7
tel. 222-66-70

GALERIA

SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

„W PODCINIACH”
ul. Starokościelna 4
tel. 316-14-49

MIEJSKIE

CENTRUM KULTURY

ul. Grunwaldzka 7
tel. 222-66-70

MYSŁOWICKI

OŚRODEK KULTURY I SZTUKI

ul. Laryska 5
tel. 222-24-33

PSZCZYNA

MUZEUM ZAMKOWE

Brama Wybrańców 1
tel. 210-30-37

PSZCZYŃSKIE

CENTRUM KULTURY

ul. Piastowska 1
tel./fax 210-45-51

MUZEUM

ul. Rzeźnicza 15
tel./fax. 415-49-01

**RACIBORSKIE
CENTRUM KULTURY**

ul. Chopina 21
tel. 415-31-72

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
im. Maksymiliana Chroboka
ul. Wolności 26
tel./fax 248-44-57

**MIEJSKI
OŚRODEK KULTURY**

im. Henryka Bisty
Nowy Bytom
ul. Niedurnego 69
tel. 248-62-40

RYBNIK

GALERIA „OBLICZA”
ul. Saint Vallier 1
tel. 422-21-32

**GALERIA
SZTUKI RYBNICKIEGO
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1
tel. 42-22-132

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ ZPAP**
Rynek 17
tel. 42-28-441

MUZEUM
ul. Rynek 18
tel. 422-14-23

TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ
ul. Saint Vallier 1

**RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1
tel. 422-88-75

**ŚLĄSKIE
CENTRUM MUZYCZNE**
ul. Hibnera 41
tel. 422-44-34

**KATOWICE
NARODOWA
ORKIESTRA SYMFONICZNA
POLSKIEGO RADIA**

**POLSKA MUZYKA
NAJNOWSZA - FESTIWAL
PRAWYKONAŃ**
8.04 - 10.04

FILHARMONIA ŚLĄSKA
1.04 piątek, godz. 19.00,
sala im. K. Stryji, Filharmonia
Koncert dyplomantów
Akademii Muzycznej
w Katowicach

7.04 czw., godz. 11.00 i 17.00
8.04 piątek, godz. 10.00 i 12.00
11.04 pon., godz. 10.00 i 12.00
sala im. K. Stryji, Filharmonia
Skandynawskie klimaty

9.04 sobota, godz. 18.00
sala im. K. Stryji, Filharmonia
Śląska Orkiestra Kameralna
Massimiliano Caldi - dyrygent

15.04 piątek, godz. 19.00
sala im. K. Stryji, Filharmonia
Mistrzowskie interpretacje
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
M.J. Błaszczyk - dyrygent

22.04 piątek, godz. 19.00,
sala im. K. Stryji, Filharmonia
Jubileusz 50-lecia
pracy artystycznej
Antoniego Wicherka
Orkiestra Symfoniczna
i Chór Filharmonii Śląskiej
Antoni Wicherek - dyrygent

29.04 piątek, godz. 19.00
sala im. K. Stryji, Filharmonia
60 lat później...
Orkiestra Symfoniczna
i Chór Filharmonii Śląskiej
M. J. Błaszczyk - dyrygent
K. A. Kulka - skrzypce
A. Zdunikowski - tenor

**INSTYTUCJA PROMOCJI
I UPOWSZECZNIANIA
MUZYKI SILESIA**
3.04. niedziela, godz. 19.15
os. 1000-lecia - kościół MBP
ul. Ułańska 13
Ogród radości i smutku

4.04. poniedziałek, godz. 19.00
Studio Koncertowe PR
Katowice - Miasto Muzyki
140 lecie naszego Miasta
wykonawcy:
Andrzej Jasiński - fortepian
Ewa Pawlik-Żmudzińska - słowo

10.04. niedziela, godz. 17.30
Katowice-Murcki - MDK
„Południe”, ul. Kołodzieja 42
Piękne głosy
wykonawcy:
Mirosław Witkowski - bas
Joanna Steczek - fortepian
Małgorzata Jeruzal - słowo

11.04. poniedziałek, godz. 18.00
PSM, ul. Teatralna 16
Młodzi wirtuozi
wykonawcy:
Joanna Ruszala - sopran
Piotr Wiśniewski - fortepian
Maria Stokowska - recytacje
Alicja Przytuła - słowo

12.04. wtorek, godz. 17.00
Katowice-Ligota - MBP
ul. Grzybski 19 b
Ogród radości i smutku
wykonawcy:
A. Lizer-Molitoris - flet
A. Batog - altówka
A. Kaczmarek-Bialic - harfa
A. Bax, A. Szczyrba - słowo

13.04. środa, godz. 18.00
III LO, ul. Mickiewicza 11
Ogród radości i smutku
wykonawcy:
A. Lizer-Molitoris - flet
A. Batog - altówka
A. Kaczmarek-Bialic - harfa
A. Bax, K. Bula - słowo

17.04. niedziela, godz. 17.30
Katowice-Piotrowice - MDK
„Południe”
ul. Gen. W. Jankiego 136
Piękne głosy
wykonawcy:
M. Witkowski - bas
J. Steczek - fortepian
J. Mentel - słowo

19.04. wtorek, godz. 17.00
Biblioteka Śl., Sala „Parnassos”
Gwiazdy scen operowych
wykonawcy:
E. Piasecka - sopran
M. Cieniawa - fortepian
R. Gowarzewska-Griessgraber
- słowo

20.04. środa, godz. 17.30
Szkoła Plastyczna, ul. Ułańska 7 a
Koncertujące rodziny
wykonawcy:
P. Książkiewicz - flet
T. Kamińska - wiolonczela
M. Toporowski - klawesyn
L. Moll - słowo

21.04. czwartek, godz. 17.00
Katowice-Koszutka - MDK
ul. Grażyńskiego 47

Koncert muzyki żydowskiej
wykonawcy:
E. Warta-Śmietana - sopran
D. Imielowska - wiolonczela
M. Cieniawa - fortepian
R. Gowarzewska-Griessgraber
- słowo

24.04. niedziela, godz. 17.30
Katowice-Podlesie - MDK
ul. Sołtysia 25
Piękne głosy
wykonawcy:
M. Witkowski - bas
J. Steczek - fortepian
M. Matlak - słowo

24.04. niedziela, godz. 17.30
Katowice-Panewniki
Bazylika, ul. Panewnicka 76
Muzyka w Bazylice
wykonawcy:
E. Grodzka-Łopuszyńska - sopran
J. Gembański - organy
A. Woźniakowska - słowo

25.04. poniedziałek, godz. 18.00
Teatr „Ateneum”
na życzenie publiczności!
Gaetano Donizetti
Don Pasquale
wykonawcy:
J. Ruszala - sopran
R. Majzner - tenor
M. Bartczak - baryton
B. Maliszewski - bas-baryton
J. Steczek - fortepian
G. Brewińska - słowo

28.04. czwartek, godz. 18.00
Muzeum Archidiecezjalne
Sztuka interpretacji
wykonawcy:
R. Kabara - skrzypce
M. Cieniawa - fortepian
L. Markiewicz - słowo

ZABRZE
**FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA**
8.04. piątek, godz. 18.00, PSM
Koncert symfoniczny
P. Plawner - skrzypce
J. Kosek - dyrygent

12.04. wtorek, 13.04. środa
godz. 9.30 i 11.00
25.04. poniedziałek
26.04. wtorek
godz. 9.30 i 11.00
Sala Filharmonii
Młodzi muzycy na estradzie

22.04. piątek, godz. 18.00, PSM
Koncert symfoniczny
D. Półniński - wiolonczela
Sławomir Chrzanowski
- dyrygent

KATOWICE

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

4.04. poniedziałek, godz. 17.00
sala Parnassos
Nie przypadkiem jestem tu
recital Beaty Lerach

14.04. czwartek, godz. 17.00
sala Benedyktynka
„Narkoseje”
Sławomira Matusza
promocja książki

20.04. środa, godz. 17.30
sala Parnassos
„Nadciągają Ślązacy.
Czy istnieje narodowość
śląska?”
promocja książki

22.04. piątek, godz. 17.00
sala Benedyktynka
Klub Poczty Poetyckiej
Macieja Szczawińskiego

28.04. czwartek, godz. 16.00
Hol Główny
Uroczyste otwarcie wystawy
Ekslibrisu Śląskiego

28.04. czwartek, godz. 17.00
sala Benedyktynka
Klub Dobrej Książki
- nominację do nagrody
Śląskiego Wawrzynu
Literackiego
otrzyma książka
„Matka dzieci Holocaustu.
Historia Ireny Sendlerowej”

BIELSKO

BIELSKIE

CENTRUM KULTURY

15.04. piątek, godz. 18.00
Dom Muzyki
THE QUARTET AGAIN
Jedyna trasa koncertowa w Polsce

17.04 - 21.04
VI Międzynarodowy
Festiwal Muzyki Sakralnej
na Podbeskidziu
SACRUM IN MUSICA

CIESZYN

CIESZYŃSKI

OŚRODEK KULTURY

3.04., godz. 8.00
Wiosenne Targi Staroci

9.04., godz. 15.00
Wiosenne
Konfrontacje Poetyckie

11.04. godz. 17.00
Filmowy portret:
Leszek Buzderewicz

14.04. godz. 16.00
Śląsk Żydowski w Cieszynie
prelekcja dr. Janusza Spiry

20.04. godz. 13.00
Pamięć
Holocaustu a przebaczenie...
wykład Kazimierza Barczuka

CZĘSTOCHOWA

REGIONALNY OŚRODEK

KULTURY

2.04-3.04. od godz. 8.00
X Międzynarodowy Turniej
Tańca Towarzyskiego

20.04. środa, godz. 17.00
Koncert muzyczny
w wykonaniu Anny Zmarzły

DĄBROWA GÓRNICZA

PAŁAC

KULTURY ZAGŁĘBIA

2.04. sobota, godz. 16.30 i 19.00
Kabaret Dno

16.04. sobota, godz. 18.00
Koncert zespołu WILKI

I FESTIWAL

im. MICHAŁA SPISAKA
(19.04 - 22.04)

23.04. sobota, godz. 18.00
Belfer
reż. M. Kwieciński
monodram Wojciecha Pszoniaka

24.04. niedziela, godz. 17.00
Wieczór kabaretowy
„DeheŚciaK zaprasza”

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY

3.04. sobota, godz. 8.00-14.00
Rynek
Jarmark staroci

15.04. piątek, godz. 19.00
Marcin Rozynek
koncert

22.04. piątek, godz. 18.00, sala 33
Spotkanie z Ewelina Tomasiak
reporterką TVP3 Katowice

PSZCZYNA

PSZCZYŃSKIE

CENTRUM KULTURY

8.04. piątek, godz. 17.00, Klub
„13”
Spotkanie
z Wojciechem Kuczokiem

16.04. sobota, godz. 17.00
sala widowiskowa
SISTARS
koncert

17.04. niedziela, godz. 18.00
Klub „13”
„Pruscy Żydzi.
Spójrzanie na zachowane
na terenie Polski
dziedzictwa kultury”
spotkanie z Piotrem Pilukiem

18.04. poniedziałek, godz.
17.00
Klub „13”
„Odnalezione Ślady.
Żydowskie zabytki Pszczyny
i innych miast śląskich”
spotkanie z Piotrem Pilukiem

RYBNIK

RYBNICKIE

CENTRUM KULTURY

7.04. czwartek
Galeria sztuki RCK
Historia komiksu francuskiego
wystawa
— ■ —

9.04 - 22.04
EUROPA, EUROPA.
PREZENTACJE KULTURY
FRANCUSKIEJ.

9.04. sobota, godz. 18.00
Klan wdów
gościnnie:
Scena Prezentacje z Warszawy

10.04. niedziela, godz. 15.00
12.04. wtorek, godz. 10.00
Niewidzialne dziecko
film animowany

12.04. wtorek, godz. 19.00
sala kameralna RC
Trio „Motion Trio”

16.04. sobota, godz. 18.00
Celimena i kardynał
J. Rampal
Teatr „Scena Prezentacje”
z Warszawy

17.04. niedziela, godz. 18.00
Aznayour
spektakl muzyczny
Robert Kudelski i Janusz
Tylman

22.04. piątek, godz. 18.00
Dyskoteka francuska
w Klubie „Żądło”
— ■ —

*Jeśli młodość jest wadą,
to taką, której pozbywamy się
bardzo szybko.*
Johan Wolfgang Goethe

SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
- ZAMEK SIELECKI
ul. Zamkowa 2
tel. 297-90-76

MUZEUM W SOSNOWCU
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 266-04-94

KLUB
IM. J. KIEPURY
ul. Będzińska 6
tel. 291-39-48

TYCHY

GALERIA „OBOK”
TEATR MAŁY
ul. kard. A. Hłonda 1
tel. 227-20-67

MIEJSKIE CENTRUM
al. Niepodległości 38
tel. 227 27 29

ZABRZE

MUZEUM
GÓRNICWA
WĘGLOWEGO
ul. 3 Maja 19
tel. 271-65-91

MUZEUM MIEJSKIE
pl. Krakowski 9
tel. 271-56-89

TEATR NOWY
Plac Teatralny 1
tel. 271-32-56

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA
ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17

DOM MUZYKI I TAŃCA
ul. gen. de Gaulle'a 17
tel. 271-56-41

Fundacja dla Opery

Można właściwie powiedzieć, że tam gdzie Wiesław Ochman, tam fundacja pomocy ludziom potrzebującym. Fundacja Opera Silesia powstała we wrześniu 2004 roku. Inicjatorami tego przedsięwzięcia była grupa pięciu osób: Ewa Balut – była artystka baletu Opery Śląskiej, zajmująca się działalnością restauratorską i cateringową, była też wielokrotną organizatorką warsztatów artystycznych na terenie Polski i Włoch; Ludmiła Jana – prezes firmy Voigt w Zabrzu, wiceprezes Regionalnej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gliwicach; Wiesław Wiśniewski – twórca i prezes Liberty Poland SA, Janusz Binkiewicz – doktor nauk medycznych, dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego nr 4 w Bytomiu, Wincenty Blaut – inżynier mechanik, prowadzący działalność gastronomiczną i cateringową.

Powołany został również zarząd Fundacji. Prezesem Honorowym Fundacji został wybitny śpiewak operowy, a także reżyser i inscenizator, członek Rady Programowej Opery Śląskiej – Wiesław Ochman. Postać tego artysty kojarzona jest również z szeroką działalnością charytatywną, w której aktywnie uczestniczy, prowadząc aukcje dzieł sztuki na rzecz Opery Śląskiej a także na rzecz pomocy ludziom potrzebującym. Prezesem Zarządu jest Ewa Blaut, wiceprezesem – Ludmiła Jama, a dyrektorem Fundacji – Anna Borowska.

Wszystkie te osoby postawiły przed sobą nietłuwne zadanie: wspieranie dokonani Opery Śląskiej – jednej tego rodzaju instytucji kulturalnej w regionie. Osiągnięcia artystyczne i sukcesy Opera Śląska odnosi od wielu dziesiętn lat nie tylko w kraju, ale również za granicą. Fundacja ma za zadanie propagowanie Opery i artystów z nią związanych, pozyskiwanie coraz szerszego grona melomanów, krzewienie edukacji muzycznej wśród młodzieży. Niezwykle ważne będzie pozyskiwanie przez Fundację sponsorów dla operowych działań. Ambitne zadania Fundacji zakładają organizację koncertów, fundowanie stypendiów dla wybitnie uzdolnionej młodzieży, wspomaganie młodych artystów, którzy zechcą uczestniczyć w konkursach wokalnych i tanecznych a także pomoc w zakupie nowych instrumentów muzycznych.

Oczywiście drzwi Fundacji są otwarte dla wszystkich, którzy uważają, że wspieranie dokonani w tej dziedzinie sztuki jest niezwykle cenne. Pomoc w rozwoju Opery Śląskiej jest jednocześnie wyrazem uznania dla historii tej instytucji, artystów z nią związanych. W tym gronie znajduje się wielu śpiewaków i śpiewaczek, którzy w swojej karierze zasilili największe sceny operowe i koncertowe świata, a swoje pierwsze kroki i pierwsze znaczące sukcesy odnosili na deskach Opery Śląskiej.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

20 lat na scenie

Na swój jubileuszowy, świętujący 20-lecie pracy artystycznej, spektakl Katarzyna Skalska wybrała balet P. L. Hertla pt. „Córka źle strzeżona”, w którym kreowała partię Lizy, a towarzyszyli jej Grzegorz Pajdzik (Colin), Kazimierz Cieśla (Wdowa) i wielu innych artystów zespołu baletowego Opery.

Katarzyna Skalska jest absolwentką Państwowej Szkoły Baletowej w Gdańsku. Swoją karierę rozpoczęła od występów w zespole tańca nowoczesnego w Nowej Hucie, prowadzonym przez Mariana Zaka, cenionego tancerza i utalentowanego choreografa. Na deskach Opery Śląskiej zadebiutowała w „Tryptyku baletowym”. Od 1 października 1985 roku jest artystką zatrudnioną w zespole baletowym Opery Śląskiej – najpierw jako koryfejka, a następnie jako solistka.

Katarzyna Skalska jest tancerką o szerokim wachlarzu możliwości, dlatego kreuje zarówno partie liryczne jak i charakterystyczne. Cechuje ją duża wrażliwość i muzykalność a także temperament i talent aktorski. Można podziwiać ją czy to w „Dziadku do orzechów”, „Coppeli”, „Panu Twardowskim”, „Córce źle strzeżonej”, czy w spektaklu chętnie oglądanym zarówno przez dzieci jak i dorosłych „Królowie Śnieżce” B. Pawłowskiego. Na tym jednak repertuar Śląskiej się nie kończy: znakomicie tańczy również w „Nocy Walpurgii”, jak i „Fauście”, „Giocondzie” czy „Carmen”, budząc podziw w pełnych dynamiki i dramaturgii scenach.



Katarzyna Skalska z Grzegorzem Pajdzikiem w „Córce źle strzeżonej”.

Jednym zdaniem

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu zaprasza na wystawę „Świat według Kantora”.

■ Łukasz Sojka z Pszczyny za opowiadanie pt. „Ptak” otrzymał wyróżnienie podczas XIV Konkursu Poetyckiego o Nagrodę im. Krzysztofa K. Baczyńskiego, organizowanym przez łódzkie Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego.

■ Film Bartka Konopki pt. „Ballada o kozie” można było zobaczyć podczas spotkania autorskiego z reżyserem w Klubie Filmowym Silesia Film w Katowicach.

■ Promocja „Kalendarza Siemianowickiego na rok 2005” autorstwa Antoniego Halora odbyła się w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich.

■ Towarzystwo Przyjaciół Śląska i Salon Racioborski w Warszawie było organizatorem spotka-

„Stuku Puku” w „Rozrywce”



Scena z chorzowskiej realizacji „Stuku Puku”.

Polską prapremierę „Stuku Puku. Wszystko jest muzyką” przygotowała w chorzowskim Teatrze Rozrywki Edith Ehrhardt, młoda niemiecka reżyserka dotąd pracująca w teatrach Berlina, Stuttgartu i Saarbrücken. Spektakl przeznaczony jest dla dziecięcej publiczności. Obywa się bez słów. Jest opowieścią o przyjaźni i jednoczącej sile muzyki, świata dźwięków i rytmów.

„Zaginione światy” Antoniego Halora

Antoni Halor jest człowiekiem wielu artystycznych umiejętności: jest artystą plastykiem, reżyserem filmowym i telewizyjnym, uprawia malarstwo, rysunek, grafikę książkową, zajmuje się też słowem pisanym (szkice, eseje, opowiadania, scenariusze). W jego dorobku literackim szczególne miejsce zajmują publikacje o folklorze Górnego Śląska. Był współzałożycielem grupy „Oneiron”. Antoni Halor jest twórcą wielu filmów dokumentalnych, przedstawień teatralnych i widowisk telewizyjnych. Za swoją twórczość był wielokrotnie nagradzany: otrzymał m.in. Nagrodę Ziemi Bytomskiej i Nagrodę im. Karola Miarki. Prace wystawiał m.in. w Warszawie, Katowicach, także za granicą w Saarbrücken. Jest również współpracownikiem miesięcznika „Śląsk” od chwili jego powstania, autorem felietonów zatytułowanych „Pejzaż mitologiczny”.

Przegląd filmów dokumentalnych Antoniego Halora zorganizował Instytut Mikołowski. Podczas spotkania pokazano takie filmy jak: „Konrad”, „Odyseusz”, „Ulica, o której wiem” i „Czekanie”.

Górny Śląsk według Bieniasza

W Teatrze „Rozrywki” odbyła się prezentacja książki Stanisława Bieniasza pt. „Górny Śląsk – świat najmniejszy” opracowana i przygotowana przez Krzysztofa Karwata. Książka była pretekstem do podjęcia dyskusji na temat Górnego Śląska. Jej uczestnikami byli: Jerzy Gorzelik, Grażyna B. Szewczyk, Krzysztof Karwat i Andrzej Góra. 11 lutego 2005 roku minęły cztery lata od śmierci Stanisława Bieniasza, dramaturga, prozaika, reżysera i publicysty. „Górny Śląsk – świat najmniejszy” jest zbiorem esejów i prozy za-

nia z historykiem prof. Stanisławem Nicieją, które odbyło się w ramach cyklu „Zrozumieć Śląsk”.

■ Muzeum Historii Katowic i Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach byli organizatorami koncertu muzyki akordeonowej i kameralnej w ramach I recitalu dyplomowego w wykonaniu Marianny Dąbek.

■ „Poetycki Dzień Kobiet” z udziałem Julii Fiedorczuk, Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Aleksandry Jonak, Marty Podgórniki i Agnieszki Szczepanik przygotował Instytut Mikołowski.

■ Na premierę „Podróżki Koziołka Matołka” zapraszał Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie.

■ Zarząd Okręgu Śląskiego Świątowego Związku Żołnierzy AK i Oddział Instytutu Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni

brzańskiego pisarza, a także jego najlepszych opowiadań.

Książka Bieniasza była „głównym bohaterem” spotkania w Teatrze Rozrywki w Chorzowie – wokół niej została zorganizowana wielowątkowa impreza: obok wspomnianego panelu dyskusyjnego aktorzy: Joanna Budniok-Feliks, Zbigniew Stryj i Robert Talarczyk prezentowali wybrane fragmenty twórczości pisarza.

Książka została wydana dzięki staraniom Polsko-Niemieckiego Towarzystwa im. Stanisława Bieniasza oraz Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Josefowski w galerii MM



Edward Josefowski, *Zielona laguna*, pastela olejna, wym. 35x50, 2001.

O twórczości Edwarda Josefowskiego tak pisał prof. Michał Kliś – rektor katowickiej ASP w słowie do katalogu wystawy jego prac w chorzowskiej Galerii MM: „Josefowski opowiada poprzez kreskę, intensywny dojrzały kolor świata, w którym pozostaje, poprzez wybór tego szczególnego miejsca, jakim stała się beskidzka siedziba. Ten stan fascynacji przyrodą, zachwaszczoną łąką targaną gwałtowną zmianą wiatru. Wolny człowiek w wolnym świecie wichru, obrazu, ostrych kamieni.”

Josefowski – malarz wiatru, pędu, nawałnic, zawirowań – wszystko to oddaje poprzez niezwykle subtelną pastel, które zdawałoby się nie przystają do dramaturgii wyrażanych sytuacji: a jednak soczysta barwa i kreślona precyzyjnie lecz w wielkim rozmachem kreska oddaje to, co dla Josefowskiego najważniejsze.

Edward Josefowski jest absolwentem LSP w Katowicach i ASP w Krakowie – Wydział

Grafiki w Katowicach. Zajmuje się grafiką warsztatową i projektową. Pracuje jako pedagog w Zespole Szkół Plastycznych w Katowicach. Swoje prace wystawiał na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych. Był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany podczas ważnych konkursów plastycznych.

„Ślady” – cykl kopicki i świerkłaniecki

Sonia i Ireneusz Botorowie są autorami cyklu kopickiego i świerkłanieckiego „Ślady”. Oboje są od początku lat 90. dokumentalistami zabytków architektury miejskiej i pałacowej Śląska. Swoje najnowsze prace z cyklu „Ślady” prezentowali w Bibliotece Śląskiej. Wystawa składała się z cyklu akwarel, liczącego około 250 prac.

Cykl kopicki zainspirowany został ruinami „Pałacu na wodzie” – klasycznej, neogotyckiej rezydencji. Cykl jest formą pamięci. Obecnie wiele fragmentów zapamiętanych przez autorów obrazu już nie istnieje.

Z kolei cykl świerkłaniecki łączy w sobie fragmentaryczność krajobrazu śląskiego „Małego Wersalu” z realnymi motywami zamku Pontchartrain, który był pierwowzo-



Sonia i Ireneusz Botorowie, *Ślady*.

rem Świerklańca i posiada, choć w bardziej skromnym zakresie, wiele elementów charakterystycznych dla Świerklańca.

Projekt autorstwa Soni i Ireneusza Botorów powstał dzięki stypendium marszałka województwa śląskiego. Artyści są absolwentami Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Prócz tworzenia „Śladów” Sonia zajmuje się tkaniną artystyczną, a Ireneusz malarstwem sztalugowym. W swoim dorobku artystycznym mają wiele wystaw w Polsce i za granicą.

W świecie Tigrana

Pod patronatem miesięcznika „Śląsk” odbyła się w galerii Spółdzielczego Domu



Tigran Vardikyan, portret satyryczny Anny Sekudewicz-Rączaszek

z redakcją „Dziennika Zachodniego”.

Na wystawę złożyły się rysunki – portrety publikowane na łamach „Dziennika Zachodniego” – postaci ze świata polityki, sportu, kultury, działacze samorządowi i lokalni liderzy.

Tigran Vardikyan zaprezentował również ilustracje do bajek, m.in. Andersena jak i projekty gier komputerowych.

Artysta jest absolwentem malarstwa i rysunku na Uniwersytecie w Erewanie, jak również w Erewańskiej Akademii Pedagogicznej. W latach 1985-1987 był rysownikiem w Studium Filmów Animowanych w Erewaniu. Zanim pojawił się w redakcji „Dziennika Zachodniego” swoich sił próbował jako dekorator w Studiu Hana Barbera Poland w Bielsku Białej. Współpracuje również z wydawnictwami jako ilustrator książek dla dzieci.

Muzeum w Gliwicach zaprasza

Muzeum w Gliwicach zaprasza na interesujące wystawy. Jedną z nich jest wystawa pt. „Notgeld – czyli pieniądź zastępczy na Śląsku w latach 1914-1924”. Ukazuje historię pieniądza zastępczego funkcjonującego na terenie Niemiec, w tym również na terenie Śląska. Pierwotną przyczyną wypuszczenia przez władze państwowe na rynek zastępczego pieniądza papierowego było wycofywanie pieniądza metalowego. Z czasem notgeldy wypuszczane były przez zakłady przemysłowe, spółdzielnie i parafie a nawet osoby fizyczne, po czym wykupywane były przez zobowiązanego do tego wydawcy.

Muzeum zaprasza również na spotkania z poezją, których gościem będzie Jan Rózewicz – poeta przez wiele lat związany z Gliwicami, gdzie się urodził i spędził młodość. Oprócz poezji ważne miejsce w jego życiu zajmuje także reżyseria teatralna.

Muzeum proponuje również w ramach cyklu „Spotkania z obrazem” dzieło Greta Waldau pt. „Panorama Gliwic”. Spod jej pędzla wychodziły widoki miast niemieckich, m.in. Berlina, Wrocławia, Oldenburga. Częstym tematem był również przemysł śląski. Monumentalny widok Gliwic jej pędzla ukazuje panoramę miasta z początku XX wieku.

przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach byli organizatorami spotkania Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”.

■ Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej przygotował premierę „Porwania Sabinek” – komedii muzycznej w reżyserii i choreografii Tadeusza Wiśniewskiego.

■ W Klubie Dobrej Książki Biblioteki Śląskiej odbyło się spotkanie poświęcone promocji książki Julii Hartwig „Bez pożegnania”.

■ Galeria Pusta Górnośląskiego Centrum Kultury w Katowicach zaprasza na „personifikację” fotograficzną Piotra Komorowskiego.

■ W Operze Śląskiej odbyła się premiera „Wesołej wdówki” Franza Lehara w inscenizacji, reżyserii i choreografii Henryka Konwińskiego, pod kierownictwem muzycznym Tadeusza Serafina.

■ „Śląski koncept” z udziałem czeskich konceptualistów prezentowany jest w Galerii Sektor I katowickiego GCK.

■ Również w GCK, w Galerii Engram, Ireneusz Bęć przedstawia swoje malarstwo na wystawie zatytułowanej „Przednówek”.

■ Górnośląskie Towarzystwo Literackie i redakcja miesięcznika „Śląsk” byli organizatorami spotkania z Wojciechem Ginko, autorem powieści „WIP”.

■ Na Koncert Pasyjny wypełniony muzyką W.A. Mozarta zaprasza Filharmonia Śląska.

■ Promocja tomu poetyckiego „Pomiędzy pocałunkiem anioła a zapachem wanilii” autorstwa Krystiana Galuski odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ W Klubie Filmowym Silesia w Katowicach odbyła się prezentacja video-art „open you mind” Leszka Buzdrewicza.

■ Książkę Zygmunta Kalużyńskiego pt. „Do czytania pod prysznicem” promował w ramach spotkań w Klubie Dobrej Książki Biblioteki Śląskiej Tomasz Rączek.

■ Na międzynarodową sesję pt. „Foto-perspektywy” zaprasza Biblioteka Śląska i Ogólnokształcąca Szkoła Sztuk Pięknych w Zabrze.

■ Muzeum w Sosnowcu otworło wystawę pt. „Sosnowieckie ABC IV”, połączoną z otwarciem Galerii Sponsorów Muzeum w Roku XX-lecia Muzeum.

■ Muzeum w Gliwicach było organizatorem Artystycznego Jarmarku Wielkanocnego.

■ W Cieszyźnie odbył się koncert w wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej i chóru Filharmonii Śląskiej poświęcony pamięci Karola Stryi.

■ Na projekcję filmu pt. „Prezenci” Łukasza Wylęgała oraz na spotkanie z reżyserem zapraszał Klub Filmowy „Silesia” w Katowicach.

Jazzowy dym

Aniol Jazzowy 2005 to rzeźba uznanej bielskiej artystki Lidii Sztwiertni, która specjalizuje się w nadawaniu cielistej powłoki istotom z - jak tłumaczył poeta - „czystej pneumy”. Tegoroczny anioł niemal wprost z gorących dłoni Lidii Sztwiertni trafił do rąk muzyków z „Yellowjackets”. Taką bowiem nagrodę bielskiego Stowarzyszenia Sztuka - Teatr otrzymały „Żółte Marynary” podczas VII Bielskiej Zadymki Jazzowej.

Oprócz „Yellowjackets” - „skromnych i naładowanych wspaniałą energią muzyków” - „zadymiało” Bielsko-Białą i okolice wielu innych jazzmanów polskich i obcych. Byli to m. in. sekstet amerykańskiego trębacza Terence'a Blancharda, inne grupy zza Wielkiej Wody - „The Doug Wamble Quartet”, „graniczący z jazzem” kwartet „Gutbucket” lub „No Jazz” oraz „Alchemic”, do którego powrócili na czas VII Zadymki Łukasz i Paweł Golcowie.

Bielska publiczność mogła też po raz pierwszy usłyszeć interesujący głos Miki Urbaniak, córki Urszuli Dudziak i Michała Urbaniaka, który już „dymił” w stolicy Beskidów przed paru laty. Mika Urbaniak pod Przegibkiem czuła się świetnie. Jak bowiem niektórym wiadomo, z podbiałskiej wioski o tajemniczej nazwie Straconka pochodzi jej mama, najsłynniejsza straceniarka.

Wraz z Miką Urbaniak wystąpiła nowa formacja 3YO, w której na perkusji grał młody bielszczanin Krzysztof Dziędzic. Lutowski zadymianiu jazzowemu towarzyszyła zadymka prawdziwa. Zamieć śnieżna była tak silna, że zaskoczyła kolejną linię na Szyndzielnię. Tradycyjny koncert na zakończenie Zadymki przeniesiono więc z tamtejszego schroniska do remizy w Bystrej, w której publiczność rozgrzewała się przy pomocy góralskiej herbatki i polsko-ukraińskiej grupy „Riverboat Ramblers”. Tym razem Zadymka była widoczna także w centrum Bielska-Białej. Na murach Zamku Sułkowskich widniały bowiem olbrzymie fotogramy muzyków, którzy występowali w poprzednich imprezach. W Galerii Fotografii B&B oraz w Galerii DK Włókniarzy wystawiał swoje fotografie najsłynniejszych postaci jazzu światowego Marek Karewicz, którego prace wystawiono tuż po zdjęciu innego miłośnika jazzu - Henryka Malesy.

Ten ostatni jest notabene niezwykle postacią na bielskiej scenie artystycznej. Henryk Malesa to pasjonat fotografii i dalekich, egzotycznych podróży, entuzjasta muzyki, sponsor sztuki i jednocześnie długoletni dyrektor Rafinerii Cechowice S.A., a obecnie czołowy menedżer Grupy Lotos S.A. - głównego sponsora Zadymki. Notabene Henryk Malesa wchodzi także w skład rady programowej festiwalu obok Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Pawła Brodowskiego i bielskiego radiowca - mecenasa Andrzeja Hermana. To dzięki tym właśnie postaciom, które wspierają dyrektora festiwalu Jerzego Batyckiego i jego przyjaciół ze Stowarzyszenia Sztuka - Teatr, dobry jazz może nadal zadymiać bielskie sale koncertowe ku uciechu zawsze licznych pod Szyndzielnią sympatyków muzyki.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Ten pierwszy raz

Od 11 marca do 3 kwietnia w Galerii Bielskiej BWA potrwa pierwsza w Polsce prezentacja artystów związanych z Uniwersytetem Walijskim w Wrexham. Inicjatorem i kuratorem wystawy jest szef tamtejszego Wydziału Artystycznego dr Alec Shepley. Podczas ekspozycji Adam Cooke zaprezentował performance, Dave Gill wideoinstalację, Cerys Alonso rzeźbę, John McClenaghan i Sue Liggett malarstwo, a Alec Shepley instalację.

- Artyści walijscy nie są formalną grupą. Prezentują prace wykonane technikami klasycznymi i dzieła z pogranicza technik klasycznych, wzbogacone zastosowaniem emisji światła, wideo, projekcji multimedialnych. Wystawa ilustruje bowiem problematykę zanikania i przekraczania granic, zarówno tych kulturowych, między różnymi obszarami rzeczywistości, jak i w sztuce -



Galeria Bielska BWA prowadzi bogatą i różnicowaną działalność wystawienniczą. Na zdjęciu jedna z prac skandalizującej Natalii LL.

Tajemniczy ogród

Taki tytuł nosi wystawa w Galerii Środowisk Twórczych przy Bielskim Centrum Kultury, którą otwarto w Dniu Kobiet. Podczas ekspozycji pokazano prace artystów nie tylko związanych z Bielskiem-Białą, a mianowicie Teresy Sztwiertni, Romana Maciuszkiewicza, Henryka Wańka, Rafała Bojdysa, Dariusza Gierdala, Józefa Hołarda, Romana Kalarusa, Adama Kirchnera, Krzysztofa Kokoryna, Aldony Mickiewicz, Małgorzaty Rozenau i Tadeusza Siary. Tym, co łączy przedstawione dzieła, jest odwołanie się do tradycyjnego warsztatu i rzemiosła artystycznego, a przede wszystkim myślenia baśniowo-symbolicznego.

Kultura żydowska po skoczowsku

Bardzo interesującą imprezę zorganizował w marcu Miejski Dom Kultury w Skoczowie, którym kieruje Robert Orawski. Z tej okazji odbyło się wiele prelekcji, wykładów, warsztatów czy spektakli. Nie mogło zabraknąć wieczoru przy szabatowych świecach. Żydowską muzykę zaprezentował krakowski zespół „Jarmuła Band”. Skoczowski etnolog Szymon Broda mówił o obrazie Żyda w oczach intelektualistów. Po synagogach oprowadzała Anna Białęcka. Warsztaty tańca żydowskiego prowadziła natomiast Dorota Herok.

Jednym zdaniem

■ 3 marca na deskach Teatru Polskiego w Bielsku-Białej odbyła się polska prapremiera „Jablka” Verna Thiessena w reżyserii i scenografii Tomasza Dutkiewicza - przygotowana we współpracy z Teatrem im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

■ 11 marca w Galerii Bielskiej BWA odbył się vernisaż VII Ogólnopolskiego Biennale Rytmu i Malarstwa Uczniów Średnich Szkół Plastycznych, którego organizatorem jest Zespół Szkół Plastycznych w Bielsku-Białej.

■ „Od stworzenia świata do zmartwychwstania Chrystusa” to tytuł wystawy malarstwa na szkło Marii Gatnar-Guzy z Wisły i rzeźb Henryka Standika z Bielska-Białej, którą otwarto w marcu, a która potrwa aż do 29 kwietnia w Galerii Sztuki Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej.

■ Grażyna Bielska-Kozakiewicz, Janusz Bogacki, Mariusz Kozakiewicz, Beata Knapik,

Magdalena Pejga i Monika Rubaniuk to artyści związani ze środowiskiem wrocławskim, którzy w marcu prezentowali swoje wyroby ze szkła na wystawie pn. „Różne stany przezroczystości” w Galerii „Fraktal” w DH „Sfera” w Bielsku-Białej.

■ „Król na Wzgórzu” to tytuł wystawy 10 obrazów nauczyciela w bielskim ZSP Tadeusza Króla, prezentowanych w marcu w bielskiej Galerii „Wzgórze” Franciszka Kukioly.

■ W bielskiej Galerii „Akcent” ZSP w marcu trwała wystawa plakatu Romana Kalarusa.

■ 7 marca w Książnicy Beskidzkiej w Bielsku-Białej odbyła się promocja książki Ewy Jantoszek i Moniki Zmety, „Cmentarz ewangelicki” wydanej w serii „Biblioteka Bielska-Białej”.

■ „Kobieta w dawnej fotografii” oraz „Pisanka, kartka wielkanocna” to tytuły marcowych wystaw w Galerii Cieszyńskiego Ośrodka Kultury „Dom Narodowy”.

Powtórka z Grochowiaka

Dramaty Stanisława Grochowiaka obecnie niezbyt często goszczą na teatrnych deskach. Również twórczość poetycka autora „Menueta z pogrzebaczem” nie cieszy się nadmierną popularnością wśród czytelników. Powszechna znajomość jego różnorodnej gatunkowo twórczości ogranicza się zaledwie do kilku wierszy z listy lektur szkolnych i kilku akademickich szkiców, które je określają. Przedwcześnie, samobójcza śmierć poety (żył zaledwie 42 lata) sprawiła, iż jego poezja nie zdomowała się tak silnie w społecznej świadomości, jak twórczość innych czołowych przedstawicieli pokolenia 56. A może „dopieszczanie” Grochowiaka przez „oficjalne czynniki” – i to wtedy, gdy kolejne pokolenie poetyckie tak silnie artykułowało swój sprzeciw wobec władzy – sprawiło, iż jego twórczość, nie tylko poetycka, nie objęła szerokich kręgów czytelniczych. „Ciemne wiersze Grochowiaka” nie stawały się w prosty sposób manifestami politycznymi i ideologicznymi, tak oczekiwanymi w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych.

Niemalą niespodzianką artystyczną sprawił teatr częstochowski, w którym sięgnięto po sztukę Stanisława Grochowiaka „Łęki poranne”. Spektakl wyreżyserował Bogdan Michałik, który w latach 1984-1988 pełnił funkcję dyrektora artystycznego sceny częstochowskiej. Twórca ten, oprócz osiągnięć reżyserskich (współpraca ze znakomitymi teatrami polskimi m.in. w Krakowie, Warszawie, Łodzi) miał na swoim koncie sukcesy również jako pedagog, wykładając w łódzkiej filmowie. Autorem scenografii „Łęków porannych” – siódmej premiery w bieżącym sezonie artystycznym sceny częstochowskiej – został Ryszard Melliwa, wykładowca krakowskiej ASP i wykonawca 150 projektów scenograficznych zarówno teatralnych jak i filmowych. Muzykę do spektaklu skomponował Janusz Yanina Iwański.

Warto podkreślić, iż najmocniejszą stroną spektaklu był doskonały tekst Grochowiaka, który nie potrzebuje inscenizacyjnych sztuczek, by poruszyć widownię. Reżyser umiejętnie podjął za energią teatralną tkwiącą w samym dramacie. „Łęki poranne” powstały tuż przed śmiercią poety, trudno w postaci Alfa – samotnie borykającego się z alkoholizmem – nie doszukiwać się przeżyć samego autora. Jednak nie jest to dramat wyłącznie o problemach walki z nalogiem. Zdaje się, iż sztuka Grochowiaka wprawia w nie-male zakłopotanie dzisiejszych dramaturgów polskich – szczególnie przed znakiem brutalistów, którzy w imię „prawdy czasu” rezygnują ze wszelkiego rzemiosła artystycznego. Grochowiak chwilami przeraża, ale, choć brzmi to paradoksalnie, czyni to w sposób literacko i teatralnie piękny.

Ciekawym uzupełnieniem premiery sztuki Grochowiaka w teatrze częstochowskim było zorganizowanie specjalnej, nazwijmy to, „oferty edukacyjnej” dla młodzieży. Młoda widownia miała okazję spotkać się z twórcami i aktorami spektaklu. Odbyło się również seminarium poświęcone twórczości autora „Ballady rycerskiej”, podczas którego studenci polonistyki Akademii im. Jana Długosza zapoznawali uczniów szkoły średnich ze swoimi interpretacjami wierszy poety. W tym samym dniu gościem teatru była również córka poety Anna, która w sposób bardzo osobisty opowiadała o swoim ojcu i całej rodzinie. Wydaje się, iż jest to doskonały pomysł na promowanie i literatury i teatru wśród młodego widza, który niezbyt chętnie sam dobrowolnie (bez nauczyciela języka polskiego) pojawia się w teatrze.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Wydarzenia roku 2004

Już po raz ósmy rozstrzygnięto plebiscyt na Twórcę i Wydarzenie Roku w dziedzinie kultury, organizowany przez redakcję częstochowską „Gazety Wyborczej”. Nagrody przyznawane w ramach plebiscytu stały się jednymi z najbardziej prestiżowych wyróżnień działalności artystycznej w Częstochowie. Sposób przyznawania nagród przez te osiem lat ulegał pewnym zmianom, zanim ostatecznie ukształtowała się formuła plebiscytu. Obecnie to specjalnie powołana Kapituła plebiscytu nominuje wydarzenia i twórców, głosują na nich czytelnicy gazety. Już sama nominacja staje się niemalym wyróżnieniem. Wśród grona znakomitości, którzy swoją pracą artystyczną zwrócili uwagę Kapituły w roku ubiegłym, byli m.in.: znany muzyk – Marcin Pospieszalski, Andrzej Sadowski, który wyreżyserował na scenie częstochowskiej, obsypaną nagrodami, „Skrzyneczkę”, inicjator wielu muzycznych wydarzeń w Częstochowie – Krzysztof Pośpiech, dyrektor artystyczny Filharmonii Częstochowskiej – Jerzy Swoboda oraz reżyser Szymon Wypych.

Na liście nominowanych wydarzeń kulturalnych znalazły się m.in. takie imprezy jak: I Ogólnopolski Salon Martwa Natura w Fotografii czy I Częstochowska Noc Kulturalna, obok ostatniej wystawy prac Jerzego Dudzi-Gracza w Galerii Lonty-Petry, która odbyła się w październiku 2004 roku.

W plebiscycie wzięło udział 736 czytelników. Liczba ta może się wydawać stosunkowo skromna, ale należy pamiętać, iż kultura nie jest zjawiskiem masowym. Na szczęście! Kapituła konkursu postanowiła przyznać dwa główne wyróżnienia w kategorii Twórca Roku. Tytuł honorowego Twórcy Roku 2004 przyznano niedawno zmarłemu Jerzemu Dudzi-Graczowi, który właśnie w Częstochowie miał swoją ostatnią wystawę. Podczas uroczystości rozdania nagród Prezydent Miasta Tadeusz Wrona zapowiedział starania o utworzenie w Częstochowie muzeum imienia Jerzego Dudzi-Gracza. Głosami czytelników Twórcą Roku 2004 został Jarosław Kweclich – profesor Akademii im. Jana Długosza, autor aranżacji wystawy „Żydzi Częstochowanie”. Ekspozycja ta, autorstwa Jerzego Mizgalskiego, również pracownika naukowego AJD oraz Andrzeja Kuźmy, wice-dyrektora Muzeum Częstochowskiego, zdobyła tytuł Wydarzenie Roku 2004. Plebiscyt stał się doskonałym sposobem do promowania środowiska twórczego Częstochowy, jak również swoistym bilansem poczynąń artystycznych. Warto dodać, iż z roku na rok coraz więcej czytelników „Gazety Wyborczej” bierze udział w plebiscycie.

Festiwal w imię przyjaźni

W styczniu odbył się II Międzynarodowy Festiwal Muzyki Akordeonowej „Konfronta-

cje Częstochowa 2005”. Pomysłodawcą imprezy był Piotr Biazik, który w Częstochowie stał się niestrudzoną propagatorem akordeonu. Sam wirtuoz tego instrumentu starał się udowodnić, jak atrakcyjny muzycznie potrafi być akordeon. I Festiwal Muzyki Akordeonowej zorganizował w Częstochowie w roku 2000 i od razu stał się on ważnym wydarzeniem artystycznym. Niestety, poważna choroba uniemożliwiła Biazikowi, który aktualnie przechodzi rehabilitację, pracę nad kolejnymi edycjami Festiwalu.

Cieźar zorganizowania II Festiwalu wzięli na siebie m.in. profesor Joachim Pichura, wykładowca Akademii Muzycznej w Katowicach, związany również zawodowo z Akademią im. Jana Długosza w Częstochowie, Ośrodek Promocji Kultury Gaude Mater, Młodzieżowy Dom Kultury, Akademia im. Jana Długosza oraz Katedra Akordeonu Akademii Muzycznej w Katowicach. Profesor Pichura jest jednym z największych w Polsce autorytetów muzycznych w dziedzinie muzyki akordeonowej, był również nauczycielem (i mistrzem) Piotra Biazika.

Festiwal rozpoczął się „Koncertem dla przyjaciela” zadekowanym pomysłodawcy imprezy, walczącemu z ciężką chorobą. W trakcie festiwalu zaprezentowało się 34 solistów i 9 zespołów w tym artyści z Litwy, Białorusi, Słowacji. Zwążywszy, iż to dopiero II edycja Festiwalu, liczba jej uczestników świadczy o sporym sukcesie imprezy.

Finałowy koncert odbył się w Filharmonii Częstochowskiej; na którym prezentowali się laureaci Konfrontacji odbywających się w ramach Festiwalu: Martyna Levickis z Litwy (w kategorii wiekowej do lat 15), Michał Gajda (kategoria wiekowa do lat 18) z Państwowej Szkoły Muzycznej z Zduńskiej Woli, Marcin Wrośtek z Akademii Muzycznej z Katowic oraz najlepszy zespół Konfrontacji, duet Semprini z Akademii Muzycznej z Łodzi. Wart odnotowania jest również fakt, iż wszystkie koncerty odbywające się w ramach festiwalu cieszyły się dużym zainteresowaniem wśród publiczności.

Pierwsze urodziny

O klubach jazzowych działających w Częstochowie w naszej kronice piszemy często, gdyż działają aktywnie i są prawdziwym fenomenem życia kulturalnego ostatnich lat w Częstochowie. W minionym miesiącu prawdziwą niespodzianką sprawił klub Częstochowskiego Stowarzyszenia Jazzowego „Paradoks”, który działa już od prawie roku. Zaledwie rok a ilość zorganizowanych koncertów, i to z udziałem najlepszych jazzmanów nie tylko z Polski, może naprawdę imponować. Warto przywołać chociażby koncert świetnego gitarzysty amerykańskiego Hiram Bullocka czy koncert rozpoczynający działalność klubu Jana Ptaszyna Wróblewskiego. Pierwsze urodziny uczczono tak jak należy – wyśmienitym koncertem saksofonisty Wojciecha Staroniewicza z zespołem Hand-Made.

Na kolejne atrakcje nie trzeba było długo czekać. Ostatni koncert w „Paradoksie” znowu zgromadził prawdziwe tłumy fanów jazzu. Ale nie powinno to dziwić, gdyż występowały gwiazdy: Wojciech Karolak, Jarosław Śmietana i najmłodszy z tego wybornego grona Krzysztof Dziedzic. Muzycy grali głównie bluesa i nostalgiczne ballady. Publiczności najbardziej podobały się, jak zwykle, popisy solowe muzyków.

Jednym
zdanem

■ W Filharmonii Częstochowskiej gościnnie wystąpił warszawski teatr Kwadrat, pokazując częstochowskiej publiczności swoją wersję „Sługi dwóch panów” Carla Goldoniego.

■ W Stajni Białej Borek ze swoim recitalem wystąpiła najbardziej rozpiewana aktorka sceny częstochowskiej Iwona Choluś.

■ W znanym z artystycznych przedsięwzięć publie Rue de Foch prezentowane były fotografie Jerzego Piwowarskiego.

■ W galerii Ośrodka Promocji Kultury Gaude Mater odbyła się wystawa malarstwa Beaty Bebel-Karankiewicz.

■ W galerii Art-Foto prezentowane były fotografie Jacka Kamińskiego i jego córki Joanny Sobczak.

Głód cudowności

Rację mieli ci wszyscy, którzy prorokowali, że po czasach materializmu historycznego czeka nas Nowe Średniowiecze. Główną gwiazdą tegorocznych Dni Opola ma być rockowa supergrupa TSA, ale największe zainteresowanie opinii publicznej wzbudziła informacja o tym, że w programie znajdzie się też uroczyste sprowadzenie do Opola relikwii św. Wojciecha.

Trudno w to uwierzyć, ale zabiegi opolskiej kurii o uzyskanie zgody archidiecezji gnieźnieńskiej na sprowadzenie szczątków świętego biskupa i misjonarza, były na bieżąco omawiane przez prasę codzienną, która przy okazji zajęła się kultem relikwii jako takim. I to bez ironii, która jeszcze jakiś czas temu pojawiałaby się obowiązkowo. Przypomniano oczywiście niesławne średniowieczne praktyki handlowania trefnymi relikwiami, na czele z przysłowiowym piórem archaniola zgubionym podczas zwiastowania, ale sam temat potraktowano wyjątkowo serio. Co jest relikwią? Jak się ją pozyskuje? Jakże może mieć znaczenie dla wiernych w XXI wieku internetu i innych czysto technicznych cudowności? Na takie i inne pytania próbowano znaleźć mniej lub bardziej głębszą odpowiedź.

I to nie jedyny przykład zainteresowania tego rodzaju tematyką. Media sporo miejsca poświęciły też powołaniu w opolskiej kurii specjalnego trybunału, który w ramach drugiego etapu procesu beatyfikacyjnego ma zbadać prawdziwość cudu przypisywanego Marii Merkert z Nysy, założycielce zakonu sióstr elżbietanek i kandydatce na ołtarze. Oddzielny temat to obszerne materiały na temat I Synodu Diecezji Opolskiej i szykowanych przez niego reform. Czy to zainteresowanie świadczy o jakiejś pelzającej reewangelizacji? Bez przesady. Publika chętnie zagląda za kulisy Kościoła, bo dziś medialną ciekawostką może się stać właściwie wszystko. Najlepszy byłby oczywiście jakiś ksiądz podejrzewany o nieczne praktyki, ale jak go nie ma, to można się także zainteresować szczątkami świętych Pańskich. Łatwo się tu zresztą doszukać analogii mało świętych, wystarczy wspomnieć o dzikiej popularności, jaką cieszą się przeróżne targi medycyny naturalnej, na których można kupić „magiczne” artefakty w rodzaju pierścienia Atlantów. Pomagać ma – jak kiedyś pomagac mieli relikwie – na wszystko. Mamy tu kombinację zjawisk przeróżnych: zabobnego irracjonalizmu, naturalnego głodu cudowności czy wreszcie autentycznego metafizycznego niepokoju.

Jak by tego nie tłumaczyć, można już dziś założyć, że peregrynacja relikwii św. Wojciecha wyciągnie na ulice Opola nie tylko praktykujących katolików, ale też mnóstwo ciekawskich niedowiarków. W domu zostaną zapewne tylko zdeklarowani wyznawcy światopoglądu naukowego. Ale im można zawczasu wytknąć, że cały ten ich optymistyczny i bezbożny humanizm to nic więcej, jak tylko współczesna odmiana herezji zwanej pelagianizmem. Niech zajądą do słowników, dokształcają się teologicznie, a potem skruszeni ruszą witać św. Wojciecha, któremu towarzyszyć będą zapewne zakuci w zbroję członkowie Opolskiego Bractwa Rycerskiego.

A na koniec ciekawostka. Gdy już skończymy pisać niniejszy felieton, poszła fama, że sprowadzenie relikwii wcale nie jest pewne i władze miasta się pośpieszyli. Oj, ten laikat...

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Wawrzynki rozdane

Nagrodę im. Wojciecha Wawrzynka, dla najciekawszej pracy magisterskiej poświęconej problematyce śląskiej, otrzymał w tym roku politolog Wojciech Racziewicz z Wodzisławia, absolwent politologii. Kapituła doceniła jego pracę „Góry Śląsk – regionalizm i separatyzm” napisaną pod kierunkiem prof. Michała Lisa. Nagroda, prywatna inicjatywa rodziny Wawrzynków, uważana jest za wyjątkowo prestiżową. Dla wielu laureatów z minionych lat stała się początkiem prawdziwej kariery naukowej.

W tym roku zgłoszono do niej osiem prac magisterskich, ale dwie odpadły z przyczyn formalnych. Wygrała ta, która z naukową rzetelnością zmierzyła się z gorącym dziś problemem śląskich autonomistów.

Kapituła przyznała też dwa wyróżnienia: dla Janiny Rożałowskiej za pracę „Mała architektura sakralna na przykładzie Komornik i Łowkowic” napisaną pod kierunkiem prof. Krystyny Kossakowskiej-Jarosz oraz dla Małgorzaty Kalisz za pracę „Monografia „Beczki”, napisaną pod kierunkiem prof. Joachima Glenska



Roman Wawrzynek, przewodniczący Kapituły, wręcza dyplom Wojciechowi Raczkiewiczowi.

Podwójne święto

Znamy już program jubileuszowej 30. edycji Opolskich Konfrontacji Teatralnych Klasika Polska. Przegląd będzie miał charakter szczególny – festiwal zostanie połączony z obchodami 30. urodzin Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu. XXX

Jednym zdaniem

■ Obchody 11. rocznicy powołania Uniwersytetu Opolskiego tradycyjnie połączone były z nadaniem doktoratów honoris causa UO – tym razem otrzymali je wybitni językoznawcy: prof. Hubert Orłowski i prof. Jacek Fisiak.

■ Po pięciu latach przerwy nadawanie, tym razem na platformie internetowej, wznowili Radio Sygnały, sławna opolska studencka rozgłośnia, w której szlify zdobywało wielu znanych dziś dziennikarzy radiowych.

■ Wielkopostna ciekawostka: w opolskiej Katedrze akustyczny koncert dał zespół „2Tm 2,3”, najważniejsza formacja rocka chrześcijańskiego w Polsce.

■ Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu zorganizowała wieczór poświęcony Fryderykowi Krenserowi.

■ W holu Młodzieżowego Domu Kultury w Opolu można było podziwiać zdjęcia miasta

OKT odbędą się między 16 a 23 kwietnia. W repertuarze króluje Gombrowicz. Przyjadą z nim trzy warszawskie sceny: Teatr Narodowy („Błądzenie” w reż. Jerzego Jarockiego), Teatr Studio („Biesiada” w reż. Ireny Jun) i Teatr Dramatyczny („Pamiętnik” w reż. Piotra Cieślaka). Będzie i czwarty spektakl według Gombrowicza – „Ślub” w reżyserii Estończyka Elmo Nüganena pokaże też Teatr im. W. Horzycy z Torunia. W Opolu pojawi się też krakowski Teatr Stary z „Wyzwoleniem” Wypiańskiego w reżyserii Mikołaja Grabowskiego.

Czarnym koniem przeglądu może się okazać „... córka Fizdejki” Witkacego, którą wyreżyserował na deskach Teatru im. J. Szaniawskiego z Wałbrzycha bardzo modny ostatnio reżyser Jan Klata. W programie są też dwie komedie. Gospodarze pokażą „Dożywocie” Fredry w reżyserii dyrektora opolskiej sceny Bartosza Zaczekiewicza, a Teatr im. J. Osterwy z Lublina „Politykę” Włodzimierza Perzyńskiego w reżyserii Eugeniusza Korina

Same niewiadome

Telewizja Polska wraca do starej trzydniowej formuły Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki – tak wynika z nieoficjalnych informacji przywiezionych z Warszawy przez władze Opola. Festiwal odbędzie się najprawdopodobniej w pierwszy weekend czerwca, czyli nieco później niż ostatnio. Wiele wskazuje na to, że w programie KFPP znowu pojawi się satyryczny Kabaret, z którego zrezygnowano kilka lat temu. Najprawdopodobniej to on miałby wypełnić dodatkowy dzień festiwalu.

Niewiadomych jest sporo. Nie wiadomo, czy odbędzie się plenerowy koncert hip-hopowy, który ściągał do Opola tysiące młodocianych fanów. Nieznany jest nawet dyrektor artystyczny festiwalu (podobno nie ma nim być Marek Sierocki).

– Na pewno wiemy tylko tyle, że festiwal się odbędzie – mówi Rafał Poliwo, dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Opolu. Jest za to jedna pewna – i dobra – informacja: Opole wycofało się z pomysłu szukania dla festiwalu jakiejś zastępczej lokalizacji. Jeszcze kilka miesięcy temu mówiło się, że trzeba będzie tak zrobić, gdy ruszy kapitalny remont amfiteatru. I od razu pojawiło się pytanie, czy nie będzie to koniec opolskiego święta piosenki – szanse, że TVP zgodzi się zrobić imprezę poza amfiteatrem były znikome. Miasto poszło po rozum do głowy i uznało, że remont zrobi na raty, by KFPP mógł się odbywać w amfiteatrze, jak co roku.

z lat 40. i 50. – wystawę pod tytułem „Opole – 60 lat temu” firmowało Towarzystwo Przyjaciół Opola.

■ „W poszukiwaniu czerwieni” to tytuł pierwszej malarskiej wystawy opolanki Marty Ostrowskiej.

■ Ruch Autonomii Śląska zabiega o umieszczenie na murach opolskiego ratusza tablicy upamiętniającej śląskiego poetę i pisarza Henryka Niekrawtza.

■ „Na Cyplu”, filia opolskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej, zorganizowała wystawę świętych obrazków – czyli: grafik dewocyjnych pochodzących ze zbiorów Romana Sekowskiego, znanego bibliotekarza, heraldyka i historyka.

■ Zła wiadomość dla miłośników literatury: jak podliczyła opolska prasa, tylko w ciągu ostatniego roku w Opolu zlikwidowano cztery księgarnie.

Zimowe witanie wiosny

Coraz mniej jest na Zaolziu Kół PZKO, które mogą się pochwalić własnym zespołem teatralnym. Można by je z pewnością na palcach policzyć. Do tych nielicznych zaliczyć trzeba MK PZKO w Żukowie Dolnym. A co najważniejsze, tamtejsi młodzi aktorzy zapraszają na przedstawienia swoich krewnych i przyjaciół regularnie co roku, zawsze na przełomie zimy i lata. W dodatku miejscowy teatrzyk wspomaga także miejscowa dzieciarnia, która na „Powitanie wiosny” – bo taką nazwę nosi tradycyjnie impreza ze spektaklem – przygotowuje zawsze krótkie widowisko folklorystyczne.

Tegoroczne „Powitanie wiosny” odbyło się w niedzielę, 6 marca, jak zwykle – w sali restauracji „Pod dzwonkiem”. Pomimo mroźnej pogody i syjącego bez przerwy z nieba śniegu sala zappełniła się do ostatniego prawie miejsca. – „Miejmy nadzieję, że to nasze spotkanie skłoni wiosnę do tego, by wcześniej do nas przysłała” – witała gości w imieniu zarządu Kola Henryka Matulowa.

Prezes Kola, Helena Gaura, przygotowała tym razem z dziećmi aż trzy widowiska autorstwa Anny Wacławik. W dwóch pierwszych mali żukowianie przedstawili typowe wiosenne ludowe obrzędy – topienie Marzanny oraz obchodzenie wsi z goiczkami. W trzecim natomiast pokazano typowe dziecięce tańce i zabawy na wiosennej łące. Przez cały czas wspomagał dzieciarnię śpiewem tercet Żukowianki, akompaniowały zaś Urszula Gaura (flet) oraz Marta Kukucz (skrzypce).

W części teatralnej przedstawiła się w tym roku tylko dwójka aktorów – Renata Huppert i Jerzy Pollok. Za to w aż dwóch jednoaktówkach, wyreżyserowanych przez Halinę Wojnar. Pierwsza – „Na urzynie” – to krótki skecz o trudnej rozmowie sekretarki urzędu gminnego z poniekąd gapowatym petentem. Drugi – „Żukowski szuter”, którego autor z pewnością zainspirował się cyklem czeskich komedii pn. „Kameňák” – był natomiast wiązanką dowcipów, które zabrzmiały w dialogu między żoną a przychodzącym z knajpy mężem.

Przerwy między przedstawieniami wypełniła śpiewem kolejna żukowianka, pieśniarka Beata Bocek, która ze swoimi czeskimi i polskimi utworami odnosi sukcesy w klubach i na folkowych festiwalach w całej RC. W jej wykonaniu zabrzmiały m.in. utwory „Słodka”, „Śiać żyto” czy „Co bym z tego miała...”.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

O przyszłości szkolnictwa

Sytuacji polskiego szkolnictwa na Zaolziu po wejściu w życie nowej ustawy szkolnej było poświęcone lutowe spotkanie w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie. Oprócz konsula generalnego Andrzeja Kaczorowskiego wzięli w nim udział wicehetman woj. morawsko-śląskiego Jaroslava Weinigera, szef Komisji Szkolnej Kongresu Polaków Tadeusz Wantula oraz reprezentanci Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC.

Rozmowy dotyczyły m.in. ustanowienia koordynatora ds. polskiego szkolnictwa w urzędzie wojewódzkim, limitów liczby uczniów w polskich klasach oraz wyzwań związanych z nauką języka polskiego w zjednoczonej Europie.

Z Ondraszkiem na zamku

„Javore zelený, kde sú moje kořeny” – śpiewał 7 marca w jednej z sal Śląskiego Zamku Przedsiębiorczości i Sztuki w Cieszynie, w pieśni o słynnym śląskim zbójniku Ondraszku, Tomáš Kočko, jeden z autorów sztuki pt. „Ondraszek – pan Łysej Góry”, na której premierę Scena Polska Teatru Cieszyńskiego zaprosi nas 2 kwietnia br.

Wspólnie z Kočką piosenki ze spektaklu śpiewał Tomasz Kłapoczek, dawniej aktor Sceny Polskiej, obecnie lider zespołu „Akurat”, który wcielił się na scenie w postać słynnego zbójnika. W spotkaniu w „Kawiarni AVION, której nie ma...” wziął też udział reżyser spektaklu Bogdan Kokotek, a przede wszystkim poetka i gospodarz AVION-u, Renata Putzlacher.

Autorzy „Ondraszka” mówili na spotkaniu przede wszystkim o swojej wyprawie śladami słynnego zbójnika i przedstawili zdjęcia, które wykonał na niej fotografik Wiesław Przeczek. Oprócz zdjęcia obrazu Juraszka stojącego nad zwłokami harnasia były to migawki z rodzinnej wsi Ondraszka, Janowic, zamku frydeckiego, gimnazjum ojców pijarów w Przyborze, w którym zbójnik miał studiować, Łysej Góry, zamku w Hukwaldach czy wsi Świdnów, gdzie w karc-

mie Ondraszek został zabity przez swojego druha. R. Putzlacher natomiast opowiadała o życiu zbójnika i epoce, w której żył, a także o zbójnictwie karpackim.

Laur dla „Ad Dei Gloriam”

Pierwszą nagrodę w kategorii chórów kościelnych wyśpiewał 12 marca, na odbywającym się w Bydgoszczy II Ogólnopolskim Konkursie Pieśni Pasyjnej i Postnej, młody chór parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Cz. Cieszyne – „Ad Dei Gloriam”, pracujący pod kier. Beaty Brzóska. Poza nagrodą jury (jej przewodniczącym był prof. Janusz Stanecki z bydgoskiej Akademii Muzycznej) chór przywiózł z Polski także nagrodę specjalną dziekana wydziału dyrygentury choralnej Akademii Muzycznej im. S. Moniuszki w Gdańsku.

W Bydgoszczy czeskokieszyński chór zaśpiewał pięć pieśni postnych: „Do twarży Chrystusa” Pawła Bębenka, „Nakłoń, Panie, ku mnie ucho Twoje” Wacława z Szamotuł, „Kyrie” Zdeńka Lukáša, „Święty Boże” Piotra Iljicza Czajkowskiego oraz „Gradual” Antona Brucknera.

Za dodatkowe wyróżnienie Beata Brzóska uznała też możliwość zaśpiewania „Kyrie” Z. Lukáša podczas kończącej konkurs mszy św. w kościele katedralnym w Bydgoszczy.

Wielkanoc z komedią

Członkowie MK PZKO w Milikowie Centrum postanowili powrócić do tradycji urządzania podczas Świąt Wielkanocnych spotkań z teatrem. W tym roku miejscowi aktorzy z członkiem zarządu Kola, Hynkiem Czeczotką na czele, sięgnęli po dwie jednoaktowe komedijki rodzimych, nieżyjących już autorów.

Pierwsza to „Babski raj” Władysława Niedoby, druga zaś „Fatalne spodnie” Władysława Młynka. W obu komediach zaprezentowali się na scenie sprawdzeni aktorzy, znani z poprzednich wielkanocnych przedstawień. Reżyser Czeczotka postanowił jednak włączyć tym razem do imprezy także młodych członków Kola. „Sporo się mówi o tym, że trzeba zachęcić młodych do pracy. U nas postanowiliśmy nie mówić, ale działać” – mówi H. Czeczotka.

Milikowscy aktorzy zaprezentowali swoje przedstawienia dwa razy. Po raz pierwszy miłośnicy teatru mogli je obejrzeć w Domu PZKO w sobotę na publicznej próbie generalnej. Oficjalna premiera odbyła się natomiast w niedzielę i była połączona z tradycyjną „Śmiergustówką”.

Jednym zdaniem

■ W Dużej Galerii Teatru Cieszyńskiego odbył się 26 lutego wernisaż wystawy rysunków i obrazów znanego zaolziańskiego plastyka, obchodzącego niedawno 60. urodziny Józefa Dronęga.

■ „Z Włóczykijem po Śląsku” to oryginalna gra planszowa, którą zaolziańskie Polskie Centrum Pedagogiczne wydało w ramach ponadgranicznego projektu edukacyjnego „Śląsk Cieszyński – mała ojczyzna w Europie”.

■ Zaolzie odwiedziła 30-osobowa grupa słuchaczy Akademii Dyplomatycznej MSZ w Warszawie.

■ Kongres Polaków przymierza się do utworzenia przy swojej Kancelarii centrum prasowego, które na bieżąco informowałoby polskie i czeskie media o społeczności polskiej w RC.

■ Pochodzący z Wędrzyn poeta Bogdan Trojanek był gościem wieczoru poetyckiego w Czeskim Centrum w Warszawie, towarzyszącym wernisażowi wystawy pt. „Czechy – daleko czy blisko?”.

■ Uczennica czeskokieszyńskiego Gimnazjum Polskiego Katarzyna Kaczyńska zajęła 2.

miejsce w powiatowych eliminacjach konkursu recytatorskiego „Wolkřův Prostějov”.

■ Uczniowie polskich podstawówek zdominowali wojewódzkie eliminacje XI edycji konkursu folklorystycznego „Wiosna przyszła do nas” zorganizowane przez Stowarzyszenie Folklorystyczne w RC. Młodzi Polacy zwyciężyli w prawie wszystkich z 6 kategorii.

■ W Domu PZKO w Bukowcu odbyło się 17 marca spotkanie Klubów Kobiet PZKO z całego Zaolzia.

■ „Polskie i czeskie przedsiębiorstwa w Unii Europejskiej” – taką nazwą nosiło czesko-polskie spotkanie biznesu w Wodzisławiu, zorganizowane przez 4 partnerskie miasta: Wodzisław Śląski, Jastrzębie Zdrój, Karwinę i Hawierzów.

■ Złoty Kamerton wywalczył w dniach 19-20 marca na XXV Ogólnopolskim Konkursie Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży w Bydgoszczy chór gimnazjalny „Collegium Iuvenum”.

■ W czeskokieszyńskim gimnazjum odbyło się 21 marca spotkanie z polskim poetą Wacławem Kostrzewą oraz tłumaczem jego wierszy Liborem Martinkiem.

PRO EKO na eksport

Fundacja PRO EKO, która działa przy Elektrowni „Łaziska”, zrobiła kolejny dobry uczynek. Za 100 mln starych złotych zakupiła słodczyce, lekarstwa oraz środki opatrunkowe i dostarczyła je dzieciom pracowników ukraińskiej elektrowni węglowej „Bursztyn”.

GAZETA MIKOŁOWSKA nr 5/2000

Radość plus bezpieczeństwo

16 marca radość wszystkich dzieci z gostyńskiego przedszkola nie miała końca. Nie dość, że przedszkole odwiedziła wspaniała gość, to jeszcze ofiarowali piękny, duży i kolorowy prezent dla wszystkich milusińskich.

To za sprawą Fundacji Pracowniczej PRO EKO z Łazisk Górnych na ręce dyrektora przedszkola pani Grażyny Olearczyk wpłynęło 15 tysięcy złotych z przeznaczeniem na wybudowanie całorocznego placu zabaw.

DZIENNIK ZACHODNI nr 80,
4 IV 2000

Ludzie dobrej woli

(...) Od lat z pozyskiwanych dzięki darowiznom pieniędzy Fundacja PRO EKO wspiera między innymi kliniki, szpitale, domy dziecka, szkoły i przedszkola. Jej statutowym celem jest pomoc pracownikom, rodzinom, emerytom i rencistom elektrowni oraz całemu śląskiemu społeczeństwu. Wspiera inicjatywy związane ze służbą zdrowia, pomocą społeczną, podnoszeniem kwalifikacji zawodowych, wypoczynkiem, zdrowiem, rekreacją, a także działalnością kulturalną i oświatową. Sponsuruje wydawnictwa książkowe, koncerty i występy teatralne.

(...) Fundacja Pracownicza działa już od 6 lat, a od 3 lat honoruje osoby i firmy szczególnie zasłużone. W tym roku „Złotą Różę” za całokształt prac na rzecz fundacji otrzymał Klemens Ścierański. Statuetki „Serce dla serdecznych” wręczono: Henrykowi Tymowskiemu, Romanowi Królowi, Tadeuszowi Torbusowi, Jerzemu Wcisło, Jerzemu Trzeszczyńskiemu i Andrzejowi Wyrobie.

TRYBUNA ŚLĄSKA – DZIEN,
9-10 XII 2000

Jabłka dla Małgosi

Od wczoraj Małgosia, która prawie trzy tygodnie temu urodziła się w Śląskim Ogrodzie Zoologicznym, ma sponsora – Fundację PRO EKO, działającą przy Elektrowni „Łaziska”. Żyrafa lubi warzywa i owoce, szczególnie jabłka. Fundacja będzie płaciła miesięcznie na jej utrzymanie 800 złotych.

– Trochę jest wystraszona naszą obecnością, dlatego uciekła do matki

– śmiał się wczoraj prezes fundacji, Stanisław Karpeta.

GAZETA MIKOŁOWSKA nr 3/2001

Nie chcemy być „Janosikami”

Mówi prezes Zarządu Fundacji PRO EKO przy Elektrowni „Łaziska” Stanisław Karpeta.

– Zgodnie z zasadą, że „wszystkie dzieci są nasze” zajmujemy się domami dziecka, głównie w Strumieniu i Orzeszu. Od pięciu lat dla grupy 40 dzieci szczególnej troski, a więc dla tych najbardziej potrzebujących organizujemy kolonie charytatywne. Dla niektórych

PRO EKO na łamach czyli przegląd dobrej prasy

z tych dzieci jest to jedyna okazja, aby po raz pierwszy zobaczyły morze.

Dla wielu szkół powiatu mikołowskiego współorganizujemy wyjazdy na „zielone lekcje” oraz na basen, ponieważ w Mikołowie ani w Łaziskach nie mamy basenów działających przez cały rok. W Mikołowie pomagamy m.in. „Miarce”, Gimnazjum nr 1 i SP nr 5.

ELEKTRO ŁAZISKA nr 10,
październik 2003

Cezar dla PRO EKO

Obszerne fragmenty rozmowy, jaką z prezesem Fundacji PRO EKO, Stanisławem Karpetą przeprowadził miesięcznik „Śląsk”.

– Co trzeba zrobić, żeby zasłużyć na specjalną statuetkę Cezara Śląskiego Biznesu – wielkie wyróżnienie Śląskiej Łoży Bussines Center Club?

– Mam w ręku raport z działalności Fundacji: to 120 stron, w tym m.in. podziękowania, rekomendacje, opinie. W dziesięć lat kilkaset decyzji o udzieleniu pomocy organizacjom, instytucjom, szkołom i szpitalom. Więc to pewnie za to wszystko. Za to, że od dziesięciu lat Fundacja działa na rzecz społeczeństwa Górnego Śląska. Mamy pięć sektorów działalności: szeroko rozumiana ochrona zdrowia, pomoc społeczna, pomoc dzieciom, wspieranie kultury i oświaty oraz praca na rzecz ochrony środowiska.

(...) – Fundacja nie unika także finansowania przedsięwzięć kulturalnych.

– To prawda. Mimo naszych skromnych możliwości sponsorujemy na przykład kolejny już konkurs „Po naszymu, czyli po śląsku”. Dlatego, że jest to nasz region, nasza mowa. Podobnie sponsorowaliśmy wydanie „Małego słownika gwary śląskiej”.

– Ale też PRO EKO potrafi sponzorować wystawę Tadeusza Makowskiego w Muzeum Śląskim.

– Różne są potrzeby odbiorców. Dlatego też nie zapominamy o Muzeum Śląskim ani o Teatrze Śląskim, które to instytucje sporadycznie korzystają z naszych skromnych dotacji, nie zapominamy także o Teatrze Małym w Tychach. Niebawem swój „grosz” dołożymy do jednego z ważniejszych wydarzeń kulturalnych na Śląsku: VII Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Fitelberga.

ŚLĄSK nr 7/2003

Fundacja wielkiego serca

Mają więc swoją wymowę słowa tak znakomitych reprezentantów medycyny śląskiej, jak wybitnego kardiochirurga prof. Andrzeja Bochenka, który przekazał słowa wdzięczności za „stałe udzielanie pomocy przy zakupach sprzętu medycznego oraz sfinansowanie i wykonanie modernizacji I Oddziału Kardiologii naszego Centrum”, znanego chirurga, kierownika Katedry I Kliniki Chirurgii Ogólnej i Naczyni ŚLAM w Katowicach, prof. Krzysztofa Ziąja, który od kilku lat korzysta z pomocy Fundacji w pracach „remontowych na terenie Kliniki, co znacznie zwiększyło bezpieczeństwo i komfort leczonych chorych”. Kierownik Kliniki Laryngologii Śląskiej AM w Zabrze, prof. Grzegorz Namysłowski napisał: „O Fundacji PRO EKO (...) wyrażamy się z głębokim szacunkiem i podziwem. Jej bezinteresowna praca i poświęcenie umożliwiła uratowanie wielu istnień ludzkich”. A rektor tej uczelni, prof. Tadeusz Wilczok wyznał, że „... udzielone nam wsparcie przekroczyło znacznie nasze oczekiwania. Dzięki pomocy Fundacji, nasza klinika wzbogaciła się o nowoczesny sprzęt, który długo będzie służył pacjentom”.

* * *

Można po tych słowach tylko dodać: taka Fundacja – jacy ludzie, którzy nią kierują. Podajmy więc, że Radę Fundacji stanowią: Kazimierz Szynol – przewodniczący, Gilbert Pradelok – z-ca przewodniczącego, Jan Mendecki – sekretarz, Jerzy Moryc – członek, Henryk Żmija – członek. Natomiast w skład Zarządu wchodzi: Stanisław Karpeta – prezes, Jan Suchy – sekretarz, Augustyn Nowak – członek, Andrzej Wyroba – członek.

Fundacja Pracownicza Pro-Eko przy Elektrowni „Łaziska”
43-170 Łaziska Górne, ul. Wyzwolenia 30, tel. (032) 324 35 00, fax (032) 324 36 03
Nasze konto: Bank BISE SA O/Łaziska Górne 13601063-10009-27005-000-00001

Cele Fundacji:

Niesienie pomocy pracownikom Elektrowni „Łaziska”, ich rodzinom, rencistom, emerytom zakładu oraz społeczeństwu ziemi śląskiej

Organizowanie i wspieranie inicjatyw oraz przedsięwzięć na rzecz utrzymania substancji i ich rozwoju w zakresie ochrony zdrowia i pomocy społecznej, podnoszenia kwalifikacji zawodowych, wypoczynku, sportu i rekreacji, ochrony środowiska, działalności oświatowej i kulturalnej, wspierania załóg pracowniczych w procesie prywatyzacji, restrukturyzacji i przekształceń własnościowych, mieszkalnictwa



Zapraszamy do grona Sponsorów Fundacji
Gwarantujemy dobre towarzystwo

354674



**PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA OGÓLNEGO
I USŁUG TECHNICZNYCH „ŚLĄSK” Sp. z o.o.**

40-282 KATOWICE, ul. W. Sikorskiego 41

Telefon: +48 32 251-44-42, Faks: +48 32 256-21-51

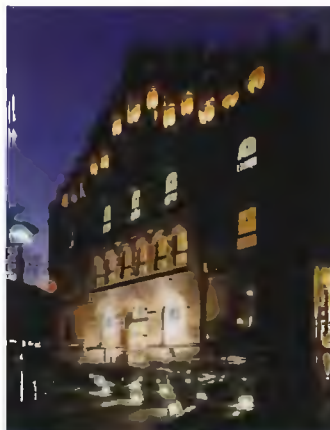
e-Mail: marketing@pboslask.com.pl, sekretariat@pboslask.com.pl

www.pboslask.com.pl

Oferowane usługi

- generalne i kompleksowe realizacje inwestycji
- realizacje „pod klucz”
- wszelkie roboty żelbetowe
- prace adaptacyjne, modernizacyjne i remontowe
- roboty konserwatorskie w zakresie renowacji wnętrz oraz elewacji budynków zabytkowych, opracowania projektowe
- dostawa i układanie betonu, transport materiałów budowlanych,
- montaż konstrukcji stalowych i drewnianych, montaż okładzin (wewnętrznych i zewnętrznych) ścian
- najwyższa jakość robót - w oparciu o doświadczony zespół wysoko wykwalifikowanych pracowników
- wieloletnie gwarancje na wykonane prace oraz pełna obsługa w okresie gwarancyjnym
- rzetelność i terminowość w trakcie prac
- profesjonalne doradztwo techniczne dla inwestorów

*Podczas wielu lat realizacji
trudnych zadań budowlanych,
jakość naszej pracy
potwierdzona została wysokimi
ocenami inwestorów*



**solidna
firma 2002**

